

Tajemna historia Barcelony, ukryta w pasjonującej powieści.

ENRIQUE MORIEL

MIASTO POZA CZASEM

Świat Książki

Emocjonująca powieść przygodowa, a jednocześnie wielka epopeja miasta.

Niezwykle połączenie thrillera, horroru i malowniczej powieści historyczno-obyczajowej, a zarazem pełna ponadczasowych refleksji rzecz o ludzkiej duszy, uwiklanej w walkę Dobra ze Złem, Boga i Szatana. W walkę, która być może nigdy się nie rozstrzygnie...

Miasto poza czasem można umieścić pomiędzy Cieniem wiatru Ruiza Zafóna i Katedrą w Barcelonie Idelfonsa Falconesa. Nowością jest jednak oryginalna interpretacja dziejów Barcelony, tego szczególnego miejsca przesiąkniętego tajemnicą i historią.

„El Periódico de Catalunya”

Ta powieść przekazuje świadectwo widma, które jest też duchem pewnego miasta, Miasta, które tak jak wampiry przechodzi ze stulecia w stulecie, żywiąc się cudzym życiem.

„El Mundo”

Radio PiN

INTERIA.PL

metro

www.milena.pl

ISBN 978-83-247-9925-0

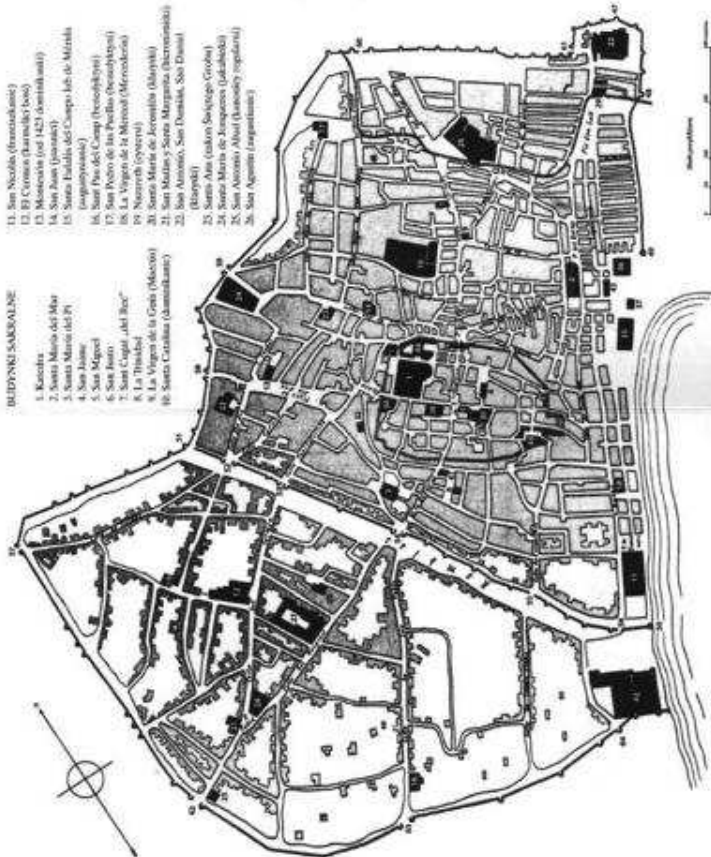


9 789924 799250

Cena 14,90 zł

tytuł

BARCELONA U SCHYLKU ŚREDNIOWIECZA



BUDDYNI SAKRALNE

1. Katedra
2. Santa Maria del Mar
3. Santa Maria del Pi
4. San Jaume
5. San Mateu
6. Santa Cruz
7. Santa Clara „del Rei“
8. La Virgen de la Gracia (Mocimó)
10. Santa Catalina (dominikański)

11. San Nicolás (dominikański)
12. El Corral (dominikański 1566)
13. Mostowice (1512 dominikański)
14. San Joan (janzaryści)
15. Santa Eulalia del Camp (16. i 17. wieki)
16. Sant Pau del Camp (16. i 17. wieki)
17. Santa Eulalia del Mar (16. i 17. wieki)
18. La Virgen de la Merced (16. i 17. wieki)
19. Nazareth (16. i 17. wieki)
20. Santa Maria de Arcanjo (16. i 17. wieki)
21. San Mateu y Santa Margalida (16. i 17. wieki)
22. San Antonio, San Dominik, San Damián (16. i 17. wieki)
23. Santa Ana (16. i 17. wieki)
24. Santa Maria de Montsepiques (16. i 17. wieki)
25. San Agostó (16. i 17. wieki)
26. San Agostó (16. i 17. wieki)

SZPITALNIE I FUNDACJE RELIGIjne

27. Hospital General de la Santa Cruz
28. Hospital de ambliopici (San Lázaro)
29. Hospital de San Felip y San Martin (16. i 17. wieki)
30. Hospital de Beteguer de Carer
31. Pla Almoina
32. Hospital de Sancho (San Servio)
33. Hospitalleria (Santa Magdalena)

BUDYNKI CYWILNE

34. Casa de la Ciudad
35. Largo (Sedeo), Consulado (Insipos) Plaza Montegoj y, Brul (16. i 17. wieki)
36. Ayuntamiento (16. i 17. wieki)
37. Granall
38. Palacio de los Duques
39. Castillo Viejo („Cort del Viqueri“)
40. Castillo del Rey
41. Castillo Nuevo
42. Ayuntamiento (16. i 17. wieki)
43. Palacio Real Mayor (16. i 17. wieki)
44. Palacio Real Menor
45. Palacio Episcopal

WIEŻE NA MURACH

47. De San Joan
48. De Santa Maria
49. Nueva
50. „De las Torres“
51. „De Castellan“

BRAMY MIEJSKIE

52. De Santa Ana („de Bergam“)
53. De San Felip
54. De San Mateu
55. De Sancho „de los Olivos“
56. De San Antonio
57. De Belera
58. De Angel („de los Olivos“)
59. De Joaquín
60. Portal Nou
61. De San Joan
62. De San Pedro „de San Carles“
63. De San Pablo
64. De Santa Margalida



ENRIQUE MORIEL

MIASTO
POZA
CZASEM

Z hiszpańskiego przełożył
Andrzej Sobol-Jurczykowski



Świat Książki

Tytuł oryginału LA CIUDAD SIN TIEMPO

Redaktor prowadzący *Elżbieta Kobusińska*

Redakcja merytoryczna *Mirosław Grabowski*

Redakcja techniczna *Julita Czachorowska*

Korekta

Marianna Filipkowska

Irena Kulczycka

Copyright © Enrique Moriel, 2007

All rights reserved

Copyright © Ediciones Destino, S.A., 2007

Avenida Diagonal, 662-664

08034 Barcelona (Spain)

Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media sp, z o.o., 2009

Świat Książki Warszawa 2009

Świat Książki Sp, z o.o, ul Rosola 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie *Piotr Trzebiecki*

Druk i oprawa ZPW POZKAL

ISBN 978-83-247-0925-0 Nr 6216

0.

Ten Drugi

Przybywam z lat bez granic, z pogrzebanych miast, z cmentarzy, które do mnie mówią, z pieśni, których nikt już nie pamięta. Przybywam z rozległego czasu. Dlatego nigdy nie jestem tym samym, jak nie to samo jest moje miasto, i dlatego nie mogę nadać nazwy moim historiom.

Kiedy się urodziłem, wielka barcelońska równina, która rozposcieraała się poza gotyckimi murami, była ziemią występku. Były tam tanie lupanary, jakich nie akceptowano w otoczonym murami przyzwoitym mieście, żyli tam kuglarze, komedianci wiecznie przymierający głodem, żebracy i zbiegli przestępcy.

Urodziłem się na tej ziemi.

Choć to dziwne, niedostatek przestrzeni spowodował, że w krótkim czasie równina występku przekształciła się w równinę klasztorów. Moja matka - która nauczyła się wielu rzeczy, słuchając klientów - powiedziała mi, że pierwsze mury Barcelony, te rzymskie, natychmiast zdusiły miasto do tego stopnia, że musiało ono wyjść poza umocnienia. W średniowieczu wzniesiono zatem drugie mury, które z upływem czasu nazwano gotyckimi. Biegły wzdłuż tego, co dziś nazywa się Rambla, a co wtedy było zwykłym strumieniem, i mieściło się w nich kilka pięknych bram, jak

PuertaFerrisa i Canaletas, gdzie przerzucono mostek, aby mieszkańcy mogli bezpiecznie przechodzić nad wodą. Klienci mojej matki wiedzieli tak dużo, gdyż w większości byli duchownymi.

Ale poza tymi drugimi murami miasto nadal się rozrastało. I tak powstała „ziemia niczyja”, na której się urodziłem i gdzie znajdował się lupanar mojej matki. To prawda, że w pobliżu, dla kontrastu, wznosiły się też szpitale, jak Santa Cruz, klasztory, które nie mieściły się w obrębie murów, i koszary, to znaczy budynki, w których później zagościły tak święte instytucje jak Liceo*. * Opera w Barcelonie (wszystkie przypisy tłumacza). Ale o tym matka nie mogła mi opowiedzieć, gdyż to jeszcze nie nastąpiło, ani nie mogli też tego przewidzieć mężczyźni odwiedzający jej łożo.

I w jej łożu urodziłem się ja, i nikt jej nie pomagał podczas porodu.

Moja matka była niewolnicą. I niech to nikogo nie dziwi.

Niech też nikogo nie dziwi, że ktoś usiłował nas oboje zabić.

Tym kimś był Ten Drugi. I nie wypowiem jego imienia, gdyż nadal często go spotykam.

1.

Biała śmierć

Nie zdarzyło się dotąd, by Marcos Solana, bogaty adwokat - i dlatego obsługujący barcelończyków, którzy w rodzinie rozmawiają tylko o pieniądzach - miał do czynienia z zabójstwem o takich oto trzech elementach: oczywiście trup, katolicki ksiądz i niemal stuletnia fotografia, która wisiała na jednym z korytarzy Szpitala Klinicznego.

Może trzeba zacząć od trupa - pomyślał Marcos Solana, dobrze wychowany człowiek, który z szacunku dla swoich klientów zawsze ubierał się na szaro.

Nieboszczykiem był Guillermo Clavé - wśród przyjaciół nazywany Guillermito - i leżał w szpitalu na marmurowym stole, z ciałem niedawno zaszytym po autopsji. Ale rzeczą szczególną w jego przypadku było to, że był multimilionerem, jak wielu tych, którzy nie pracują, i mieszkał w jednej z najlepszych willi na Paseo de la Bonanova, a także to, że nikt w szpitalu nie widział dotąd tak bladego trupa.

Był tam również ksiądz, rzecz normalna, bo przy bogatych ludziach, którzy umierają, jest zwykle katolicki ksiądz.

Marcos Solana spojrział na niego. Ojciec Olavide był kanonikiem, tajnym pokojowcem Jego Świątobliwości, doktorem teologii

i profesorem tej dyscypliny w Collegium Romanum. Mówiono, że ma wstęp wolny do najbardziej tajemnych biur Watykanu, że zna historię wszystkich krypt i że od czasu do czasu papież udziela mu poufnych rad.

Marcos Solana nie widział jeszcze starej fotografii.

Spojrzał na lekarza sądowego, wysokiego i chudego mężczyznę, bez wątpienia w podeszłym już wieku - widać to było po kilku fałdach na szyi - ale o włosach tak czarnych i cerze tak gładkiej i delikatnej, że wyglądał na młodego. Właśnie zdejmował rękawiczki po zakończeniu swej pracy i opuszczał pomieszczenie, żeby można było ubrać nieboszczyka. Kiedy adwokat bogaczy skierował wzrok na ciało, zdrygął się.

Klienci adwokatów bogatych zawsze pojawiają się schludnie ubrani, w każdych okolicznościach, natomiast ma niewielkie znaczenie, jak wyglądają klienci adwokatów biednych. Ale w owej chwili Guillermo Clavé oznaczał dlań podwójną nowość. Nigdy wcześniej Marcos Solana nie widział go nagiego - tylko by tego brakowało! - toteż teraz dowiadywał się, że był on człowiekiem tęgim, niekształtnym i na pozór pozbawionym wszelkiej godności. Ale to też nie jest tak niezwykle u dojrzałych już przedstawicieli burżuazji, którzy nigdy nie wykonywali żadnych ćwiczeń oprócz pieszczczenia kobiet, żyli pod opieką najlepszych restauratorów, w ogóle nie pracowali, a teraz nagle muszą sprostać nieobecności swojego krawca. Było to nowością względną dla takiego człowieka jak Solana; ale ta druga była nowością absolutną: nigdy dotąd nie widział tak bladego trupa.

Spytał lekarza sądowego, czy to normalne.

- W zasadzie normalne - powiedział lekarz bezbarwnym głosem, zaczynając myć ręce. - Zazwyczaj śmierć nie zostawia nas z najlepszym wyglądem, choć skóra nie zawsze jest tak biała: to

właśnie po odcieniu skóry trupa domyślamy się wielu rzeczy. Ale muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie widziałem trupa tak wykrwawionego. Marcos Solana spytał:

- Co dokładnie ma pan na myśli, mówiąc „wykrwawionego”?

- Właśnie to, co znaczy to słowo: po prostu, że w ciele nie ma ani kropli krwi. I to najbardziej mnie dziwi, gdyż dotychczas nie spotkałem się z podobnym przypadkiem, nawet przy wielkich okaleczeniach. Temu człowiekowi... Jak on się nazywa?

- Guillermo Clavé, ale wszyscy nazywali go Guillermito.

- Wygląda to tak, jakby temu człowiekowi usunięto krew jakąś maszyną ssącą, chociaż nie jest to wyjaśnienie techniczne. Proszę spojrzeć na ten otwór na szyi, dokładnie na tętnicy. Mógł tędy utracić całą krew, ale dziwi mnie, że stało się to tak szybko. A jeszcze bardziej mnie dziwi to, że według policji niemal nie było śladów krwi na łóżku, kiedy znaleziono nieboszczyka. Logicznie rzecz biorąc, cała sypialnia powinna być zamalowana na czerwono.

- A od czego pochodzi ten otwór?

- To jest jeszcze bardziej niewiarygodne: powiedziałbym, że od ukąszenia jakiegoś niewielkiego zwierzęcia, przypuszczalnie szczura czy kota. Naturalnie w takim luksusowym domu, w jakim mieszkał... Guillermito?... nie mogło być szczurów i powiedziano mi, że nie było też kotów. A ponadto żadne z tych zwierząt nie pije krwi, tak więc jestem zupełnie zdezorientowany. Będę zmuszony poprosić o pomoc kolegów, a w konsekwencji trup zostanie chwilowo tutaj, w kostnicy Szpitala Klinicznego.

- To niemożliwe - odrzekł Marcos Solana machinalnie, bez zastanowienia.

- Niemożliwe? Dlaczego? I kim pan właściwie jest?

- Mówiono to panu, zanim pozwolił mi pan tutaj wejść: jestem Marcos Solana, adwokat rodziny. Rodziny należącej do wyższej burżuazji barcelońskiej, jak już pan z pewnością wie. Jeżeli śmierć Guillerma Clavé okaże się zagadką nie do rozwiązania, nazwisko rodziny stanie się przedmiotem rozmaitych spekulacji, a w konsekwencji ucierpią na tym jej interesy. Chociaż don Guillermo nie pracował, jego pełnomocnicy obracają ogromnymi pieniędzmi. To normalne, że trzeba przeprowadzić wszelkie dochodzenia, jakie uzna pan za stosowne, ale nie można opóźniać pogrzebu. Wszystko musi wyglądać jak śmierć... powiedzmy... w dobrej rodzinie.

Ojciec Olavide, obszedłszy dokoła stół, popatrzył na trupa. Przyjrzał się skaleczeniu, o którym mówił lekarz. Pomimo swoich licznych tytułów - wśród których figurował tytuł profesora historii - nie był w stanie rozwiązać zagadki, chociaż mógł wyciągnąć jakieś wnioski. Ojciec Olavide wygłosił wiele odczytów w Królewskiej Akademii Medycznej, w średniowiecznym gmachu szpitala San Pedro, i cieszył się opinią barcelońskiego kapłana, który badał najwięcej sławnych zgonów. Ale na jego obliczu odmalował się grymas wątpliwości.

- Nic nie rozumiem - rzekł.

Pogładził dłońmi przód sutanny, jakby ją pieścił, i przeszedł ponownie na przeciwną stronę stołu. Barcelońscy księża nie używają już sutanny, ale ojciec Olavide - owszem. Skinął dłonią w stronę mecenasa Mareosa Solany.

- Porozmawiajmy przez chwilę na zewnątrz - wyszeptał. - Czym innym są interesy rodzinne, a czym innym niewytłumaczalna śmierć tego człowieka. Proszę to wziąć pod uwagę: wdowa ufa zarówno mnie, jak i panu.

Adwokat skinął głową. Nie mógł odmówić. Obaj skierowali się ku drzwiom sali autopsji i w tym momencie wszedł jakiś mężczyzna, z pewnością inny lekarz sądowy, popychając wózek z instrumentami chirurgicznymi. Podobnie jak lekarz, który właśnie skończył autopsję, wyglądał na mężczyznę bez wieku. Był wysoki, szczupły, o głębokim i niepokojącym spojrzeniu, długich dłoniach, szybkich krokach. Ich uwagę bardziej jednak zwrócił wózek pełen strasznych narzędzi niż owo głębokie i niepokojące spojrzenie. Takie spojrzenia rodzą się zwykle już na początku kariery i oznaczają, że lekarz mało zarabia. Ojciec Olavide położył dłoń na ramionach adwokata i w ten sposób objął go boską opieką. Udali się powoli jednym z kamiennych korytarzy, którym wyszli ze Szpitala Klinicznego na dziedziniec Fakultetu.

Są tam teraz nowe ściany, a na zewnątrz rozległy plac, kilka drzew i naturalnie parking. Ale uroczyste kolumny pod frontonem są dokładnie takie same jak wówczas, kiedy założono szpital w szczerym polu znanym tylko ptakom. Na ścianach wisiało kilka fotografii, w kolorze sepii lub szarym, oprawionych w tanie ramki. Na jednej z nich widać było Szpital Kliniczny, kiedy został wzniesiony na horyzoncie miasta; na innej - jedną ze starych sal zbiorowych, nad którymi królowały krucyfiksy; na trzeciej - grupę ówczesnych lekarzy - w białych fartuchach zapiętych pod samą szyję, w kamaszach, z wąsami, kilku z brodą, kilku ze szpicbródką - którą fotografia zawiesiła w czasie. A pod spodem podpis wykonany angielską kaligrafią: „Oddział nagłych przypadków, 1916”. Oddział nagłych przypadków, takich jak gdy po wyrwaniu zęba zabijała człowieka posocznica.

Ojciec Olavide powiedział:

- Możemy pomówić z rodziną, która jest najbardziej zainteresowana wyjaśnieniem całej sprawy. Nic się nie stanie, jeżeli odłoży się pogrzeb o jeden dzień.

- O ile nie powstaną plotki. Możemy spokojnie mówić o śmierci wywołanej krwotokiem, ale nigdy o zabójstwie.

- Niech pan pozwoli, że omówimy to z wdową. Jako jej spowiednik mam chyba na nią jakiś wpływ, nieprawdaż? A prasą i kręgami handlowymi już zajmie się pan. Ale... jakie ponure jest to wszystko, nie wydaje się panu? Stary Szpital Kliniczny zachował dotąd część swoich upiorów, zwłaszcza w takiej chwili jak ta, o jedenastej wieczorem. I te fotografie na ścianach... Czy nie byłoby im lepiej w jakimś muzeum?

Właśnie w tym momencie Marcos Solana zwrócił uwagę na jedną z nich. A konkretnie na tę, która przedstawiała grupę dawnych lekarzy.

I jego twarz się zmieniła.

Jego powieki zadrżały.

Rwącym się głosem wyszeptał:

- Przed chwilą widziałem tę twarz...

Wskazał na jednego z lekarzy oddziału nagłych przypadków z 1916 roku. Ponad dziewięćdziesiąt lat wcześniej, ponad dziewięćdziesiąt różnych miast, ponad dziewięćdziesiąt opróżnionych i ponownie zapełnionych grobowców, ponad dziewięćdziesiąt niemowląt poniesionych skwapliwie do dołu. Ten mężczyzna na fotografii, który w owych czasach był dojrzałym człowiekiem, siłą rzeczy musiał już nie żyć.

Adwokat obrócił się na pięcie, wydał rodzaj jęku i rzucił się biegiem do sali autopsji. Był bowiem pewien, że przed chwilą go widział.

2.

Niewolnica

Kiedy się urodziłem, w jednym z domów przy ulicy, która wiele lat później miała się nazywać Espalier, działał już lupanar. Ale nad drzwiami nie było twarzy.

Inne podobne miejsca miały ją nad wejściem, choć teraz myślę, że to, gdzie się urodziłem, było tak podle i nędzne, że nie mogło nawet opłacić tego znaku rozpoznawczego. A przecież twarz stanowiła rodzaj gwarancji legalności. Z upływem czasu ci, co znali miasto i jego lupanary, zaczęli nazywać ją maskarą: czasami była to kamienna podobizna kobiety, ale najczęściej - roześmiana twarz mężczyzny, który wyglądał jak pijany, to znaczy twarz mężczyzny szczęśliwego. Dlatego uważano, że maskara, niosąc informację, iż tu się mieści legalny lupanar, jednocześnie przedstawia zadowolonego klienta, który z pewnością umarł *in odore sanctitatis*, poznawszy przedtem wszystkie podopieczne. Nikt nawet się nie domyślał, że twarz, która później pojawiła się nad drzwiami, przedstawia człowieka, który się tam urodził - to znaczy mnie - i że wcale nie upamiętnia rozpusty, tylko akt miłości.

Po wielu latach oszczędzania - mężczyzna za mężczyzną, moneta za monetą - kazała ją tam umieścić moja matka. Klienci

płacili jej niewiele, bo nie mogła się wyzwolić. Była niewolnicą i córką niewolnicy.

Jeżeli ktoś to kiedyś przeczyta (w co wątpię, bo mówią, że ten, kto czyta, nie tylko źle służy swemu panu, lecz także rozpala swoją wyobraźnię i kończy na sodomii), zdziwi się, że tysiąc czterysta lat po śmierci tak zwanego Pana Chrześcijan, pod rządami Jego Królewskiej Mości, istnieli jeszcze niewolnicy. A istnieli, jasne, że istnieli, i mogła to zaświadczyć moja matka.

Pomimo że Barcelona była w zasadzie uważana za miasto liberalne i o postępowych ideach - chociaż liberałowie kończyli zwykle na szubienicy - ciągle wojny z niewiernymi, czyli Saracenami, powodowały napływ jeńców, a tych sprowadzano do stanu niewolników w taki sam sposób, jak niewierni czynili to z synami Chrystusa. A ponieważ synowie Chrystusa żyli tu bardziej z pracy niż z błogosławieństw, używali jako siły roboczej niewolników męskich, a jako siły łóżnicowej niewolnic żeńskich, które zawsze wiodły ich na pożalowania godne pokuszenie, toteż niewątpliwie zasługiwały na karę. Wśród tych, które zawsze zasługiwały na karę, była moja matka.

Barcelońskich niewolników aż do czasów nowożytnych, jakkolwiek dziwne by się to wydawało, nie tylko można było sprzedawać i kupować, ale też zastawiać - i dlatego próba ucieczki była najgorszym przestępstwem, jakie mogli oni popełnić, gdyż szkodziła handlowej powadze miasta. I tak wprowadzono rekompensaty dla tych, co myśląc o prosperity kraju, ścigali zbiegów. Wysokość tych rekompensat zależała od wysiłków i trudów, na jakie niewolnik narażał ścigającego: jeżeli uciekinier zostawał ujęty, zanim przekroczył rzekę Llobregat, ten, kto go schwytał, dostawał skromny mancus (równowartość jednego muzułmańskiego dirhama, cztery gramy czystego złota), ale jeżeli musiał w tym celu

narażać życie i przeprawić się przez rwącą rzekę, otrzymywał uncję złota.

Tam gdzie dziś znajduje się ulica Puerta del Ángel, był targ niewolników. Pewna dama w mieście - jak opowiedział mi któregoś dnia historyk Duran Sampere (nie podejrzewając, że sam to przeżyłem) - miała siedmiu niewolników o pięknej prezencji. Nie potrafił mi jednak powiedzieć, ile niewolnic, o jeszcze piękniejszej prezencji, miał jej mąż.

Ponieważ to miasto zawsze lubiło dobrze zbilansowane rachunki, właściciele niewolników mogli ich ubezpieczać. Upoważniona do pobierania opłat ubezpieczeniowych była ni mniej, ni więcej, tylko sama Generalitat*, * Parlament kataloński. i mogę przysiąc, że czytałem - jestem bowiem czytelnikiem, ale jeszcze nie sodomitą - że w roku pańskim 1431 miała ona ubezpieczonych tysiąc czterystu siedemdziesięciu ośmiu niewolników, prawie wszystkich z Barcelony, i jest oczywiste, że z takich ubezpieczeń czerpano wielkie korzyści dla wiary i publicznych interesów.

Moja matka, jako że była piękna, choć słabej budowy, nie mogła marzyć o mniej lub bardziej znośnej przyszłości, na przykład w łożu jakiegoś kupca. Nikt się nią nie zajął. I tak została przekazana skromnemu lupanarowi, gdzie tolerowano wszelkie barbarzyństwo. Prawo, jak wiedziałem już od dziecka, chroniło kobiety publiczne przed śmiercią, ale przed niewieloma rzeczami ponadto. Matka przyjmowała czasami dwudziestu klientów dziennie, pijacy ją bili, a już co najmniej lżyli, choć właściciel, jako że był dobry, zwykle dawał jej, co pięciu mężczyznom, kubek mleka od kozy, do której można było mieć zaufanie, bo mieszkała w jednym z pokoiów tego samego domu. Tej kozie zawdzięczam życie, gdyż

czasami dawała mi pokarm bezpośrednio z wymion.

Ale to matka mnie uratowała, kiedy Ten Drugi chciał nas oboje wykończyć. Ponieważ zabito jej już dwoje dzieci, też urodzonych w lupanarze, broniła mnie z wściekłością tygryscy. Tak wielka była jej rozpacz i nienawiść - bo była to zwierzęca nienawiść - że Ten Drugi musiał zostawić nas żywych. Potem, widząc, jak potoczyły się jej losy, nie wiem, czy było warto.

Później, znacznie później, pewnego spokojnego wieczoru, kiedy musiała pójść do łóżka tylko z przeorem, opowiedziała mi, jak się urodziłem. I wtedy dowiedziałem się o wszystkich nadużyciach, jakich wobec niej się dopuszczono. Jedno z nich wywarło na mnie piętno. Owej nocy dowiedziałem się, że poddano ją torturze dybów.



3.

Głos brązu

Najwyższą ze wszystkich dzwonnicy w barcelońskiej katedrze jest dzwonnica zwana „Honorata”, która odmierza kwadrans niepokojnym mieszkańcom miasta.

„Honorata” waży siedemset pięćdziesiąt kilo i została odlana w sierpniu 1865 roku, kiedy Barcelona przeżywała okres rozkwitu, miała pierwszą kolej żelazną w Hiszpanii, najlepsze fabryki włókiennicze, najbogatszych i najbardziej brzuchatych kupców oraz najbardziej wdzięczne panny z towarzystwa, które pragnąc zaznać talie, uczyły się jazdy konnej w nowym klubie dla arystokratów zwanym Kołem Jeździeckim.

Ale, jak to bywa we wszystkich starych miastach, „Honorata” nie była pierwszą „Honoratą”. Dzwon, który wcześniej nosił to imię, został zawieszony w roku pańskim 1393 i wybijał godziny mieszkańcom, wówczas znacznie mniej zamożnym. Był to dzwon rozsądny, o ile takie istnieją, który przyczyniał się także do tworzenia miejsc pracy, gdyż bito w niego w chwilach ustalonych przez *sonadors*^{*}, * Ci, którzy biją w dzwony (katal.). ci zaś byli opłacani przez Radę *Stu*^{**}.^{**} Rada *Stu* (hiszp. Consejo de Ciento; katal. Conseil de Cent) - dawny organ władzy miejskiej w Barcelonie. W 1249 roku Jakub I utworzył radę złożoną z czterech członków, wspieraną przez ośmiu radców i zgromadzenie „uczciwych ludzi”. Szesnaście lat później, po kilku modyfikacjach, organizacji miejskiej nadano ostateczną formę: trzech radców wybieranych przez radę *stu* osobistości. Radę *Stu* zniósł Filip V w 1714 roku w ramach represji za popieranie Karola Habsburga w wojnie sukcesyjnej 1701-1714.

Podobnie jak to bywa ze starymi miastami, również stare dzwony przeżywają swoje chwile heroiczne, a raczej na nie cierpią. Pierwsza „Honorata”, która zniosła wszystko od 1393 roku, była na trwogę podczas oblężenia Barcelony w dniach wojny sukcesyjnej w 1714 roku, aż szesnastego marca owego roku, kiedy miasto było równane z ziemią, zniszczyły ją nieprzyjacielskie armaty. Barcelona, równie wierna swoim interesom jak swoim sentymentalnym symbolom, pragnęła sfinansować odtworzenie „Honoraty”, chociaż, jak tyle innych symboli, zostało jej to zabronione. Nigdy dokładnie się nie dowiemy, jaką winę ponosi dzwon za to, że wzywał do walki, ale sędziowie Jego Królewskiej Mości Filipa V oskarżyli go o bunt i szesnastego września 1716 roku dzwon został zniszczony.

Zniszczony?

Mecenas Marcos Solana spojrział na gablotkę z kawałkiem brązu wielkości ludzkiej dłoni, który pokazywała mu wdowa po Guillemicie Clavé. Wdowa była tak chuda, że przywodziła na myśl radiogram, co dla nieboszczyka musiało oznaczać torturę, bo lubił on kobiety przy kości. Gablotkę z pamiątkami historycznymi też wypełniały przedmioty przestrzegające diety: klamry, którymi spinała włosy baronowa de Albi, komplety szpilek wysadzanych perłami, wstążki, które zaznaczały strony świętych ksiąg, i łyżeczki, którymi bez wątpienia zażywały syropy na płodność panie o dobrych chęciach, mające tylko pięcioro dzieci. Wszystko to i kawałek metalu.

- To ostatni kawałek, jaki pozostał po sławnym dzwonie, może najślawniejszym w katedrze - powiedziała wdowa. - Kazano go zniszczyć, ale kilka szlacheckich rodzin w mieście zachowało jego resztki. Albo to, co zdołały zdobyć z jego resztek.

Tym dzwonem była pierwsza „Honorata”. Jestem przekonana, że to ostatni fragment, jaki pozostał.

Ojciec Olavide, który też mu się przyglądał, powiedział bez najmniejszego zainteresowania.

- Aha.

Ani on, ani adwokat nie po to przyszedli do willi przy Bonanova, jednej z ostatnich naprawdę wielkopańskich budowli pozostałych na tym bulwarze, który poświęcono oszczędnościom miasta, a teraz poświęcano, za sprawą firmowych budynków mieszkalnych, jego hipotecznemu bogactwu. Obaj zauważyli, że wdowa poszukuje wszelkich zastępczych tematów, by uniknąć najważniejszego, tego, który kazał im się tu zjawić: śmierci jej męża i możliwości odłożenia pogrzebu. Może dlatego dodała:

- Wiem, że umrę w tym domu, ale nie wiem, co się potem z nim stanie. Możliwe, że moje dzieci go sprzedadzą, gdy tylko się dowiedzą, ile milionów proponują im za teren. Wtedy dom zostanie rozebrany, a na jego miejscu wyrosną budynki z drogimi mieszkaniami. Taki był los wszystkich dawnych wielkopańskich willi, jakie tu stały. Czy wiecie, panowie, w którym roku została zbudowana ta?

- W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym - rzekł Marcos Solana, który jako adwokat rodziny doskonale to wiedział.

Pradziadek Clavé wrócił z Kuby, kiedy Hiszpania utraciła wyspę. Hiszpania utraciła wszystko, ale nie pradziadek Clavé. Wzbogacił się na uprawie trzciny cukrowej i tytoniu. Za część

swoich pieniędzy kupił tę posesję, położoną znacznie powyżej stłoczonego miasta, które dopiero kończyło budowę Ensanche*,* Ensanche (katal. Eixample) - poszerzenie, powiększenie; projekt zabudowy przestrzeni rozciągającej się od północnych murów Barcelony do miejscowości Gracia. Również nazwa dzielnicy powstałej w wyniku realizacji tego zamierzenia. i postawił ten dom. Zachowały się tu dotąd palmy, sadzone przez wszystkich „Indian”** ** Hiszpanie, którzy powrócili z Kuby. na pamiątkę po kubańskiej ziemi.

I po kubańskich kobietach - pomyślał ojciec Olavide, który był spowiednikiem trzech pokoleń rodziny.

Ale nie powiedział tego głośno.

Szepnął tylko:

- Droga pani...

- Słucham.

- Ośmielamy się panią niepokoić, ponieważ chcemy pomówić o innej sprawie. Sędzia zarządził sekcję zwłok pani męża, jak zwykle się postępować w przypadku śmierci... niecodziennej. Zarówno pan Solana, jak i ja sądziliśmy, że chodzi o formalność bez większego znaczenia, jednak lekarze sądowi twierdzą, że potrzebują dodatkowych danych. A to opóźni pogrzeb.

Szlachetny radiogram zajął miejsce na jednym ze starych krzeseł w stylu królowej Anny - odpowiedniejszych do sypialni niż do salonu, pomyślał przelotnie adwokat - i z niepokojem zacisnął dłoń.

- Nie wiem, co mogę zrobić ja ani co może zrobić rodzina - westchnęła wdowa - ale zaczynam się denerwować, a co gorsza, czuję się zażenowana. Czy już wiecie, panowie, co się dzieje?

- Obawiam się, że tak - odparł Marcos Solana. - Ludzie, którzy nie mają nic innego do roboty, zaczynają szeptać. Dziwna śmierć

pana Guillermo zbiegła się z kontrolą skarbową we wszystkich jego spółkach. Są tacy, którzy utrzymują nawet, że prowadził nielegalne interesy. A szczytem wszystkiego jest to, że niektórzy rozpuszczają plotki, jakoby odebrał sobie życie.

- Są rzeczy, które aż do tej chwili wydawały mi się absurdalne - wyszeptwała dama - ale które zaczynam widzieć jako realne, a przynajmniej możliwe. Nie wiem, czy mnie panowie rozumieją. Im bardziej się to rozpowszechni, tym większe będą problemy z dziedzictwem, a tymczasem wszystko pozostanie wstrzymane. I do tego sprawa kredytów... Dzisiaj przedsiębiorstwa nie są już tym, czym były dawniej, kiedy działały, opierając się na własnych funduszach; teraz potrzebują banków. Jeżeli pojawią się tego rodzaju pogłoski, kredyty zostaną wstrzymane.

- Już się tym zająłem - uspokoił ją Solana - jak również tym, żeby formalności prawne wszczęto natychmiast. Ale przyznaję, że nigdy nie spotkałem się z tak niezwykłym przypadkiem jak ten; nawet przez chwilę zacząłem wierzyć w coś nadprzyrodzonego.

Ojciec Olavide, który żył z rzeczy nadprzyrodzonych, zapytał z odcieniem drwiny:

- Doprawdy?

- Proszę nie mówić, że nie było czegoś niezwykłego w tym lekarzu, który wszedł, kiedy wychodziliśmy - powiedział adwokat, nie zdając sobie sprawy, że mówienie o tym w obecności wdowy nie jest w dobrym tonie. - Wyglądał jak ten na fotografii sprzed dziewięćdziesięciu lat. Tak samo, tyle że był inaczej ubrany. Dlatego zawróciłem, żeby go dogonić w sali autopsji.

- I?

Ojciec Olavide wobec niewczesnych słów adwokata nadał głosowi ton pogardy. Poza tym znał odpowiedź.

- Już go tam nie było - wyszeptał Marcos Solana. - Lekarz sądowy powiedział mi, że to instrumentariusz i że go nie zna. Podobno często zmieniają im dyżury. Szukałem wszędzie, ale już go nie było...

- Nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego - powiedział ksiądz, usiłując zmienić temat. - Jakiś człowiek podobny do innego... i co z tego wynika? Proszę już o tym nie myśleć, panie Solana. Wczorajszego wieczoru wszyscy byliśmy zdenerwowani. Droga pani, w miarę możliwości postaramy się przyśpieszyć formalności prawne, lecz w tym celu, jeśli pani pozwoli, muszę o coś zapytać.

- Oczywiście... O co chce ojciec zapytać? Czy jest coś, czego ojciec nie wie?

- My, księża katolicy, wiemy dobrze o niektórych sprawach, ale na ogół nie należą one do tego świata. Co do reszty, tylko udajemy, że wiemy. Na przykład nie wiem, co się stało z tą plamką krwi, która pojawiła się u wezglowia łóżka biednego pana Guillermo. Tylko ją jedną było widać. Co z nią zrobiono?

Teraz to adwokat znał odpowiedź. Wyszeptał:

- Policja poddała ją analizie, żeby się dowiedzieć, czy to krew zmarłego. To znaczy, czy odpowiada temu samemu DNA. Sprawdzili DNA pana Guillermo, co było bardzo łatwe, a potem DNA próbki krwi. Nie należało do tej samej osoby. Próbkę miała grupę zero minus, a zatem inną niż krew pana Guillermo.

Wdowa wstała z krzesła w stylu królowej Anny i skierowała się w stronę stolika przy oknie, na którym stała autentyczna waza z okresu dynastii Ming. Za oknem, w ciszy ogrodu, widać było palmę z epoki dynastii Mulatów, a obok niej palmy ogrodnika, do

którego dynastii należała matka walcząca w kolumnie Durruti*. *

Anarchista Buenaventura Durruti wraz z dowodzoną przez siebie kolumną brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej po stronie „czerwonych”. Oczywiście dama wiedziała tylko o dynastii Ming. Odwróciła się do gąbki i wskazała na ostatnią resztkę pozostałą ze średniowiecznego dzwonu, który w 1714 roku połączył swoje bicie z ostatnimi krzykami umierających. Szepnęła:

- To dziwne.

- Dziwne? Co?

- Dwa tygodnie temu, kiedy Guillermo żył, odwiedziła nas komisja Generalitat, z Wydziału Kultury. Profesorowie w okularach, którzy na dwa kroki nie widzą własnej żony, za to na dwa kilometry widzą romańską kolumnę, na której spoczywał tyłek królowej Elisendy**. ** Elisenda de Montcada (zm. 1364) - trzecia i ostatnia żona króla Aragonii i hrabiego Katalonii Jakuba II Sprawiedliwego, założycielka zakonu klarysek. Poprosili mnie o zgodę na zbadanie tego fragmentu „Honoraty”. Według tradycji miał on być poplamiony krwią. I okazuje się, że to prawda: na tym fragmencie jest plamka, która po zbadaniu najnowocześniejszymi środkami okazała się krwią. Te nowoczesne środki, które czasami pokazywane są w telewizji, przyprawiają mnie o zawrót głowy, bo udowadniają, że nigdy całkowicie nie umieramy

- To prawda - zadumał się na głos adwokat. - Zawsze zostawiamy ślady, którymi po wiekach ktoś jeszcze podąża. Na przykład bada się życie seksualne osobników poddanych po śmierci mumifikacji i wiadomo, co jedli rzymscy legionieści w starożytnym mieście Mérida, a co, nawiasem mówiąc, okazało się doskonałym lekiem geriatrycznym dla tych, którzy już nie mogli podnieść miecza. I co się stało z tymi wielbicielami królowej Elisendy?

- Zabrali ten fragment dzwonu, przysięgając, że go zwrócą. I tak też zrobili. A przedtem zbadali wszystko, co znajdowało się na metalu, i powiedzieli mi, iż rzeczywiście jest tam plama z krwi. Nie wyobrażacie sobie, panowie, jacy byli z tego powodu szczęśliwi. Doszli do wniosku, że musi to być krew obrońców Barcelony z tysiąc siedemset czternastego roku. A raczej jednego z nich, z całą pewnością tego, który trzymał sztandar, mówili. Dodali nawet, że chcą kupić ten fragment dzwonu.

- Ale pani nie potrzebuje pieniędzy.

- Nie.

- I do jakich wniosków doszli badacze tej plamki krwi sprzed trzech stuleci? Jak zdołała się ona zachować?

- Przypuszczam - rzekła dama - że nie przetrwałaby, gdyby dzwon był wystawiony na działanie powietrza. Wydaje mi się to niemożliwe. To znaczy ci technicy wyjaśnili mi, że to niemożliwe. Ale fakt, że „Honorata” została zniszczona, okazał się zbawienny, gdyż jej fragmenty, jak na przykład ten, były zawsze chronione. Chociaż nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie wydają pieniądze na takie rzeczy.

- Inwestowanie w przeszłość - chrząknął ojciec Olavide - to pociecha dla tych, którzy nie mogą inwestować w przyszłość.

I odwrócił się plecami. Tymczasem adwokat spytał:

- Doszli do jakichś wniosków? Moim zdaniem nie można pozyskać DNA z tego rodzaju próbki.

- Myślę, że nie - powiedziała obojętnie dama. - I nie ma to dla mnie znaczenia. Nie mówili o DNA ani o niczym w tym rodzaju. Powiedzieli tylko, że udało im się ustalić, jaka to grupa krwi.

- A jaka? - zaciekawiał się Marcos Solana.

- Zero minus.
 - Jak w przypadku plamki znalezionej przy ciele pani męża?
 - Tak. To dziwne... Teraz, kiedy o tym myślę.
- Ksiądz obrócił się z wolna w ich stronę.

4.

Człowiek z dybami

Moja matka opowiedziała mi pewnego razu, jak zostałem poczęty w lupanarze. Kurtyzany, żeby jakoś je nazwać, które rodziły w domach swoich właścicieli, były przewożone do szpitala Santa Cruz jedynie w wypadku krwotoku lub gorączki poporodowej i na ogół świątobliwie tam umierały. Dzieci żywił właściciel, nabierając w ten sposób prawa do traktowania ich z kolei jako niewolników, których mógł oddzielać od matek i sprzedawać. Moja, zanim ja się urodziłem, miała dwoje innych dzieci, których już więcej nie zobaczyła.

Muszę tu powiedzieć coś, o czym ona sama mi opowiedziała. Kiedy poznała mojego ojca, przytrafiły jej się dwie rzeczy, obie dość zadziwiające. Pierwsza, że był to klient rzeczywiście silny i szykowny, najprzystojniejszy, jakiego widziała w swoim życiu niewolnicy oddającej się co dzień prawdziwym ludzkim odpadkom. Druga, dla mnie bardziej niewytłumaczalna, że od pierwszej chwili wiedziała, iż zajdzie z nim w ciążę i urodzi chłopca.

Ów dziwny klient, tak różny od innych, odwiedzał ją kilkakrotnie, zawsze w nocy, kiedy ulice Barcelony tonęły w całkowitej ciemności. Opowiedział mojej matce, że jest marynarzem i że pochodzi ze Wschodu, w co trudno było jej uwierzyć, skoro widziała,

jak jasną ma cerę, a przecież marynarze byli wystawieni podczas rejsów na działanie słońca, wiatru i deszczu. Ale trudno też było mu nie wierzyć - tłumaczyła mi matka - kiedy wbijał w nią swoje głębokie i świdrujące oczy, najpiękniejsze i najbardziej zagadkowe, jakie kiedykolwiek widziała.

Wyglądał na dobrego człowieka. I taki był podczas dwóch pierwszych odwiedzin, zanim trzeciej nocy przeistoczył się w kogoś zupełnie innego.

Matka nie mogła sobie wyobrazić, że tym razem zmusi ją do seksu w połączeniu z katuszami dyb.

- Zapłacę więcej - powiedział - ale tej nocy będę cię torturował.

Pod kapą miał ukryte dyby, urządzenie krępujące ręce i głowę ofiary. Obie części owych dybów były do siebie tak dokładnie dopasowane, że matka przestraszyła się, iż umrze uduszona.

Torturowana przez całe lata i nawykła do wszystkiego, nie mogła przeciwstawić się temu niezdrowemu kaprysowi, jak żadna niewolnica nie mogła przeciwstawić się chłóście z ręki swego pana, który z pewnością karał ją w dobrej wierze, ażeby nie popełniała jeszcze gorszych występków. Kiedy matka była już zupełnie naga, ów człowiek założył jej dyby i rozkazał:

- Odwróć się plecami i na kolana!

W taki sposób posiadał ją kilkakrotnie jak niestrudzony buhaj. Torturował ją aż do świtu, kiedy kościelne dzwony zapowiedziały nowy dzień. Ulice pograżone były jeszcze w cieniu, kiedy ów tajemniczy sadysta zniknął. Ale przedtem hojnie zapłacił i wypowiedział najdziwniejsze słowa, jakie matka kiedykolwiek słyszała:

- Nie myśl, że był to akt okrucieństwa. Wręcz przeciwnie: to był akt miłości.

- Miłości? - spytała, sądząc, że w dodatku sobie z niej kpi.
- Tak, bo kiedy miałaś na sobie dyby, nie mogłem gryźć cię w szyję.

Matka tego nie zrozumiała. To jasne, że nie zrozumiała. Ale spełniło się jej przeczucie. Po dziewięciu miesiącach urodziłem się ja. Nie wiedziała jednak, że ktoś będzie usiłował nas zabić, i to ktoś znajomy. Natomiast mężczyzny o niepokojących oczach, który zjawił się tylko trzy razy nocą, więcej już nie zobaczyła. Nigdy.

I taki był mój świat.

Barcelona, która znacznie później miała popełnić piękne szaleństwo, przeciwstawiając się samotnie wojskom Filipa V, liczyła, kiedy się urodziłem, około pięciu tysięcy domów, co mogło oznaczać mniej więcej trzydzieści tysięcy mieszkańców, może trzydzieści pięć. Mówię „mniej więcej”, gdyż nie było wtedy rejestrów i żeby potwierdzić czyjąś tożsamość, wiek czy też narodziny lub śmierć, konieczne było oświadczenie złożone przez sąsiadów wobec władz, stanowiące rodzaj „aktu oczywistości”. Ulice, które poznawałem w tych rzadkich chwilach, kiedy pozwalano mi wychodzić z lupanaru, były wąskie i brudne, zwłaszcza w obrębie murów. To prawda, że dom, w którym się urodziłem, znajdował się poza nimi, jak większość lupanarów: chcąc nas ukarać, paradoksalnie pozwalano nam żyć lepiej niż w obwarowanej przestrzeni. Nasze ulice też były wąskie i cuchnące, ale od czasu do czasu widać było jakiś ogródek, trafiał się placyk lub wznosiła kępa drzew.

W obrębie murów natomiast wiele ulic było tak wąskich, że mógł się nimi poruszać tylko jeden wóz; kiedy musiał zawrócić, uderzał w ściany. Dlatego u wylotu tych ulic, aby uniknąć ich powolnego rozpadu, umieszczano żelazne wzmocnienia. Cmentarze

znajdowały się na ogół w obrębie murów, przy kościołach, i kiedy z braku przestrzeni obszar kościelny był włączany do miasta, cmentarz stawał się placem miejskim. Teren niwelowano i mieszkańcy chodzili nad swoimi zmarłymi. Dziś żaden barcelończyk nie myśli o tym, że jego stopy posuwają się po stosach kości.

W domach nie było wody, wydobywano ją ze studni. A jednak Barcelona miała szczęście, bo wystarczyło pokopać w ziemi, żeby znaleźć zapasy słodkiej wody, nawet bardzo blisko morza. Wodę sprowadzano też z daleka kanałem hrabiego Miró, którym płynęła z rzeki Besós, by poruszać młyny. Ale ta woda nie była do użytku mieszkańców i ani moja matka, ani jej klienci nie myli się często; tak więc jedni drugich zarażali opryszczką i świerzbem. Mimo wszystko ludzie z pewnością żyli dość długo; zdarzali się nawet czterdziestoletni starcy.

Do domów nie docierało też światło dzienne, co było dla mnie korzystne, bo szybko zauważyłem, że jasność mi przeszkadza i wywołuje u mnie rodzaj mrowienia na całym ciele. Spędzałem całe godziny na ssaniu matki, aż z jej sutków zaczynała wypływać krew, a ona tak bardzo mnie kochała, że kiedy była z klientami w łóżku, pozwalała mi patrzeć na wszystko, bylebym tylko nie przeszkadzał. Tak spędzałem całe popołudnia, skulony w pokoju, z szeroko otwartymi oczami, z pustym mózgiem, niczego nie rozumiejąc.

To wtedy matka zaczęła oszczędzać napiwki, jakie dawali jej klienci, gdyż opłatę główną uiszczano właścicielowi domu. I również wtedy wyznała mi z płaczem, że robi to wszystko po to, aby umieścić moje oblicze w jakimś zakątku wieczności. W owej chwili nie zrozumiałem jej, bo nie wiedziałem, co znaczy „moje oblicze”, a tym bardziej - co to jest „wieczność”.

5.

Wieczność i jeden dzień

Ojciec Olavide spojrział przez okno na palmy, które zabijało zanieczyszczone barcelońskie powietrze, po czym spytał mecenasa Solanę:

- Czy wierzy pan w wieczność, mecenasie?

Marcos Solana, patrząc w pustkę, odrzekł:

- Ludzie zawsze potrzebowali wiary w wieczność, mój przyjacielu. I zawsze pracowaliśmy nad tym, żeby należała do nas.

Nieoczekiwanie Olavide spytał ponownie:

- Czy wierzy pan w wieczność, mecenasie?

- No cóż... Przynajmniej mogę wierzyć, że człowiek świadomy śmierci i zapomnienia stara się o to, by o nim nie zapomniano. Istnieją osoby niezrównoważone, które pragnąc, aby ich imię trwało przez stulecia, zdolne są do popełnienia potwornych zbrodni, rzucenia się do zięjącego ogniem wulkanu lub zakładania nowych religii, które być może nie ratują dusz, ale ratują depozyty bankowe. Mówią, że nie umieramy całkowicie, póki ktoś o nas pamięta, i dlatego wspomnienie jest wartością bardzo cenną. Istnieją nawet tacy, którzy skłonni są płacić za to, by ich prochy spoczywały w filarach stadionów piłkarskich, myślą bowiem, że futbol przetrwa wieki, a ich ulubiony klub będzie nadal wygrywał

mecze ligowe. Niektórzy rodzą się, już myśląc o własnym pomniku. Gdyby za życia można było zapłacić za swój pomnik, ludzie biliby się w kolejkach do kasy, ale, niestety, jedynym pomnikiem, jaki można sobie kupić za życia, jest pomnik nagrobny. Ojciec Olavide uśmiechnął się sarkastycznie.

- Widzę - powiedział - że adwokaci poświęcają się tylko ambicjom doczesnym.

- Nie wiem, co chce ojciec przez to powiedzieć.

- Mam na myśli wieczność, a wieczność to nie tylko wartość ludzka, lecz także zasadniczo wartość religijna.

Marcos wzruszył ramionami. Zdawał sobie sprawę, że wdowa przysłuchuje się im z uwagą, lecz uznał, że mówienie w obecności wdowy o nieśmiertelności męża nie jest w złym guście. Toteż wyszeptał:

- Możliwe, że wieczność jest tym, co ojciec w sekrecie myśli: religijnym oszustwem, które ma na celu zmusić nas, abyśmy postępowali zgodnie z tym, co się nam nakazuje. Na tym kończyły się - wielokrotnie strzelaniną - interesujące dyskusje. Ale nie jestem tak prostym człowiekiem, żeby przestać myśleć. A przynajmniej usiłuję się nad tym zastanawiać. Istnieją dwa aspekty, które każą mi to robić.

- Jakie?

- Jednym jest samo pojęcie wieczności. Wieczność nie odpowiada żadnej rzeczywistości ludzkiej, a więc doświadczenie nigdy nie zasugeruje nam tej rzeczywistości. Niemniej jednak mamy intelekt, ten zaś sugeruje, iż niewidzialna rzeczywistość musi istnieć. Postaram się lepiej to wyjaśnić. Wszystko, czego człowiek się nauczył od samego początku, oparte jest na rzeczach, które widział lub czuł, doznając zarówno przyjemności, jak i bólu.

Wszystkie nauki, od chemii po medycynę, od inżynierii po architekturę, od wojskowości po prawo, opierają się na rzeczach, które istota ludzka widzi - czy może widzieć za pomocą przyrządów - lub jest w stanie obliczyć albo zmierzyć.

- To prawda.

Mecenas Marcos Solana ciągnął dalej:

- Mógłbym wszystko streścić, mówiąc, że tego, czego nie ma we wszechświecie, nie ma w człowieku. Oczywiście jeszcze nie opanowaliśmy wszechświata, ale kroczymy kilkoma drogami, żeby ten cel osiągnąć.

- To również prawda.

- Są jednak dwie rzeczy, których człowiek nigdy nie znalazł we wszechświecie, a tym samym bezpośrednio nie doświadczył. Jedną z nich jest dusza. Nikt nigdy nie widział duszy, nikt jej nie zważył ani nie zmierzył, a jednak powszechnie w nią wierzymy. Drugą jest nieśmiertelność. Nigdy nie widzieliśmy niczego wiecznego, ale przenieśliśmy wieczność nawet do formuł matematycznych.

- Wszystko to jest religią - szepnął ojciec Olavide. - Może pan to nazwać, jak zechce, ale to jest religia: bez duszy nie ma wieczności. Nie mam prawa podawać w wątpliwość ani jednej, ani drugiej, choć przypuszczam, że ma pan na myśli coś innego.

- Istotnie. Mam na myśli to, że człowiek może tworzyć pojęcia dotyczące rzeczy, których nigdy nie widział ani nie czuł: na przykład może tworzyć liczbę zero, która jest całkowitą abstrakcją. I może tworzyć pojęcie nieskończoności, która też nią jest. Jaki związek ma to z religiami? Żadnego. Dlatego wielokrotnie myślałem, że jeżeli człowiek pojmuje wieczność, to dlatego, iż w taki czy inny sposób wieczność istnieje.

Wtedy wdowa wstała. Nadal była radiogramem, ale teraz, w ruchu, miała przynajmniej trzy wymiary. Spojrzała na mężczyzn i zamknęła oczy.

- Mój mąż myślał dokładnie w ten sposób - rzekła - i często rozmawiał ze mną o wieczności. Chciał być z nią w jakiś sposób związany, choć może nie przejawiał głębszych uczuć religijnych. Jednak w szczegółach jego pogrzebu jest coś, co was zdziwi, moi przyjaciele, i co figuruje w jego testamencie. Przekonacie się, kiedy go otworzą. W każdym razie powiem o tym już teraz. Chce być pochowany razem z pewnym dziwnym czarnym kamieniem, kupionym przed wieloma laty od jakiegoś kramarza. Człowiek ów twierdził, że znalazł go na starym cmentarzu, który...

I przerwała w pół zdania.

W tym bowiem momencie doszedł z głębi domu rozdzierający krzyk. Wydawało się, że nie może pochodzić z ludzkiego gardła.

6.

Krew na targach

Pewien bardzo pobożny kleryk, który od czasu do czasu odwiedzał moją matkę i błogosławił ją po rozpuście, polubił mnie i kazał mi brać udział w modłach o deszcz, jako że ogródków nie można było podlewać. Chociaż istniały wielkie projekty - tłumaczył mi ów człowiek, kiedy się ubierał - na przykład plan municypalny z 1401 roku zakładał doprowadzenie wody z Llobregatu, który był rzeką chrześcijańską i stałą, podczas gdy Besós, po drugiej stronie Barcelony, był kapryśny i niegodny zaufania. Ale tylko miłosierdzie boskie mogło nas uratować, bo obie rzeki były bardzo daleko, a ponadto ich wody przyjmowały bezecne ingrediencje, jak na przykład - powiadał kleryk - urynę ludzką. A niemożliwe - dodawał - żeby w owych miejscach była to uryna świętego.

My sami żyliśmy w najbardziej absolutnym fetorze. Ludzie oddawali mocz gdziekolwiek, a większe potrzeby załatwiali w obrębie domu, na przyległym podwórku, gdzie hodowano też zwierzęta. Nie było rzadkością, że sześć lub siedem osób robiło to wspólnie, jedno przy drugich. Ekskrementy zmieszane ze słomą bywały czasami źródłem bogactwa, gdyż rolnicy z przyległych pól kupowali je jako nawóz. Zależnie od obfitości i jakości ceny rosły lub spadały.

Tak czy owak dom, w którym mieszkałem, był - jak miałem się później z wielkim zaskoczeniem dowiedzieć - domem uczonym. Nie tylko przychodzili tam na rozpusztę klerycy, którzy czasami rozmawiali przez dłuższą chwilę z pensjonariuszkami i dawali im rady co do życia wiecznego, ale też przy pewnych okazjach zbierali się w jednym z pokoi przedstawiciele cechów, by dyskutować o sprawach związanych z pracą, a kobiety, jak moja matka, dowiadywały się wówczas wielu rzeczy. Zawsze wydawało mi się, że przedstawiciele cechów zbierają się w lupanarze, bo są tak nudni, że żony wyrzuciły ich z domu.

Nauczyłem się tam na przykład, że mieszkańcy Barcelony cieszyli się znacznie większą wolnością niż okoliczni rolnicy, bo nie podlegali feudalnemu posłuszeństwu. Ale w zamian jedli gorzej i jeżeli chcieli wykonywać jakiś zawód, musieli się stosować do prawa wprowadzanego przez cechy. Te zaś były nieubłagane, a ponadto nigdy nie potrafiły wypracować między sobą jakiegś ugody. Ileż to razy w świetle kaganka przysłuchiwałem się ich rozmowom, podczas gdy moja matka liczyła monety, które zaoszczędziła, żeby umieścić moją twarz nad progiem! Ileż razy zasypiałem na całe godziny na swojej pryczy, podczas gdy oni nie przedstawiali dyskutować!

Jak się ze sobą targowali! Każdy cech chciał mieć wyłączne prawo do wyrabiania określonych towarów, tak by nie mogły ich wytwarzać inne cechy. Na przykład stolarze chcieli mieć wpływ na wyrób luster, motywując to twierdzeniem, że każde lustro godne swego miana ma drewnianą ramę. Ale szklarze powiadali:

- Doprawdy? Czy rama jest ważniejsza od szkła? A wytwórcy farb i werniksów:

- Co by było warte szkło, gdyby rtęć nie zrobiła z niego lustra?

Nieustannie ich słuchając, zrozumiałem w końcu dobrze, iż ci ludzie dlatego tak gorliwie bronią swojego zawodu, że zdobyli go po wielu cierpieniach. Po latach terminowania poddawano ich surowemu egzaminowi, a nawet później, kiedy byli już mistrzami, musieli znosić częste oficjalne inspekcje i pod przymusem powtórnie wykonywać źle ocenione przedmioty, choćby nie wiem jak skomplikowane. Myślę, że jeśli ktoś kiedyś napisze historię pracy w moim mieście, dojdzie do wniosku, że najtrudniejszymi, ale i najuczciwszymi czasami były czasy cechów, chociaż później poznałem inne, które być może w jakiś sposób były trudniejsze. Natomiast moja matka mówiła z uśmiechem, że nawet jeśli źle wykonywała swoją pracę, nie była, podobnie jak kat, zmuszana do jej powtarzania.

Nie wiedziała, z jaką goryczą miała potem przypomnieć sobie te słowa.

Matka - może dlatego, że straciła już dwójkę dzieci - kochała mnie do szaleństwa, w sposób irracjonalny, miłością płynącą nie z serca, ale z krwi jej żył. A ja rychło zdałem sobie sprawę, że nie zasługuję na tę miłość.

Byłem posłuszny i milczący, to prawda, ale stwarzałem dwa bardzo poważne problemy.

Pierwszym było to, że miałem twarz dorosłego. W wieku pięciu lat nabrałem już rysów dwudziestoletniego mężczyzny i takie mi pozostały. Tak więc pokazywałem twarz osoby dorosłej, co w opinii innych dziwek, matron i kleryków było oznaką oczywistych czarów. I dlatego do mojej matki przyłgnęła sława czarownicy. I dlatego maszkarą, która pojawiła się nad wejściem, nie była twarzą dziecka, lecz twarzą mężczyzny - mężczyzny z sardonicznym uśmiechem. Rzeźbiarz, który ją stworzył, musiał coś we mnie zobaczyć. I choć moja matka się sprzeciwiała, wykonał taki właśnie

wizerunek. Powiedział: „Są rzeczy, które ja widzę, a których ty nie zobaczysz nigdy”.

Być może ów artysta ujrzał coś, czego nikt nie widział, może zobaczył mój drugi poważny problem.

Myślę, że nikt nigdy go nie odkrył. Ale może się myłę.

Chodzi o to, że ja, nieznaczący chłopak, ssałem matkę do piątego roku życia, dopóki z jej piersi nie zaczynała broczyć krew. Kiedy matka straciła pokarm, kazała karmić mnie innym. Ale nie wiedziała, że nocami, kiedy maltretowali ją klienci, przemykałem się za mury, zanim zamknięto bramy, i spędzałem całe godziny w mieście, aż zaczynało świtać i ponownie je otwierano. Włókłem się niemal na czworakach do cuchnących targów, gdzie bito krowy. Panował tam nieopisany brud. Ale to było jeszcze nic w porównaniu z rynkami za murami, gdzie wszystko mniej kosztowało, ale gdzie nie istniała żadna kontrola sanitarna i gdzie chore krowy - których normalnie nie dopuszczano w obręb murów miasta - bito bez jakiegokolwiek nadzoru. Krew, skóry, odpadki i śmiecie wałały się po kątach razem z resztkami rzezi. Gdy już się tam znalazłem, dzięki drobnej posturze z łatwością prześlizgiwałem się między straganami, żeby napić się trochę krwi ubitych zwierząt, która kapiała na ziemię. Nigdy mnie nie złapano, ale nawet w takim wypadku zapewne nic by mi się nie stało. Wielu piło świeżą krew za radą medyków, którzy sądzili, że leczą w ten sposób wszelkie dolegliwości - od gruźlicy po bezpłodność i od febry po impotencję.

Kiedy przebiegam pamięcią owe lata, myślę, że życie było niezdolne i że udało mi się to wszystko wytrzymać wyłącznie dzięki rozkładowi godzin mojej matki, która zawsze starała się przy mnie być, i jej miłości. Mówię o rozkładzie godzin, gdyż takowego nie miała: ciągle była do dyspozycji właściciela domu i często nie

mogła mnie kontrolować. W ten sposób uszło jej uwagi, że zawsze starałem się wychodzić po zachodzie słońca. Jasne godziny dnia spędzałem tuż przy niej, co interpretowała jako wyraz miłości, i myślę teraz, że rzeczywiście tak było.

Chociaż prawdziwą miłością to ona mnie darzyła, co uczyniło znośną moją egzystencję. Ale nagle wszystko się zmieniło. W wieku siedmiu lat popełniłem pierwszy błąd - błąd, który przeistoczył moje życie, gdyż zaczęło się ono od krwi i na krwi skończyło.

7.

Krzyk w ciszy

Siedząc na fotelu w swoim eleganckim gabinecie, Marcos Solana przypomniał sobie krzyk usłyszany poprzedniego wieczoru w domu zmarłego. Wśród barcelońskiej ciszy, która dla bogaczy jest na wagę złota, i spokoju palm wydawało się, że krzyk przeszedł przez wszystkie mury. Kiedy razem z ojcem Olavide zbiegli na parter, jedna z najstarszych służących leżała na ziemi i wyglądało na to, że lada chwila straci przytomność. Ale nie była ofiarą agresji. Po prostu zobaczyła coś, co nie mieściło się w głowie prostej kobiety, której rodzina, z łaski bożej, była na służbie już od trzech pokoleń.

Stara służąca widziała, jak z głębi ogrodu zbliża się wśród ciemności lekarz, który przed wielu laty opiekował się jej ojcem, kiedy ten umierał. Ojciec pełnił w posiadłości funkcję majordomusa, ona zaś była wtedy małą dziewczynką, która spała w piwnicy, chociaż miała przywilej biegania po ogrodzie i wieszania się na szyi olbrzymich psów strzegących domu.

A teraz ujrzała wyraźnie tamtą twarz, twarz człowieka, który opiekował się jej ojcem. Ale od owego czasu minęło ponad czterdzieści lat, toteż było rzeczą niemożliwą, żeby oblicze lekarza ani trochę się nie zmieniło. A poza tym wiedziała, że on już nie żyje.

Kiedy doszła do siebie, kazano jej opisać tego dziwnego nocnego gościa. Marcos Solana był już wtedy pewien, że to ten sam lekarz, którego widział na starej fotografii w Szpitalu Klinicznym.

Ale niezrozumiale sprawy jeszcze się na tym nie skończyły.

Na drugi dzień znaleziono w ogrodzie kartkę, której poprzedniego popołudnia z pewnością tam nie było. Na tej niewielkiej kartce ze specjalnego papieru marki Guarro o małej granulacji widniał rysunek. Ten, kto go wykonał, musiał pracować po ciemku, co świadczyło o tym, że dobrze widzi w nocy.

Adwokat doskonale pamiętał rysunek. Była to twarz mężczyzny, ale nie mężczyzny z obecnych czasów, tylko raczej podobizna jakiegoś posągu. Czy mogła być to twarz rzymska? Albo średnio-wieczna? W każdym razie było w niej coś kamiennego, starodawnego i oczywiście martwego. A jednak nie było nic tak żywego jak twarz owego mężczyzny.

Śmiał się. Był potargany, wyglądał na bardzo młodego, a jego drapieżne oczka, pełne wigoru, patrzyły przenikliwie. Był to bez wątpienia ktoś zadowolony: zadowolony przed wieloma wiekami - pomyślał adwokat. A ciekawe było to, że on, miłośnik muzeów, koneser sztuki, znający niemal wszystkie posągi, jakie można dziś oglądać w kraju, nie pamiętał absolutnie niczego, co miałoby związek z tą twarzą.

Tajemniczy rysownik nakreślił z pewnością te rysy nocą i z pamięci, ale według modelu, który istnieje lub kiedyś istniał.

I na tym wszystko się kończyło.

A raczej nie kończyło się nic.

8.

Szubienica na Rambli

Historia, która zaczęła się od krwi, ma swój początek w losach pewnej dziewczynki.

Właśnie skończyłem siedem lat. Nie znałem swojego wieku, lecz matka obliczyła go, rachując księżyce; nie wiedziała jednak, że ekspertem od księżyców jestem ja. Nie wiedziała też, że pociągają mnie krew i ciemność: przy niej jadłem tylko chleb i jarzyny, jakimi karmiono nas w domu, ale to nie dawało mi sił ani chęci do życia. Prawdziwe życie odnajdywałem nocami, wśród krwi cieknącej z ubitych krów.

Aż pewnego razu zrobiłem coś innego: zaatakowałem istotę ludzką. Dziewczynka była żebraczką spod murów, z pewnością tak jak ja dzieckiem niewolnicy, i spała koło Atarazanas, kiedy się na nią rzuciłem; myślę, że nawet mnie nie dostrzegła, bo zakryłem jej oczy, gdy gryzłem ją w szyję. Nie chciałem jej zabić, przysięgam, że nie chciałem jej zabić, mimo że z łatwością mógłbym ją zostawić bez kropli krwi. Ale wydarzyły się dwie rzeczy.

Pierwszą było to, że ktoś będący w pobliżu nadbiegł, usłyszawszy jęk. W owych czasach barcelończycy spali z jednym okiem otwartym, zawsze czujni, i śpieszyli sobie z pomocą na najmniejszy sygnał zagrożenia, choć niewielu obcym udawało się wejść w

labirynt uliczek. Pierwotne rzymskie miasto - dwie główne ulice przecinające się w formie krzyża - zostało zastąpione prawdziwą łamigłówką, którą niewielu cudzoziemców potrafiło rozszyfrować i która zapewniała bezpieczeństwo mieszkańcom. Toteż nie było w tym nic dziwnego, że ktoś mnie zaskoczył.

Druga była po prostu skutkiem mojej głupoty. Chociaż to miejsce wydawało mi się wystarczająco ciemne, wykonałem atak pod jednym z balkonów, które wynajmowano ludziom spragnionym oglądania widowisk i na których w upalne noce zawsze ktoś przebywał. Te balkony cieszyły się takim powodzeniem, że wielu właścicieli prosiło o pozwolenie na ich rozbudowę, bo miasto stawało się coraz bogatsze i rosło zamiłowanie do rozrywek, ale Rada Stu, pragnąc, by Barcelona była dyskretna i spokojna, odmawiała zgody. Tak więc zostałem dostrzeżony i dwóch ludzi zaczęło mnie ścigać. Zdołałem uciec przez Puertaferriisa, korzystając z tego, że przez tę bramę wychodził wiatyk, ale te typki pobiegły za mną.

Głupota polegała na tym, że skierowałem się ku Raval, poza mury, i pobiegłem do lupanaru, gdzie nad drzwiami była wyrzeźbiona moja twarz i gdzie pracowała matka. Nie zdawałem też sobie sprawy, że ręce mam zbroczone krwią dziewczynki i zostawiam za sobą ślad, którym z łatwością mogą pójść ludzie nawykli do ciemności. Znaleźli mnie, kiedy chronilem się w ramionach matki.

Chyba już mówiłem, że wielokrotnie oskarżano ją o czary. A czarownice upuszczały dzieciom krew do swoich rytuałów. Takie oskarżenie wystarczyło, by ją skazać, zwłaszcza że w dodatku była niewolnicą. Na domiar złego była kobietą publiczną i matką syna, który nie miał twarzy dziecka, tylko oblicze dorosłego mężczyzny.

Tego wszystkiego było za wiele dla sług wiary jak ci, którzy mnie ścigali. Kobiety z lupanaru - te na wszystko zwracały uwagę - i klienci - ci nie zwracali uwagi niemal na nic - przypisywali mój wygląd chorobie; prócz mojej matki wszyscy oczekiwali, że jako dotknięty poważną dolegliwością szybko umrę.

Ale mężczyźni, którzy mnie gonili - i ci, co nadeszli potem, przyciągnęci krzykami i złą sławą tego miejsca - nie byli przyzwyczajeni do mojego widoku, toteż widząc mnie poplamionego krwią, natychmiast okrzyknęli, że to skutek czarów. A równie winna jak ja była moja matka, bo to ona urodziła tego małego potwora.

Minęły wieki, ale pamiętam ową scenę tak wyraźnie, jakbym ją przeżywał dzisiaj: dom z moją kamienną podobizną nad drzwiami, pierwszy pokój, w którym zawsze byli właściciele, żeby wszystkiego pilnować, podwórze, na które wychodziły niewielkie klatki, gdzie uprawiano seks, a zwłaszcza posłanie, na którym się urodziłem, z matką tulącą mnie wśród łez. Choć tego dnia była mała nowość: na wyrku leżał niemal czarny kamień, na który padło kilka kropel mojej własnej krwi. Skaleczyłem się w twarz, kiedy usiłowałem ukryć się w krzakach.

Jeżeli mimo wszystko nie było jeszcze wystarczających podstaw, żeby oskarżyć matkę o czary, ów kamień przesądził sprawę. Nie dopatrzono się najmniejszej logiki w tym, że tam był, a skoro tam był, to musiał go przynieść diabeł.

Matka, próbując wyjaśnić sytuację, pograżyła się jeszcze bardziej. Powiedziała, że przyniósł go na przechowanie jeden z jej klientów, alchemik. Według niego ten kamień był starszy niż sama Ziemia, spadł z nieba i krył w sobie tajemnice godne zbadania. Alchemik zamierzał wykorzystać go w tym celu.

Alchemik...

Złowróźbne słowo.

Wszyscy alchemicy byli posądzani o zajmowanie się czarami, podejrzewani o zbrodnie i czasami kończyli na stosie. Żyli samotnie i w ukryciu, choć mówiono, że niektórych przyjmowano do pewnych zakonów, o ile obiecali, że znajdą kamień filozoficzny.

Matka nigdy nie powinna była wypowiadać słowa „alchemik”. W żadnym razie nie powinna była mnie bronić, biorąc na siebie winę za to wszystko, co ja robiłem. Nie powinna była dopuścić do tego, by ujrzeć moje poplamione krwią dłonie.

- To ty wysłałaś go, żeby zaatakował dziewczynkę! Jesteś czarownicą! A jeżeli to jest twój syn, to jest on pomiotem diabła!

- Wszyscy go tutaj znają - broniła się. - Zawsze miał taką twarz.

- To powiedz nam, kto jest jego ojcem!

- Nie znam go.

- Powiedz, czy znają go twoi właściciele!

- Oni mniej niż ktokolwiek inny. Jeżeli tu przebywam, to normalne, że mam dzieci. Dwoje z nich już umarło.

- Wobec tego ojcem mógł być ten odszczepieniec alchemik! Powiedz, jak się nazywa! Powiedz, gdzie mieszka!

Tego też nie wiedziała. Żaden z jej klientów, nawet stałych bywalców, nie podawał jej swojego adresu, a czasami nawet podawali oni fałszywe nazwisko. Zaczęła płakać, błagając o litość.

To było najgorsze, co mogła zrobić.

Czarownice zawsze błagały o litość. Nigdy nie dawały dowodów na swoją niewinność. Tylko płakały. Albo - kiedy znalazły się już w rękach kata i nic nie mogło ich uratować - pokazywały swoje prawdziwe oblicze i złorzeczyły.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że jest zgubiona. Albo wiem pośród zapelniających pokój twarzy dostrzegłem rysy Tego Drugiego.

Nie mogłem go sobie przypominać. Nie mogłem go pamiętać. Usiłował zabić mnie i moją matkę wkrótce po moich narodzinach, nie było więc możliwe, żebym zachował jakiś jego obraz.

Ale matka, obawiając się, że wróci, opisywała mi go tyle razy, iż go rozpoznałem. Był wysoki, chudy, z oczami nawiedzonego, młody, wyglądał na gorliwego sługę bożego. Wielu duchownych, głoszących kazania w najznamienitszych kościołach, tak wyglądało, ale on nie był ubrany jak duchowny. Miał na sobie ciemny, surowy i elegancki strój, jaki nosili bogaci kupcy albo członkowie Rady Stu, ale największe wrażenie robiła jego twarz pozbawiona wieku, twarz, która w jakiś sposób była podobna do mojej.

Zdałem sobie sprawę, że matka też go rozpoznała.

I znowu zaczęła krzyczeć przerażona, bo niczego nie rozumiała. Lata - raczej stulecia - nauczyły mnie, że nie możemy się bronić przed czymś, czego nie pojmujemy. A moja matka pamiętała, że przed wielu laty ten człowiek usiłował nas oboje zabić, nie wiedziała jednak dlaczego. I kiedy znowu go zobaczyła, nie miała już wątpliwości, że jest na zawsze zgubiona.

Padła na kolana i zaczęła znowu płakać, błagając o litość. W imię Chrystusa, litości. W imię Przenajświętszej Dziewicy, litości. Litości w imię Świętego Kościoła.

Nic bardziej nie irytuje fanatycznych wiernych niż wzywianie imienia Boga przez tych, co nie wierzą. Ja nauczyłem się tego później, ale w owej chwili miałem już powody, by się tego nauczyć. Ci, co wypełniali pokój, zaczęli ją kopać, nazywać kurwą, czarownicą i niewierną, niewolnicą i wysłanniczką Szatana, bo

przywodziła ludzi do grzechu. Nikt nie zadał sobie wtedy pytania - a już na pewno nie ja - ile pieniędzy zyskiwały władze z lupanarów Barcelony. Matka, zalana już krwią, usiłowała zasłaniać mnie własnym ciałem, ale to było jeszcze gorsze. Ktoś krzyknął:

- Czarownica chroni swojego współnika!
- Śmierć dla nich dwojga!
- Na śmierć!

Ten Drugi wysunął się przed resztę i uchwycił mnie. Zrobił to bez trudu, gdyż wszyscy się przed nim rozstąpili jak przed reprezentantem władzy. Wiem, że nigdy nie zapomnę tych silnych, wielkich dłoni, twardych jak u drwala i zimnych jak u trupa.

- Trzeba ich spalić - powiedział. - Takie jest prawo boże dla czarownic.

Właściciel domu zaczął krzyczeć, że niewolnica jest jego i że muszę mu za nią zapłacić, ale na nic się to zdało. Ten Drugi, który był wysoki i silny, rzucił go na ziemię i zapytał, czy też chce zostać spalony. Wszyscy zaczęli ciągnąć nas ku drzwiom.

Wtedy przemówił duchowny. Duchowny - który miał miejsce w chórze katedry - był jednym z klientów mojej matki, tym, co opowiadał nam anegdoty o życiu miasta zamkniętego w murach. Nie mógł być człowiekiem doskonałym, bo bluźnił Bogu, ale moje długie życie nauczyło mnie, że należy obawiać się ludzi doskonałych: może nie mając litości nad samymi sobą, nie mają jej nad nikim. Ułomni, grzesznicy, ulegający jakimś słabościom, lepiej rozumieją słabości innych. A ten człowiek, który kochał biedne ciało mojej matki, uważał, że nie zasługuje ona na śmierć na stosie. Usiłował powiedzieć, że nie jest czarownicą. „Czarownice mają władzę, a przecież widzicie, że ona jest tylko niewolnicą!”

- Wobec tego czarownikiem jest jej syn.
- Nie możecie mu nic zrobić. Dzieci nie wolno skazywać na śmierć.

Nie było to prawdą. Wiele dzieci wieszano za kradzież i po wiekach dowiedziałem się, że na Plaza Mayor w Madrycie powieszono siedmioletnie dzieci, które przekroczyły „granicę pieniężną”, kradnąc sumę większą niż jeden real. Jako podejrzany o czary mogłem podzielić los matki. Zwłaszcza kiedy Ten Drugi wykrzyknął:

- On jest głównym winowajcą!

Wywlekli nas z domu i zaprowadzili do lochu znajdującego się przy jednym z nielicznych miejskich placów, Plaza de San Jaime. Wiele wieków później tuż obok miał być założony Trybunał Kryminalny, gdzie wydano niemało wyroków śmierci, ale ja wtedy nie mogłem nawet sobie tego wyobrazić. Ponieważ obok katedry odbywał się właśnie sąd o czary, zostaliśmy dołączeni do pozostałych dwóch oskarżonych - co uwolniło nas od tortur - i matka, pragnąc mnie ratować, przyznała się do winy.

Skazano ją na śmierć. Ja zostałem uniewinniony ze względu na młody wiek, a częściowo również dlatego, że łzy matki i jej przejmujące przyznanie się do winy poruszyłyby nawet bramy miejskie. W zamian za to zostałem wyrzucony z miasta i odebrano mi wszelkie prawa, jakie mieli mieszkańcy Barcelony - wśród nich prawo do wolności - toteż każdy mógł na mnie zapołować jak na zwierzę. W praktyce oznaczało to, w najlepszym wypadku, że właściciel mojej matki może uważać mnie za swojego niewolnika.

Ani jedno słowo nie wyszło z moich ust, kiedy skazano ją za czary. Ani jedna łza nie wypłynęła z moich oczu, kiedy wydano na nią wyrok śmierci. Czasami, gdy to wspominam, dochodzę do

wniosku, że nie czułem wtedy zupełnie nic, jakbym był poza czasem. Czuję się tak samo, kiedy myślę o Bogu - o kimś, kto nie wobec nas nie czuje, bo również jest poza czasem. To było też tak, jakby moja matka nie istniała, a istniał tylko mój ojciec, którego jednak nigdy nie poznałem.

Egzekucje odbywały się zwykle w miejscach oddalonych, a nie na Rambli, która była przestrzenią zbyt publiczną, jawną i hałaśliwą i na którą wychodziło bezpośrednio kilka bram miejskich. Ale z moją matką stało się inaczej: zabili ją na Liano de la Boquería, kiedy już trybunał kościelny przekazał ją w ręce władz świeckich, by wykonały wyrok.

W tej kwestii - dowiedziałem się o tym później - istniał niezbyt odległy precedens. W czerwcu 1451 roku na szubienicy w ogrodach Llano de la Boquería został powieszony pewien sukiennik oskarżony o różne kradzieże. Nazywał się Pedro Colom, a jego krewni, też kupcy, połączyli się, by prosić o coś, o co krewni nigdy nie proszą: żeby egzekucja została wykonana natychmiast. Dlaczego? Aby nie dopuścić do tego, by wydarzenie to zostało wcześniej zapowiedziane, a tym samym - by zaoszczędzić skazanemu wstydu obecności gawiedzi. Colomowie uchodzili za ludzi wpływowych; byli wśród nich duchowni i bogaci kupcy. Pewien kanonik z rodziny Colom zapisał swoje dobra na budowę szpitala Santa Cruz, chociaż wówczas jeszcze go tak nie nazywano. Dlatego też mogli uzyskać tę łaskę.

I częściowo ją uzyskali. Colom był już na szafocie, bez żadnej zapowiedzi publicznej, kiedy z Rady Stu nadszedł rozkaz, by odprowadzono go z powrotem do więzienia i wykonano wyrok następnego dnia, publicznie. Dla nikogo nie można było robić wyjątku wobec rytuału śmierci.

Pomimo młodego wieku wiedziałem o tym.

A o rytuałach śmierci dowiedziałem się znacznie więcej. Na przykład o egzekucji Blasa de Durana, wysokiego oficera, który w 1855 roku zamordował z zazdrości pewną mężatkę i który wobec wyroku śmierci poprosił, by w drodze ostatniej łaski rozstrzelano go, zamiast udusić garotą, co oznaczało śmierć haniebną. Kiedy mu tego odmówiono, towarzysze broni dostarczyli mu w sekrecie truciznę i Durana odebrał sobie życie w swoim lochu w Cytadeli. Ale wyrok został wykonany tak, jak to było przewidziane: na garocie został „stracony” trup.

Jednak żebym się o tym dowiedział, musiało upłynąć jeszcze kilka wieków.

W tamtej chwili chciałem tylko zapobiec straszliwej śmierci matki.

Albowiem w większości wypadków skazanych za czary palono żywcem.

A czasem nawet palono ich na stosach z mokrego drewna, żeby płomień wolniej trawił ciało. Ale klienci lupanaru - którzy, jak już mówiłem, byli często ludźmi wykształconymi i światłymi, namaszczeni ręką bożą - sądząc, że ich nie słyszę, komentowali w mojej obecności, że w rzeczywistości stos z mokrego drewna jest miłosierny, bo skazańca, zanim ten naprawdę poczuje płomień, zabija już dym. I w tym katalogu dzieł miłosierdzia przytaczano też opowieść o tym, że kaci, o ile dostawali sowity napiwek, udawali, iż popychają drewno długim prętem, a w rzeczywistości przesuwali jego koniec między kłodami i niepostrzeżenie przesywali nim serce skazańca. W ten sposób oszczędzali mu piekielnych mąk.

Matka tego uniknęła, może dlatego, że moje miasto było bardziej litościwe niż inne, a może dlatego, że któryś z sędziów był jej klientem w dniach niepoświęconych Bogu. Skazano ją na śmierć

przez powieszenie, dostarczając jej względnych tylko cierpień, ale wyrok miano wykonać w jednym z najbardziej publicznych miejsc w mieście.

Było to moje pierwsze zetknięcie się z mękami, choć sam nie byłem obecny przy egzekucji ani tym samym nie mogłem widzieć, jak Ten Drugi zaciska powróż na szyi mojej matki. Byłem tylko zbiegiem, którego miano ścigać po całym mieście. I musiałem ratować życie.

9.

Rytuał

Na północy Hiszpanii jest miejscowość, która nazywa się Santillana del Mar. Przyjmuje tylu turystów i ma w sobie tyle piękna, że nie brak ludzi, w których budzi zazdrość, a tym bardziej takich, którzy sobie z niej kpią. Z tego powodu istnieje słynne powiedzenie, według którego miano miejscowości jest fałszywe, gdyż nie jest ona ani święta, ani płaska, ani nie leży nad morzem*. * *Santa* - święta, *liana* - płaska, *mar*- morze (hiszp.).

W Santillana ma siedzibę tłumnie odwiedzane Muzeum Inkwizycji: turyści licznie tu przybywają, może dlatego, że zgroza przeszłości czyni teraźniejszość nieco przyjemniejszą. W muzeum eksponuje się delikatne przyrządy do wbijania na pal, szczypcy z rozżarzonego żelaza, koła do rozciągania kości i łoże z kolcami, które przebijają delikwenta. Za pomocą takich instrumentów zapewniano przez stulecia chrześcijańską pobożność i czystość wiary.

Oczywiście na świecie nie brak placówek tego rodzaju, ale muzeum w Santillana del Mar wyróżnia się niemal kompletnym zbiorem, a ponadto mieści się w budynku z epoki, co wzmacnia wrażenie autentyzmu. Jest rzeczą naturalną, że są tu przyrządy do tortur dosłownie przerażające, stworzone, by rozszarpywać

ciało ludzkie, i inne, delikatniejsze, wymyślone jedynie po to, aby rozszarpywać duszę. Wśród tych ostatnich znajduje się wielka różnorodność dybów, w których unieruchamiano głowę i rękę ofiary, wystawiając ją na obelgi, plwocinę i mocz suwerennego narodu. Dyby były tak powszechnie stosowane we wszystkich epokach przez wiernych i niewiernych, że Inkwizycja nigdy nie pochwaliła się ich wynalezieniem i raczej katalogowała je wśród materiałów laickich.

Każdy z pewnością widział na rysunkach czy filmach zastosowanie dybów i uważa je za instrument z dawnych czasów, zdezaktualizowany. Być może figurują one dotąd w arsenale jakiegoś sadomasochisty, ale o tym się nie mówi.

To, co działo się w owym pokoju na peryferiach Barcelony, mogło w rzeczywistości wyglądać na rytuał sadomasochistyczny, gdyż zawierało w sobie jego najważniejsze atrybuty. Przede wszystkim ciemność i tajemnicę: pokój był zamknięty i mieścił się w piwnicy starej willi, która stała w sosnowym lasku w Vallvidrerze, w odległości stu metrów od najbliższego sąsiada. Jednak miejsce nie było oddalone od cywilizacji, albowiem ściany piwnicy wibrowały co pewien czas, kiedy przejeżdżał pociąg towarzystwa Ferrocarriles de la Generalitat.

Dalej szła seria innych istotnych elementów: bicz, dywan i młoda kobieta uwięziona w dybach. Kobieta klęczała, zupełnie naga, z głową i rękami opartymi na dywanie. Oczywiście nie mogła nimi poruszać, gdyż krępowały je dyby, i w tej pozycji ekspozycyjna przed oczyma obserwatora wysoko uniesione potężne pośladki.

Wzmagając wrażenie seksualnego rytuału, za kobietą stał względnie młody mężczyzna, również nagi, z potężną erekcją. Każdy widz tej sceny mógł domyślać się tego, co było oczywiste:

pobudzony mężczyzna zamierzał wychłostać batem pośladki dziewczyny, a potem dokonać penetracji. Ale trzy okoliczności wydawały się nie pasować do tej sytuacji.

Pierwszą z nich była obecność w pomieszczeniu jeszcze jednego mężczyzny, w nieokreślonym wieku, przy tym całkowicie ubranego, nawet z niejaką surową elegancją. Lecz pewnie wielu ekspertów od tego rodzaju rytuałów - skądinąd reklamowanych w kompetentnych pismach - nie zgodziłoby się ze stwierdzeniem, że ten element tu nie pasuje. Takie ceremonie przyciągają uwagę różnych *voyeurs* i dlatego nie było takie dziwne, iż ktoś - może jakiś impotent - płaci za oglądanie tej sceny.

Rzeczywiście mężczyzna stał nieruchomo, przyglądając się.

Być może drugi punkt również spowodowałby dyskusję wśród ekspertów: chodziło o kobietę. Była bardzo młoda i piękna, a młode i piękne kobiety mają zazwyczaj inne aspiracje i nie poddają się takiej karze. Choć to zależy - ciągnęliby eksperci - gdyż czasami uległość jest powołaniem. Zwróciliby też uwagę na inny szczegół: dziewczyna była imigrantką w kolorze cynamonu, to znaczy mieszanej krwi, a wiele ubogich imigrantek musi godzić się na to, co się im oferuje. Zatem dla wielu dobrze zorientowanych ludzi ta sytuacja wyglądałaby logicznie.

Jednak coś uderzało w tym wszystkim, coś, co nie pasowało do tego półmroku i do tej uległej dziewczyny.

Ten trzeci szczegół tkwił w małej twarzy typka, który właśnie miał się do niej zabrać, w jego skórze pełnej blizn i tatuaży. Wyjątkowo osobnik tego rodzaju może stać się wybrańcem fortuny (co tydzień są loterie i totalizatory), ale wystarczyło na niego spojrzeć, żeby dojść do wniosku, że spędził życie jako mięso więzienne. W normalnych okolicznościach ten osobnik nie mógłby zapłacić tyle, ile kosztowała ta ceremonia.

Należało zatem przypuszczać, że sfinansował ją ten drugi, tajemniczy obserwator.

Był jeszcze pewien szczegół, który mógł zwrócić uwagę jakiegoś eksperta (a nie brak ekspertów wśród czytelników kompetentnych pism). Szczegół ów polegał na tym, że nie było bicia: nagi mężczyzna trzymał w dłoniach dwa końce powroza i wydawał się zbity z tropu. Wtedy mężczyzna ubrany, który stał przy ścianie pokoju, powiedział metalicznym głosem:

- Nie musisz po zakończeniu przepustki wracać do więzienia. Wiesz, że masz zapewniony wyjazd z kraju i pewną sumkę, która pozwoli ci żyć wygodnie przynajmniej przez rok. Toteż nie oczekuj niczego więcej.

Dziewczyna słyszała wszystko, ale trwała w bezruchu. Jej też obiecano, że będzie mogła żyć przez rok. A poza tym nikt nie zamierzał jej zabijać.

Metaliczny głos nalegał:

- Zrób to.

Drżący członek zbliżył się do pleców kobiety. Z gardła mężczyzny o małpiej twarzy wydobył się pomruk. Ale w tym momencie spod ściany dobiegł suchy głos:

- Nie.

- Nie? Dlaczego?

Nagi mężczyzna o mało nie wybuchnął z wściekłości. Nie rozumiał tego. A dochodzący z półmroku głos powiedział wtedy coś, co w tej sytuacji było niesłychane, nie miało sensu.

- Bo seks jest grzechem.

- Ale...

- Zrób to. Wiesz, że ci się to opłaca. To pieniądze i wolność. Potem, kiedy nie będę widział, znajdziesz sobie inną kobietę.

Małpie usta wykrzywił grymas. Oczy błysnęły gorączkowo.

Każdy obserwator spostrzegłby, że mężczyzna bez przykrości gotów jest przystąpić do dzieła.

Ręce przełożyły powróż przez szyję bezbronnej dziewczyny, skrzyżowały się nad karkiem i zacisnęły dziko, zaczynając ją dusić. Dyby utrudniały operację, ale zabójca był dość zręczny i silny, by sobie poradzić.

Zaskoczona ofiara nie zdołała nawet krzyknąć. Umarła, niczego nie rozumiejąc. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund.

Zabójca obrócił się. Widać było po oczach, jak wielką sprawiło mu to przyjemność. Teraz jego erekcja osiągnęła maksimum.

I wtedy napotkał wzrok tego drugiego.

Nieruchomy.

Lodowaty.

Nieprzenikniony.

- Policja zdziwi się, kiedy cię tu znajdzie - szepnął. - Może zabiorą cię do muzeum.

I jednym ciosem zagłębił sztylet w sercu typka o małym wyglądzie.

Jubilerska precyzja.

Tylko suchy dźwięk.

Tylko parę kropelek krwi.

Ubrany mężczyzna nawet się nie poplamił.

Ściany zawibrowały przez chwilę. Właśnie przejechał pociąg.

Zabójca obrócił się na piętach i spojrzał na zegarek. Jeżeli się pośpieszy, zdąży jeszcze na stację i złapie następny.

Następnego dnia, kiedy ciała zostały odkryte przez sprzątaczkę, policja pomyślała, że łatwo rozwiąże tę sprawę.

Zidentyfikowano właściciela willi. Był nim pewien Niemiec,

który wynajmował ją na sezony letnie wraz z usługami administracyjnymi i sprzątaniami. To znaczy - sprecyzowała natychmiast policja - nie był on właścicielem, lecz najemcą. Właścicielem była agencja, która miała wiele takich domów i dlatego nie mogła zapewnić, że wszystkie klucze znajdują się pod kontrolą. Ale każdy z jej pracowników miał alibi i oczywiście miał je także niemiecki najemca. Poprzedniego dnia był w szpitalu na rutynowych badaniach.

To znaczy jednak nie tak łatwo.

Za to ustalić tożsamość ofiar nie było trudno. Mężczyzna okazał się gwałcicielem i mordercą, z kartoteką dłuższą niż kubańskie przemówienie. Właśnie dostał pierwszą przepustkę z więzienia. Dziewczyna była biedną imigrantką bez papierów, trudniącą się prostytutką po skromnych cenach na ulicy Robadors i mającą problemy z narkotykami. Czasami pewna instytucja religijna pomagała jej w kuracjach odwykowych.

To znaczy rzeczywiście nietrudno.

I ślady. Wszędzie ślady: ślady obojga denatów i ślady kogoś, kto niewątpliwie był żywy. Tą drogą dojdzie się łatwo do rozwiązania.

To znaczy coraz łatwiej.

Ponadto ślady żywego pojawiły się w archiwach. Ale były to ślady przemysłowca tekstylnego, który był już bogaty w latach dwudziestych, przed dyktaturą Prima de Rivera, i który był wmieszany w śmierć pewnego syndykalisty. Tak szacowna postać niewątpliwie musiała być dziś martwa, choć jej akt zgonu nigdzie nie figurował.

To znaczy nie tak łatwo.

10.

Miasto ukryte

W epoce, kiedy została powieszona moja matka, duchownym żyto się dobrze i nie musieli zaprządać sobie głowy wielkimi sprawami, z wyjątkiem tej, czy osiągną świętość, czy nie, co jest, przyznaję, codziennym i bardzo poważnym zmartwieniem. Dlatego podejmowali dyskusje nad tym, który kościół w obrębie murów Barcelony jest najstarszy, i dochodzili do wniosku, że jest to kościół San Justo y Pastor, między innymi dlatego, że został zbudowany na ziemi skropionej krwią tych męczenników i zawiera szczątki świętego Pacjana*. * Biskup Barcelony pod koniec IV wieku n.e. Uważano, że jest nawet starszy niż pierwsza katedra, do której fundamentów użyto kamieni z najdawniejszych, rzymskich murów miejskich. To pozwoliło mi zrozumieć, już w moim wieku, że wszystko się wykorzystuje i że żadna budowla nie jest wieczna na tym świecie.

Dyskusja zaostrzyła się, kiedy miano zdecydować o losie dziwnego kamienia, który znaleziono w łóżku mojej matki, a na którym ja pozostawiłem ślad mojej krwi. Dla wielu było oczywiste, że kamień znaleziony w łóżu grzechu, a poza tym przyniesiony przez alchemika, powinien zostać zniszczony, ale kto by się ośmielił

zaatakować tak twardy materiał? A poza tym czyż starożytny kamień nie zasługiwał na zachowanie? A gdzie lepiej niż w jakimś starodawnym kościele, który ponadto mógł go oczyścić?

Proboszcz kościoła San Justo y Pastor, człowiek oczytany, zdecydował, że to najlepsze rozwiązanie, i kamień został ukryty pod jednym z ołtarzy, co dawało pewność, że nie trafi znów do łóżka jakiejś dziwki. Tak więc już nigdy nie zobaczyłem mojej matki, pochowanej we wspólnym grobie na cmentarzu Moreres, ani nie zobaczyłem też kamienia.

Jeżeli miałem przetrwać i nie umrzeć jako niewolnik w domu, gdzie moja matka była tylekroć wykorzystywana, musiałem w pośpiechu uciekać. Muszę przyznać, że nie było to trudne, gdyż nikt mnie specjalnie nie pilnował, jako że byłem tylko małym chłopcem, który nie ma gdzie się podziać. Pierwszą noc po pogrzebie matki spędziłem tam, gdzie powinienem być - w lupanarze, nad którego progiem znajdowała się moja podobizna.

Tej samej nocy poznałem kata. Okazał się nim biedny wielodzietny człowiek, który za każdą egzekucję dostawał określoną kwotę. Przyszedł do mnie, by prosić o wybaczenie. Powiedział pokornie, że jestem jedynym krewnym powieszonej i dlatego musi mnie prosić, abym mu wybaczył, iż nie zacisnął pętli osobiście, jak to było jego obowiązkiem. Jako człowiek doświadczony w swojej profesji przysięgał, że żaden z jego skazańców nie cierpiał. Umiał dobrze wyliczyć długość sznura, tak aby ciało, gdy usuwano spod niego podporę, swobodnie spadało przez chwilę wystarczająco długi, żeby pękły w nim kręgi szyjne i nastąpiła w ten sposób śmierć natychmiastowa lub prawie. Dokładnie sprecyzował: lub prawie. Do ręki mistrza należało zapewnić, by pętla była dobrze umieszczona, dokładnie pod lewym uchem, żeby zacisnęła

się tam, gdzie miała się zacisnąć. Gdyby tak zrobił, jak miał to w zwyczaju, moja matka mniej by cierpiała.

Opowiedział mi, że pewien szlachcic, którego nazwiska nie znał - lecz ja już wiedziałem, że to Ten Drugi - zapłacił mu sownicę, żeby zastąpić go przy tej robocie. Kat zawsze przyjmował napiwki, ale płacono je po to, żeby dobrze wykonał swoje zadanie, nigdy za to, żeby go nie wykonywał, toteż czuł się winny, że egzekucję przeprowadził ów szlachcic, którego nazwiska nie znał. Chociaż on sam stał z boku i udawał, że wszystko robi osobiście.

Przyjął napiwek, bo miał kilkoro dzieci, którym w dodatku nikt nie chciał dać pracy (powiadano, że potomstwo kata jest przeklęte), mimo to zaproponował, że podzieli się tymi pieniędzmi ze mną - dzieckiem z dziwną twarzą dorosłego mężczyzny. To mi pokazało, że wśród najbiedniejszych miejskich warstw, nawet tych uważanych za podłe, jest wielu ludzi obdarzonych uczuciami i umiejących uronić łzę. Ale, niestety, nikt ich nie słucha.

Powiedziałem mu, że nie przyjmę pieniędzy, albowiem też ich nie potrzebowałem. Spałem w tajemnych miejscach, żeby uniknąć schwytania, a kiedy chciałem się pożywić, szedłem na zupę do klasztoru. Ale nie powiedziałem mu, że czasami, kiedy czułem się bardzo słaby, musiałem wślizgiwać się między stoły, na których odbywał się ubój krów.

Wtedy kat wyznał mi coś jeszcze: moja matka posiadała pewien klejnot.

Oczywiście ja już o tym wiedziałem. Jeżeli widywałem matkę nagą, zawsze przygniecioną ciałem jakiegoś mężczyzny, jak mogłem nie zauważyć, że nosi cienki złoty naszyjnik?

Łańcuszek był bardzo delikatny i nie miał wielkiej wartości, bo w przeciwnym razie właściciel domu by jej go odebrał. I może miał taką pokusę, bo niewolnica nie mogła niczego posiadać. Ale teraz zdaję sobie sprawę - z perspektywy moich wspomnień - że w oczach klientów ten niewielki luksusowy szczegół nadawał prostytutce jakiegoś szczególnego blasku i dlatego częściej ją wybierali. To sprawiło, że właściciel uważał ów łańcuszek za korzystną inwestycję.

Ale kat powiedział mi, że matkę wrzucono do wspólnego grobu już bez tej ozdoby, która normalnie trafiłaby do rąk kata lub została odsprzedana rodzinie. Szlachcic, który wykonywał wyrok, zerwał bowiem tę niewielką ozdobę i zachował ją dla siebie. Kat przysięgał, iż nie ponosi za to winy, i dodawał, że jeżeli chcę odzyskać tę ostatnią pamiątkę po matce, teraz już wiem, kto ją posiada.

Odzyskać?

Jak mógł ścigany niewolnik, syn dziwki, odzyskać coś, co znalazło się w rękach takiego szlachcica jak Ten Drugi?

Było to niemożliwe i należało o tym zapomnieć.

Usiłowałem zapomnieć. I udałoby mi się to na pewno, gdyby nie późniejsze koleje losu, które kazały mi przypomnieć sobie o tym niewielkim klejnocie, tej tajemnicy i tej śmierci.

Pierwsza tajemnica zawierała się w pytaniu: kto mógł go podarować mojej matce? Kto? Niewątpliwie jakiś klient, ale ten rozplynął się w mrokach nocy. A ponieważ zawsze widziałem ten łańcuszek na jej szyi, doszedłem do wniosku, że owym klientem był mój ojciec.

Sam kat radził mi uciekać, chociaż trudno było ukryć się w wolnym mieście. A musiałem zrobić to natychmiast, zanim

właściciel lupanaru zadecyduje o moim losie. Mógł on czynić ze mną, co chciał, z wyjątkiem handlowania moim ciałem, gdyż seks z innym mężczyzną, a tym bardziej z dzieckiem, był uważany za bezpieczny grzech, karany śmiercią.

I tej samej nocy uciekłem. Zanim mnie sprzedadzą jako chłopca okrętowego na galery - co by oznaczało, że skończę jako wiosłarz - zanim dostanę się do niewoli w jakiejś bitwie morskiej - co by oznaczało, że przykują mnie na dnie galery, aż się uduszę, albo wyłupią mi oczy - zgubiłem się w labiryncie miasta, choć wiedziałem, że mnie tam w końcu znajdą. Musiałem za wszelką cenę zmienić wygląd, przeobrazić się w kogoś, kto przedtem nie istniał.

W świetle księżycy pozegnałem się z moją twarzą, maskarą, nieomylnym szyldem lupanaru. Powiedziałem „żegnaj” własnemu wizerunkowi. Wiedziałem, że już go nie zobaczę. Wiedziałem, że nie zobaczę też już dziwek, towarzyszek mojej matki, gdyż nie mogłem wrócić do tej części Raval, w połowie drogi między gotyckimi murami a ogrodami San Bertrán, gdzie wznosiły się klasztory, ale też teatrzyki, lupanary, namioty kuglarzy i szałaszy wyrobników, którzy nie mogli należeć do żadnego cechu. Żegnałem się z całym tym światem, chociaż dawne towarzyszki matki napawały mnie największą litością. Nie wszystkie były niewolnicami; niektóre były niezamężnymi matkami, które wyrzucono z domów, aby uniknąć hańby, a inne zwykłymi wieśniaczkami, które nie znalazły pracy w mieście. Każdej wigilii dnia pańskiego - świat nie zmienił się tak bardzo - cierpkie nasienie miasta wylewało się na ich brzuchy. One dawały pieniądze właścicielowi domu, władzom miejskim, które je tolerowały, a nawet samemu Kościołowi, ale nie miały prawa się skarżyć.

Rozprzestrzeniające się miasto miało pochłonać te pola, które chwilowo wydawały się nie mieć kresu. Jediną pobliską wyniosłością, która zakrywała ujście Llobregatu, była góra starego żydowskiego cmentarza, Montjuïc, z której kamieniołomów wydobywano głązy na budowę kościołów i szlacheckich domów Barcelony. Stamtąd były przewożone na mułach, choć przed laty tragarze, zwani tu *bástateos*, przynosili je na własnych plecach, aby wznieść świątynię Santa Maria del Mar.

To był mój świat i taki mały potwór jak ja musiał czuć się w nim dobrze. Koniec końców było to królestwo grzechu. Coś jednak na zawsze we mnie pękło i choć nawet nie wiedziałem, w jakim dokładnie miejscu jest pochowana moja matka, rozumiałem, że wraz z jej odejściem zerwały się moje więzi z życiem. Toteż poczułem łzę na policzku.

Było to absurdalne.

Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek płakał.

Musiałem iść tyłem, bo chciałem nadal widzieć to, co było moim domem. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem, był odbłask promieni księżyca padających prosto na maskarę.

11.

Twarz

Nowa Rambla del Raval zmiotła z powierzchni ziemi wiele ulic, podobnie jak dawniej uczyniła to Vía Layetana*, * Szeroka aleja, którą zaprojektowano w drugiej połowie XIX wieku, by stworzyć prosty i szybki dostęp do portu. a później frankistowskie bombardowania, które zniszczyły ulice przed katedrą. Ale tak jak Vía Layetana wypełniła się budynkami pełnymi godności i mężczyznami w cylindrach, na Rambla del Raval nikt nie wydaje się poszukiwać godności. W wąskie przecznice dociera trochę słońca i czystego powietrza, ale ich mieszkańcami są zazwyczaj Marokańczycy, Hindusi, Filipińczycy, mężczyźni i kobiety, którzy wzięli na swoje barki wszystkie nieszczęścia świata. Katalończycy, którzy przed laty walczyli o wolność na tych ulicach, zniknęli, a o wolności też się zbyt wiele nie mówi.

Jedną z ulic, która chwilowo pozostała prawie nietknięta, jest Espalter, obok nowego Plaza Salvador Seguí. Przed laty ten plac też był pokryty małym labiryntem uliczek i mrocznych barów, gdzie były trunki z beczek, mężczyźni o szklistych oczach i kobiety czekające, by ktoś opłacił im łóżko.

Marcos Solana, adwokat bogaczy, był tam okazjonalnie adwokatem biednych. Przynajmniej dwa razy w miesiącu pojawiał się

w stowarzyszeniu mieszkańców, aby gratisowo rozwiać wątpliwości prawne, jakie mu przedstawiali wszyscy ci, którzy spali pod dachem spadającym kawałkami na łóżko.

Tego ranka towarzyszyła mu Marta Vives, młoda aplikantka w jego kancelarii, która pragnęła jedynie się uczyć i dlatego chodziła z nim do tej dzielnicy. O ile chłód książek nauczył ją, że prawo niewiele ma wspólnego z człowieczeństwem, to owe gorące ulice uczyły ją, że człowieczeństwo niewiele ma wspólnego z prawem.

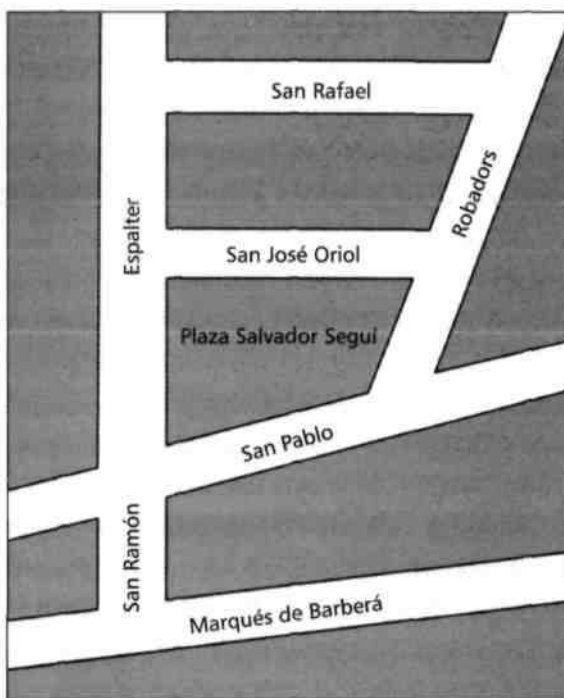
Marcos Solana był młody, atrakcyjny, a nawet usiłował być wysportowany (biegał co roku w maratonie i docierał do mety, nie czując nóg). Marta Vives była młoda, atrakcyjna i naprawdę wysportowana, gdyż należała do katalońskiej reprezentacji tyczkarskiej. Ponadto była historykiem, ale historia nie dawała jej chleba i dlatego Marta wykorzystywała swoje drugie studia, prawnicze, aby zarobić na życie. Ojciec zawsze jej mówił, że zamiast tego powinna zająć się sprzedażą mieszkań, ale teraz ojciec już nie żył.

Powiedziała:

- Poprosiłam, żebyś tu ze mną przyszedł po wyjściu z sądu, bo w tej strefie znowu będą wyburzać domy. Jak wiesz, przygotowuję książkę o nękanii lokatorów przez właścicieli domów i chciałabym, żebyś mi wyjaśnił pewne kwestie. Przede wszystkim zależy mi na poznaniu jakiegoś lokatora, którego to dotyczy.

Podczas gdy mówiła, myślała ze wstydem: Więcej takich praktykantów jak ja, i ten biedny człowiek się zrujnuje.

Ale wszystko można było wybaczyć młodej kobiecie - w pojęciu adwokatów, którzy w wieku czterdziestu lat jeszcze nazywają się młodymi - o olbrzymiej kulturze, sprężystych nogach i, jak powiadano, gwarantowanej niewinności seksualnej.



Ulica Espalter jest krótka, ma wątpliwą przyszłość i tworzą ją stare budynki, które z kolei zostały zbudowane na ruinach innych, jeszcze starszych budynków. Nie byłoby to dziwne, gdyby pod ich fundamentami ukazał się cmentarz.

- Zbadałam dokładnie historię tej strefy - powiedziała Marta Vives - i wiem, że fundamenty budynków położone są na innych budynkach, które już nie istnieją, a nawet powiedziałabym, że na konstelacji nieboszczyków. Pod niektórymi starymi placami Barcelony są cmentarze przykryte przez nową cywilizację. Niedawno znaleziono czaszki tu, w pobliżu, obok romańskiego kościoła San Pablo. Dawne cmentarze parafialne mają na sobie po prostu warstwę asfaltu.

Idąc ulicą Espalter, pozostawili po prawej stronie Plaza Salvador Seguí, upamiętniający syndykalistę zamordowanego przed wielu laty przez pravicowych rewolwerowców, jak twierdzili ci nieliczni mieszkańcy dzielnicy, którzy o nim nie zapomnieli. Kilof burzył mury, a nowa zabudowa zmiatała z ziemi wszystko, od łóżek po trumny, od kuchni po balkony, na których pewnego dnia powiewał jakiś federalny sztandar, od bidetów prostytutek po prycze zakonnice. Byli jeszcze na ziemi fellacji, ale dawniej była to ziemia klasztorów. W miesiącach bez pracy, nie mogąc znieść żywego miasta, Marta pocieszała się myślą o mieście martwym.

Nie wiedziała, jak wielu innych ludzi musiało robić to samo.

- Dzieje się tak wszędzie - ciągnęła. - Pod Borne, która przez całe lata była główną halą targową i gdzie nikt nie zawracał sobie głowy zaglądaniem pod kamienie, odkryto domy należące do miasta z tysiąc siedemset czternastego roku, tego, które zostało zniszczone po wojnie sukcesyjnej*. * Wojna, która wybuchła w 1701 roku po bezpotomnej śmierci Karola II między pretendentami do tronu - arcyksięciem austriackim Karolem Habsburgiem i wnukiem Ludwika XIV, Filipem Burbonem. Zakończona w 1713 podpisaniem pokoju w Utrechcie i uznaniem prawa do tronu Filipa V. Jedenastego września 1714 roku wojska króla zaatakowały Barcelonę, która mimo heroicznej postawy mieszkańców poddała się następnego dnia. W efekcie Katalonia utraciła wszystkie swoje przywileje i odrębne prawa. Z całą pewnością pod wieloma z burzonych teraz domów ukażą się ruiny innych.

- Nie wiem, dlaczego tak specjalnie cię to interesuje - rzekł adwokat, patrząc w pustkę.

- Bo specjalizowałam się w archeologii - szepnęła Marta. - Może w ten sposób, z tyloma fakultetami, będę zarabiała w jeden dzień tyle, ile przez dwie godziny zarabia elektryk.

Ale mówiąc to, nie czuła żalu. Marta Vives wiedziała, że sprawy mają zawsze drugi wymiar.

Dom, który pokazywała, był w połowie zburzony lub być może tylko w połowie odremontowany, gdyż jego struktura częściowo się zachowała. Jednak z wnętrza prawie nic nie pozostało oprócz stosów gruzu, kawałków płytek ceramicznych i resztek belek, na których niegdyś spoczywała niewinność jakiejś kołyski. Dziewczyna zatrzymała się i wskazała na szczątki jakichś drzwi. Za nimi marokańscy robotnicy usuwali gruz.

- Na pewno w końcu wyrzucili mieszkańców - powiedziała Marta - a ci, co wprowadzą się po remoncie, będą płacili dziesięć razy więcej. Ta historia powtarza się ciągle w tej dzielnicy i dlatego chciałabym dobrze ją zbadać. Tak się to skończy, że poproszę o pracę w jakimś piśmie archeologicznym, jednym z tych, które znikają po dwóch numerach.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne, bo w mojej kancelarii masz zapewnioną przyszłość - powiedział Marcos z uśmiechem. - Ale wydaje mi się, że żywi lokatorzy interesują cię tu mniej niż martwe gruzy.

- W tym przypadku może i tak. Ponieważ za tym domem stał inny, na wpół pogrzebany, może wydobędą stamtąd coś ciekawego. Dziwi mnie, że żaden inspektor miejski nie nadzoruje tych wykopów. Mogą zniszczyć młotami część naszej historii.

- Przedsiębiorcy budowlani bardzo starają się o to, żeby nie pojawił się żaden inspektor. Jeżeli odkryje się coś wartościowego, wstrzymają im prace, a wtedy diabli wezmą interes. W każdym razie mam nadzieję, że ty tego nie zgłosisz.

- Dlaczego?

- Bo z pewnością musiałbym pisać odwołanie od postanowienia o wstrzymaniu prac. I kto wie, czy w najgorszym razie nie zleciłbym, żebyś to tyje przygotowała.

Śmiali się przez chwilę przed tą sceną zmurszałych fasad

z maleńkimi okienkami, wśród gruzów i pyłu. Przed laty Plaza Salvador Seguí był labiryntem ulic z barami, pięćdziesięcioletnimi dziewczynami czekającymi na swoją szansę, bramami, przez które ledwie przeciskała się trumna, i domami publicznymi taktaniami, jakby finansowała je pomoc społeczna. Teraz na tym samym placu kilku chłopców grało w piłkę, stały rozkładane stoliki do gry w trzy karty, a pięćdziesięcioletnie dziewczyny czekały na swoją szansę.

Ale nie było już Hiszpanek, matek rodziny, które umierały z akcentem z rodzinnej ziemi i wspomnieniem Niepokalanych Dziewic ze swoich stron, tylko źle ubrane Murzynki, które, jak widać, znalazły w Europie wolność.

- W takich dzielnicach pozostałości archeologiczne są zmorą firm budowlanych - ciągnęła Marta - bo Ratusz może wstrzymać roboty. W każdym razie tutaj nie ma pozostałości tak ważnych jak w dzielnicy gotyckiej czy przy murach rzymskich: tu można najwyżej znaleźć stare cmentarze, gdzie leżą ludzie, którzy umarli z głodu. Ale żaden radny nie zwraca już uwagi na jakąś czaszkę.

Zatrzymali się przed zburzonym fragmentem ściany, którą wywożono gruz. Nieciekawe kamienie, kawałki płytek, resztki belek, które niegdyś podtrzymywały stulecia domów. Nagle Solana zwrócił na coś uwagę.

- Spójrz.

Dwaj robotnicy wynosili odłamek jakiegoś kamienia, inny niż pozostałe. Było to niemal całe nadproże, na którym była wyrzeźbiona jakaś twarz.

Solana schwycił Martę za rękę.

I powtórzył:

- Spójrz.

Maszkara oznaczała, że w pogrzebanym budynku funkcjonował niegdyś średniowieczny lupanar. Nieczęsto odnajdywano takie przedmioty, toteż już samo to odkrycie godne było podziwu. Ale Marcos Solana poczuł w owej chwili coś, ściśle biorąc, innego niż podziw.

Poczuł lęk.

Przymknął oczy.

Jego palce na ręce dziewczyny lekko zadrżały.

Wymamrotał:

- To niemożliwe...

A jednak! Solana miał wystarczająco dobrą pamięć, żeby przypomnieć sobie rysunek, jaki znaleziono w ogrodzie willi na Bonanova należącej do zmarłego Guillermita, kiedy stara służąca zemdliała z przerażenia. Przypominał sobie wyraźnie rysy twarzy na rysunku i mógł je porównać z maszkarą, którą miał teraz przed sobą. Były dokładnie takie same. Rysunek znaleziony w najbogatszej części miasta był dokładnym odtworzeniem rzeźby znalezionej w części najbiedniejszej.

Spytał robotników, którzy wynosili kamień:

- Gdzie go znaleźliście?

- Tam, w dole. Pod fundamentami domu, który rozbieramy, stał drugi, znacznie starszy. Ale prawie nic z niego nie pozostało oprócz drzwi.

- A ta twarz leżała na wierzchu?

- Skądże! Była zagrzebana. Nie widzi pan, ile gruzu musieliśmy znad niej wydobyć?

Marcos Solana znowu zadrżał. Oznaczało to, że ktoś, kto wykonał ów tajemniczy rysunek i zostawił go w ogrodzie na Bonanova, nie skopiował maski, lecz... odtworzył ją z pamięci.

Odtworzył z pamięci twarz, która od wieków była zakopana...

Dziewczyna spytała szeptem:

- Co się z tobą dzieje?
- Nic. Coś sobie właśnie przypomniałem.
- Wyglądasz tak, jakby coś cię przestraszyło...
- Tak.

- To znalezisko ma swoją wagę, ale nie powinno nikogo wystraszyć. Po prostu natrafiłszy na burdel z czasów przed odkryciem Ameryki.

- A za pięć wieków ludzie może odkryją pozostałości tych burdeli, które teraz stoją za nami. Ale nie o tym myślę.

- A o czym?

Przerwał im ktoś, kto musiał być kierownikiem robót:

- Proszę się odsunąć.
- Co zrobicie z tym kamieniem? - spytał Solana.
- Odłożymy, żeby obejrzał go inspektor z Ratusza. Uwaga, proszę się odsunąć, jest bardzo ciężki.

Oboje cofnęli się.

Przynajmniej na tej budowie - pomyślał Solana - zwracają uwagę na pozostałości.

Ponownie chwycił za rękę praktykantkę i oboje odeszli kilka kroków. Jego twarz nadal wykrzywił grymas.

Natomiast na niej to wszystko nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Bardziej interesował ją artystyczny aspekt odnalezionej rzeźby, niż ciekawiła tajemnica, która tak przejęła Mareosa Solanę.

- Przypuszczam, że maskara trafi do jakiegoś muzeum - powiedziała. - Zasługuje na to.

- Bardziej, niż to sobie wyobrażasz. Zauważyłaś, że przedstawia twarz kogoś młodego?

- Myślę raczej, że przedstawia kogoś bez wieku. I myślę też

o stuleciach, jakie upłynęły, i o sekretach, jakie kryje ta twarz - rzekła Marta.

- Najważniejszy wydaje mi się jeden: ktoś, kto jej nie widział, narysował ją z pamięci.

Marta Vives najwyraźniej nie zrozumiała jego słów. Przeszli przez stertę gruzu w stronę Rambla del Raval, gdzie przed wiekami znajdował się jarmark cudów starego miasta i gdzie teraz nowe miasto produkowało codziennie jakiś cud. Ludzie, którzy przed pięciu laty nie słyszeli nigdy o Barcelonie, tworzyli Barcelonę, której za pięć lat nikt nie rozpozna.

W oddali zabrzmiały dzwony. Kościół Del Pino - pomyślał Solana.

Z pewnością ten, co wyrzeźbił maskarę, słyszał przed wiekami te same dzwony.

Być może pragnąc zignorować dziwny niepokój Solany, Marta powiedziała:

- Wczoraj posegregowałam ostatnie papiery dotyczące spadku po Guillermicie Clavé. Wdowa będzie bardzo bogata.

- Już wcześniej była.

- Czy nie wywołuje w niej jakiegoś niepokoju myśl, że prochy męża spoczywają razem z tym dziwnym czarnym kamieniem?

- Nie, bo wydaje się, że ten kamień jest bardzo stary i nieboszyk musiał wierzyć, iż w jakiś sposób przybliży go do wieczności. Ale nie będę z nią rozmawiał o czymś takim.

- Dlaczego?

- Zdałem sobie sprawę, że wieczność napawa mnie lękiem.

I poszli dalej w stronę niewielkiego lokalu - kilka składanych krzeseł, dwa proste stoliki, dwie lampy i katalońska flaga - gdzie Solana przyjmował bezpłatnie imigrantów, którzy mieli nadzieję znaleźć w mieście swój kąt. Czekają ich tylko pięciu, ale w miarę

upływu godzin zjawilo się jeszcze dziesięć osób. Marcos Solana i Marta Vives skończyli pracę zupełnie wyczerpani, nie zarobiwszy nawet na bilet autobusowy, ale mieli wrażenie, że usprawiedliwiają swoje istnienie.

Kiedy ulice okryły już cienie, ona wróciła do niewielkiego mieszkania, które zajmowała sama. Znajdowało się w śródmieściu, w pobliżu Szkoły Przemysłowej - a tym samym niedaleko od Szpitala Klinicznego - i składało z dwóch pokoi, gdzie gromadziły się stosy książek, z łóżka, gdzie gromadziła się samotność, i dwóch okien, gdzie zostawiała czasami pokarm na parapetach, aby gromadziły się na nich gołębie imigranci.

Marta Vives nie chciała wierzyć w śmierć, tylko w bijące życie.

Choć tej nocy spotkała ją niespodzianka. Drugie z okien, to od sypialni, było otwarte, a ona była pewna, że zostawiła je zamknięte. Może to wiatr - pomyślała. Ale w ciągu dnia nie było wiatru. To nie ma znaczenia - pomyślała również. Owszem, miało, bo gołębie weszły do środka.

Oba pokoje zostały przeszukane, drobiazgowo, planowo, a nawet z pewną naukową dokładnością. O ile było to możliwe, każdy przedmiot został ponownie umieszczony na swoim miejscu; osoba mniej pedantyczna niż Marta niczego by nie spostrzegła. I właśnie to przestraszyło ją najbardziej: było to tak, jakby wszedł tam ktoś, kto nie jest jak inni, ktoś, kto żyje w powietrzu. Kto mógł wejść przez okno na piątym piętrze, dokąd dostęp miały tylko gołębie? I po co to zrobił, skoro niczego nie ukradł?

Nie brakowało absolutnie niczego. Ani dokumentów, ani tej nielicznej biżuterii, jaką miała, ani pieniędzy, ani zapasowych kluczy.

Brakowało tylko jednej rzeczy. Jedynej. I niewytłumaczalnej.

Brakowało tylko fotografii jej matki.

12.

Wojna, którą wygrał Szatan

Nie wiem, czy dotąd istnieje, bo już więcej nie znalazłem się w jej pobliżu, ale wtedy istniała, przysięgam, że istniała. Na ulicy Palma de San Justo była rzymska kloaka, przy której wyrastały podstawy kolumn portyku. Musiano o niej zapomnieć na całe wieki, bo przeczytałem w pewnej antyklerykalnej gazecie, „El Diluvio”, że została ponownie odkryta w 1928 roku. Ale kiedy po raz pierwszy zobaczyłem maskarę, ona istniała. I istniała nadal, kiedy uciekłem. Kloaka stała wewnątrz murów i należała do jądra martwego miasta.

Choć nie mieścił się tam nikt na stojąco, mieszkałem w jej wnętrzu przez prawie trzy dni, kryjąc się przed właścicielem domu. Byłem pewien, że będzie mnie szukał i że zapłaci komuś, aby mnie odnalazł, jak czyniono to ze wszystkimi zbiegami; ale że nie mógł ze mnie wyciągnąć wielkiej korzyści, sądziłem, że wkrótce zrezygnuje.

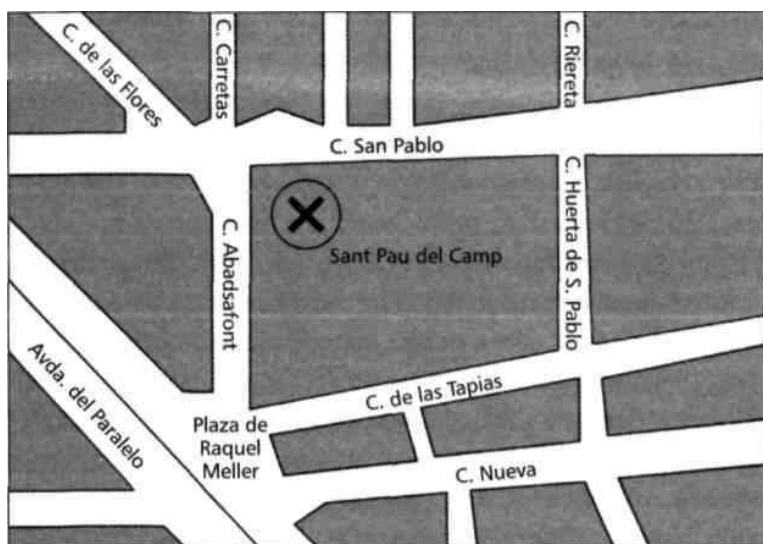
Ukrycie się w rzymskiej kloace było najlepszym pomysłem, na jaki mogłem wpaść, bo poszukiwacze niewolników przetrząsnęli całą przestrzeń w obrębie murów. Później dowiedziałem się, że szukali też w Raval, Muralla del Mar i Atarazanas, gdzie budowano

galery. Szukali nawet na dachach wież, ale nikomu nie przyszło do głowy nurzać się w kloakach.

Kiedy wyszedłem pewnej nocy, na krótko przed zamknięciem bram miejskich, zrozumiałem, że muszę rozejrzeć się za nowym schronieniem. Barcelona rozprzestrzeniała się na równinie, poza granicą wytyczoną przez Ramblas z ich rynsztokami i cuchnącymi sadzawkami, które tworzyły się przy brzegu morza i które mieszkańcy musieli przebywać pieszo i najczęściej boso. Ponieważ ta granica nie mogła już powstrzymać rozwoju miasta, powstawały ulice prostopadłe do murów, jak na przykład Hospital, z końcem gubiącym się w pustce. Właśnie w pobliżu tej ulicy stał dom, w którym się urodziłem, toteż nigdy bym się nie ośmielił na nią zapuścić. Oczywiście dalej rozciągały się pola, małe laski, osiedla parterowych domków, a nawet cmentarz, gdzie chowano najbiedniejszych mieszkańców miasta, których czaszki dotychczas spoczywają w tym samym miejscu. Obok cmentarza wznosił się kościół wystarczająco odległy, by wzbudzić moje zaufanie. Był to kościół Sant Pau del Camp. Całe jego otoczenie stanowiły modlitwy i trupy.

W Barcelonie, poza murami miejskimi, stały dwa bardzo stare kościoły romańskie. Jednym był kościół Nuestra Señora del Coll, znikający w zamglonej dali, a drugim, znacznie bliższym - kościół Sant Pau. Pochodził sprzed X wieku, w swojej części przedniej miał fragmenty z czasów Wizygotów i oczywiście był wielokrotnie burzony przez muzułmanów, zanim został odbudowany w 1117 roku.

I zamieszkałem w nim, bo przygarnął mnie proboszcz. Kiedy znalazł mnie na ulicy, musiał wziąć moje przerażenie za pobożność i dał mi zajęcie polegające na towarzyszeniu mu w nocnych



wiatkach, które czasami bywały niebezpieczne pomimo obecności Pana. Dostrzegł we mnie coś, co kazało mu wierzyć, że widok mojej twarzy sparaliżuje ludzi.

Kapłan służył Bogu i biskupowi u podnóża pierwszych zboczy masywu Montjuïc, z jego pieczarami, w których chronili się włóczędzy i złodzieje.

W pobliżu kościoła Sant Pau del Camp cnota była zagrożona. Było to również - powiadali parafianie - miejsce sprzyjające grzechom cielesnym. Nie wydawało się zatem dziwne, że nocne wiatki niosły ze sobą niebezpieczeństwo i że proboszcz Sant Pau wolał, by mu towarzyszyło przynajmniej dwóch ministrantów, z których jednym byłem ja. Odpowiadało mi to, bo miałem dach i wyżywienie, a poza tym świątynia chroniła mnie przed zatrzymaniem, gdyż była miejscem świętym.

Kościoły mojego dzieciństwa wyróżniały się bogactwem, choć

nie każdy z nich, zwłaszcza Sant Pau, gdzie było w bród wszystkiego prócz ludzi zamożnych, co oznaczało, że kościołowi nie przypadły w udziale testamenty ani nadania. Jak mogłem nacalnie się przekonać, umierający zostawiali parafiom w testamencie większą część swoich dóbr, albowiem w przeciwnym razie, mawiał spowiednik, nie zapewnią sobie dobrych referencji ani dobrych świadków, gdy będą sądzeni na tamtym świecie... „Spełnijcie wolę Pana! - krzyczał święty człowiek, który się mną opiekował. - Bo w straszliwej i decydującej chwili On zada wam tylko jedno pytanie: Co mi daliście?”

I ludzie dawali, ale naturalnie znacznie więcej w miejscach bogatych niż w biednych, którymi były na ogół te za murami, jak mój kościół. W zamożnych parafiach wielka ilość ziem uprawnych i parceli miejskich przechodziła mocą testamentu na rzecz Kościoła za każdym razem, kiedy jakiś chrześcijanin żegnał się, dosłownie, z dobrami doczesnymi. Kościół pobierał dziesięciny, z czego pierwociny stanowiły trzecią część, choć, jak zdołałem zauważyć, nie wszystko to szło dla dobrze odżywionych sług wiary. Wiele katalońskich kościołów znajdowało się pod prywatną opieką i protektor przejmował dużą część datków, nie bardzo przejmując się tym, czy wydziera ją z serca Boga, czy odejmuje od ust duchownemu. Dlatego wiele świętyń utrzymywało się z chrztów, ślubów, pogrzebów i jałmużny, której ja poświęcałem świętą energię. Pomagały im nawet niektóre ratusze, oddając część grzywien nakładanych na tych, co zostali przyłapani na pracy w dzień świąteczny. Zgubny grzech, który później, jak zauważyłem, Katalończycy nadal entuzjastycznie popełniali, aby wyżywić przychodzących na świat nowych chrześcijan.

Długie nocne godziny w oczekiwaniu na spowiedź umierających pozwoliły mi zrozumieć coś, czego nie rozumiałem, kiedy

był na to czas: żyłem dzięki poświęceniu mojej matki, to znaczy żyłem dzięki aktowi miłości. Prawdopodobnie stracono by mnie za napaść na dziewczynkę i picie jej krwi. I to uczucie, choć zbyt późno, w pewien sposób kazało mi się zmienić, kazało wstydzić się za siebie i usiłować żyć tak jak wszyscy. Nocami chodziłem na cmentarze, ale to stanowiło część mojej pracy, bo kiedy w Barcelonie wybuchała zaraza, co zdarzało się często, musiałem z góry szukać w poświęconej ziemi miejsc na pochówek, których nie zawsze było pod dostatkiem. Przestałem też bać się krzyży, które wcześniej przerażały mnie, bo widziałem je bez przerwy. I myślę nawet, że mógłbym nauczyć się modlić, zwłaszcza do Najświętszej Pani. Najświętsza Pani, nie wiem czemu, zawsze budziła moją litość. Myślałem, że wypełnia wolę jakiegoś nieubłaganego Boga, a do tego znosi ból, jakiego przysparzają jej inni.

I przydarzyły mi się wtedy dwie rzeczy, które na pozór nie miały sensu i prawdopodobnie nigdy nie będą go miały. Po pierwsze - straciłem poczucie czasu i przestałem dostrzegać upływ lat: było to tak, jakbym liczył czas stuleciami. Po drugie - uświadomiłem, że w moim mieście nierówności pogłębiają się, zamiast zmniejszać, tak że Barcelona musiała z konieczności stać się miastem rewolucyjnym. Kiedy widziałem kobiety jak moja matka, przygniecione przez klientów, którzy z kolei byli nędzarzami, już powinienem był o tym pomyśleć, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. W każdym razie są ludzie, którzy nie zdają sobie z tego sprawy przez całe życie; a ci, którzy wtedy o tym myśleli, święcie wierzyli, że taka jest wola boska.

Pierwsza sprawa, to znaczy upływ czasu, naprawdę mnie niepokoiła, choć z bardzo konkretnego powodu: proboszcz Sant Pau, jego wierni i inni akolici, którzy pracowali w kościele, starzeli się,

podczas gdy ja ciągle miałem taką samą twarz. Rosłem trochę, ale moje rysy się nie zmieniały: mijające lata nie zostawiały na mnie śladu, a to siłą rzeczy musiało w końcu zwrócić uwagę ludzi.

Stało się zatem konieczne, abym niedługo zmienił schronienie; musiałem ukryć się w jakimś innym miejscu, gdzie nikt mnie nie znał.

I wtedy proboszcz Sant Pau zaczął tracić wiarę.

Czasami nocą, kiedy grzaliśmy się przy ogniu w pobliżu cmentarza, mówił, że życie nie ma sensu. „A przecież - przyznawał - życie zostało stworzone przez Boga”. Wszystko polegało na tym, żeby się urodzić, znaleźć coś, co daje ci chleb, pójść za instynktem rozmnażania (instynktem, który idzie w parze z oszustwem miłości), zestarzeć się i umrzeć, zostawiając miejsce dla innych. Rodziliśmy się na grobach przodków w oczekiwaniu, że sami też staniemy się przodkami, i parzyliśmy się obok cmentarzy, wiedząc, że zdołamy osiągnąć tylko jedno: cmentarze staną się większe.

- To życie nie ma sensu - wyszeptał proboszcz, wyciągając dłonie ku ogniewi. - Jedni zastępujemy drugich. Po co?

- Żeby osiągnąć życie wieczne - powiedziałem. - Nasz pobyt na ziemi jest tylko jednym krokiem i będziemy sądzeni według tego, co w nim zrobiliśmy.

Było to dokładnie to, co słyszałem podczas niedzielnych kazań, czyli słowa duchownych, ale nie miało sensu, żebym mówił jak jeden z nich, bo nim nie byłem ani nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby nim zostać. Poza tym było w słowach duchownych coś, co napawało mnie wstrętem, chociaż nie potrafiłem określić powodu. Może powiedziałem to dlatego, żeby sprawić przyjemność proboszczowi, który się mną opiekował. Albo dlatego, że uważałem

za swój obowiązek to powiedzieć, ponieważ obaj mieszkaliśmy w kościele.

- Dotąd w to wierzyłem - przerwał mi. - Dlatego jestem duchownym, i to z powołania. Wielu jest takich, co go nie mają.

- Dlaczego?

- Bo kapłaństwo jest w końcu sposobem na życie. Niech ci się nie wydaje, że jest czymś więcej. Albo rodzisz się jako szlachcic i opływasz w dobra, to znaczy nie musisz pracować, albo musisz jakoś zarabiać na życie. Jak? Albo jesteś niewolnikiem na wsi, poddanym swojego pana, albo jesteś niewolnikiem cechów, jeżeli udało ci się zostać człowiekiem wolnym w mieście. Być wolnym oznacza umierać z głodu, ni mniej, ni więcej. Jedyne, co wtedy pozostaje, to wojna lub Kościół: dlatego jest tylu żołnierzy grabieżców i tylu duchownych, co nie mają wiary.

Przypomniałem sobie wielu spośród tych, którzy byli klientami mojej matki, ale nie chciałem tego powiedzieć.

- Jednak ja mam wiarę - ciągnął prorok z zagubionym spojrzeniem - i właśnie to każe mi myśleć. Na przykład doszedłem do wniosku, że świat nie jest dobrze zbudowany i dlatego nie może być dziełem Boga.

Wzdrygnąłem się.

Nigdy nie słyszałem, żeby tak mówił człowiek żyjący z Kościoła.

Choć w głębi duszy, słuchając go, czułem sekretną radość, nie wiem dlaczego.

Nie ośmieliłem się go o nic pytać, więc mówił dalej:

- Popatrz na przykład na zwierzęta. One nigdy nie zabijają, chyba że odczuwają strach albo głód, czym dają nam stały przykład, który powinniśmy naśladować. Bo my zabijamy dla przyjemności.

- Albo za słuszną sprawę - ośmieliłem się wtrącić.
 - Szukamy słusznej sprawy, aby ukryć przyjemność, a przynajmniej tak się dzieje w większości wypadków. Wojny są wspólnym przykładem słusznych spraw. U zwierząt podziwiam właśnie to, że nigdy nie giną w wojnach.
 - Zwierzęta też stworzył Bóg - wymruczałem, broniąc czegoś, co mnie nie obchodziło - a w tym sensie można powiedzieć, że dzieło jest doskonałe.
 - A my, ludzie, niszczymy je - zauważył. - Stajemy się panami zwierząt, aby je zabijać.
 - To też prawda. Czynimy złym coś, co nigdy takim nie było.
 - Czynimy złym wszystko, a w dodatku z pozorną łaską bożą. Wojny, okrucieństwa, zło i niesprawiedliwość zależą od nas, ludzi. Choroby, klęski, trzęsienia ziemi, zarazy, wypadki, w których dzieci palą się żywcem, zależą od Boga. Powiedz, czy z jednej lub drugiej strony ten świat jest dobrze zbudowany.
 - To niemożliwe, żeby Bóg się pomylił do tego stopnia - szepnąłem.
 - Wobec tego ktoś Go wprowadził w błąd.
 - Nie rozumiem.
- To była prawda: nie rozumiałem, choć w głębi serca coś, czego nie potrafiłem wytłumaczyć, zmuszało mnie do zgodzenia się z proboszczem Sant Pau. Ale ten nie był skłonny mówić dalej, przynajmniej chwilowo. Jego spojrzenie zagubiło się na moment w pustce, podczas gdy dłonie jeszcze bardziej zbliżyły się do ognia. Wydało nam się, że w oddali jacyś grabieżcy rozkopują grób usypany tego samego ranka, poszukując klejnotów. Normalnie proboszcz goniłby ich, wzywając świętego gniewu bożego, ale tym razem nie poruszył się, jakby nagle przestało go to obchodzić. Nadal miał zagubione spojrzenie.

- Nie o to chodzi, że nie mam odwagi ich ścigać - rzekł po paru minutach. - Poza tym ten cmentarz jest pod moją opieką. Nie ruszam się jednak, bo nie warto walczyć przeciw tej groteskowej budowie świata. Masz tutaj dowód, że śmierć jest tak absurdalna jak życie. Cokolwiek byś zrobił, wszystko na próżno.

- Widzę, że nie ma ksiądz chęci walczyć - powiedziałem w nadziei, że nie urażę go tymi słowami.

- Dość już walczyłem. Może jest coś, czego o mnie nie wiesz.

- Co takiego?

- Nie wiesz, że byłem żołnierzem.

Zaskoczyło mnie to. Rzeczywiście tego nie wiedziałem. Myślałem, że proboszcz Sant Pau del Camp spędził życie na cmentarzu i w kościele.

- Nie. Nie mogłem sobie nawet tego wyobrazić - odparłem półgłosem.

- Kiedy byłem bardzo młody, zaciągnąłem się na wojnę, żeby odbić Rousillon, które należało do króla Majorcki. Barcelona sfinansowała wojnę, jeszcze bardziej się zubożając i nie zdając sobie sprawy z tego, że oznaczało to rzeź ludzi, którzy koniec końców mówią tym samym językiem i nie zasługują na śmierć, co nawet zwierzę by zrozumiało. Bo też zwierzę byłoby z pewnością mądrzejsze od nas. Ale wtedy się tym nie przejmowałem. Dano mi do rąk tarczę i topór.

- Nie wyobrażam sobie księdza z toporem - rzekłem.

- Użyłem go tylko jeden raz.

- Jak to było?

- Tylko jednego dnia uczestniczyłem w bitwie. Nauczono mnie, że muszę uciec się do podstępu, jeżeli chcę, by wróg, nie dość ostrożny, stał się moją ofiarą. Miałem podnieść topór nad jego głowę, jakbym miał rozplatać mu czaszkę, a wtedy on osłoni

tarczą górną część ciała, nie zdając sobie sprawy, że odsłania podbrzusze. Wówczas powinienem wykonać bardzo prosty, ale potwornie szybki ruch: opuścić topór i wbić mu go w genitalia, przerabując go od dołu ku górze niemal na dwoje. Jego przyrodzenie, pęcherz, brzuch spadną nagle na ziemię w strumieniach krwi. Zrobiłem to tak dobrze, że mój przeciwnik nawet nie był świadomy, iż umiera: a raczej był, bo jego śmierć była straszliwa i powolna, wszystko mu wypadło przez tą potworną ranę. Stałem tak blisko, że jego krew lała mi się po twarzy.

Proboszcz rozłożył ręce, jakby mówił: „Widzisz, jakie to proste?” Pierwszy cios wprowadza w błąd, drugi zabija. Słyszeliśmy niewyraźnie, że grabieżcy grobów odnaleźli już trumnę z surowego drewna i właśnie ją otwierają, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi.

Duchowny zamknął oczy i ciągnął opowieść.

- Odmówiłem dalszej walki, zwłaszcza gdy zobaczyłem, jak po zwycięstwie moi towarzysze plądrują obóz wroga, zabijają dzieci i gwałcą kobiety. I jeszcze coś.

- Jeszcze coś?

- Dwie rzeczy. Pierwszą była msza odprawiona, żeby podziękować Bogu za zwycięstwo. Tak więc, mówiłem sobie, uznano, że to Bóg jest autorem tego wszystkiego. Drugą było to, że znowu zobaczyłem człowieka, którego zabiłem. W obozie pozostał jego pies i wyl przy zmarłym, podczas gdy my świętowaliśmy zwycięstwo. Jedyne uczucie, które ujrzałem wśród tylu tysięcy ludzi, należało do zwierzęcia.

Wstał. Jego spojrzenie zwróciło się ku romańskiej krypcie kościoła, który nie był jego dziełem, ale za który on odpowiadała na tym świecie. Miałem wrażenie, że ten człowiek zaczął nagle wierzyć w stulecia, a nie w świątynię. W oddali widać było ogniska,

które wartownicy rozpalili na wieżach murów obronnych. Od strony cmentarza, rozciągającego się niemal do samego Montjuïc, doszedł dźwięk uderzeń, jakby ktoś rozbijał trumnę. W pobliskim namiocie śpiewała jakaś kobieta i słychać było śmiechy.

Ów głos przypomniał mi matkę.

Czasami śpiewała dla klientów, którzy potem kolejno się z nią kładli.

- Jeżeli to jest świat dobrze urządzony... - wymamrotał mój opiekun. - Jeżeli to jest świat dobrze urządzony i jeżeli my, ludzie, rodzimy się na obraz i podobieństwo boże... Kto w to wierzy? Czy mam poświęcić moje życie tak potwornemu kłamstwu? Czy naprawdę myślisz, że w wojnie między Bogiem a Szatanem zwyciężył Bóg?

Odwrócił się na pięcie i powoli skierował ku zagubionemu wśród cieni kościołowi. Dlatego nie zobaczył, co nieśli ci, którzy właśnie okradli grób niedawno pochowanej kobiety.

Był to brązowy krzyż, który zmarła miała na piersi. Nie sądzę, by był wiele wart, ale z pewnością coś za niego dostaną: w końcu był to brązowy krzyż. Podczas gdy łupieżcy kierowali się ku jednemu z namiotów stojących rzędem przy murze na Rambli, ja poszedłem z pochodnią w stronę sprofanowanego właśnie grobu i ponownie przykryłem ziemią ciało kobiety.

Była bardzo ładna. I wyglądała jeszcze jak żywa.

Ale uciekłem, słysząc nadchodzących strażników. Mogliby pomyśleć, że to ja zbezczeszczyłem grób.

13.

Kataloński spadek

Marcos Solana i ojciec Olavide weszli do gabinetu.

Był tam krzyż.

Krzyż z brązu, średniej wielkości, który mógł zakryć całą pierś. Ponieważ był czysty i wypolerowany, a brąz jest metalem wdzięcznym, wyglądał jak nowy, jeden z tych, które figurują w katalogach niewielu sklepów z dziełami sztuki religijnej, istniejących jeszcze w Barcelonie. Ale był to bardzo stary krzyż, autentyczny przedmiot z XV wieku. Zostało to potwierdzone przez trzy zespoły rzeczoznawców: z pewnego domu aukcyjnego, sądu i biskupstwa, które zaangażowały swoich ekspertów, kiedy dyskutowano, czy sztuka religijna w leżącej pomiędzy Katalonią i Aragonią krainie La Franja, gdzie mówi się po katalońsku, należy do pierwszej czy też do drugiej wspólnoty. Dlatego wiele krzyży i wizerunków Matki Boskiej, które powinny być w kościołach, znalazło się w kancelariach adwokackich lub w przedpokojach biskupów.

Ten krzyż był w wielu miejscach.

Ale w tej chwili oglądał go ojciec Olavide, z największym szacunkiem i uwagą, może dlatego, że widział w nim coś, czego inni nie dostrzegą nigdy. Pocierając koloratkę, która przykrywała mu

szyję po samą szczękę, i drugą dłonią wygładzając sutannę spadającą do stóp, ojciec Olavide wydawał się bardziej niż kiedykolwiek wysoki, ascetyczny, należący do innego czasu, jakby dopiero co wyszedł z jakiegoś browiarza z epoki Torrassa i Bagesa*.

* Josep Torras i Bages (1846-1916) - biskup i pisarz kataloński. Jego wielkie dzieło *La tradició catalana* (1892) stanowi studium i interpretację mentalności narodu katalońskiego. Wiedział, że na ulicy zwraca uwagę, ale to napawało go dumą, gdyż było publicznym świadectwem ponadczasowej religii.

Stojący obok niego adwokat Solana przyjrzał się przedmiotom sztuki religijnej leżącym na jednym ze stołów. Obok krzyża błyszczał pierścień biskupi - ostatnia pamiątka po kimś, kto został rozstrzelany podczas wojny domowej, monstrancja, *Księga godzin* i kielich, też skrupulatnie oczyszczony. Ale mimo to owe przedmioty wydawały się przemawiać z czasu, który już nie istnieje, spoza śmierci, głosem, którego już nikt nie rozumie.

Wtedy przez drzwi w głębi weszła Marta Vives, jak powiew młodości, który wpadł nagle do biura, kiedy nikt się go nie spodziewał. Usiłowała się uśmiechnąć, ale od dwóch dni jej uśmiech wyglądał jak zamrożony. Nikt nie zapytał jej dlaczego, nawet Solana.

Adwokat powiedział:

- Dziękuję, że przyszłaś, Marto. Dziś możemy w końcu podpisać transakcję, która zakończy ten przeklęty proces. Prowadzimy go prawie osiem lat. Jak tylko podpiszemy ten dokument, wszystko to wejdzie do spadku po rodzinie Vives. Poprosiłem, żebyś to ty zredagowała ten akt, gdyż jesteś znawczynią sztuki. Jestem pewien, że dzięki temu nie będzie żadnej pomyłki.

Usiadł za biurkiem naprzeciw ogromnych regałów, gdzie stały

wszystkie książki, jakie w ciągu ostatnich stu lat spłodziło prawo, i kontynuował:

- Ta sprawa zaczęła się na długo przedtem, zanim ty, Marto, zaczęłaś pracować w kancelarii, i jest jedną z tych, które najbardziej zatruły moje życie. Zaczęło się od dyskusji, czy jest to spadek kastylijski, czy kataloński, co zmieniało wszystko, bo, jak wiesz, zgodnie z kastylijskim kodeksem cywilnym należy pozostawić spadkobiercom dwie trzecie sukcesji - jedną część jako zachówek i drugą jako jego zwiększenie - podczas gdy w prawie katalońskim trzema czwartymi spadku swobodnie dysponuje testator. Nie można było nic zrobić, dopóki nie wyjaśniło się tej kwestii. Według prawa kastylijskiego spadek należało podzielić w jeden sposób, a według katalońskiego w inny.

Zrobił krótką przerwę, patrząc na ojca Olavide. Ten nie zwracał uwagi na jego słowa, jakby nie obchodziły go wyroki ludzi, tylko wyroki wieczności. Wydawało się, że nie dostrzegł nawet wejścia Marty Vives.

Marcos powrócił do opowieści.

- Potem był inny długi proces, tym razem kościelny, gdyż ten krzyż i pozostałe przedmioty pojawiły się w La Franja, strefie katalońsko-aragońskiej, o którą spierają się dwaj biskupi. W końcu ojciec Olavide został mianowany arbitrem w tej sprawie i zdołał doprowadzić do ugody. Dlatego jest tutaj, aby podpisać akta, które potem zaniemiemy do notariusza.

- Nie było to łatwe - rzekł duchowny nieobecny głosem.

- Przedmioty, które tu widzimy - dokończył Marcos - należały niegdyś do rodziny Vives i zostaną jej zwrócone po zalegalizowaniu dokumentów.

Marta, która stała przy stole, podeszła trochę bliżej i podniosła krzyż. Z pewnością nie był to najbardziej wartościowy przedmiot

- monstrancja wielokrotnie przekraczała jego wartość - ale ten krzyż wydawał się ją fascynować. Delikatne palce kobiety obeznanej z antykami pieściły brzeg przedmiotu, jego wygładzone przez lata wypukłości, sztuczny blask, który wydawał się zakrywać mrok jakiegoś grobu.

- To dziwne - szepnęła.

- Co takiego?

- Odkąd weszłam do biura, nie mogę oderwać wzroku od tego krzyża. Zadaję sobie pytanie, w jakich miejscach był, zanim się tu znalazł, w jakich pałacach, w jakich więzieniach i w jakich grobach. Może to nawyk antykwariusza.

- Naturalnie - rzekł Marcos, który pragnął szybko zakończyć sprawę. - Choć to taki nawyk, który nie czyni szkody.

- Jest coś więcej - szepnęła Marta.

- Co to takiego?

- Rodzina, która na drodze sądowej domaga się zwrotu krzyża, nosi nazwisko Vives, takie samo jak moje.

- Zbieg okoliczności - rzekł duchowny.

- Jasne, że tak... - Marcos Solana rozstrzygnął kwestię wzruszeniem ramion. - Nazwisko Vives jest stare i bardzo popularne na tych ziemiach. Ponadto ma autentyczną kategorię kulturową... Ale są Vivesowie bogaci i Vivesowie biedni, Vivesowie posiadający majątek i Vivesowie nie posiadający niczego... Być może pewnemu wojskowemu o tym nazwisku wiodło się lepiej niż komukolwiek.

- Kim on był? - spytał ojciec Olavide, który uważał się za kogoś, kto wie wszystko.

- Był kapitanem generalnym Kuby - rzekł adwokat - i w czasie swoich rządów odznaczył się tym, że nie ruszył palcem. Tak dobrze się czuł w swoim fotelu, że na dawnej Kubie, kiedy zwracano

się do kogoś, komu nie mogło już wieść się lepiej, mówiono: *Vives como Vives**. * Hiszpańska gra słów: „Żyjesz jak Vives”. Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Mnie nikt nie może tego powiedzieć. Mam tylko problemy.

I nie będąc w stanie oderwać wzroku od krzyża, położyła go na stole z takim szacunkiem, jakby to była żywa istota.

Przez głowę przebiegł jej szereg myśli, ale wszystkie odnosiły się do przemijającego czasu, który zamienia rzeczy w proch, a jednak pozostawia szczelinę dla idei wieczności, jedynej idei, jaką bez żadnego dowodu przyjęli ludzie.

Wieczność... Marta Vives myślała, że wieczność nadaje sens wszystkiemu temu, co nie jest wieczne.

Od tych rozmyślań oderwał ją na chwilę głos ojca Olavide. Ten głos zawsze wydawał się dochodzić z bardzo daleka, niczym łoskot kamienia pierwszego grobu, jaki otwarto w imieniu Kościoła.

- Chciałbym, żeby prochy naszego przyjaciela Guillermita Clavé krążyły w przestrzeni, żywiąc przeświadczenie, iż stają się wieczne... Lepsze to niż leżeć pogrzebanym pod kamieniem.

- Wygląda na to, że ojciec sobie kpi...

- Ja zawsze śmieję się z tego wszystkiego, co usiłuje zastąpić ideę Boga.

I usiadł przy stole, z twarzą jak zwykle niewzruszoną, ze wzrokiem zagubionym w przestrzeni niedostępnej dla innych ludzi. Wszyscy fanatycy religijni mają takie samo zagubione spojrzenie - pomyślał Solana.

- I w ten sposób kończymy długoletnią pracę - wyszeptał duchowny. - Dziś jest wielki dzień i z pewnością obfituje w doniosłe

wydarzenia. Pani, Marto, która będzie redagowała akta, nazywa się Vives ze strony ojca, choć również ze strony matki. Nazywa się pani Vives i Vives... No cóż, wszystko jedno. Gdybym nie był duchownym, pochwalilibym pani urodę i inteligencję, ale ponieważ nim jestem, pochwałę tylko pani inteligencję... Niech się pani bierze do pisania... Dzisiaj zakończymy wreszcie ten niekończący się proces.

- Bardziej niekończący się dla mnie niż dla ojca - powiedział, śmiejąc się, Marcos Solana. - Ojciec musiał tylko wyjaśnić, czy te przedmioty należą do Katalonii, czy do Aragonii, ale ja musiałem sprawdzić wszystkie ich antecedencje, żeby się dowiedzieć, czyją były własnością. Rodzina starająca się o ich zwrot udostępniła mi wiele dokumentów, ale innych musiałem poszukiwać w parafialnych archiwach, w księgach stanu cywilnego, a nawet w rejestrach cmentarzy. Chociaż nie będę się teraz skarżyć... Kiedy ktoś się zajmuje dawnymi katalońskimi spadkami, część jego pracy jest pracą kreta. Nie wiecie, jaką ulgę czuję, mogąc już zamknąć teczkę tej sprawy.

- Z pewnością natrafiłeś na jakieś zaskakujące szczegóły - powiedziała Marta, włączając komputer.

- Nawet nie możesz sobie wyobrazić, Marto. Jak z pewnością nie możesz też sobie wyobrazić, że uzyskałaś pracę w kancelarii z powodu tego procesu. Kiedy zacząłem mieć do czynienia ze starymi przedmiotami, postanowiłem zapewnić sobie pomoc takiej osoby jak ty, ze znajomością archeologii. Rzeczywiście wiele mi pomogłaś w ostatniej fazie, ale nie wiesz wszystkiego. Nie mówiłem ci o pewnych szczegółach, gdyż są one, powiedzmy... nieco przerażające. W starych archiwach biskupich, w papierach pochodzących z romańskiego kościoła Sant Pau del Camp, jest mowa o jego proboszczu, który został spalony żywcem w Madrycie

razem z pewną kobietą oskarżoną o czary. A historia tego krzyża... Nikt nie może sobie wyobrazić, ile absurdalnych czy strasznych historii znajduje się w archiwach kościołów czy wielkich rodzin, w papierach z innych czasów. Ja sam nieraz wzdrgałem się na myśl, że w końcu stanę się skamieliną adwokata... Na przykład kiedy odnalazłem antecedencję tego brązowego krzyża.

- On ma historię?

- Zbyt bogatą.

- Może dlatego tak przykuł moją uwagę - szepnęła dziewczyna.

- Z pewnością nie będę temu zaprzeczał. Istnieją przedmioty, które mają jakiś magnetyzm - rzekł adwokat.

- A jaka jest w ogólnych zarysach historia tego krzyża? - spytała.

- Pierwszym szczegółem jest to, że został skradziony z jakiegoś grobu - odpowiedział Marcos z zamkniętymi oczami.

- Z czyjego grobu?

- Z grobu zamordowanej kobiety.

14.

Stos

Trzeba sprawiedliwie przyznać, że proboszcz troszczył się o cmentarz przy kościele Sant Pau del Camp i usiłował uczestniczyć we wszystkich ceremoniach, pomimo że mu za to nie płacono, gdyż miejscowi nieboszczycy byli biedni, a kiedy wybuchały zarazy, leżeli w stosach przed dołami. Prowadził też rodzaj rejestru, w którym zapisywał nazwiska i okoliczności śmierci, choć uważałem, że ten rejestr nie przyda się nigdy na nic, bo było niemożliwe, żeby po upływie wieków ktoś się nim zajmował.

Był dobrym kapłanem, dokładnym we wszystkich swoich dziełach, ale nawet ja zdałem sobie sprawę, że poddawano go obserwacji.

Za małym kościołem rozciągała się płaska przestrzeń przecięta górą Montjuïc i ta przestrzeń miała dwa krańce: jednym były mury przy Atarazanas, gdzie panowała nieustanna krzątanina, drugim, w punkcie bardziej oddalonym od morza, dość ponure miejsce, gdzie wieszano skazanych i gdzie stał krzyż, który zakrywano za każdym razem, kiedy odbywała się egzekucja. Dlatego tę złowrogą okolicę zaczęto nazywać Cruz Cubierta*. * Zasłonięty Krzyż (hiszp.).

Zamieszkujący ją ludzie mieli opinię biednych - bardziej niż ci z Sant Pau - i, naturalnie, niezbyt wierzących. Dlatego zwracało uwagę, że tak wielu z nich chodzi co niedziela tak daleko tylko po to, żeby słuchać tamtejszego proboszcza. I że biskup wysyła regularnie kilku ze swoich zaufanych tylko po to, żeby go słuchali.

Gdyż to, co mi powiedział, mówił też publicznie, choć innymi słowami. Widowisko świata - powiadał - nie przywodzi nam na myśl doskonałego dzieła, tylko raczej dzieło niedoskonałe. Życie nie ma sensu, prócz przedłużania gatunków, i nie dostarcza żadnej moralnej satysfakcji - czy żadnego moralnego uwznioślenia - gdyż wszelka żywa istota musi zabijać, żeby nadal żyć.

Ci, co przychodzili z bardzo daleka, żeby słuchać jego kazań, rozumieli go. Ale nikt nigdy tak do nich nie mówił.

Zaufani biskupa też go rozumieli. Ale nigdy nie słyszeli, żeby ktoś tak mówił.

Powtarzając niemal słowa, które wypowiedział przy mnie w samotności nocy, proboszcz usprawiedliwiał zwierzęta, które były jednym z najpiękniejszych dzieł Stworzenia i nigdy nie czuły nienawiści ani nie zabijały, chyba że z głodu czy ze strachu. Ja mógłbym mu odpowiedzieć, że niektóre zwierzęta zabijają bardziej z ciekawości niż z głodu, jak na przykład kot, ale nigdy tego nie uczyniłem, bo w ogólnych zarysach duchowny miał rację. Natomiast człowiek - mówił w swoich kazaniach - zabija dla przyjemności. I wiele kulinarnych osiągnięć epoki to jedynie wyrafinowane przejawy okrucieństwa, bo jeżeli zwierzę cierpi w chwili śmierci, może mieć bardziej wykwintny smak. Ja wtedy nie wchodziłem do żadnych kuchni, ale wiedziałem o królikach obdzieranych żywcem ze skóry, o kotach zanurzanych we wrzątku,

zanim je również obdarto ze skóry, o rybach, które jeszcze żywe rzucano na ruszt, i o wesołych ludowych festynach, podczas których świnie były ciągnięte za hak wbity w gardło do miejsca uboju. Nie mówiąc już o wyrafinowanym okrucieństwie, jakie zaczynało pojawiać się wśród szlachty w manewrach toreadorów.

Później, w długiej samotności stuleci, miałem być świadkiem równie potwornych praktyk, oglądając na przykład ślimaki palone żywcem na słomianym ogniu czy kulinarnych sybarytów, którzy unieruchamiali małpę, przecinali jej czaszkę cienką piłką i wyjadali łyżką mózg, kiedy zwierzę jeszcze żyło. Z czasem nauczyłem się, że każda książka kucharska jest katalogiem potworności.

Ale - mówił duchowny - to tylko nieznaczną część braku sensu Stworzenia. Życie oprawców, czyli ludzi, też poddawane jest wszelkim możliwym katalogom zła: nasz żywot, pełen trudów i prawie zawsze dławiony udrękami niesprawiedliwości i głodu, prowadzi nas do śmierci i do śmierci osób, które kochamy. Ten brak sensu komplikuje się jeszcze bardziej - dodawał kapłan - kiedy nam mówią, że po tak znojnym, pozbawionym celu życiu czeka na nas piekło, jako że nawet żadna nieczysta myśl nie zostanie nam wybaczona. „Tak nie postępuje ojciec ze swoimi dziećmi - wołał w czasie niedzielnych mszy w kościele, który stawał się coraz mniejszy - choćby był nie wiem jak niesprawiedliwy, pyszny i okrutny!”

Z tego wszystkiego wnioskował, że podczas Stworzenia zwyciężyły nie siły Dobra, tylko siły Zła, i że nawet śmierć Chrystusa na krzyżu była aktem zemsty i upokorzenia podyktowanym przez Zło, bo należało sądzić - tu proboszcz był prawowierny - że Chrystus reprezentował Dobro. Nie mógł znaleźć jaśniejszego sposobu,

aby nam powiedzieć, że Szatan zatriumfował, doprowadzając do ukrzyżowania swojego rywala.

Czasami ludzie wychodzili z kościoła Sant Pau z płaczem.

Czasami.

Ale wysłannicy biskupa nigdy nie płakali i wszystko zapisywali.

Wszystko.

Ja nie płakałem, bo, pomijając inne powody, nigdy nie zaznałem lęku śmierci. Ale dręczyły mnie wątpliwości. Jeżeli Anioł Zła wygrał bitwę, ukrzyżowanie Chrystusa było w rzeczywistości najmowniejszym tego dowodem, jakim mogliśmy dysponować. Ale jeżeli tak nie było, jeżeli nakazał je Dobry Ojciec, żeby się nim delektować, bo znajdował w tym przyjemność, jakim jest Dobrym Ojcem i na jaki szacunek zasługuje? Wszystko to kazało mi myśleć, że proboszcz, mój opiekun, ma całkowitą rację: Bóg z Biblii nie może być dobry. Ale jeżeli zniósł to strapienie po to, żeby już nie miały dla Niego wagi te wszystkie strapienia, których my, ludzie, mieliśmy Mu dostarczać? I jeżeli zrobił to w tym celu, żeby jakikolwiek inny grzech został wybaczony? Ta myśl przynosiła mi ulgę, choć była w sprzeczności z doktryną Kościoła. Doktryna Kościoła była po prostu taka: do piekła!

Gdybym mieszkał jeszcze w lupanarze, patrząc, jak mężczyźni kładą się z moją matką, nie zadawałbym sobie nigdy takich pytań, bo w lupanarze nigdy się nie mówiło o tamtym świecie. Nawet duchowni, kiedy się kładli, nie mówili o Bogu. Szczególnie oni. Ale w kościele Sant Pau było inaczej, bo Bóg był wszędzie, zwłaszcza w głowie udręczonego proboszcza. A udręczony proboszcz był dobrym człowiekiem, który poza tym mnie odkrył.

Odkrył mnie.

I było to czymś najdziwniejszym w świecie, bo ja nie odkryłem dotąd sam siebie.

Powiedział mi to pewnej nocy, gdy siedzieliśmy przy ognisku, otoczeni spokojnym cmentarzem, podczas gdy zarysy kościoła, który liczył już stulecia, zaczynamy ciemnieć.

- Zauważyłem, że trochę rośniesz - powiedział, przyglądając mi się uważnie - ale twoja twarz się nie zmienia. Nigdy.

Kiedy cię poznałem, miałeś już twarz starszą, niż wskazywał to twój wiek, to znaczy wyglądałeś na dwudziestoletniego chłopaka, chociaż twoje ciało było znacznie mniejsze. Dostrzegłem to już na początku, ale litość kazała mi to zignorować, bo nie miałeś dokąd pójść. Potem, podczas wszystkich tych lat, obserwowałem cię, nie ci nigdy nie mówiąc. A teraz doszedłem już do takiego wniosku: jeżeli świat kieruje się zasadami Zła, Zło musi mieć dzieci. Jest ich niewiele, bardzo niewiele, ale muszą dawać świadectwo. Ty jesteś jednym z nich, choć może nie zdałeś sobie jeszcze z tego sprawy: ty jesteś jednym z nich.

Był on najinteligentniejszym człowiekiem i najlepszym obserwatorem, jakiego poznałem.

- Zauważyłem, że prawie nic nie jesz, jakbyś w rzeczywistości tego nie potrzebował. Zauważyłem, że czasem znikasz, choć bardzo rzadko, a potem masz na wargach kropelki krwi. Pytałem na targach w pobliżu murów, gdzie zabija się chore krowy, których nie można wprowadzać do miasta, i ludzie pamiętają, że cię tam widzieli. Nie krytykuję cię, bo wielu ludzi wykorzystuje krew martwych zwierząt. Ale boję się, że któregoś dnia napadniesz na żywego człowieka.

Zamknąłem oczy.

Napaść na żywego człowieka...

Już to zrobiłem. Dlatego byłem rodzajem ściganego zwierzęcia.

Dlatego tu byłem.

Wzdrygnąłem się.

Ale proboszcz przemówił do mnie łagodnie:

- Jesteś wysłannikiem Zła i Zło będzie się w tobie rozwijało, choć bardzo powoli. Ale rozwinie się niezawodnie. Masz zdolności, których w tej chwili nawet nie przeczuwasz, i dlatego powinienem się ciebie bać. Ale się nie boję. Ja wierzę, że Stworzenie to długie dzieło i że choć rządzi nim Zło, na wszystko jest jakiś środek.

Przysięgam, że nie myślałem - ani wtedy, ani nigdy przedtem - że mogę przyprawić kogoś o lęk. Nawet nie miałem ku temu specjalnych warunków, tyle że mało jadłem, prawie nigdy nie spałem, uciekałem przed światłem słonecznym i potrzebowałem od czasu do czasu krwi, tak jak pijak potrzebuje alkoholu. Nie przywiązywałem wagi do faktów, które dla mnie nie miały żadnego znaczenia: na przykład podnosiłem kamienie, jakich nikt w moim wieku nie mógłby podnieść, i odgadywałem, jak można zabić człowieka jednym ciosem, miażdżąc mu tchawicę, jeśli atakowało się z przodu, lub rdzeń kręgowy, jeśli atak następował od tyłu. Choć nigdy wcześniej tego nie wypróbowałem. Była to wiedza instynktowna, właściwa drapieżnikom, które nie muszą zabić, żeby wiedzieć, jak to się robi.

Uczyniłem coś, czego nigdy wcześniej nie czyniłem.

Pocałowałem tego człowieka w rękę.

Był to może jedyny rzeczywiście dobry człowiek, jakiego poznałem.

Ale przyjaciele biskupa, którzy słuchali jego mszy i jego kazań, z pewnością nie myśleli tak samo, bo nasłali Inkwizycję.

Już wtedy Inkwizycja miała pałac w Barcelonie, w murach, a ja dobrze go poznałem, chociaż do owej chwili nigdy nie przejmowałem się jego istnieniem. Zabrali proboszcza i już go więcej nie widziałem, zostałem sam w Sant Pau del Camp, w jego ciszy i na jego cmentarzu.

Nie na długo.

Mnie też mogli zawieść przed oblicze Inkwizycji. Musiałem za wszelką cenę uciekać, zagubić się gdzieś, gdzie nikt by mnie nie rozpoznał.

Dowiedziałem się później, że proboszcz został przetransportowany do trybunału dominikanów w Madrycie - w takich transportach szło się pieszo, w łańcuchach - i że uprzejmi dominikanie namawiali go, by uznał, że na świecie rządzi Dobro. Ponieważ proboszcz upierał się przy rządach Zła, uprzejmi inkwizytorzy zastosowali wobec niego zło, może po to, żeby częściowo przyznać mu rację. Przeżył tortury, jakby już wiedział, że są one elementem świata, ale nie powiedział tego, co dominikanie pragnęli usłyszeć. Wtedy został przekazany świeckiemu ramieniu i spalony żywcem razem z innymi dziesięcioma osobami w wielkim autodafé, z którego cnota ludu wyszła wielce umocniona. Opowiedziano mi, że stało się to pewnej wspaniałej wiosennej niedzieli o zmierzchu i że stosowi przyglądało się kilku zakonników, którzy później mieli zostać świętymi za obronę idei Dobra. Ale wtedy już byłem w innym miejscu czarnej Barcelony.

Nie tylko to mi opowiedziano. No cóż, może nawet nie musiano mi opowiadać, bo zdołałem przeczytać akta egzekucji. Razem z tymi wszystkimi heretykami - których nazwiska zachowano dla dobrego porządku bożego - została spalona pewna młoda kobieta,

którą również poprowadzono pieszo z Barcelony. Wiadomość, że była to kobieta, zrobiła na mnie wrażenie, chociaż nie powinienem był przypisywać temu znaczenia. Mężczyźni i kobiety cierpią na stosie jednakowo, choć mężczyźni mniej się żałuje.

W aktach zachowało się nazwisko kobiety.

Nazywała się Vives.

15.

Kobieta, która wierzyła w czas

- Akta są tutaj - powiedziała Marta Vives, obciążając delikatnie spódnicę na swoich mocnych kolanach sportsmenki. - Są to uwierzytelnione kopie z archiwów Inkwizycji. Otrzymałam je w zeszłym tygodniu, kiedy byłam w Generalnej Dyrekcji Rejestrów w Madrycie, żeby napisać to sprawozdanie.

Marcos Solana nie zwrócił na papiery uwagi. Kopie leżały, zajmując część biurka, zbyt dużą część - pomyślał - kiedy to miejsce potrzebne jest na inne, pilniejsze akta. Zainteresowanie Marty Vives średniowieczem zaczynało być śmieszne.

Oczywiście wiedza Marty często mu się przydawała. Drogie budynki w Barcelonie podlegały jeszcze spisowi dzierżawy wieczystej, według którego w innych czasach, kiedy jeszcze wierzono w wieczność Boga, teren po prostu przekazywano nabywcy, aby ten go uprawiał lub na nim budował, a jedyny zysk przekazującego stanowiła niewielka renta płacona co najmniej raz na trzydzieści lat i procent od wartości spadku czy transakcji, kiedy teren był dziedziczony albo sprzedawany. Ponieważ z czasem na takich terenach pobudowano całe ulice, teraz każda sprzedaż i każdy spadek oznaczały fortunę. Barcelona nie rozrosłaby się - myślał Marcos Solana - bez spisu dzierżawy wieczystej i wynikających

z niego olbrzymich komplikacji urbanistycznych.

Jasne, że odnosiło się to do odległej epoki, kiedy było więcej terenów niż ludzi. Niemal nie mógł sobie tego wyobrazić.

I Marta Vives okazała się bardzo pomocna, gdyż znała lokalną historię, zwłaszcza historię starych rodzin. Ale teraz miał na głowie inne sprawy niż zajmowanie się starymi papierami Inkwizycji. Marta chyba odgadła jego myśli, bo zaczęła się tłumaczyć:

- Zdobyłam te papiery między dwiema sprawami, w wolnej chwili. Nie opóźniło to w najmniejszym stopniu tego, co mi zleciłeś.

Marcos usiłował się uśmiechnąć. Dużo go to kosztowało. Po adwokacie widać, że jest weteranem, kiedy zaczyna tracić uśmiech.

- W każdym razie nie wiem, co ciekawego może być w tym wszystkim - powiedział. - Takich papierów szuka się tylko do pracy doktorskiej albo żeby napisać książkę.

- Mylisz się - rzekła Marta.

- A po co?

- Pamiętasz, że niedawno, kiedy przyznano naszym klientom ów średniowieczny krzyż, powiedziałeś, że został wyjęty z grobu pewnej zamordowanej kobiety?

- Jasne.

- Ta zamordowana kobieta nazywała się Vives. Ja jestem Vives ze strony ojca i ze strony matki. Możliwe, że ta kobieta ze sprofanowanego grobu była moją antenatką.

- I postanowiłaś to sprawdzić.

- Tak.

Marcos Solana powiódł wzrokiem po roztaczającym się za

oknem krajobrazie. Ponieważ miał kancelarię na ostatnim piętrze domu przy Vía Layetana, dostrzegał wieże katedry, kościoła Santa Maria del Mar, kopułę Generalitat, dachy starego miasta, gdzie dawniej były gołębniki i sznury do rozwieszania bielizny, a teraz pozostało kilka nielegalnych mieszkań i jakiś starzec, który postanowił umrzeć na słońcu. Vía Layetana rozbebeszyła domy, pogrzebała wspomnienia, dwukrotnie pochowała zmarłych, ale to wydarzyło się w odległej epoce, kiedy dziadkowie Mareosa Solana nawet nie wiedzieli, że się poznają. Toteż adwokat miał świadomość, że żyje nad pogrzebanym miastem, chociaż czasami, kiedy grał cudowny kurant na Generalitat, wydawało mu się, że to grobowiec godny historii.

- Uważasz więc, że kobieta, która została pochowana z tym krzyżem, mogła być twoją antenatką.

- Nie mówię, że tak uważam. Mówię tylko, że istnieje taka możliwość.

- A skoro już o tym mówisz, to kobieta, która została spalona żywcem w Madrycie razem z proboszczem Sant Pau del Camp, też mogła nią być - dodał Marcos nieco ironicznie.

- Musisz przyznać, że nie jest to wykluczone.

Marcos Solana wzruszył ramionami. Większość adwokatów zarabiających pieniądze zajmuje się zakładaniem spółek, fikcyjnych czy nie, i transakcjami związanymi z nieruchomościami, co daje im silne poczucie chwili obecnej i sprawia, że ich świat zaczyna się na ogół w latach osiemdziesiątych, kiedy zaczęto używać pierwszych komputerów. Ale on był adwokatem starych rodzin z rodowodami zakotwiczonymi w średniowieczu i żył pośród archiwów, grobowców i wydarzeń, jakie dokonały się na przestrzeni wieków. A więc terażniejszość była tylko wynikiem tysiąca różnych przeszłości, a to sprawiało, że Marcos Solana nie był, ściśle

biorąc, adwokatem takim jak inni, chociaż czasami czuł zawrót głowy.

Przed wielu laty, kiedy był młody i rozpoczynał pracę dla starych rodzin, w związku z czym pierwszy raz zetknął się ze spisami dzierżawy wieczystej, był pewien pełnomocnik, który wiedział wszystko i znał wszelkie antecedencje, jakby to on stworzył rejestr własności. Nazywał się Bernardino Martorell i miał raczej ponurą kancelarię przy ulicy Diputaci6n. Ale kiedy umarł, bardzo trudno było znaleźć osoby umiejące poruszać się wśród pogrzebanych przed wiekami papier6w. Jedn¹ z takich os6b by³a Marta Vives, chocia¿ ostatnio mia³a obsesj¹ na punkcie starych historii. A obsesje nie s¹ dobre.

- Nie b¹dziesz mia³a czasu na tyle spraw - rzek³ Marcos Solana.

I przesta³ obserwowa³ krajobraz ze starymi wie¿ami, aby spojrze³ na spr¹zyste nogi Marty Vives, nogi sportsmenki, mistrzyni. Ale on o tych nogach nic nie wiedzia³. Mo¿e kto¶ je pie¶ci³, mo¿e kto¶ je gryz³ w tajemnicy lub poszukiwa³ j¹zykiem wieñcz¹cego je otworu. Marcos Solana nie wiedzia³, czy ta kobieta zajmuj¹ca si¹ histori¹ ma w³asn¹ histori¹.

- B¹d¹ mniej spa³a - odpowiedzia³a - ale nie martw si¹, ca³a praca w kancelarii zostanie wykonana w swoim czasie.

- Obawiam si¹, Marto, ¿e b¹dzie to konieczne. Jakby¶my nie mieli do¶c spraw cywilnych w toku, spad³a na mnie sprawa karna. Nie mia³em innego wyj¶cia, jak tylko j¹ przyja³, bo zwr6ci³ si¹ do mnie stary klient, który chce, ¿ebym ustanowi³ si¹ jako prywatny oskar¿yciel. B¹d¹ mi przekazywa³ wszystkie dane z akt dotycz¹cych uduszonej w domu w Vallvidrerze kobiety, przy kt6rej znaleziono m¹¿czyzn¹ bestialsko zamordowanego bia³¹ broni¹. Tej zbrodni po¶wi¹cono nawet reporta¿e telewizyjne, a zatem,

każdy spragniony rozgłosu adwokat byłby zachwycony, gdyby mógł zająć się tą sprawą. Ale ja nienawidzę rozgłosu. Dopóki będzie to możliwe, postaram się unikać publicznych wystąpień i składania oświadczeń. Mówię to na wypadek, gdyby dzwonił jakiś dziennikarz. Podaj mu jakikolwiek pretekst, żeby nie nalegał. Nie chcę, by cokolwiek mnie odrywało od mojej prawdziwej pracy.

- To jasne - powiedziała Marta. - Ściśle to wypełnię. A kto jest tym klientem?

- Pewien bankier, który ma kilka luksusowych posiadłości w pobliżu miejsca zbrodni. Jest zainteresowany pełnym wyjaśnieniem sprawy, żeby nie spadła wartość tych posiadłości i żebym ja, jako strona w postępowaniu, mógł w razie potrzeby widywać się z policją i rozwiewać plotki. No wiesz, parcele budowlane muszą mieć lepszą opinię niż ludzie. Ale jest w tym coś dziwnego.

Marta Vives zaledwie odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Co takiego? - spytała.

- Ten bankier, kiedy mnie przyjął w swoim gabinecie, miał na biurku kilka fotografii w luksusowych ramach. Fotografii politycznych, rzecz jasna. Jedną z dedykacją króla; inną, paradoksalnie, z dedykacją Franco. Bankierzy nigdy nie gniewają się na historię. Ale było tam też naturalnie parę fotografii rodzinnych. Na przykład zdjęcie jakichś zaróżowionych dzieci, które teraz muszą być co najmniej inspektorami kont. Albo jakiejś miłej panienci, która dziś, po kilku porodach, pewno nie może już nawet wejść na schody Liceo. Albo grupki panów, którzy na pewno stanowili zarząd jakiejś firmy. Zdałem sobie sprawę, że wśród nich jest mężczyzna o bardzo młodej twarzy, twarzy bez wyrazu, jakby

poza czasem. Albo oszalałem, albo już gdzieś widziałem tę twarz. I to w jakimś miejscu, które mi tu nijak nie pasuje.

- A dlaczego nie zapytałeś o to bankiera? - przerwała mu Marta Vives.

- Bo nie byłem pewien, czy to ten człowiek - odrzekł Marcos z zagubionym wzrokiem. - Bo nie byłem pewien, czy to ta sama twarz.

16.

Dziewczynka, która chciała umrzeć

Chudego proboszcza, który został spalony żywcem, zastąpił proboszcz gruby, który nie zamierzał nigdy zostać spalony żywcem. Był przyjacielem biskupa i, jak się wydaje, zebrał donosy, które później zostały przekazane Inkwizycji. Wierzył w dobroć Boga, dobroć wiary i dobroć brzucha. Jadł tyle, że pozostawał niemal bez tchu w czasach potwornego głodu, który zapępiał cmentarze, i błogosławił w swoim gardle wina, które mu przywożono na grzbietach mułów z bardzo daleka. Na przykład wina z Alelli, wytwór winnic leżących w pobliżu morza, za rzeką Besós, i te z Priorato, ziemi tak odległej, że aby je zdobyć, trzeba było jechać niemal na terytorium niewiernych. Ale on te właśnie wina sobie upodobał, gdyż, jak zapewniał, były doskonale do konsekracji podczas mszy.

Oczywiście miał kochankę. Była to bardzo młoda dziewczyna, niemal dziecko, która wykonywała wszystkie ciężkie prace, a nocami słychać było, jak jęczy, chociaż nie z rozkoszy.

Nowy proboszcz zrobił dwie rzeczy: po pierwsze, wyrzucił wszystkich żebraków, którzy spali na cmentarzu; i po drugie, zapytał mnie o wiek.

- Według rejestrów jesteś tu prawie piętnaście lat - zauważył

- a więc powinienś być znacznie większy. Powiedz, ile masz lat.

- Nie wiem; nigdy nikt mi tego nie zdradził i nie sądzę, żeby moje narodzenie zostało gdziekolwiek odnotowane.

- To dziwne, bo parafianie powiedzieli mi, że już wtedy wyglądałeś tak samo jak teraz.

Był to sygnał alarmowy, na który czekałem od długiego czasu i który oznaczał jedyne niebezpieczeństwo, jakiego nie mogłem uniknąć. Ludzie musieli się w końcu zorientować, że mój wygląd od dawna się nie zmienia. Dlatego postanowiłem uciec.

W owych czasach Raval w ciągu niewielu lat bardzo się przeobraził. Lewą stronę Rambli, gdy szło się ku morzu, zamykał mur, a na jej ostatnim odcinku, w pobliżu Escudellers, wznosiło się kilka pałaców. Ale lewa strona Rambli, szeroka i wolna, nadal była ziemią złą: na ten świat składały się alkohol, tańce, muzyka ludowa, kobiety publiczne i bezbożność. Choć było to też jedyne miejsce, gdzie mieściły się koszary, klasztory, a nawet wielki szpital, zatem atmosfera się tam zmieniała. Przecznice Rambli stawały się bardziej ożywione i zwarte, tworząc nowe miasto, gdzie wszyscy się znali, to znaczy - wszyscy mogli mnie znać.

Musiałem odejść daleko i skierowałem się w stronę drugiego najstarszego romańskiego kościoła Barcelony, Nuestra Señora del Coll. Może pociągała mnie starożytność albo nie potrafiłem znaleźć pracy poza kościołami. Tam, w tak odległym miejscu, mogli potrzebować ministranta.

Odległe miejsce...

Także dla wiary chrześcijańskiej.

Trzeba było wyjść z miasta przez bramę Canaletas i iść ciągle na północ, przez rzadko zaludnione pola, do nowo powstającej

wsi, którą nazywano Gracia. Ale ta miejscowość, pełna niezależnych, a nawet wojowniczych ludzi, leżała zaledwie w połowie drogi. Trzeba jeszcze było wspiąć się na łagodne góry, a potem zejść do wąwozu, który wtedy nie miał imienia, ale później słyszałem, że nazywano go Vallcarca. Tam, pośród lasów i kozich ścieżek, zaczynała się prawdziwa stromizna prowadząca do dwóch nabożnych miejsc: po lewej stronie znajdowały się jaskinie, w których mieszkali godni litości pustelnicy, a które ludzie nazywali Penitentes, a drugim miejscem, znacznie odleglejszym, była maleńka pustelnia, którą nazywano Carmelo, poświęcona nie gniewowi bożemu, tylko samotności Najświętszej Paniienki. Ale kościół Del Coli nie był tak daleko, stał przy końcu pierwszych zboczy.

Prawie nikt tam nie mieszkał; można było dostrzec tylko kilka domów i niewielkie stada kóz. Wszystko było samotnią, ciszą, chaszciami i spokojem gwiazd. Był to świat całkowicie odmienny od świata Sant Pau del Camp, gdzie do późnych godzin nocnych słychać było muzykę i gdzie czasami prostytutki siadały nawet na kościelnym murze.

Zarządca kościoła - nawet nie wiem, czy był proboszczem - przyjął mnie dobrze i zapytał o wiek. Powiedziałem, że mam dwadzieścia lat. Potem poddał mnie krótkiemu egzaminowi z łaciny, śpiewu kościelnego i doktryny chrześcijańskiej, który doskonale zdałem: zbyt dużo czasu spędziłem na uczestnictwie w ceremoniach i pomocy przy pogrzebach. Ale nie powiedziałem, że przychodzę z Sant Pau del Camp, bo wiadano już, co się stało z tamtejszym proboszczem, i mogłem od razu zyskać sławę heretyka.

Kościół był tak maleńki, że przy ołtarzu ledwo mieściłem się z kapłanem. Wierni, paru wieśniaków na krzyż, głównie kobiety,

żyli w bojaźni bożej i nigdy nie opuszczali niedzielnego nabożeństwa.

Szybko spotkałem się tam z dwiema rzeczami, jedną dobrą i jedną złą: oczywiście dobrą było to, że nikt mnie tam nie zna, a złą to, że nie było tam rzeźni ani broczących krwią zwierząt. Oczywiście bito świnie i kozy, ale w domu. Byłoby niezwykle ryzykowne powtarzać to, co robiłem nocami w obrębie barcelońskich murów. To mnie przestraszyło, bo praktycznie nic nie jadłem. Prawdziwą siłę dawała mi krew.

Musiałem to w jakiś sposób rozwiązać.

W nowym kościele miałem bardzo mało pracy, inaczej niż w Sant Pau del Camp, gdzie ciągle były wiatyki i ciągle umierali ludzie. Poza tym w czasach, kiedy głosił kazania proboszcz, którego spalono żywcem, świątynia wypełniała się ludźmi przybywającymi ze wszystkich stron - ludźmi, którzy nigdy nie słyszeli słowa bożego tak odmiennego od innych słów. Tutaj, w Nuestra Señora del Coll, okolicy niemal pozbawionej mieszkańców, umierało niewielu ludzi. Prawie nie było pracy. Mogłem siedzieć na wzgórzach i podziwiać krajobraz. W ciszy pól otoczona murami Barcelona była widoczna jako malutka plamka, a powstających wokół niej ulic nawet nie dało się dostrzec. Jasne, że wobec tak nielicznych zajęć nic mi nie płacono: miałem tylko pryczę i jedzenie.

To spokojne życie pozwoliło mi grzebać w starych archiwach przechowywanych w świątyni. Tylko proboszcz i ja mogliśmy to robić, albowiem nikt w okolicy nie umiał czytać, a tym bardziej pisać, tutejszy kataloński zaś był toporny i składał się z niewielu słów. Nikt nie znał kastylijskiego, który był przecież dość powszechny na ulicach Barcelony. Zdziwiłem się, że umiem czytać i pisać nie tylko po katalońsku i kastylijsku, lecz także po łacinie,

co pokazywało, jak dobrze uczyli mnie niektórzy klienci mojej matki, kiedy się nade mną litowali. Łacina nie miała dla mnie sekretów dzięki proboszczowi Sant Pau, rzekomemu heretykowi, ale poza tym musiałem mieć inteligencję znacznie większą od przeciętnej, żeby się tak dużo nauczyć. Albo byłem bardzo stary i umiałem wykorzystać lata, jakich inni nigdy nie będą mieli. Nie wiem. W owych czasach zupełnie nie potrafiłem określić samego siebie.

Może zrobił to proboszcz Sant Pau, kiedy pewnej nocy powiedział mi, że Zło też potrzebuje synów. Ale nie chciałem tego pamiętać. I tak naprawdę już nikt więcej mnie nie określił.

Aż do czasu, gdy musiałem pójść do pałacu Inkwizycji, gdzie czekał na mnie Ten Drugi.

I gdy poznałem pewną dziewczynkę, która chciała umrzeć.

17.

Ktoś, kto poznał diabła

Kiedy policja stoi wobec niewytłumaczalnych przypadków, szuka po omacku, a to znaczy, że w ciemnościach zderza się ze wszystkimi.

Dwiema spośród osób, z którymi policja najmocniej się zderzyła, byli ojciec Olavide i adwokat Marcos Solana, choć nie byli oni w żadnym razie jedyni. Duchownego i adwokata odróżniało od innych to, że traktowano ich ze znacznie większym szacunkiem; pewien komisarz nawet pocałował ojca Olavide w rękę. Okazało się, że komisarz należy do Opus Dei.

Przesłuchania dotyczyły głównie śmierci - „nigdy niewidzianej śmierci”, mówił komisarz z Opus Dei - Guillermita Clavé. Teraz Guillermito Clavé był już pogrzebany w formie popiołu, ale sprawa pozostawała otwarta, z zachowaniem całej niezbędnej dyskrecji. Była to sprawa o zabójstwo, a zabójstwa nie powinny zakłócać spokoju dobrych rodzin.

Wdowę przesłuchano tylko raz.

Ojca Olavide dwukrotnie, jako spowiednika zmarłego. Czy ten ostatni utrzymywał jakieś dziwne znajomości? Czy dokonywał eksperymentów naukowych z własną krwią? „Bo istnieją ludzie szaleni, proszę ojca, bardziej, niż się wydaje”. Czy Guillermito

wyznał kiedykolwiek swoją wiarę w coś nadprzyrodzonego?

Gdyż było oczywiste, że mają do czynienia z czymś nadprzyrodzonym, tego był pewien nawet sam komisarz. Przede wszystkim dlatego, że śmierci Guillermita nikt nie potrafił sobie wytłumaczyć zgodnie z regułami logiki. „W dwudziestym pierwszym wieku nikt nie wierzy w wampiry, prócz kilku historyków, którzy skończą ścigani przez siły publiczne”. Nikt nie mógł też uwierzyć, żeby plamka krwi, którą zostawił zabójca, była - czy przynajmniej mogła być - tą samą krwią, która zachowała się na resztkach dzwonu z 1714 roku. Wdowa po Guillermicie dała im całą serię wyjaśnień na ten temat - polecając jednocześnie, by za pół miliona zakupiono akcje Barcelońskiego Towarzystwa Wodociągów, jako że śmierć Guillermita uczyniła ją jeszcze bogatszą - i pobożny policjant dostawał zawrotu głowy; nie wiedział już, o co pytać innych członków Opus Dei.

Był to przypadek, z jakim nigdy się nie spotkali.

W tym czasie Marta Vives, korzystając z nielicznych wolnych godzin, jakie zostawiała jej kancelaria, prowadziła badania w najbardziej tajnych archiwach miasta, szukając już nie tyle czasu, jaki odszedł, ile przynajmniej cienia tego czasu. Pominęła oczywiście Archiwum Fotograficzne przy dawnym targu Borne, bo w latach, którym poświęcała badania, nikt nigdy nie pomyślał o fotografowaniu czegokolwiek. A może tak? Czyż Marcos nie mówił jej o pewnej twarzy, która powtarzała się z biegiem czasu? Ale było bezcelowe przeglądanie całych tysięcy fotografii, całych milionów twarzy w poszukiwaniu czegoś, o czym w rzeczywistości już wiedziała, ale czego nie mogła zrozumieć.

Wtedy, opanowując własny lęk, pomyślała, żeby przeprowadzić badania w dwóch miejscach.

Jedynymi archiwami, jakie mogły okazać się dla niej użyteczne, były Archiwum Diecezjalne i Archiwum Historyczne Miasta. Szperała wśród setek plików, które miały ową niepowtarzalną woń zapomnienia i śmierci. Spędzała wszystkie możliwe godziny w czytelniach, aż ją wyrzucano. Szukała w Internecie, gdzie przecież nie było na ogół wiadomości pochodzących z odległych epok. Grzebała we wszystkim, co odnosiło się do nazwiska Vives, jej nazwiska, ale stwierdziła, że Inkwizycja skazywała ludzi pod najróżnorodniejszymi nazwiskami - czasem zwykłymi przydomkami - tak więc tropy się gubiły. Zdołała jedynie stwierdzić, iż kobieta pochowana z brązowym krzyżem w Sant Pau del Camp została zamordowana i nazywała się Vives, ale nie znalazła żadnych danych dotyczących jej narodzin czy wcześniejszego życia. Było to tak, jakby owa kobieta żyła w chmurach do chwili, aż zstąpiła na ziemię. I wtedy ją zamordowano.

Z bardzo starych archiwów pochodzących z Sant Pau del Camp wywnioskowała, że owa kobieta ze zbezczeszczonego grobu mogła mieć córkę, choć nie było żadnych danych co do jej urodzenia. Marta Vives zrozumiała w końcu, że posuwa się drogą donikąd, przed murem, na którym napisane jest tylko jedno słowo: KONIEC.

Musiała o tym zapomnieć i pogрузić się w dzisiejszych papierach, zawsze pilniejszych niż wczorajsze. Całe szczęście, że jej biurko stało w najlepszej części kancelarii na Vía Layetana, skąd mogła widzieć starą Barcelonę, tę z sekretnymi cmentarzami, nad którą prowadziła badania. Pocieszało ją to, że widzi jednocześnie starą wieżę na Plaza del Rey i nową Casa de Cambó - nową? - gdzie skryształizowało się finansowe życie miasta i gdzie w latach wojny domowej skryształizowała się historia ruchu robotniczego. Martę, która znała dobrze historię Barcelony, bawiły dwie anegdoty

na temat Francesca Cambó, który zawsze miał do czynienia z Hiszpanią, jakiej sobie nie życzył. Pierwsza anegdota związana była z budową samego gmachu, cudu luksusowej architektury wśród zabudowanych w połowie działek na nowej Via Layetana. Było tak wiele jeszcze niezabudowanych parceli, tak zapuszczonych, że po murach nowego budynku wspinały się szczury, docierając aż do ostatniego piętra, zajmowanego przez Francesca Cambó. Ten poprosił architekta, żeby znalazł jakieś rozwiązanie, i architekt wymyślił występ na wysokości najwyższego piętra: „W ten sposób szczury będą spadały z góry i zabijały się”. Francesco Cambó spodobał się ten pomysł, ale polecił, żeby występ zbudowano na wysokości trzeciego piętra. „Wtedy szczury nie będą się zabijały - zaproponował architekt. - Dlaczego pan to robi?” A Cambó odpowiedział: „Bo wydaje mi się, że to nie fair grać z taką przewagą”.

Druga historia dotyczyła inauguracji nowej siedziby Klubu Jeździeckiego na Paseo de Gracia, z wyposażeniem, które czyniło go najlepszym prywatnym klubem Europy. Oczywiście Cambó został zaproszony na tę uroczystość i po jej zakończeniu skomentował: „Już stworzyliśmy miejsce dla dżentelmenów. Teraz pozostaje tylko stworzyć dżentelmenów”.

Wszystko to pomagało Marcie - młodej kobiecie, która wiedła między starymi sprawami - gdyż w ten sposób wszystko to, co miała wokół siebie, wydawało jej się mniej nudne i bardziej ludzkie. Również ludzki wydał jej się wniosek policji dotyczący podwójnej zbrodni w Vallvidrerze: „Musi to być jakieś morderstwo rytualne. Wszystko to jest tak absurdalne, że pozostaje tylko myśleć o Szatanie”.

Naturalnie Szatan nie miał u nich swojej kartoteki.

I wyczerpana Marta poszukiwała informacji, daremnych tropów, zagubionych papierów, prawd, które może nigdy nie istniały.

Aż znalazła w Internecie, tym królestwie przypadków, kogoś, kto szukał tego samego co ona, choć z innej perspektywy. Punktem widzenia Marty Vives była tajemnica i śmierć, podczas gdy punktem widzenia jej rozmówcy był luksus.

Wielcy historycy znają związek, jaki na ogół istnieje między luksusem a tajemnicą i śmiercią.

Jej rozmówcą był pewien jubiler. Poprosił Martę, żeby pilnie go odwiedziła, bo inaczej nie ośmielał się o tym mówić.

Przysięgał, że miał do czynienia z Szatanem.

A tymczasem Marcos Solana, były członek zarządu Kolegium Adwokatów, przewodniczący Komisji Etyki i obrońca ludzi chodzących do kościoła, zrobił coś, czego tej klasy adwokat nigdy nie powinien robić. Posłał etykę do wszystkich diabłów.

I to nie tylko raz, ale dwukrotnie.

Pierwsze wykroczenie popełnił, kiedy został przez kilka chwil sam w gabinecie bankiera, który chciał go ustanowić jako prywatnego oskarżyciela w sprawie podwójnego morderstwa w Vallvidrerze. Ale prywatnego oskarżyciela przeciw komu? Nie było żadnego zatrzymanego, nie było niczego oprócz wskazówek, które zdawały się prowadzić na tamten świat. Mimo to bankierowi zależało, aby sprawa nie ucichła.

Doszło do paru spotkań i podczas jednego z nich bankier na krótko wyszedł z gabinetu. Marcos Solana już poprzednim razem zwrócił uwagę na stare zdjęcie rady administracyjnej, z twarzą, która wydawała mu się znajoma. Podczas krótkiej nieobecności gospodarza sfotografował to zdjęcie swoim telefonem komórkowym. Kiedy bankier znowu się zjawił - udał, że rozmawia przez telefon.

Ta fotografia, odpowiednio zbadana przez specjalistę, pozwoliła mu zidentyfikować twarz, która zwróciła jego uwagę.

Był to jego pierwszy etycznie naganny czyn. Drugim była kraździez fotografii dawnych lekarzy oddziału nagłych przypadków Szpitala Klinicznego z 1916 roku. Ponieważ fotografia po prostu wisiała na korytarzu, nie okazało się to trudne.

Zaopatrzone w te dokumenty graficzne, Marcos Solana rozpoczął swoje dochodzenie. Oczywiście Marta Vives mu pomagała, kiedy bowiem badało się przeszłość, ta dziewczyna miała w sobie rodzaj magnetyzmu.

Z danymi, jakie posiadał, Marcos Solana udał się do komisarza z Opus Dei.

Wiadomo, że komisarze policji, z większą czy mniejszą chęcią, skłonni są słuchać jakiegokolwiek historii. Ale komisarz należący do Opus Dei wydaje się bardziej skłonny do słuchania czegokolwiek, co ma związek z tajemnicami wiary.

Jedną z tajemnic wiary jest zmartwychwstanie ciała.

Toteż komisarz zaczął słuchać.

Nazywał się Echevarría.

Był tak pewien zmartwychwstania, że pomimo zmian w doktrynie Kościoła czuł odrazę do kremacji.

Marcos Solana pokazał mu zdjęcia.

„Oddział nagłych przypadków Szpitala Klinicznego w 1916 roku”.

Białe fartuchy zapięte po samą szyję, wąsy i bródki, kamasze, na niejednym nosie binokle. Szary ślad czasu.

„Rada administracyjna Banco de Barcelona, 1905”.

- Niech pan spojrzy na te dwie twarze, komisarzu.
- Do licha, wyglądają jak ta sama.
- Są tą samą.

- No cóż, nie ma tak wielkiej różnicy czasu - zaproponował komisarz. - Ten sam człowiek mógł być w zarządzie banku w roku tysiąc dziewięćset piątym, zwłaszcza banku, który przestał istnieć, i lekarzem w tysiąc dziewięćset szesnastym. Musiałby niemal z konieczności zmienić zawód.

- Ale nie miałby tej samej twarzy.

- Przekonajmy się przede wszystkim, czy to rzeczywiście ta sama twarz, bo może tu zachodzić podobieństwo, jak zdarza się to w realnym życiu. Wie pan, co panu powiem, mecenasie? Że nie chciałbym uczestniczyć w identyfikacji podejrzanych. Bywają tak zadziwiające zbiegi okoliczności, że czasami nie wiem, co myśleć.

- To prawda.

- Ale na szczęście jesteśmy w najlepszym miejscu, żeby coś takiego sprawdzić. Mam do dyspozycji techników z dziedziny antropometrii, którzy mogą zbadać rysy... Jeżeli wróci pan po południu, będą mogli dać panu jednoznaczną odpowiedź.

Marcos Solana wrócił po południu, po obiedzie w Klubie Jeździeckim. Atmosfera interesów, znane rodziny, szeptu prawników i ostatnia wystawa malarza, który też aspirował do wieczności. Ponieważ Marcos był dobrze znany, nie mógł zjeść sam. Czy wiesz, że sędzia Valbuena nie chciał przejść do Sądu Najwyższego? Zauważyłeś, że sędzia Rius cierpi na autentyczne manie? Wiesz, że odkryto defraudację w Generalitat i w związku z wyborami starają się zatuszować sprawę? Zupa rakowa była dobra, a mięso odpowiednio wysmażone, ale Marcos Solana zaledwie cokolwiek skosztował. Kiedy znów zobaczył się z komisarzem Echevarría, czuł zawrót głowy.

- Zbadano profile i wymiary głów, niezależnie od rysów twarzy. Teraz nie ma wątpliwości, że na obu fotografiach jest ta sama twarz - powiedział komisarz.

- Święty Boże...

- Nie powinno pana to tak dziwić, mecenasie. Nie ma tu wielu lat różnicy.

- Ale twarz się nie zmieniła...

Rada administracyjna Banco de Barcelona z czasów jego największej potęgi. Garnitury z manczesterskiej wełny, starannie zapięte kamizelki, muszki lub kokardy, jakie później stały się modne za sprawą Ventury Gassola*. * Ventura Gassol (1883-1980) - poeta i polityk kataloński. Wielkie łysiny, brzuchy à la Grand Vefour, bródki strzyżone przez rosyjskiego księcia, który z wyprzedzeniem poprosił o azyl. Świat, jaki przestał już istnieć, choć istniał dotąd dom, gdzie zbierała się owa rada administracyjna: pierwszy dom na Rambli, dawna odlewnia armat. I ciągle czas w oknach, czas, czas.

- Dowiedziałem się też o innych szczegółach - oznajmił pobożny komisarz.

- Jak?

- Sposoby starego policjanta, który zna ludzi. Przed wszystkim rozmawiałem z Franceskiem Cabana, który jest najlepszym historykiem bankowości, jakiego mamy w tym kraju. Człowiekiem o twarzy, która nigdy się nie zmienia, był w rzeczywistości radca Banco de Barcelona w 1905 roku. Nazywał się Eduardo Rossell.

Marcos Solana spojrział na niego z nowym zainteresowaniem. Nareszcie jakaś konkretna informacja, jakiś ślad. A także pewne zaskoczenie, bo nie oczekiwał, że Echevarría zada sobie tyle trudu.

- Czego jeszcze się pan dowiedział, komisarzu?

- Otóż ten człowiek, Eduardo Rossell, zniknął dwa lata później. Są jakieś dane w archiwum komendy. Mówi się, że został

porwany przez anarchistów z powodów politycznych - a raczej społecznych, bo anarchiści nie wierzyli w politykę - co w owych czasach nie było wcale rzadkie. Oczywiście prowadzono w tej sprawie dochodzenie, ale zostało ono całkowicie wstrzymane w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, kiedy zaczął się Tragiczny Tydzień*. * Tragiczny Tydzień - wydarzenia, które rozegrały się w Barcelonie i innych miastach Katalonii między dwudziestym szóstym lipca a drugim sierpnia 1909 roku. Strajk powszechny, spowodowany wysianiem przez rząd wojska do będącej hiszpańską kolonią części Maroka, przerodził się w niekontrolowane krwawe zamieszki o charakterze antyklerykalnym. W Barcelonie pojawiło się tyle trupów, że którykolwiek z nich mógł być ciałem Eduarda Rossella. W rzeczywistości zdaje się, że dokonano identyfikacji zwłok, choć bez decydującej konkluzji, i wreszcie sprawę zamknięto. Nie muszę panu mówić, że teraz należy ona do prehistorii.

- To, co mi pan mówi, nie dziwi mnie zbyt, komisarzu - rzekł Solana - gdyż nagłe zniknięcia tworzą część historii tego kraju. Ale dotąd istnieją archiwa Banco de Barcelona. Można będzie odtworzyć historię tego Rossella. Na przykład skąd pochodził.

- Już to zrobiłem. Niech pan nie myśli, że moi ludzie ze służb informatycznych pozostawali bezczynni. Są wskazówki, że Eduardo Rossell znał wiele języków, wśród nich kilka języków martwych, znał też historię kraju, jakby był jej naocznym świadkiem, i prowadził księgowość z komputerową precyzją. Są też wskazówki, że uczestniczył w spotkaniach w kawiarni „Els Quatre Gats”, gdzie swą wiedzą budził podziw intelektualistów. Nawet Sanchez Ortiz, który był wówczas naczelnym redaktorem pisma „La Vanguardia”, przeprowadził z nim wywiad.

- A więc mamy szczęście.

- Nic z tego, mój przyjacielu. Wszystko, co mówię, to tylko piana: jakaś anegdota w gazecie, fragmenty wspomnień ludzi z tamtych czasów i wypisy z biuletynów bankowych. Ale nic oficjalnego. To pewne, że ten człowiek istniał, nie ma jednak jego aktu zgonu.

- To w jakiś sposób naturalne - rzekł Marcos, który nieraz musiał odtwarzać rodowody ludzi zaginionych podczas wojen. - W tym kraju wydarzyło się zbyt wiele rzeczy.

Komisarz, który chciał uświęcić swoją pracę na tym świecie, spojrział na adwokata z ukrywaną litością.

- Zrobiłem coś, co być może powinien zrobić pan - rzekł.

- Co takiego?

- Skorzystałem z pomocy moich informatyków, a zwłaszcza przyjaciół w Rejestrze Cywilnym, żeby odszukać akt urodzenia Eduarda Rossella. W wywiadzie, jakiego udzielił Sanchezowi Ortizowi, mówi, że zawsze był agentem giełdowym i że urodził się w Barcelonie. Nigdy nie podaje roku, co bardzo skomplikowało poszukiwania, ale sprawdzono wpisy urodzenia z co najmniej dwudziestu lat. Naturalnie pojawia się wielu ludzi nazwiskiem Eduardo Rossell, ale wszyscy oni mają datę zgonu, a przynajmniej akt uznania za zmarłego, jak nakazuje kodeks cywilny. Ten jest jedynym, który nie umarł, chociaż zniknął i poszukiwała go policja. To absurdalne. Powinien być już dziesięć razy martwy. Spotykamy się z przypadkiem człowieka, który nie tylko nie umiera, lecz także nie figuruje nawet jako ktoś, kto się urodził.

Marcos Solana znowu zamknął oczy.

Luksusowy dom na Bonanova.

Śmierć Guillermita Clavé.

Czas.

Czas w oknach.

I znowu zawrót głowy. Urywającym się głosem wyszeptał:

- Przejdźmy do lekarza z tysiąc dziewięćset szesnastego roku.
- No właśnie. Oddział nagłych przypadków, jeden z pierwszych założonych w kraju. Dobrze znane twarze. Na szczęście archiwa Szpitala Klinicznego są kompletne.

- I...?

- Lekarza, który pojawia się na fotografii, nie można zidentyfikować. Nazywał się doktor Serra, specjalista kardiolog. Zgłosił się na wolny konkurs i okazało się, że wie wszystko. Istnieje zawsze jakiś logiczny sposób praktykowania medycyny, który polega na stosowaniu jednocześnie metod starych i nowych, i wydaje się, że w tym nikt nie mógł mu dorównać. Nikt. Na konkursie zajął pierwsze miejsce. Jeden z lekarzy wchodzących w skład komisji wyznał, że nigdy się nie spotkał z takim przypadkiem. Ów doktor Serra opisał mu trepanację tak, jak przeprowadzali ją chirurdzy na galerach w piętnastym wieku. Rzeczą dziwną nie były szczegóły i opis instrumentów, ale to, że nie ma żadnej książki, która by to wyjaśniała. Członkowie komisji doszli do wniosku, że Serra znał to z własnego doświadczenia, ale ten wniosek był tak absurdalny, że w końcu zaczęli się śmiać.

Solana spojrział z podziwem na komisarza.

- Dowiedział się pan wielu rzeczy w ciągu tych kilku godzin - pochwalił.

- Powiedzmy, że ten przypadek mnie pasjonuje, bo nigdy nie znalazłem się w podobnej sytuacji.

- A co wiedzą o doktorze Serra w archiwach Szpitala Klinicznego?

- Doktor Serra właśnie rozpoczynał praktykę, kiedy wybuchły strajki robotnicze w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Dział

nagłych przypadków pracował pełną parą i ten początkujący lekarz zajmował się rannymi tak dobrze, iż zasłużył nawet na gratulacje od władz miejskich.

- W konsekwencji go awansowano...

- Miano to zrobić, kiedy doktor Serra postanowił nagle rozpocząć prywatną praktykę w Madrycie. Widać, że jego sława dotarła daleko, bo kilkakrotnie wspomniano o nim w stołecznych gazetach. Wygląda na to, że wielu zamożnych pacjentów chciało go tam mieć. Wydaje mi się logiczne, że doktor Serra dał się skusić, bo sławny lekarz w stolicy mógł bardzo dużo zarabiać. A nawet dostać się do Pałacu Królewskiego.

- Przypuszczam, komisarzu - powiedział Solana z podziwem - że już się pan skontaktował z Kolegium Lekarzy w Madrycie.

- Z moimi kolegami policjantami w Madrycie, a to nie to samo, choć dowiedzieli się oni wielu dość prostych rzeczy. Na przykład, że nasz podziwiany doktor Serra nigdy nie wstąpił do Kolegium Lekarzy. Zatrzymał się tylko na parę tygodni w pewnym luksusowym hotelu w stolicy, o czym sam powiadomił kolegium - i nagle zniknął. Tak po prostu. Zniknął. Moi koledzy z Madrytu i ja zdaliśmy sobie natychmiast sprawę, że szukanie jego śladów jest bezcelowe, po prostu dlatego, że ich nie ma.

Adwokat Marcos Solana poczuł, że przenika go chłód do szpiku kości.

Miał do czynienia z człowiekiem, który nie rodził się ani nie umierał, choć w rzeczywistości rodził się i umierał setki razy.

Nie poznał własnego głosu, kiedy spytał:

- Rejestr Cywilny...?

- W tym wypadku nawet tu nic nie ma. Nie znamy miejsca, w którym urodził się doktor Serra, nie wiemy zatem, gdzie szukać.

Ale widzę, że błyszczą panu oczy, jakby pan miał halucynacje, mecenasie, i chciałbym pana uspokoić.

- Tak? W jaki sposób?

- Uświadamiając panu, że znikanie jest jedną z najczęstszych okoliczności ludzkiego życia. Nie mówię już o wojnach, podczas których jakaś osoba rozplywa się w powietrzu i trzeba czekać długie lata, żeby rozpocząć formalności związane z uznaniem jej za zmarłą. Nie, nie trzeba się do tego odwoływać. Każdego dnia giną starcy i nikt już więcej o nich nie słyszy, chłopcy, którzy uciekają, bo chcą odnaleźć własne życie, a najprawdopodobniej znajdują grób, o czym nikt się nie dowiaduje. Dziewczyny, zwiędzone lub uprowadzone, w najgorszym razie pogrzebane pod jakimś drzewem, koło którego bawiły się z rodzicami. Nikt nigdy więcej nie słyszy o tych starcach, o tych chłopakach żadnych przygód, o tych rozkwitających dziewczętach. Ja wiem o tym najlepiej, ja, który ciągle muszę zamykać bezskuteczne dochodzenia... Niech to pana nie dziwi, mój przyjacielu, że w ciągu tylu lat zniknął jakiś bankier i jakiś lekarz.

- Ale nie obaj z tą samą twarzą i bez żadnego wpisu w Rejestrze Cywilnym.

Komisarz wykonał gest zrozumienia, który prawie niczym się nie różnił od gestu bezsilności.

- Mecenasie... - spytał półgłosem - czy wierzy pan w Szatana?

18.

Żelazne łoże

Chyba już mówiłem, że zaistniały dwie okoliczności, które zmieniły wszystko wśród spokoju i zapomnienia kościoła Nuestra Señora del Coll: moja wizyta w Trybunale Inkwizycji i poznanie pewnej dziewczynki, która chciała umrzeć.

Nie potrafię powiedzieć, która z nich była ważniejsza, ale zaczęłam od wizyty w Inkwizycji, bo ta miała miejsce wcześniej. Do tej wizyty zmusił mnie proboszcz, gdyż musiał uzupełnić swoje archiwa, a tylko ja umiałem czytać, poza tym znałem wszystkie fakty historyczne, o jakie mogli pytać. Tak więc dał mi list polecający, kawał chleba, kilka gramów boczku i pożegnał mnie tymi słowami:

- Jesz niewiele, więc nie umrzesz z głodu. Co do wody, znajdziesz jej po drodze tyle, ile zechcesz.

Rzeczywiście barcelońska równina poprzecinana była wypływającymi z gór strumieniami i potokami, nad którymi często budowano domy i ulice. Później, w odległym czasie, który jeszcze zagubiony był we mgle, miałem być obecny przy budowie Rambla de Cataluña nad strumieniem Maila. Ale wtedy było to czymś, czego nawet nie mogłem sobie wyobrazić.

Było ryzykowne wchodzić znowu do Barcelony wewnątrz murów z twarzą, która zupełnie się nie zmieniła, ale musiałem być posłuszny, żeby nie wywołać nieufności proboszcza. I nie pozostawało mi nic innego, jak odbyć tę bardzo długą drogę na ulicę Condes, gdzie mieścił się Trybunał Inkwizycji. Czy też, mówiąc ściślej, jeszcze się tam oficjalnie nie mieścił. Jedna z najbardziej ponurych instytucji, jakie zna historia, nie miała swojego centrum w kompleksie Pałacu Królewskiego aż do następnego wieku, ale już wtedy prowadzono tam wiele przesłuchań. Jej lokale znajdowały się obok salonu Tinell i wyróżniały się półkolistymi łukami, które jako jedne z niewielu elementów architektonicznych nie uległy niszczącemu działaniu czasu. Cała część pałacu przydzielona Inkwizycji była posepna i złowieszcza i miała bezpośrednie wejście od ulicy Condes przez bramę, którą później, po latach, zamieniono na solidną kratę, co widziałem na własne oczy. Natomiast nie zmienił się herb znajdujący się nad tą bramą, który teraz zdobi Museo Marés. Z biegiem wieków wracałem tam, by podziwiać dzieła sztuki, i obserwując twarze zwiedzających, widzę, że nie zdają oni sobie sprawy z tego, iż w tych samych murach można było słyszeć potworne oskarżenia, krzyki bólu i wyroki skazujące na stos. Dziwi mnie, że spotykam w muzeum damy z socjety, którym potrzebna jest porcja kultury, by miały czym zabłysnąć na swych spotkaniach towarzyskich, i staruszki rozmawiające szeptem, jakby nie ośmielały się zakłócać sekretnego spokoju zmarłych.

Otóż w owych czasach Święte Oficjum nie miało jeszcze oficjalnej siedziby w tym miejscu, ale funkcjonowało. Wszedłem do miasta przez bramę del Ángel, gdzie wcześniej mieścił się targ niewolników, i zobaczyłem, że targ na Plaza del Pino, w pobliżu którego piłem zwierzęcą krew, działa tak samo jak dawniej, zanim opuściłem Barcelonę. Zdałem sobie sprawę, że jestem teraz

w bogatszym mieście: otwarto więcej sklepów i warsztaty cecho-
we były znacznie lepiej urządzone, choć nadal pracowano na uli-
cach. Ludzie chodzili lepiej ubrani, ale powietrze nadal było gęste
i cuchnące, gdyż ulice pozostały wąskie, a do tego wzrosła liczba
mieszkańców. Barcelona dusiła się i zaczynano mówić o budowie
mieszkań nad ulicami, tak że te miały się przekształcić w rodzaj
tuneli. Jednocześnie wznoszono nowe budynki po stronie kanału
Condal, toteż wątpię, by ktokolwiek znał liczbę mieszkańców ów-
czesnej Barcelony. Za murami, w Raval, gdzie dawniej mieszka-
łem, gnieździły się już na kupie całe tłumy.

Ale ja bałem się, że ktoś mnie rozpozna, dlatego włożyłem
czapkę, która zasłaniała mi część twarzy; zbyt uczciwa przezorność,
bo wszyscy byli zajęci swoimi sprawami i - podobnie jak to będzie
wieki później - nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Kiedy znalazłem się w Trybunale, zgłosiłem się do sekretarza,
który nie okazał mi najmniejszego zainteresowania, chociaż mó-
wiłem do niego poprawną łaciną. Kazał mi poczekać i zostałem
zamknięty w sali, gdzie były dwie długie kamienne ławy i z górą
dziesięć osób w takiej samej jak ja sytuacji. W pierwszej chwili
nie wiedziałem, co tam robią, ale szybko się zorientowałem z łą-
kiem, że wszystkie one zostały wezwane na pierwsze przesłucha-
nie. Inkwizycji przedstawiano wiele przypadków wątpliwych,
głównie w wyniku donosów, i nie było nic dziwnego w tym, iż
przesłuchanie wstępne przeprowadzano bez obecności oprawców
i ekspertów od tortur. Wszystko miało pewne cywilizowane, na-
wet kulturalne pozory, bo natychmiast zdałem sobie sprawę, że
zebrani tam ludzie byli na pewnym poziomie. Inkwizycja nigdy
nie przesłuchiwała prostaków, tych, co ograniczali się do powta-
rzania słowa bożego, tylko tych, co osądzali to słowo.

W moim kraju było to zawsze elementem stałym i nic nigdy nie spowodowało jego zmiany: każdy, kto myśli, jest podejrzany. Najlepiej jest wszystkiemu przytakiwać i oklaskiwać tego, kto ma władzę.

Na przykład jednym z oczekujących był pewien chirurg, który spędził lata na królewskich galerach, podejrzany o to, że jest saraceńskim piratem. Opowiadał smutnym i monotonnym głosem o losie wioślarzy, którzy byli przykuci łańcuchami do ławek i musieli na nich załatwiać własne potrzeby, tak więc z dna każdego statku wydobywała się woń zgnilizny, rozpoznawana w odległości wielu mil. Nie było nic brudniejszego na świecie niż galera - mówił ów człowiek - ani nic bardziej wywołującego infekcje, choćby rany były całkiem niepozorne. Lęły się w nich robaki, ale rzeczą zadziwiającą było to - opowiadał chirurg - że takie rany goiły się najlepiej, bo robaki zjadały gnijące fragmenty, pozostawiając te zdrowe. Mnie kręciło się w głowie od samego słuchania jego słów. A do tego, gdy wybuchał pożar, wioślarze nie byli uwalniani i palili się żywcem. Kiedy indziej, jeśli dostawali się do niewoli, eliminowano ich w szybki i higieniczny sposób: powiązanych razem na brzegu, tak żeby nie mogli płynąć, holowano zwycięską galerą na pełne morze, aż tonęli w głębinie wód.

Ludzie, którzy poznali świat, potrzebują, żeby ich słuchano, a ten dawny chirurg nie przestawał mówić. Ale najstraszniejsze dla mnie były jego opisy operacji na czaszce. Mówił, że trepanacja jest najlepszym przykładem chirurgii, gdyż już starożytni Egipcjanie ją praktykowali, i że wiedział, gdzie dokładnie świdrować bez konieczności podnoszenia całej pokrywy mózgu. Za pomocą jednego uderzenia czy otworu, nawet w najbardziej opornych przypadkach, poznawał, gdzie znajdują się zgubne humory, usuwał lub oczyszczał niewielką część mózgu, a potem ją ponownie

zakrywał. Jedynym złym następstwem tego zabiegu - przyznawał - było to, że czasami operowani zapominali, jak się nazywają, nie poznawali swoich towarzyszy lub po prostu wariowali. Ja nie miałem wtedy pojęcia o tym, że każda część mózgu reguluje inną funkcję, ale ów człowiek recytował je z absolutną precyzją, jak znacznie później miałem stwierdzić, słuchając innych lekarzy. Mogę przysiąc, że od tego czasu ulepszono instrumenty i metody, ale wszystkie główne zasady zawierają się już w starożytnej medycynie, chociaż jej księgi zaginęły i zamarły głosy tych, co potrafili ją wyjaśniać.

Jednak brutalność opowieści, które płynęły z ust tego medyka - wielkie rzezie, niekończące się agonie - wywoływała we mnie jednocześnie odrazę i przerażenie. Człowiek ów nie wiedział, dlaczego mają go przesłuchiwać; można jedynie było sądzić, że skoro przeprowadził kilka cudownych kuracji, zaczynała mu towarzyszyć sława czarownika. Nie wróżyło to niczego dobrego, szczególnie gdyby dowiódł przed Inkwizycją, że wie więcej niż ona.

Inny wezwany był alchemikiem. Dziś nazwałoby się go chemikiem w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jego wiedza na temat właściwości materii, zwłaszcza organicznej, związanej z węglem, wydawała się wprost niewyobrażalna. Zdałem sobie sprawę, że od tych ludzi mogłem w ciągu kilku godzin nauczyć się więcej niż przez całe życie, chociaż nie miałem świadomości, ile moje życie dotąd trwało.

Nagle wszystko się skończyło.

Do sali wszedł surowo ubrany mężczyzna i przyjrzał się nam kolejno swoimi głębokimi, lodowatymi oczami, które ścinały nawet myśli. Naturalnie mnie przyjrzał się również i zdałem sobie sprawę, że natychmiast mnie rozpoznał.

Musiało niechybnie tak się stać. Mężczyzną, który właśnie wszedł, był Ten Drugi. Teraz miał mnie w ręku.

W owej chwili wiedziałem już, że tam, w pałacu Inkwizycji, miało się zakończyć moje życie.

Można by powiedzieć, że Ten Drugi był ubrany jak duchowny, choć nie miał na sobie sutanny. Ciemny, zapięty po samą szyję strój, surowy wygląd i zimne spojrzenie nadawały mu wygląd mściwego Boga. Był krótko ostrzyżony, nie miał tonsury, a jego twarz nie zmieniła się, odkąd po raz pierwszy go ujrzałem. Podobnie jak ja sam Ten Drugi wydawał się nie mieć wieku.

Przyglądał mi się przez długą chwilę, jakby się dziwił, że miałem czelność tu przyjść. Potem uśmiechnął się półgębkiem, pojawiając, że jestem na jego łasce. I w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie wyszeptał:

- Ja tutaj pracuję.

Było to logiczne. Gdzie, jeśli nie w Inkwizycji, miał pracować ktoś taki jak on, którego powołaniem była śmierć? Natychmiast zrozumiałem, że każe mnie aresztować, podda torturom w jednej z wewnętrznych sal, a to, co zostanie z mojego ciała, zachowa na stos autodafé.

Po raz pierwszy od wielu lat poczułem lęk. Przypomniałem sobie, że to on powiesił moją matkę.

On tymczasem szepnął:

- Chodź ze mną.

Niektóre pomieszczenia pałacu Inkwizycji były nawet eleganckie, zwłaszcza gabinet, do którego zostałem wprowadzony. Miał solidne drewniane meble, mniszne fotele, a surowość kamienia

mitygowało kilka gobelinów, które, jak sądzę, pochodziły z Flandrii. Na stole stał wielki krucyfiks z kości słoniowej, który już nie zrobił na mnie wrażenia - dawniej krzyże napawały mnie lękiem - bo ciągle widywałem podobne na grobach.

Usiadł po drugiej stronie stołu i z lodowatym spokojem powiedział:

- Jestem jednym z sekretarzy Inkwizycji, najważniejszym. Nie wydaję wyroków, ale to ja decyduję na przesłuchaniach, dokąd sięga wiara podejrzanych.

I tym samym lodowatym głosem dodał:

- W twoim wypadku nie trzeba o niczym decydować.

Począłem kilka sekund, nie wiedząc, co myśleć, świadom, że jestem zgubiony. Nigdy nie wyjdę żywy z jednego z najbardziej złowieszczych budynków Barcelony, a jeżeli nawet, to jedynie po to, by powiedli mnie na stos. Chłód, który panował w tym pomieszczeniu, był przerażający, jakby kamienie ścian zostały wcześniej wyrwane z grobowców. Ten Drugi odwrócił nieco głowę, odsłaniając część szyi, i zauważyłem, że na jego skórze coś błyszczy. Cieniutki łańcuszek, który moja matka nosiła aż do chwili śmierci, jeszcze istniał.

W jego lodowatych oczach pojawiła się nienawiść, ale miałem dziwne wrażenie, że jest niezadowolony z tego uczucia. Że ma już dosyć tego, iż musi nienawidzić. Że czeka, bym na przykład padł na kolana i ucałował jego stopy. Bym wykrzyczał moją skrucę z głębi stuleci.

Albowiem powiedział matowym głosem:

- Ty przybywasz z głębi stuleci.

Dostrzegłem niejasno, że odgadł on to, czego może ja sam nie wiedziałem.

Zapytałem nieswoim głosem:

- Przybywam z głębi stuleci? Dlaczego?

- Bo Stworzenie jeszcze się nie zakończyło.

Dziewczynka, która chciała umrzeć, miała zaledwie jedenaście lat; była jasnowłosa, drobna, lecz z sugestywnymi kształtami kogoś, kto wkrótce stanie się kobietą. Bardzo szczupła w pasie, miała zaznaczające się już, twarde piersi - *serà mamelluda**, * Będzie cycata (katal.). mówili znawcy z odległej dzielnicy - i przede wszystkim mięsiste, jakby narysowane pędzelkiem wargi, spoza których wylaniały się całe, bardzo białe zęby. „To cud boski” - mówił sam proboszcz, bo uzębienie nawet zupełnie młodych ludzi było na ogół niekompletne, ciemne i częstokroć pełne zgnilizny. Ludzie patrzyli na nią i wierzyli w boski cud.

Ta sierota, przygarnięta z litości przez jedyną zamożną rodzinę w okolicy, była najbardziej nieznaczącą wyrobnicą w domu pełnym nieufnych, wyniosłych kobiet, dumnych ze swoich pieniędzy, jako że nie mogły odczuwać dumy z niczego więcej, władczych i przekonanych, że Bóg daje każdemu jego rolę w życiu. Tylko dwóch mężczyzn, ojciec i syn, składało się na męskich mieszkańców domu. Ojciec, pan domu, właściciel wielkiego obszaru ziemi, lecz tylko jednego zęba, wszedł pewnej nocy do komórki, gdzie spała dziewczynka.

Rozłożył jej nogi pogardliwym gestem kogoś, kto bada sztukę bytła.

Jęknęła.

Uderzenie na odlew w twarz uciszyło ją i wypełniło krwią jej usta.

Wtedy mężczyzna wszedł w nią głęboko, tak głęboko, jak tylko mógł, podczas gdy ona powstrzymywała krzyk i wiała się z bólu.

Mężczyzna wyładował się na niej z jękiem rozkoszy.

- Jeżeli zajdziesz w ciążę z panem domu, nie oczekuj, suko, że uznam dziecko - zapowiedział, gdy odzyskiwał pionową pozycję, opierając się o piersi dziewczynki.

Najgorszym upokorzeniem dla niej nie była utrata dziewictwa, ból, uległość, tylko świadomość, że ten człowiek nie przywiązuje najmniejszej wagi do tego, co przed chwilą zrobił.

Jakby wyładował się na krowie.

- I przede wszystkim - dodał gospodarz, zapinając się - nic nie mów mojemu synowi.

Mężczyzna, który nie wiedział, co to śmierć, wyprostował się w mniszym fotelu i powiedział:

- Nie, Stworzenie jeszcze się nie zakończyło.

Milczałem.

Nie wiedziałem, czego chce Ten Drugi, chociaż nie mogłoby to być dla mnie dobre. Zacisnąłem usta.

- Zasada Dobra zawsze będzie walczyć z zasadą Zła - szepnął Ten Drugi. - I tak pozostanie po kres czasów.

Nie ośmieliłem się powiedzieć, że może nie było Stworzenia, tylko seria kosmicznych sił, które ewoluowały poprzez wieki i kazały nam ewoluować wraz z nimi. Nie ośmieliłem się, gdyż mówiąc to w pałacu Inkwizycji, wydałbym na siebie wyrok śmierci.

Istniały w Barcelonie osoby, które bardziej wierzyły w ewolucję niż w Stworzenie, ale większość tych osób już nie żyła. To znaczy nie tyle teraz istniały, ile istniały w swoim czasie.

Wzruszyłem ramionami. Tak czy owak, czyż mogłem marzyć, że wyjdę stąd żywy?

- Bóg - powiedział mężczyzna, który siedział naprzeciwko mnie - uzupełnia Stworzenie poprzez Ducha Świętego, który nigdy nie spoczywa w swej walce ze Złem i ma tylko jednego tłumacza swoich intencji: papieństwo. Jest rzeczą oczywistą, że w tym samym czasie Zło, Szatan, też nigdy nie spoczywa.

- A jak to robi? - odważyłem się spytać.

- Za pośrednictwem takich istot jak ty. Pomocników Szatana. Synów zrodzonych z jego sekretnego nasienia. Małych potworów, przeciw którym trzeba będzie walczyć aż do dnia Sądu Ostatecznego. Istot, które trzeba będzie wyeliminować, żeby nie rozprzestrzeniały swojego nasienia. Nie wiem, czy kiedykolwiek myślałeś o tym, że zawsze miałem święty obowiązek cię zabić.

Wzdrygnąłem się znowu w mojej małości wobec Tego Drugiego, który w głębi - teraz zdawałem sobie z tego sprawę - należał do tego samego gatunku coja: gatunku nieśmiertelnych. Ja byłem nieśmiertelnym, który już wkrótce miał przestać nim być.

- Muszę to zrobić - dodał z lodowatym uśmiechem. - Muszę to zrobić, żeby na świecie nadal rządziło Dobro.

Dziewczynka, która chciała umrzeć, zrozumiała, że ma już sponiewierany brzuch, ale nadal miała białe zęby. Jej brzuch był coraz bardziej sponiewierany, bo gospodarz odwiedzał ją co noc, z rosnącym pożądaniem, chełpiąc się, że Opatrzność dała mu najpotężniejsze przyrodzenie w całej okolicy. I musiało to być prawdą, bo cierpienia dziewczynki były coraz potworniejsze. A mężczyzna powtarzał za każdym razem, kiedy z niej zsiadał:

- Nie mów nic mojemu synowi.

Mogła opowiedzieć o wszystkim kobietom z rodziny, których był legion - i wszystkie, w ten czy inny sposób, były paniami domu - ale dziewczynka, która pragnęła umrzeć, wiedziała, że w ten sposób do bólu i wstydu dojdzie tylko pogarda. Jedyłą rzeczą na pozór ważną było to, żeby nie dowiedział się o niczym dziedzic, to znaczy syn.

To jasne, że wszystko, co złe, może się jeszcze pogorszyć, jak powiada stare przysłowie, które potem jednogłośnie uznali naukowcy. Najpierw gospodarz zdziwił się brzuchem dziewczynki, która nauczyła się nie płakać i może tym wywoływała sekretne rozczarowanie gospodarza, tak więc poszukał innego sposobu. Chociaż sodomia uchodziła za haniebnny grzech i mogła być karaną śmiercią, nigdy nie budziła aż takiego potępienia, jeśli była dyskretnie praktykowana między właścicielem i niewolnicą (nie niewolnikiem) czy służącą (nie służącym). I w ten sposób mężczyzna z jednym zębem dowiedział się, że dziewczynka może znowu zacząć płakać, co przydawało nocom koniecznych emocji. Czasami gospodarz musiał nawet zasłaniać jej usta.

Dziewczynka, która chciała umrzeć, znowu zaczęła krwawić.

A gospodarz znowu ostrzegł ją po ojcowsku:

- Nic nie mów mojemu synowi.

Ten Drugi postanowił, żeby mnie uwięziono w samym pałacu Inkwizycji, do którego wszedłem od strony, gdzie dzisiaj istnieje krata. Było oczywiste, że nie ma takiej władzy, żeby kazać mnie spalić, bo do tego konieczne były wszystkie formalności procesu i autodafé, ale mogłem umrzeć „przypadkowo” podczas tortur. I nie tracąc chwili, to właśnie postanowił.

- Przykro mi - rzekł - ja lubię szybką śmierć.

Ta, która mnie czekała, nie była szybka, choć musiała wyglądać

na przypadkową. Podczas gdy kazano mi czekać w jednym z pomieszczeń pałacu, Ten Drugi szukał dwóch świadków, którzy mogliby mnie zadenuncjować, wiedząc, że jakoby odprawiam diabelskie rytuały. To by już wystarczyło, żeby poddać mnie przesłuchaniu i torturom.

On oczywiście nie miał być przy tym obecny, do tego by się nie zniżył. Należał do niebiańskich korpusów doktryny, które zawsze zachowują swoją godność, gdyż nie widzą, jak wielkie cierpienia sprawia doktryna istotom ludzkim. Papieże nie uczestniczą w torturach i egzekucjach, Bóg nie uczestniczy w torturach i egzekucjach, Bóg tylko JEST.

Jeden z oprawców doprowadził mnie do żelaznego łoża, do którego przywiązywano istotę ludzką mającą oczyścić swoje sumienie. Z ramy sterczały metalowe kolce, ale były one umieszczone ukośnie ku wezłowi, tak że nie wbijały się natychmiast w ciało, kiedy cię na nich kładziono. Tortura zaczynała się dopiero, gdy koło wprawiano w ruch.

Stopy torturowanego były przywiązywane do osi koła umieszczonego w nogach łoża, które pomocnik oprawcy zaczynał obracać w dół. Ofiara, przywiązana również do wezłowi, cierpiała zatem nie tylko męki rozrywania mięśni; kiedy ciało zaczynało się ześlizgiwać, żelazne kolce wbijały się w nie po samą obsadę. Było niemal niemożliwe zejść żywym z owego łoża, choćby trzymano cię na nim bardzo krótko.

Przywiązując mnie do tej maszyny tortur za dłonie i stopy, oprawca powiedział:

- Lepiej, żebyś od razu się przyznał.

Mężczyzna ze wzwiedzionym fallusem, słynnym w całej okolicy, musiał pojechać na targ koni do Vic, toteż zostawił samą sierotę,

która chciała umrzeć. Konie były wysokiej klasy, araneńskie ogiery; handlarze prowadzili je z doliny, czasem kończąc swoją drogę w mieście, które niegdyś było imperialną Tarraco*.* Obecna Tarragona. Szli pieszo całymi dniami, nie dosiadając koni i starając się, żeby wyglądały możliwie najlepiej. Mężczyzna ze zwiedzionym fallusem nie zadawał sobie takiego trudu: pojechał do Vic wozem, chociaż stracił na to całe dwa dni - dwa dni i dwie noce.

Już pierwszej nocy dziewczynkę, która chciała umrzeć, odwiedził syn, dziedzic, duma i honor wszystkich fallusów poza murami miasta. Oczywiście dziewczynka, która chciała umrzeć, nie mogła go porównać z fallusem ojca, dopóki go nie ujrzała. Dziedzic, który miał już dwadzieścia lat i zachował przynajmniej połowę uzębienia, zaczął od skarg. Powiedział, że bycie *hereu***,** **Dziedzic (katal.). co było typową instytucją katalońskiej ziemi, zgodnie z którą najstarszemu synowi przypadało wszystko, jest prawdziwą karą, i zrozumiała to nawet dziewczynka, która chciała umrzeć. Musiał mieszkać w domu ojca, obrabiając własną pracą wszystkie posiadłości, co czyniło go w rezultacie niewolnikiem ziemi. Ale to nie wszystko: musiał wyposażyć każdą z siostr, kiedy będzie miała wyjść za mąż, a jeśliby miał braci, musiałby zapewnić im zdobycie jakiegoś zawodu. To jasne, że syn gospodarza nie skarżył się na to wszystko, tylko na to, co było najgorsze: że musi być zawsze posłuszny ojcu i matce, dopóki ci nie umrą. To oni byli w rzeczywistości właścicielami, praktykowali dyskretną i stałą tyranie, zmuszali do uległości i całowania po rękach, jak prawdziwi królowie. Oczywiście dzięki instytucji *hereu* posiadłości katalońskie nie rozdrabniały się i przynosiły dochód, podczas gdy w niektórych królestwach, na przykład w Galicji (jak słyszał od

sezonowych żniwiarzy), każdemu z nich przypadało, mówiąc obrazowo, ćwierć krowy. Każdy naród ma swoją logikę, ale - dodał - logika nie zawsze jest dobra.

Dziewczynka, która chciała umrzeć, szybko się uczyła.

Na przykład logika była zła, kiedy ojciec miał prawo sprawować władzę nad wszystkimi osobami ze służby, zapominając o innych, które też miały swoje potrzeby i pragnienia. Dziewczynki nie uważano za kobiety, lecz za przedmiot. A z przedmiotami się nie grzeszy. Tak więc on, żeby nie naśladować we wszystkim ojca, postara się zrobić coś innego, i zdziwiło go - już przedtem go dziwiło - że dziewczynka, która pragnęła śmierci, ma wszystkie zęby: trzeba było szukać siły życiowej w tej opatrnościowej przestrzeni zębów. I wtedy pokazał jej, że rodzina może być zadowolona ze swoich atrybutów, nie tylko ze swoich ziem, i dziewczynka, która chciała umrzeć, poczuła, że się dławi. I znowu zaczęła płakać i pluć: nasienie, ból i bezsilność.

- Lepiej, żebyś od razu się przyznał.

I tak zrobiłem. Po co zaprzeczać, że czciłem diabła, skoro według Tego Drugiego, potężnego, mądrego, byłem synem diabła? Poprosiłem, żeby zapisano moje wyznanie, czego nie przewidział Ten Drugi, licząc na to, że umrę na torturach. Wyznanie wymagało pewnych formalności, wśród nich obecności pisarza, aby zaprotokołować, że moje słowa są dobrowolne i że nie byłem torturowany, co oznaczało chwilowo gwarancję dla mojego życia. To też złożyłem wyznanie, a ponadto uczyniłem to z pewną moralną szczodrością, ponieważ postanowiłem, iż nikomu nie zaszkodzę.

Pierwszą rzeczą, jaką musiałem zrobić, było zbadanie samego siebie. Matka? Niewolnica prostytutka. Okoliczności mojego

urodzenia? Było możliwe, że przyczynił się do niego ktoś, kto stał ponad prawami świata. Mój wiek? Nie znałem go, choć może zbliżał się do trzydziestu lat. W rzeczywistości, ponieważ fizycznie prawie się nie zmieniałem, nie było niczego, co mogłoby mi posłużyć za punkt odniesienia. Jeżelibym powiedział, że mam dwadzieścia lat, uwierzono by; zależnie od tego, jak się ubierałem, wyglądałem na młodszego albo starszego i czasami wykorzystywałem to, żeby mnie nie rozpoznano. W miejscach, które odwiedzałem, nie było luster ani niczego, co odbijałoby moją podobiznę: z wielkim trudem widywałem ją odbitą w kałużach. Ale zdawałem sobie sprawę, że mogę wyglądać atrakcyjnie i że moja kultura, znacznie wyższa od przeciętnej, może nawet czynić ze mnie pociągającego mężczyznę. I nic ponadto. Nie mogłem powiedzieć prawie nic o sobie samym.

To wystarczyło, żeby mnie poddać torturom (jeżeli nie miałem logicznej historii, mogłem mieć historię nadprzyrodzoną), tak więc wymyśliłem sobie biografię: służący, syn prostytutki i nieznanego ojca. W rzeczywistości były setki takich jak ja, a poza tym w pewien sposób mówiłem prawdę. Inną sprawą był mój wymiar moralny.

Jaki był mój wymiar moralny?

Może nigdy nie zadałem sobie tego pytania. Byłem prześladowany i jako taki miałem prawo gromadzić w sobie nienawiść, choć dopiero w owej chwili pojąłem, że nigdy dotąd nie analizowałem swoich stanów świadomości. Czy byłem przeznaczony dla Zła? Czy było właśnie tak, jak mówił Ten Drugi? Czy byłem potomkiem diabła?

Czy zmuszało mnie to do nieposiadania świadomości?

Zdałem sobie sprawę, że tak nie jest. Zdałem sobie sprawę, że znam Dobro i znam Zło. W rzeczywistości za pomocą Zła nadawałem

godność Dobru, tak jak Dobro nie byłoby Dobrem, gdyby nie istniało Zło. Doszedłem do wniosku - o tych sprawach dotąd nie myślałem - że Szatan jest mądrym stwórcą wieloznaczności i tym samym jest też stwórcą ludzi. Że Stworzenie jest dziełem całościowym, które się nie skończyło (powiedział mi to Ten Drugi) i do którego przyczynia się każdy człowiek swoim ziarenkiem piasku.

Sam nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Nie było to takie proste.

W taki sam sposób, w jaki przyczyniamy się do tworzenia miasta, przyczyniamy się do tworzenia świadomości.

Zadałem sobie pytanie, czy ta świadomość została mi w sposób konieczny dana.

Doszedłem do wniosku, że nie.

Że ja sam mogę przyczyniać się do jej tworzenia. I że może Szatan, koniec końców też prześladowany, był wobec mnie bardziej tolerancyjny niż Bóg.

Ale tego nie mogłem powiedzieć w swoim wyznaniu.

- W rzeczywistości niczego nie wyznaje - powiedział pisarz. - Tylko tracimy czas.

Był to znak, żeby zmuszono mnie do mówienia, a ja dobrze wiedziałem, co to znaczy.

Wystarczył suchy rozkaz, żeby przywiązano mnie nagiego do żelaznego łoża.

19.

Klejnoty są czasem

Wszyscy wiedzieli, że Marta Vives używa w kancelarii Internetu, ale nie lubiła tego robić w swoich prywatnych badaniach. Znajdowała w sieci wielką ilość informacji, ale nie były one wystarczająco dawne i nigdy nie mogły dorównać tym, które znajdowała w starych archiwach, w czym była autorytetem, jaki może z biegiem lat zostanie uznany.

A może już był uznany.

Tylko tak można było wytłumaczyć to, że nawiązała przez Internet kontakt z jubilerem, który bał się, że zobaczy diabła.

Marta Vives poszła na spotkanie.

Postanowiła zapomnieć na kilka godzin o swojej antenatce, która została zamordowana i której brązowy krzyż został zrabowany z grobu na starym, zapomnianym już cmentarzu Sant Pau del Camp.

Zamordowana kobieta, o której wiedziała, że miała córkę...

Jubiler nie był jubilerem. Raczej należało powiedzieć, że kiedyś nim był. Miał zakład na ulicy Fernando w pobliżu Ramblas, lokal, w którym posługiwano się starymi pieniędzmi, gdzie przychodziły damy w gorsetach, a godne sale zdobiły stiuki na sufitych.

Stiuki przetrwały do dziś, ale miejsce nie było już godne, stare

pieniądze odeszły na Paseo de Gracia, a damy w gorsetach zostały zastąpione przez zuchwałe dziewczyny pokazujące pępek. Marta Vives, kobieta może staroświecka, zdawała sobie pomалу sprawę, że pępek przekształcił się w rozpaczliwe erotyczne wołanie o pomoc.

Jubiler, który nie był już jubilerem, przekwalifikował się na modnego projektanta. W rzeczywistości był nim zawsze. Opierając się na modernistycznych kryteriach, które pozostawił Gaudi, tworzył ekskluzywną biżuterię: owady, ważki, splecione łańcuchy, skrzydła, które były ze złota, lecz wydawały się zrobione z powietrza.

- Niech pani usiądzie, moja droga.

Marta Vives pamiętała te projekty. Godziny spędzane w archiwach i pinakotekach oswoiły ją z portretami dam ozdobionych nieśmiertelnymi klejnotami, dziś przekazanymi wnuczkom i przechowywanymi w bankowych sejfach. Kiedy ujrzała jubilera, przypomniała sobie niektórych swoich klientów, takich jak Roca, od wieków, zdawałoby się, związany z Paseo de Gracia, Domènech z siedzibą w Galerías Condal i wreszcie Suárez, obrający nowymi pieniędzmi. Wielcy jubilerzy potrzebowali kogoś twórcy, a człowiek, który stał przed Martą, był nim.

- Przepraszam, że panią niepokoiłem, kiedy spotkaliśmy się na czacie. Myślę, że w gruncie rzeczy szukaliśmy tego samego: pani - historii dotyczących dawnych kobiet, które dotąd mają jakieś miejsce w czasie; ja - biżuterii noszonej przez damy jeszcze na początku dwudziestego wieku, żeby się nią inspirować przy projektowaniu. Natychmiast się zorientowałem, że jest pani prawdziwym autorytetem.

- Nie w sprawach biżuterii - wyznała Marta Vives. - Zarabiam na życie jako aplikantka adwokacka, ale moim prawdziwym

powołaniem jest historia i archeologia. Prowadziłam w tych dziedzinach seminaria.

- I była pani ekspertem Salonu Antykwarystów. To tam usłyszałem pani nazwisko.

Marta Vives uśmiechnęła się. Może w tym uśmiechu nie było dumy, tylko coś przeciwnego - nieśmiałość i zażenowanie.

- Płacili mi tak niewiele, że nie mogłabym się z tego utrzymać.
- A z aplikantury?
- Przynajmniej to coś stałego.
- Jest pani bardzo młoda jak na uznanego eksperta.
- Wątpię, żebym była tak postrzegana. Ale spędziłam tyle lat wśród starych papierów, że zwątpiłam, bym kiedykolwiek była młoda.

Projektant pokazał jej swoje ostatnie dzieła, czy raczej pomysły dzieł: dziesiątki rysunków, metalowe modele, stare fotografie, którymi inspirował się w swoich koncepcjach, katalogi powstałe dawno temu po jakimś galowym przedstawieniu w Liceo... Kiedy skończył, usiadł przed białym arkuszem papieru.

- Pani wie, że nazywam się Masdáu.
- Pan wie, że nazywam się Marta Vives.
- Pragnę prosić panią o konsultację i jeżeli pani tego zażąda, zapłacę pani za czas, jaki to pani zajmie. Tak będzie sprawiedliwie. Ale przedtem chciałbym zapytać, czy kiedyś pani to widziała.

I wprawnymi ruchami nakreślił na arkuszu cieniutki łańcuszek, który na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia zbyt wartościowego. Był to prosty łańcuszek, bardzo cienki, który, choć ze złota, nie zasługiwał na to, by go wystawić w jakiejś prestiżowej witrynie. Marta spojrzała na rozmówcę sceptycznie.

- A dlaczego miałabym to widzieć?
- Jest pani ekspertem. Widywała pani klejnoty w katalogach z całego świata.

- Nawet gdybym była rzeczywiście ekspertem - szepnęła Marta - ten konkretny łańcuszek nigdy nie zwróciłby mojej uwagi. Nie ma w nim niczego nadzwyczajnego. Ja w każdym razie tego nie dostrzegam.

- Proszę spojrzeć na rysunek. Widać to lepiej pod lupą, ogniwa mają formę szóstek.

Marta Vives przyjrzała się przez lupę rysunkowi. Był tak realistyczny, że zdawało się, iż niemal można dotknąć łańcuszka. Jego struktura wydawała się bardzo krucha, gdyż ogniwa były jakby otwarte: każde z nich wisiało na następnym za ogonek szóstki.

- Mimo to niełatwo go przerwać - powiedział Masdáu. - To niemal doskonale połączenia.

- Przypuszczam, że właśnie to nadaje łańcuszkowi wartość - wyraziła swoją opinię Marta - bo przecież ilość materiału potrzebna do jego zrobienia jest niewielka.

- Owszem.

- Czy to znaczy, że ten projekt ma małą wartość?

- Przeciwnie, jest niezwykle i stanowi wyzwanie nawet dla doświadczonego jubilera. Ale jego rzeczywista wartość polega na tym, że jest to przedmiot, którego nigdy nie widziałem, a przecież mam doświadczenie. Dlatego chciałem wiedzieć, czy pani kiedykolwiek go widziała.

- Nie.

- Co jeszcze bardziej przekonuje mnie co do rzadkości tego klejnotu i co bez wątplenia nadaje mu wartość. Ale nie o to chodzi. Prawdziwa wartość tego unikatku - o ile rzeczywiście ją posiada

- tkwi w jego historii. Kiedyś, szukając nowych pomysłów, kupiłem kolekcję bardzo starych rycin: koszmarem twórcy jest znaleźć coś, czego inni jeszcze nie znaleźli. Były tam rysunki dam ze starą biżuterią, a właśnie to mnie interesowało. Ale nagle, w stosie starych papierów, znalazłem opis pewnego satanistycznego rytuału. Nic specjalnego, bo te rytuały pojawiają się we wszystkich epokach i we wszystkich krajach; wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby w Barcelonie były dotąd praktykowane. Ale ten diaboliczny rytuał, w którym chwilowo nie było ofiar, został nagle przerwany przez rodzaj antydiabła, mężczyznę ubranego na czarno, o którym, jak się zdało, nikt niczego nie wiedział, a który zabijał sztyletem jednego z uczestników. Rycina była stara, sądzę, że z szesnastego wieku, tak więc nawet sztylet, bardzo dobrze narysowany, wydał mi się dobrym pomysłem na projekt dla naszych czasów. Natomiast mężczyzna, który przerywał ceremonię, nie był zbyt dobrze narysowany. Był to ktoś w nieokreślonym wieku, ubrany w elegancki czarny strój. Ale na jego szyi wisiało coś, co z kolei było bardzo dobrze narysowane. Ten łańcuszek. Wydawał się tak niezwykle, że niemal wywołał u mnie obsesję. Natychmiast pomyślałem, żeby zrobić jego imitację, i dlatego zachowałem te stare ryciny. Choć muszę przyznać, że z pewnym lękiem.

- Dlaczego?

- Diaboliczne rytuały wydają mi się praktykami tak dawnymi i tak bardzo związanymi z tajemnicami ludzkiej natury, że budzą we mnie niepokój. Ale w tym wypadku był to nawet lęk. Wszystko to było tak doskonałe, tak realne, że aż bałem się trzymać te ryciny w domu. I pewnego dnia ktoś je ukradł. Nie wiem jak. Mój dom nie ma specjalnych zabezpieczeń, ale właśnie dlatego widać, że nie ma w nim wartościowych przedmiotów. Ponadto tylko ja

wiem, gdzie w nieładzie mojego gabinetu leżą konkretne rzeczy. Zwykły złodziej musiałby wszystko porozrzucić, zanimby je znalazł. Tymczasem wszystko było na swoim miejscu i brakowało tylko tego.

Marta Vives ugryzła się w dolną wargę niemal do krwi.

Przypomniała sobie o czymś bardzo szczególnym.

Ktoś ukradł fotografię jej matki, też niczego nie rozrzucając.

Na moment jej oczy zaszyły mgłą.

Nie wiedziała, co myśleć.

Projektant zapytał:

- Czy w swoich studiach widziała pani wiele rycin związanych z diabłem?

- Z pewnością tak, ale pamiętam konkretnie tylko jedną. Jest to obraz Michaela Pacherà, jak sądzę, z lat osiemdziesiątych piętnastego wieku. Jego tytuł brzmi *Święty Augustyn zmusza diabła, żeby mu potrzywał mszał*. Zawsze wydawało mi się, że w tym wypadku diabeł jest osobą bardzo poprawną.

- Ja też pamiętam ten obraz, ale nie było na nim żadnych klejnotów. A portrety dam w biżuterii? Czy pamięta je pani?

Marta Vives zbadała głębokie pokłady swojej pamięci. Cały jej mózg był ogromnym archiwum. Ale kto pozwoli jej zarobić na życie tylko z tego powodu? Czasami wątpiła, czy mózg ma jakąś wartość. Wiele osób twierdziło, że więcej warte są jej nogi.

- Pamiętam pewien obraz Leonarda da Vinci - szepnęła. - Nazywa się *Dama z lasiczką* i pochodzi z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego czwartego roku. Jest na nim przedstawiona młoda kobieta w pięknych koralach dwa razy określonych wokół szyi, z których jedna część ściśle do niej przylega, a druga zwiesza się między piersiami.

- Wielokrotnie robiłem ich imitacje - wyznał Masdéu. - To są jedne z najelegantszych koralików, jakie można stworzyć dla damy.

- A co pan powie o wisiorze *Najświętszej Marii Panny z Dzieciątkiem* Mistrza od Weroniki?

Masdéu spojrział na nią z podziwem.

- Było nieuniknione, żebyśmy pani i ja się w końcu spotkali - powiedział. - Jest pani jedną z najbardziej wykształconych kobiet, jakie poznałem, jedną z tych ponadczasowych. Czy pani wie, dlaczego poświęciłem swoje życie klejnotom? Bo też są ponadczasowe. Dobre klejnoty zawsze trwają, zawsze są kochane, a ponadto streszczają historię. Jednym z ich uroków jest to, że nigdy nie miały tylko jednej właścicielki: łączą się w nich pokolenia.

- Mogłabym wymienić kilka innych dzieł, które pamiętam - rzekła Marta, uśmiechając się z zamyśleniem. - Na przykład naszynnik Marii Burgundzkiej, córki Karola I Śmiałego. To jeden z najbardziej skomplikowanych i najpiękniejszych klejnotów, jakie widziałam.

- Podobnie jak ja. Też go naśladowałem w moich projektach, ale żadna imitacja nie może się równać ze wspaiałym oryginałem.

Marta Vives uśmiechnęła się zadowolona. Zdawała sobie sprawę, że ten człowiek, znacznie od niej starszy, mógł z powodzeniem być jej mistrzem i przewodnikiem w poszukiwaniu starych książek, ale jedno z nich nie mogłoby u boku drugiego rozwinąć swojego powołania. Masdéu był projektantem, ona - skromną aplikantką żyjącą pośród ludzi, którzy się nie kochają. Czasami Marta zaczynała dostrzegać grymas na swoich ustach; ten grymas spowodowały lata, które do niczego nie prowadzą.

- A jednak nigdy nie widziała pani tego łańcuszka... - rzekł Masdéo.

- Przyznaję, że nie.

- Ja spotkałem się z nim tylko podczas rytuału tej satanistycznej ceremonii, co wywołało we mnie pewien niepokój, a jednocześnie rodzaj zdumienia, bo antydiabeł, ten, co zabijał sztyletem, niepokoił mnie bardziej niż sam diabeł. Jednak rzeczywiście wprawia mnie w osłupienie to, że skradziono mi te stare papiery. Komu mogą być potrzebne? Do czego mogą się przydać? I kto mógł je znaleźć, jakby od zawsze wiedział, gdzie leżą?

Marta z niepokojem znowu sobie przypomniała o kradzieży fotografii matki.

Tylko to: niepokój.

Ale chłód przeniknął ją do szpiku kości, gdy Masdéo powiedział półgłosem:

- Czy wie pani, kto był autorem ryciny, którą mi skradziono?

Nazywał się Vives, tak jak pani. Było to ostatnie jego dzieło, bo niedługo potem go zamordowano.

20.

Pan Zmarłych

Sekretarz Inkwizycji już zdecydował, że nie będą ze mną tracić więcej czasu. Dał znak oprawcy, żeby mnie przywiązał do kolczastego łoża. Poczulem grozę ukłuć na nagich plecach, ale kolce jeszcze się we mnie nie wbiły, bo uniknąłem tego, rozluźniając ciało. Wszystko miało się zmienić wraz z pierwszym obrotem koła; wtedy musiałem się na nie nabić.

Sekretarz nakazał:

- Zaczynaj.

W tej strasznej chwili zdałem sobie sprawę z szeregu okoliczności. Przede wszystkim kamienna sala pachniała potem i krwią, jakby nagle wydobył się z niej ostatni oddech zmarłych. Koło było tak potężne, że za drugim jego obrotem musiałem całkowicie nabić się na kolce. Jedyne światło, jakie oświetlało to miejsce tortur, pochodziło od dwóch wielkich pochodni. I rzecz dla mnie najdziwniejsza: nie było już w sali ubranego na czarno mężczyzny ze złotym łańcuszkiem.

Wyszedł, mówiąc:

- Kościół nie ponosi za to odpowiedzialności.

Jego ręce nie miały się splamić moją krwią.

Ale wiedział, że mam umrzeć.

Zauważyłem, że sznur na moich stopach naprężył się, ja sam zaś przesuwałem się bezwładnie ku krańcowi łoża i żelazne kolce, nachylone ku przodowi, zaczynają się wbijać w całe moje ciało, od ramion po pośladki, a nawet w przyrodzenie. Był to pierwszy raz, kiedy zdałem sobie sprawę, że je mam - dwa młode jądra i członek, który skurczył się z przerażenia. Pod każdym względem byłem mężczyzną, ale nigdy się nim nie czułem. Było to tak, jakby moje ciało nie istniało, jakby było jakąś zbroją należącą do innego świata. Matka nigdy mi nie mówiła o moim ciele. A ja nie miałem jego świadomości.

Nagle ją zyskałem.

Zrobiłem potworny wysiłek, żeby nie krzyknąć, żeby nie podarować oprawcom przekonania, iż dobrze wykonują swoją robotę. Poczulem, że moja krew kapie na podłogę. Opanowało mnie wrażenie śmierci, która dotąd była mi obca. Pojąłem, że nigdy nie myślałem o śmierci, jakbym nie był taki jak wszyscy. I może nie byłem taki jak wszyscy. Kolce wbiły się nieco głębiej i pomyślałem, że to już koniec. Kiedy wejdą między zębra i rozsuną je, całe moje ciało zostanie rozerwane. Kiedy wbiją się w nerki i w wątrobę, nie pozostanie mi już najmniejsza możliwość przeżycia.

Oprawcy znali dobrze tę chwilę.

Wtedy to zrozumiałem.

Robili przerwę, by dać mi ostatnią możliwość przyznania się do winy. Potem będzie za późno.

Sekretarz powiedział:

- Teraz mów.

Zduśliłem w sobie następny krzyk bólu, podczas gdy moje oczy zachodziły bielmem. Co mogłem powiedzieć? Że takim się urodziłem? Że nie znam swojego losu? Że byłem prześladowany już od chwili, gdy ujrzałem światło dzienne?

Zwierzęta, które też samych siebie nie znają, mrą, nie wiedząc, dlaczego są zabijane.

Nie wiedziałem, kim jestem.

Wiedziałem tylko, że mam umrzeć i że ubrany na czarno mężczyzna, Ten Drugi, czeka na tę wiadomość za drzwiami.

On z pewnością wiedział, dlaczego mam umrzeć.

Sekretarz rzekł:

- To niewiarygodne, ile wytrzymał.

Było niemożliwe, żebym nie wył z bólu ze wszystkimi tymi kolcami wbitymi w ciało, z poszarpanymi plecami, i to zwiększyło jego podejrzenia. Jeżeli miałem wytrzymałość diabła, bez wątpienia musiałem być diabłem.

Oprawca zapowiedział:

- To się skończy w połowie następnego obrotu.

I już chciał go wykonać. Ale sekretarz, powodowany ciekawością, rozkazał:

- Poczekaj.

Chciał, żeby ktoś jeszcze był przy tym obecny. Jeżeli nie byłem czarownikiem jak inni, zasługiwałem na uwagę wyższych strażników wiary. Zapisał coś w swoich aktach, obojętnie słuchając powolnego kapania mojej krwi.

- Zostaw go tak na chwilę.

- Wykrwawi się.

- Chcę powiadomić bezpośrednio biskupa.

Musiałem być tak szczególnym przypadkiem, że warto było mnie pokazać, wykorzystać moją śmierć. Warto było zrobić cokolwiek, żeby tylko zostało obwieszczono zwycięstwo Dobra.

- Nie luzuj koła. Chcę, żeby go zobaczyli.

I wyszedł. Zrozumiałem, tą odrobiną świadomości, jaka mi pozostała, że za chwilę wejdzie Ten Drugi. Ale nie wszedł. Niemal

sobie przegryzłem język, żeby nie zacząć krzyczeć, podczas gdy czułem, jak wypływa ze mnie krew.

Nagle ogarnęło mnie niewiarygodne uczucie.

Zostałem sam.

Sala wydała mi się teraz ogromna. Jej kamienie miały na zawsze zachować zapach zmarłych.

Pochodnie z trudem rozpraszały cienie.

To powolne bicie, tik-tak, tik-tak, które było tylko kapaniem mojej krwi.

I ból, niemożliwy ból, który nie pozwalał mi nawet oddychać, bo kolce wbijały się w ciało coraz bardziej wraz z każdym jego drżeniem.

Koło było unieruchomione. Nie mogłem poruszyć się nawet o dziesiątą część cala. Z pewnością znajdą mnie martwego, kiedy zdecydują się wrócić.

Ale nie.

Chcieli, żebym żył.

Chcieli, żeby biskup we własnej osobie zobaczył tego syna Szatana.

Zamknąłem oczy.

Czy byłem synem Szatana?

Czy poznałem kiedykolwiek moje przeznaczenie? Czy je poznaję?

Czy miałem jakieś przeznaczenie? Czy też było to przeznaczenie zwierząt, które rodziły się tylko po to, by je zabijano?

Dlaczego prześladował mnie Ten Drugi?

Umysł jest rzeczą cudowną, umysł izoluje się, zadaje sobie pytania, udziela sobie odpowiedzi, żeby uciec od rzeczywistości, żeby nie czuć bólu. Umysł jest naszą własną wewnętrzną tajemnicą, której nigdy nie odkryjemy. Byłem bardzo daleko od samego

siebie, od mojego krwawiącego ciała i rozerwanych stawów. Mój umysł pytał się, kim jestem, nie zdając sobie sprawy, że jestem już nikim, bo mam umrzeć.

I nagle bardzo blisko usłyszałem czyjś oddech.

Woń zgnilizny.

Otworzyłem oczy i ujrzałem tuż obok jakąś twarz. Twarz, która zdawała się przeżarta przez trąd, pełną zmarszczek, obciążoną wiekami, z oczami, które patrzyły na mnie spoza czasu.

Nie był to jeden z inkwizytorów.

Nie wiedziałem, kto to jest.

Nie mogłem jeszcze wiedzieć, że ten, kto na mnie patrzy, to Pan Zmarłych.

Niektóre miejsca są zaznaczone przez los, ale ja jeszcze o tym nie wiedziałem. Nie wiedziałem też, że w 1761 roku będę widział, jak wznosi się Kolegium Chirurgiczne według projektu Ventury Rodrigueza, pozostającego pod patronatem Karola III i Piotra Virgili, osobistego medyka Ferdynanda VI. Nie mogłem wiedzieć, że później stanie tam Królewska Akademia Medycyny i Chirurgii. Nie wiedziałem jeszcze - ani nie mogłem wiedzieć - że dzisiejsi barcelończycy będą tylekroć przechodzili przed jej bramami, na przeciwko wejścia do starej Biblioteki Centralnej, w tym, co było kiedyś szpitalem Santa Cruz.

Nie, ja wtedy nie mogłem tego wiedzieć.

Wiedziałem tylko, że umieram. I że przygląda mi się twarz bez czasu, która przybyła z tamtego świata.

Niemal niesłyszalny głos szepnął:

- Zaraz wrócę.

Nie odpowiedziałem. Po co? Wiedziałem.

- Poszli po biskupa, ale potem zostawią cię, żebyś wyzionął ducha.

To też wiedziałem. Dlaczego widmo mi o tym mówiło? Jego białe włosy spadały do ramion, a czarny strój, poplamiony nie wiadomo czym, wydawał z siebie nieznośną woń, bardziej nieznośną niż wszystkie fetory grobów miasta. Jego oddech też cuchnął. Pomimo potworności bólu miałem w owej chwili wrażenie jakiegoś koszmaru.

Widmo spytało szeptem:

- Wiesz, kim jestem?

Nie zadałem sobie trudu, by zaprzeczyć. Nie poruszyłem się. W owej chwili nie obchodziło mnie, kim jest.

- Wiesz, co robią ze zmarłymi?

Po raz pierwszy zaprzeczyłem.

- Chyba rozumiesz, że tutaj umierają ludzie. I pozostają ich rozczłonkowane szczątki. Tutaj są trupy. I co z nimi robią?

Nie poruszyłem się. To też mnie nie obchodziło.

- Ja je zabieram - powiedziało.

Teraz rozumiałem, skąd jego zaduch, skąd niemal gnijące plamy na jego odzieży.

- Ktoś musi to robić - ośmieliłem się wyjąkać.

- Ale mnie za to płacą.

- Grabarzom się płaci - odrzekłem, starając się myśleć o czymś, co nie jest moim potwornym bólem.

- Nie o to chodzi. Inkwizycja nie mi nie płaci. Płacą mi medycy ze szpitala Santa Cruz.

- Dlaczego?

- Żeby badać zwłoki. Poddają je sekcji. Za każde nowe ciało coś mi płacą i w ten sposób Trybunał nie musi się zajmować ich

pochówkiem. Zmarli też dają pieniądze, choć ty sobie tego nie wyobrażasz. Jesteś zbyt miody, by o tym wiedzieć.

Skrzywiłem się.

Zbyt młody?

Któż mógł znać mój wiek? Czyż ja sam go znalazłem? Czy wiedziałem, w którym roku przybyłem z otchłani czasu?

Widmo przysunęło się bliżej.

Jego fetor był nie do zniesienia, chociaż znajdowałem się w pomieszczeniu stworzonym dla trupów.

- Powiedziałem ci, że mi płacą.

- A co takiego mają trupy, które stąd wychodzą? Czy różnią się od innych?

- Oczywiście, że się różnią. Ci, co umierają na mękach, mają wyłamane stawy, a to pozwala medykom badać najbardziej niezwykle przypadki. Ja ładuję szczątki na wóz i zawożę do trupiarni szpitala Santa Cruz. Tam je w końcu grzebią, ale wcześniej służą one do nauki. Jeśli ja nie wykonywałem tej brudnej roboty, medycy nie mogliby się uczyć.

- Ale ja jeszcze nie umarłem. Nie nadają się.

Słabość, jaką czułem po utracie takiej ilości krwi, pograżała mnie w niemal całkowitej nieświadomości. Mój umysł był sparaliżowany. Ból, choć tak straszliwy, zaczął rozplýwać się w powietrzu.

Wtedy widmo szepnęło:

- Medycy zapłacą mi znacznie więcej za torturowanego, który jeszcze żyje. Chcą wypróbować sposoby leczenia, których w szpitalu im zabraniają. W ten sposób jeśli torturowany umiera, nikt nie każe im się tłumaczyć.

Zamknąłem oczy, nic nie rozumiejąc. Z każdą chwilą czułem się coraz słabszy i bardziej jakby oderwany od własnego ciała. Nie rozumiałem, po co przybył tutaj Pan Zmarłych.

- Nie myśl, że podoba mi się zajęcie grabarza - powiedział. - Robię to, żeby pomóc medykom. Zajmuję się usuwaniem amputowanych w szpitalu członków i tego, co pozostaje po sekcjach. Jak się domyślasz, przy szpitalu Santa Cruz jest cmentarz.

Wiedziałem o tym. Oczywiście. Mieszkałem dość blisko, żeby o tym wiedzieć. Ale nie byłem przygotowany na to, co mi powiedział.

- To jasne, że obok znanego cmentarza jest cmentarz sekretny. W rzeczywistości cała Barcelona pełna jest grobów, o których w końcu nikt nie pamięta. Czasami, kiedy panuje epidemia, pali się domy wraz ze zmarłymi w ich wnętrzu. Potem stawia się na tym miejscu nowe domy, zapominając o przeszłości. Nieraz celebrowane są noc poślubną o pięć metrów od trupa.

Znowu zamknąłem oczy.

- A co...?

- Zabiorę cię stąd - szepnął głos. - Nie wiem, czy mi się to uda, bo masz kolce wbite w plecy, ale jeśli poluzuję koło, może będziesz mógł się ruszać. Naturalnie możesz umrzeć po drodze. Możesz umrzeć.

Spojrzałem na niego z nagłą nadzieją, choć nie mogłem w to do końca uwierzyć. Może chciał mnie poddać jakiejś nowej torturze, której nie znałem, ale to nie miało już znaczenia. Wszystko było lepsze niż nieznośny ból, któremu zostałem poddany, wszystko było lepsze niż to kapanie krwi i uczucie, że za chwilę popękają mi kości.

- Myślisz, że się boję śmierci?

- Musisz coś wiedzieć. Jeżeli nas schwytają, obaj zostaniemy powieszani za oszukanie Inkwizycji.

- Szubienica będzie ulgą.

- Jeżeli zaś uda mi się dowieźć cię do szpitala, za twoje ciało

dadzą mi dużo pieniędzy. Nigdy nie mieli do swoich eksperymentów takiego torturowanego jak ty.

Przyszło mi na myśl, że medycy będą mnie jeszcze bardziej torturowali, gdy zdołam dotrzeć do nich żywy.

Ale jakie to miało teraz znaczenie?

- To ci się nie uda - zdołałem wymamrotać. - To jest zamknięty i strzeżony trybunał. Po drugiej stronie drzwi są z pewnością strażnicy.

- Oczywiście, że są, nikt nie wie tego lepiej ode mnie... Ale oprawca zajęty jest teraz innym zatrzymanym, a sekretarz, który wszystko zapisywał, poszedł po biskupa. Nie wiem, co sobie pomysleli, kiedy cię zobaczyli w takim stanie... Musisz być ważną osobistością, skoro zadali sobie tyle trudu.

- Nie jestem ważną osobistością. Jestem tylko...

Ból był tak nieznośny, że wydałem okrzyk i przekląłem. Do tej pory rozmawialiśmy po katalońsku, w języku potocznym, ale upiór spojrział na mnie ze zdumieniem.

- To było po hebrajsku - powiedział.

- Co...?

- Powiedziałaś coś po hebrajsku; poznałem, bo niektórzy medycy i alchemicy używają tego języka.

- Ja nie znam hebrajskiego.

- Nawet nie wiesz, kim jesteś.

Oczywiście, że tego nie wiedziałem, teraz ani nigdy wcześniej! Co w rzeczywistości o sobie wiedziałem? Z jakiego świata pochodziłem?

Ale on ciągnął półgłosem:

- Ci, co rzeczywiście tu rządzą, poszli po biskupa i nieprędko wrócą. Mijani strażnicy przepuszczą nas, jeśli powiem, że jesteś trupem, a ty będziesz dobrze go udawać.

- Ale...

- Dla mnie ta praca jest najnaturalniejsza w świecie i wszyscy tutaj są przyzwyczajeni do mojego widoku. Na dziedzińcu mam wóz z trupami. Jeżeli potrafisz przekonująco udawać, wezmą cię za nieboszczyka w drodze na cmentarz.

Zwolnił mocowanie koła, rozluźnił naciąg i prawie natychmiast całe moje ciało się skurczyło, jakby poruszyła nim jakaś sprężyna, ale to spotęgowało ból i zwiększyło strużki krwi. Pan Zmarłych, który na co dzień miał do czynienia ze zwłokami, zrozumiał, że musi się pośpieszyć, bo w każdej chwili mogą umrzeć. Jeżeli ktoś w Barcelonie się na tym znał, tym kimś był z pewnością on.

- Nie ruszaj się.

Pozwoliłem się podnieść. Trudno było uwierzyć w nadludzką siłę, jaką miał ten człowiek o wyglądzie stuletniego starca. Zdjął mnie z kolców, co powiększyło mój ból do tego stopnia, że wyrzuciłem z siebie jeszcze jedno przekleństwo. Pan Zmarłych spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- To jest po aramejsku.

Ale co ja mogłem wiedzieć o aramejskim? I co mógł wiedzieć on? Ten człowiek kpił sobie ze mnie, aby zwiększyć moje cierpienie.

Straszliwy paroksyzm bólu sprawił, że straciłem przytomność.

Może na to czekał upiór, bo w ten sposób mógł mną swobodnie poruszać. Zdjął mnie z żelaznego łoża, zostawiając za sobą rzekę krwi, po czym schwycił mnie za włosy i zaczął ciągnąć brzuchem po ziemi. W ten sposób widać było całe moje plecy i straszne rany, które nadal krwawiły. Ktokolwiek by mnie zobaczył, ciągnionego jak dopiero co ubite zwierzę, mógłby przysięgać na własną duszę, że nie żyję. Moje omdlenie wydatnie by go w tym

mniemaniu utwierdzało, gdyż nie zdawałem sobie sprawy, co ze mną robią. W przeciwnym wypadku nie potrafiłbym udawać.

Za drzwiami stało dwóch strażników, ale byli niemal zupełnie pijani. Później miałem się nauczyć, że upojenie jest jedynym środkiem pozwalającym niektórym osobom na bezpośredni kontakt z przerażeniem.

- Już zabierasz trupy, stary sukinsynu?

- Dziś są gotowe wcześniej.

Nie przestając mnie ciągnąć za włosy, teraz tylko jedną ręką, postać z tamtego świata wręczyła każdemu ze strażników po monecie, ci zaś przyjęli je z całkowitą naturalnością. Wywnioskowałem z tego, że nie jestem pierwszym żywym trupem, którego upiór stąd zabiera. Nie wiedziałem wprawdzie, co się stanie, kiedy oprawcy zauważą moją nieobecność, zrozumiałem jednak, że mnie nie znajdą, choćby nawet mieli odszukać Pana Zmarłych. W szpitalu Santa Cruz musiało być tyle sekretnych pomieszczeń, że nawet ludziom Inkwizycji nie udałoby się ich spenetrować.

Zrozumiałem też, dlaczego pozwalają nam szybko przejść.

Fetor, jaki buchał z tego osobnika, był gorszy od woni autentycznego grobu.

W starym pałacu był, i jest nadal, dziedziniec, na którym stał wóz z trzema trupami. Wraz z moimi „zwłokami” miało ich być cztery. Z wozu spływało tyle krwi, że moczyła ona ogon biednego osła ciągnącego pojazd. Zostałem po prostu wrzucony na trupy, ale plecami do góry, bo w przeciwnym razie kontakt z tymi gnijącymi ciałami zabiłby mnie przed przybyciem do szpitala. Nad dziedzińcem, który dziś jest miejscem poświęconym kulturze i skupieniu, krążyły tysiące much spasionych jak prosięta.

Na szczęście nadal byłem prawie nieprzytomny.

Prawie z niczego nie zdawałem sobie sprawy.

- Zabieraj się stąd, obrzydliwy szcurze.

Otwierano bramę. Na ciałach była już rozłożona plandeka, żeby wolni mieszkańcy Barcelony nie widzieli tej zgnilizny, ale na nic się to zdało. Strumyk krwi znaczył drogę wozu, od którego wszyscy się odsuwali, ostrzeżeni złowieszczym zapachem.

I w ten sposób, minawszy mury na Rambli, dotarliśmy do szpitala Santa Cruz, w owych czasach najpiękniejszego i najbardziej nowoczesnego ze wszystkich szpitali Barcelony.

Budowę szpitala rozpoczęto w 1401 roku od wschodniej nawy. Do owego czasu barcelońskie szpitale uzależnione były od publicznego miłosierdzia, częściowo od dotacji władz miasta i częściowo Kościoła, co stwarzało częste konflikty związane z kompetencjami. Przypuszczam, że podczas tych konfliktów nikt nie trudił się liczeniem zmarłych. To w 1401 roku Rada Stu mianowała komisję do negocjacji z Kościołem i postanowiono połączyć różne szpitale w jeden, który miał powstać w Domu Chorych Coloma, co nie stanowiło żadnej gwarancji, gdyż poprzednio ów przybytek był ośrodkiem dla trędowatych.

Kiedy zostałem przywieziony do szpitala - który stał niedaleko lupanaru, gdzie się urodziłem - budynek nie miał jeszcze szacownego wyglądu. Wszędzie trwały prace, jako że fasady miano połączyć dopiero w XVIII wieku, toteż cała ta przestrzeń pełna była miejsc, z których nie wszystkie znano. Był tam cmentarz niewielkich rozmiarów, sale wypoczynkowe - gdzie po wiekach miała zostać założona najlepsza biblioteka miasta - i inne mniejsze oddziały, w których panowała tylko śmierć. Ponieważ był to szpital bezpłatny, dopuszczalne tu były wszelkie eksperymenty, ale nie w

sposób legalny. Wręcz przeciwnie, działała tu medycyna oficjalna, która - o ile wiedziałem - podlegała ścisłym regulacjom. Lekarstwa przygotowywano w wielkiej aptece i w zasadzie stosowano na wszystko; puszczenie krwi, dieta, pijawki, modlitwa i wypoczynek - takie były główne środki. Nawy, gdzie później miały się piętrzyć książki, pełne były łóżek, z których kontemplowano tamten świat. Istniała część widzialna szpitala, rutynowa, gdzie karmiono nadzieją, a zwłaszcza wiarą.

Ale wielka ilość szczątków ludzkich produkowanych przez owo miejsce przyciągnęła grabarzy, złodziei, alchemików i nieuznawanych medyków, którzy przybywali ze wszystkich zakątków Europy. Tam, w pomieszczeniach przylegających do cmentarza i wymykających się kontroli szpitala, ćwiartowano zwłoki, preparowano tkanki i wyrywano płody ze zmarłych matek, zupełnie nie przejmując się tym, czy płód jest żywy, czy nie. Wszystko służyło do eksperymentów, przeprowadzanych czasami przez autentycznych szubrawców, a czasami przez największych naukowców Europy zbiegłych ze swoich objętych wojną krajów, gdzie nikt nie zatrudniał w szpitalach. Zmarli z tych przedmieść nie byli w ogóle liczeni i dlatego trupy wrzucano do ogromnych dołów, podobnie zresztą jak ciała, które być może nie wydały jeszcze ostatniego tchnienia.

Nauka robiła postępy pośród zgnilizny, krwi, jęków bólu, robactwa i modłów do Najwyższego. Był to jedyny sposób, by średniowieczna medycyna mogła iść naprzód, gdyż każdy zmarły udzielał lekcji, która jemu samemu w niczym nie mogła pomóc, ale którą ktoś, może jakiś francuski, żydowski czy słowiański medyk, pobierał raz na zawsze.

Ponieważ byłem ciałem nielegalnie uzyskanym za sprawą przekupstwa, zostałem natychmiast przekazany grupie chirurgów

wojskowych, którzy zdołali ująć z życiem z odległych bitew z Serbami, wikingami lub Turkami. Zebrał się tam, pod opieką pieniędzy wielkiego miasta, cały międzynarodowy motłoch pragnący przestać być motłochem. „Ekipa”, która mnie kupiła, składała się z trzech duńskich chirurgów, a właściwie amputatorów. Zgodnie z uświęconymi normami z pól bitewnych każdy członek zainfekowany lub taki, którego zapach zdradzał już zgniliznę, oddzielano pilą od reszty ciała, a krwotok powstrzymywano krępulcem. Owi medycy doskonalili swoją technikę, obcinając członki zmarłych, ale od czasu do czasu potrzebowali kogoś żywego, a takich im systematycznie odmawiano. W tym przypadku kimś żywym byłem ja i zapragnęli mnie uratować.

Brud był tam przerażający, a za jedyny środek higieniczny służyła woda, wylewana wiadrami na stoły pełne wnętrzności i krwi. Ale ci zagraniczni medycy odkrywali coś dziwnego, a mianowicie, że w członkach, w których gnieźdzą się robaki i rozwijają pewne grzyby, następują czasami niewytłumaczalne uzdrowienia. Chirurgrzy mówili o tych grzybach z pewnego rodzaju szacunkiem, choć nie istniała naukowa podstawa, która by cokolwiek potwierdzała, toteż brud nie działał na nich odpychająco. Na stołach, wśród krwi i wody, leżały czasami ludzkie ekskrementy.

Cały ten związany ze szpitalem, ale oficjalnie nieznany świat, któremu przekazywano zwłoki, był moim światem przez dwa tygodnie. Tyle bowiem potrzebowałem, by znów zacząć chodzić, skurczony jak małpa. Miałem to wielkie szczęście, że zajął się mną pewien żydowski chirurg wojskowy, który wbrew rozkazowi nie uszedł z miasta, toteż ukrywał się, choć czasami, nocą, zapuszczał się w zaułki Cali. Natychmiast zrozumiał dwie rzeczy: że jestem zasadniczo zdrowym młodzieńcem i że straszne rany na

moich plecach wypełnią się natychmiast robakami. Nauczył się tego na galerach, gdzie ślady po batogu były bardzo podobne do moich.

Zaczął od stwierdzenia, że moje stawy są mniej więcej na swoim miejscu i że koło całkiem mnie nie rozerwało. Potem zajął się ranami na plecach, ostrzegając, że będę bardzo cierpieć i że nie mam żadnej gwarancji na wyleczenie.

- Jasne - dodał, wskazując podbródkiem nawy szpitala - że tam, w środku, też byś jej nie miał.

Jego technika polegała na paleniu siarki bezpośrednio na ranach i nakładaniu później maści, której recepturę sam ponoć opracował. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że ta maść zrobiona jest z tłuszczu pozyskiwanego z trupów, najlepiej kobiecych, bo miały delikatniejszą konsystencję. „Z ciała kobiety wykorzystuje się wszystko - powiedział mi później - zwłaszcza z macicy, która do niedawna zawierała płód”.

Ten człowiek nigdy nie słyszał o komórkach macierzystych i umarł, nie podejrzewając, że w jakiś sposób był na dobrej drodze. Natomiast wiedział z całą pewnością, że medycyna idzie do przodu jedynie po trupach swoich ofiar.

Wielokrotnie mdlałem podczas opatrunków. Siarka płonąca na ranach była znacznie gorsza niż tortury Inkwizycji. Nie rozumiem, jak mogłem znieść te męki, bo dwóch innych, leżących obok mnie, przypląciło je życiem, a jeden z nich postradał przedtem zmysły. Miałem szczęście, że maść z kobiecego trupa, którą mnie potem potraktowano, okazała się niemal orzeźwiająca, podobnie jak warstwa błota, którą dodano z wierzchu.

Przez całe dni ukrywali mnie w trupiarni, która potwornie cuchnęła i o której administracja szpitala nie chciała nic wiedzieć. Tylko kilku duchownych zajmowało się ciałami, o które upomniały

się rodziny, chcąc je pogrzebać zgodnie z katolickim rytuałem. Pozostali, wśród nich muzułmanie i żydzi, nie zasługiwali na najmniejszą uwagę.

Co dzień powtarzano tę kurację.

Wylewano na moje plecy wiadra wody, zmywano maść, po czym znowu palono siarkę na moich ranach, wywołując ból gorszy od śmierci. Operacja ta powtórzyła się trzykrotnie, a potem położono mnie znowu z odkrytymi plecami, namaszczoneymi tłuszczem i błotem. Karmiono mnie łykami wody i miską zupy, którą medyk musiał podawać mi łyżka po łyżce, bo nie mogłem się podnieść ani ruszać rękami.

Podczas tej potwornej rekonwalescencji dowiedziałem się, że mnie szukają. Ten Drugi prowadzi poszukiwania w lupanarach, chatach, przytułkach dla trędowatych, a nawet w zbiorowych grobach. I został dopuszczony do pomieszczeń szpitala Santa Cruz. Do pomieszczeń oficjalnych, ale nie do sekretnych. Był to inny świat, świat piekielny i odległy. Prawa, które rządziły żywymi, nie odnosiły się do zmarłych.

W delirium myślałem, że tyle cierpienia na nic mi się nie przyda. Że Ten Drugi mnie pojmie i odeśle z powrotem do Trybunału Inkwizycji. Ale miałem szczęście, w tym i w czymś innym.

Medyk, po obejrzeniu moich otwartych do żywego mięsa ran, mruknął:

- Powstają grzyby w twoim ciele. Medycy ze szpitala powiedzieliby, że jesteś zgubiony, ale ja twierdzę, że może zdołasz się uratować. Widziałem wiele przypadków, w których grzyby regenerują tkanki. Chociaż nie chcę tego mówić publicznie, bo może by mnie oskarżono o herezję i wysłano na stos.

Miał rację.

Został oskarżony o herezję i musiał uciekać z Barcelony, gdyż

wyjaśnił swoje przekonania jednemu z zarządców szpitala. A moje rany się zabiły. Chociaż byłem skurczony i nie mogłem jeszcze dobrze poruszać stawami, powiedziano mi, że mogę odejść. Anatomowie unicestwiający trupy kupili moje ciało, ale nie chcieli już na mnie eksperymentować. I ponadto widziałem, że na ich obliczach maluje się zadowolenie, a nawet przychylność. Tysiące razy myślałem później, że tym, co w rzeczywistości łączy ludzi, jest duma z dobrze wykonanej pracy i że ta duma może uświęcić lekarza.

Tak czy owak Żyd, który później miał być jeszcze jednym uciekinierem, powiedział:

- Ja prawie nic nie zrobiłem. Rzeczą niewiarygodną jest rezerwa życia, jaką masz w sobie; nie rozumiem, z czego jesteś zbudowany ani jak możesz jeszcze żyć. Jeżeli dożyję starości, może się tego dowiem.

Nie wiem, czy dożył starości.

I nie sądzę, żeby się kiedykolwiek tego dowiedział.

Ale ja wróciłem pieszo do jedyne miejsce, gdzie mogłem się uważać za względnie bezpiecznego: do starego romańskiego kościoła w Coli. Idąc nocą, żeby nikt mnie nie mógł zobaczyć, zacząłem wchodzić na ugory zaczynające się w niewielkiej odległości od bramy Canaletas, doszedłem do owej osady zwanej Gracia, tak zazdrosnej o swoje terytorium, i zostawiłem ją za sobą. I znowu drogi między łagodnymi wzgórzami, znowu wąwóz zwany Vallcarca, znowu ścieżki prowadzące z jednej strony do kościoła w Coli, a z drugiej do Penitentes, jaskiń pustelników.

Wydawało mi się, że świat obrócił się stukrotnie, odkąd stąd wyszedłem.

Ale tu wszystko wyglądało tak samo.

Kościół, w którym ledwo mieścili się wierni. Góry, gdzie gubiły się kozy. Odległy widok otoczonej murami Barcelony. Właściciele ziemi. I dziewczynka, dziewczynka o zagubionym wzroku, która nie mogła opowiadać ojcu o sprawach syna ani synowi o sprawach ojca.

To tak popełniłem zbrodnię.

21.

Ostatni dom przy murze

Marta Vives posuwała się po śladach widma, którym była ona sama.

Nie wiedziała, skąd bierze czas. Nie rozumiała, jak udaje się jej łączyć własne badania z pracą, którą zlecał jej Marcos Solana, a w której coraz liczniej nawarstwiały się spory między rodzinami, kontrakty dzierżawne sprzed Prawa Boyera*, * Od nazwiska Miguela Boyera, ministra ekonomii, skarbu i handlu; dekret z dziewiątego maja 1985 roku, precyzujący warunki wynajmu lokali mieszkalnych i handlowych. bardzo dawne sukcesje. Może dlatego, że Solana ślepo w nią wierzył. Żadna z jego aplikantek nie potrafiła tak dobrze odtworzyć jakiejś historii, wychodząc od zwykłego nazwiska, ani ustalić czyjegoś pochodzenia na podstawie dokumentu, który na pozór nic nie mówił. Marta Vives знаła całą historię kraju, jej drobne sekrety, rodzinne powiązania, nie-szczęścia, fortuny i małżeńskie zdrady. A jednak traciła w tych papierach radość swoich oczu i stawiała coraz powolniejsze i bardziej znużone kroki, chociaż - jak twierdzili znawcy - nie wpływało to na piękno jej nóg. Co więcej, z doktoratów wynikało, że łatwiej zagnać do łóżka kobietę stąpającą małymi kroczkami.

Wykorzystywała załatwianie formalności poza biurem, by odwieść gmachy, poszukiwać w archiwach i szperać w starych notariatach Barcelony, w których wbrew temu, co wszyscy sądzą, są przechowywane nie tylko papiery, bo w rzeczywistości balsamują się tam fragmenty dusz.

Jej jedynym punktem wyjścia był krzyż skradziony ze średniowiecznego grobu. Tu, w tym kawałku śmierci, zaczynała się historia jej przodków. Poczynając od tego, papier po papierze i rejestr po rejestrze, Marta Vives zdołała prześledzić krótkie życie córki owej zamordowanej kobiety. Skrawki jej historii pojawiały się w pewnym kościelnym rejestrze z 1493 roku - wkrótce po odkryciu Ameryki - w którym wyliczano barcelońskie ofiary zatrucia wody. Wielką liczbę osób pochowano we wspólnym grobie, ale przy niektórych z nich podawano inną przyczynę śmierci: cios nożem podczas kłótni, wściekliznę od ukąszenia psa, zatrucie trującymi roślinami, rytualne morderstwo. To ostatnie pojawiło się tylko raz. Jej daleka antenatka straciła życie w rytualnym morderstwie.

To wskazywało na tajemnicze relacje pochodzące z otchłani czasu, ale pozbawione sensu. I była jeszcze kradzież jedynej fotografii jej matki, i był jubiler Masdáu poszukujący złotego łańcuszka, jakiego sam nigdy by nie zaprojektował. Marta Vives niestrudzenie szperała dalej, choć czasami nie wiedziała, czego szuka, i czuła lęk przed własnym życiem.

Oczywiście pierwszą rzeczą było odnalezienie miejsc, w których żyli jej przodkowie. Zatopienie się w starej Barcelonie, Barcelonie, jaka już nie istniała: Vía Layetana zmiotła setki domów, których nikt nie pamiętał, nowy Plaza de la Catedral został zbudowany na ruinach ulic, które teraz były tylko skrawkami papieru, a stara dzielnica Ribera była takim zwałiskiem ruin, że kiedy

je odsłonięto podczas budowy targowiska Borne, początkowo nikt ich nie rozpoznał. Mogli tam niegdyś mieszkać - i nie wiadomo jak umrzeć - ci, co nosili jej nazwisko, ale niemożliwością było podążać ich śladami w mieście, które pożerało samo siebie.

W końcu trafiła na trop kogoś, kto mógł być jej prababką lub może matką jej prababki. Przede wszystkim dostrzegła, że rodzina nadal była endogamiczna, gdyż kobiety o nazwisku Vives wychodziły za mężczyzn o tym samym nazwisku, a w tym celu musiały starać się o zaświadczenie dotyczące pokrewieństwa, co było przeszkodą trudną do pokonania. Jaki sekretny zew, jakie dążenie sprawiało, że te istoty raz po raz wzajemnie się poszukiwały, jakby były posłuszne jakiemuś odległemu nakazowi? Czy ród uległ degeneracji w związku z tak bliskim pokrewieństwem? Wydawało się, że nie: Marta Vives była bardzo zdrowa i jej matka chyba też. Marta nie zdołała jednak poznać ani swojego ojca, ani dziadka.

Trop wiódł do ostatniego domu, jaki stał przy murach Rondas, trzecim i ostatnim bastionie Barcelony, po murach rzymskich i gotyckich. Obejmowały one głównie to, czym dziś są Ronda de San Antonio i Ronda de San Pablo, łącząc się z fortecą Atarazanas. Dawne mury na Rambli zostawiały na zewnątrz Raval z jego ubóstwem (ale również potęgę jego klasztorów i wspaniałość Liceo), lecz nowe mury na Rondas zamknęły to wszystko swym wojskowym pierścieniem. W Raval ulice stawały się coraz węższe, jak dawniej miało to miejsce w Ciutat Velia, przeludnienie coraz większe i domy coraz mniej zdatne do zamieszkania. Przemysłowcy osiedlający się w tym sektorze od XVIII wieku budowali w pobliżu mieszkania dla robotników, im mniejsze, tym lepiej, toteż wkrótce nie pozostał już ani jeden

figowiec czy ogród, czy ptak. Tawerny, jakich potrzebowały te nowe masy robotnicze, były coraz bardziej niezdrowe i ogłupiające (aż pewien mieszkaniec, Anselmo Clavé, założył chóry, którymi pragnął wydobyć robotników z tego rodzaju grobów), a lupanary coraz bardziej plugawe i ciasne. Już nie było na nich maskary, jak w średniowieczu, i najsluszniej byłoby zastąpić ten dawny symbol radości twarzą płaczącej kobiety. Teraz w lupanarach prawie nie prowadzono rozmów, klienci się nie znali ani nie przychodzili tu duchowni. Były to zwykłe zbiorniki nasienia, z którego strużek niewolnice tkwały pajęczynę swoich żywotów.

Dom poszukiwany przez Martę Vives był ostatnim pozostałym z tych, które zbudowano bezpośrednio przy nowych murach, kiedy te przestały być potrzebne, a przestrzeni brakowało bardziej niż kiedykolwiek, co przyczyniło się do ich zburzenia w 1854 roku. Domy były nielegalne i były takimi przez całe stulecia, jak te, które do 1946 roku zasłaniały ni mniej, ni więcej, tylko stare mury rzymskie. W swoich badaniach Marta Vives dowiedziała się nawet, kto był ostatnim lokatorem wyrzuconym z tych domów starożytnego miasta: nazywał się Robuste.

Ale ten dom już istniał. Wzniesiony na skraju ulicy Riera Alta, przetrwał do lat osiemdziesiątych XX wieku, był więc budynkiem godnym pamięci. Do tego stopnia, że przez ostatnie pięćdziesiąt lat pełnił rolę hotelu dla par złożonych z kobiety profesjonalistki i mężczyzny, który pod tym względem prawie jej dorównywał. Pomimo zmian ustrojów politycznych panowały tam bez przerwy ulotne pocałunki, fellacja, miłość na całe życie, zasłony i lustra.

Marta spojrzała na obecnie stojący tu nowy budynek. Apartamentowiec, oszklony i banalny, zbudowany tylko dla życia skutecznego, takiego, które po prostu mija, bez żadnego związku z

życiem, o którym się śni. Oczywiście nowe budynki zbudowane są na duszy dawnych. A przynajmniej ona pragnęła w to wierzyć.

Zbadała w archiwach fotografie tego, czym była niegdyś ta dzielnica. Wszystko było praktycznie takie samo, oprócz Plaza del Peso de la Paja, teraz zamkniętego przez sklep z urządzeniami sanitarnymi, a dawniej przez bar z melancholijnymi dziwkami. Nie istniało też kino Rondas, tania fabryka snów dla rodzin, które postanowiły w coś wierzyć, ani też ostatni dom przy murach. Dawniej stał tu budynek zajmowany przez drobnych kupców, z barem na parterze - nazywał się Picón, jak pokazywały fotografie - w którego pokojach do wynajęcia kobiety liczyły monety, a mężczyźni orgazmy. Musiał to być dom z wąskimi schodami, niedomykającymi się drzwiami, antykwarycznymi łózkami, firankami jak z zakrystii i lustrami na suficie. Kiedy budynek został zburzony, na ziemię nie upadły cegły, tylko sekretne słowa.

Ale, jak wynikało z badań Marty, budynek nie zawsze był hotelem dla par. Dawniej był domem mieszkalnym i żyła w nim jej prababka lub może matka prababki. Ślady gubiły się w oparach anonimowej historii... Marta szła starymi ulicami i czuła, że przenika ją czas.

Ośmieliła się poszukać w sekcji „Statystyki”, gdzie figurowali mieszkańcy każdego domu miasta, co stanowiło podstawę do sporządzania list wyborczych. Ale na nic się to zdało, gdyż kobiety otrzymały prawo głosu dopiero w latach po dyktaturze Miguela Primo de Rivera* * Czyli w 1931 roku. - żadna dama o nazwisku Vives nie figurowała więc na liście. Na szczęście Marta znalazła pomoc

ze strony ojca Olavide, który często odwiedzał kancelarię (był specjalistą od testamentów kanonicznych) i zasugerował, żeby się udała do Izby Własności Miejskiej. Może nastąpi jakiś cud i okaże się, że istnieją tam archiwa dawnych kontraktów wynajmu mieszkań. Ojciec Olavide umiał szukać jeszcze lepiej niż ona. W rzeczywistości wydawał się wiedzieć wszystko.

I znalazła kontrakt: Elisa Vives, piętro trzecie, strona lewa, dwie pesety miesięcznie. Z pomocą tych danych udało jej się przeprowadzić kwerendę w Rejestrze Cywilnym, ale nie figurowało tam takie nazwisko; może rejestr został częściowo zniszczony podczas wojny domowej, może ubodzy sprzed dwóch wieków nie zadawali sobie trudu odnotowania faktu, że ich bliscy odeszli z tego świata.

Ojciec Olavide ponownie jej doradził:

- Niech pani poszuka na Nowym Cmentarzu, który oczywiście jest stary. Jest znacznie wcześniejszy niż cmentarz na Montjuïc, otwarty pod koniec dziewiętnastego wieku. Ponieważ znam administratora, zadzwonię do niego i poproszę, żeby udzielił pani wszelkiej pomocy. A będzie jej pani potrzebowała: nie wiem, czy istnieją archiwa pochówków z epoki wojen karlistowskich*. * Seria hiszpańskich wojen domowych wywołanych sporem w kwestii dziedziczenia tronu po śmierci Ferdynanda VII (1833). Przeciw sukcesji jego córki Izabeli II wystąpił brat zmarłego króla, Don Carlos, skupiając wokół siebie zwolenników orientacji konserwatywnej i absolutystycznej (karlistów). Gdyby chodziło o osoby zamożne, sprawa byłaby prosta, bo zachowały się grobowce, ale w przypadku ubogich... No cóż, może pani spróbować.

Marta Vives spróbowała. Zanurzyła się w świecie miłości przeobrażonej w marmur. Płyty z zatartymi przez czas literami, skrzydlate posągi o przeżartych brzegach, wiersze ręcznie wyryte,

aby wspomnieć miłość jednego popołudnia. I koty, wiele kotów, które uwieczniały się w ciszy godzin. Marta zanurzyła się w ten świat i miała szczęście odnaleźć w najdawniejszych rejestrach nazwisko Elisa Vives. Nisza, która została opróżniona z powodu braku opłat co najmniej pięćdziesiąt lat wcześniej. „Choć była rodzina, która płaciła nawet po wojnie domowej - poinformowano Martę. - Musieli to być przyjaciele, bo nazwisko nie wskazuje na pokrewieństwo. Ta rodzina nazywała się Masdáu”.

I administrator dodał:

- Właśnie niedawno pewien pan o nazwisku Masdáu przyszedł tutaj i pytał dokładnie o to samo co pani. Przyjąłem go dobrze, bo go znałem. Kiedyś moja żona kupiła u niego jakiś klejnot.

22.

Grób na wzgórzu

Wielka barcelońska równina rozciągała się w nieskończoność. Odnosiło się wrażenie, że miasto nigdy nie zajmie tych terenów, podobnie jak dziś mamy fałszywe wrażenie, że ludzie nigdy nie zajmą całego świata; ale z kościoła w Coli było już widać, że Barcelona ma swoje granice. Z jednej strony zamykało ją morze, z drugiej góry, z lewej strony rzeka i z prawej drugi nurt wody zaznaczający granicę. I z łatwością można było już wówczas zauważyć, że niezależne małe osady, jak Gracia, Horta, Sarria czy Pedralbes, wypełniały ziemię, którą później wielkie miasto miało w końcu pochłonąć. Za Raval można było dostrzec wśród mgły kilka domów w Pueblo Seco, które się nie powiększało, gdyż zabronione było budowanie w polu rażenia armat z Montjuïc. Z Coli w niekończące się popołudnia widać było wzgórze, których nikt nie zajmował. Słońce wypełniało ciepłem pola, gdzie panowało jeszcze milczenie wieków.

Wszystko było takie samo.

Proboszcz domyślił się, że byłem torturowany przez Inkwizycję, ale z tego powodu nie odmówił przyjęcia mnie w świątyni; wiedział, że Święte Oficjum zatrzymywało wiele osób tylko z powodu jakiegoś podejrzenia. Wszyscy nadal tam byli: pasterze,

właściciele, kobiety pracujące jak niewolnice, a przede wszystkim dziewczynka.

Nic się w niej nie zmieniło oprócz zagubionego wzroku i grymasu cierpienia. Kobiety w domu traktowały ją coraz gorzej i z coraz większą pogardą, gdyż w ich oczach była tylko terminatorką na dziwkę; natomiast na jej panów, gospodarza i dziedzica, nie można się było skarżyć. Dziewczynka, jak zwierzęta, była częścią tego, co dała im ziemia.

- Nie jestem terminatorką na dziwkę, jestem kompletną dziwką - powiedziała mi pewnego popołudnia, ze wstydem malującym się w oczach. - Robili już ze mną wszystko.

Zwierała mi się, gdyż w jakiś tajemniczy sposób dostrzegła, że nie mam płci i jestem poza moim wiekiem. Zwierała mi się, gdyż czuła potrzebę wyznania swojego wstydu, gdyż w ten sposób mogła zaakceptować świat i usprawiedliwić to, że chce umrzeć.

Robili z nią wszystko, aż zaszła w ciążę, ale nie wiedziała, czy z ojcem, czy z synem: w tych okolicznościach pozostawało jej tylko urodzić na polu, jak to czynią zwierzęta, zabrać dziecko i uciec. Nikt nie mógł jej pomóc, a już najmniej Kościół. Jako krzewicielkę grzechu może przyjęto by ją w zakładzie dla skruszonych kobiet, gdzie przez całe życie oskarżano by ją nie o to, co zrobiła, ale o to, co jej zrobiono, jakby ponosiła za to winę. A ona nie chciała, żeby jej dziecko to poznało: ona chciała umrzeć.

Społeczeństwo było święte i sprawiedliwe.

I nie mogło jej zmienić.

Wyznała mi to pewnego popołudnia, kiedy pozwoliłem jej schronić się w jaskini przed grupą sąsiadów, którzy gonili ją, obrzucając kamieniami. Było to wzruszające i straszne: towarzyszył

jej tylko pies, który lizał jej rany. Pies i ja sam, ja, bezimienny, który nie miałem kochać ani nie miałem być ofiarą swojego wieku.

Czułem się potwornie słaby. Strata krwi tak mnie wycieńczyła, że ledwie mogłem się ruszać, i jakiś niejasny instynkt kazał mija odszukać. Dziewczynka nie ofiarowała mi swoich ust, bo jej usta nie miały żadnej wartości: ofiarowała mi ufnie swoją szyję.

Nie wiem, czy o tym wiedziała.

Albo czy podpowiedział jej to instynkt.

Jej instynkt kobiety, która chciała umrzeć.

Stała nieruchomo, podczas gdy ja gryzłem jej szyję, nie przysparzając najmniejszego bólu. Stała nieruchomo, podczas gdy ja wysysałem z niej życie. Jej piękne oczy nie zmieniły wyrazu, kiedy zauważyła, że przedmioty zacierają się na zawsze. Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, że umiera, jak nie zdawałem sobie sprawy ja. A może o tym wiedziała. Może, bo jej ostatnim słowem było:

- Dziękuję.

To ja ją zabiłem, nie rozumiejąc tego.

To ja skłamałem, mówiąc, że znalazłem jej zwłoki, i poprosiłem, by ją pochowano przy kościele.

Proboszcz odmówił.

Wszyscy uczciwi i prawomyślni ludzie chodzący do kościoła odmówili. Na przykład właściciel największego gospodarstwa w okolicy. I młody *hereu*, który nie zasługiwał na deprawację w tym życiu. I również kobiety w tym domu, które nie chciały jej w pobliżu grobów swoich rodziców, ale przyrzekły pomodlić się do Boga, by wybaczył tej dziwce.

Została pochowana samotnie na szczycie wzgórza, z którego widać było całą równinę, od gór po morze.

Pochowaliśmy ją sami, proboszcz i ja.
Proboszcz poprosił, żebym nikomu o tym nie mówił.
Ale opowiedział o tym wyjący pies, który leżał przy grobie.
Opowiadał o tym przez trzy dni i trzy noce.

23.

Miasto widm

Sędzia Brines przyjął Mareosa Solanę w swoim biurze wychodzącym na bulwar Lluisa Companysa, adwokata biedoty w trudnych czasach. Na stole leżały stosy akt, na ekranie komputera kukielka robiła grymasy, a zza drzew bulwaru docierało melancholijne światło.

Sędzia Brines był kolegą Solany i podziwiał jego głęboką znajomość spraw najbardziej tradycyjnych rodzin w kraju.

W gruncie rzeczy zawsze są to te same rodziny - myślał. Dawniej zajmowały się żegluga i handlem z Kubą, potem przemysłem tekstylnym, a jeszcze później handlem surowcami. Ich ostatnią niewyczerpaną kopalnią był obrót cegłą, interes, któremu nie zagrażał bliski upadek. Tak, zawsze są to te same rodziny, ale niełatwo je poznać.

Dlatego sędzia zwracał się czasami do Mareosa Solany o radę. A Marcos Solana prosił o nią Martę Vives.

- Zamykam sprawę rytualnego morderstwa w Vallvidrerze - wyjaśnił sędzia. - Nazywam to rytualnym morderstwem, bo nie potrafię odkryć innego wyjaśnienia. Zwróciłem się do policji o szereg danych, ale zawsze przesyłają mi te same, toteż nie mogę znaleźć rozwiązania. Sprawa powęduje oficjalnie do archiwum,

choć będę śledził, czy nie pojawią się nowe okoliczności. Zapalił papierosa i dodał:

- Żałuję, że muszę tak postąpić, bo w ten sposób wszystko pozostaje niewyjaśnione. To tak niezwykła sprawa, że wolałbym dysponować większą ilością dowodów.

- Czy przypominasz sobie jakiś podobny przypadek?

- W gruncie rzeczy nie, ale może to dlatego, że pracuję w tym sądzie od niewielu lat. Koledzy mówili mi o dziwnych, pozbawionych sensu zbrodniach, w których jakiś dziennikarz mógłby nawet dopatrzeć się działania siły pozaziemskiej; niektóre datują się na czasy generała Franco i nie ma po nich śladu w archiwach prasowych. Powód jest bardzo prosty: w czasach Franco, żeby nie mieszać obywatelom w głowach, nie publikowano niczego, co miało związek z religią. W religii wszystko było święte. Ale dlaczego mówię, że to zabójstwo w Vallvidrerze miało związek z religią? Naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że był to jakiś rytuał... No cóż, wydam postanowienie tymczasowego przekazania sprawy do archiwum, o ile prokurator albo strona skarżąca nie złożą innego wniosku.

Marcos Solana powoli skinął głową.

Nie, on nie mógł prosić o nic innego.

Sprawa zamknięta.

Nigdy już nie zostanie ponownie otwarta, chyba że ktoś pewnego odległego dnia wykorzysta ją jako podstawę scenariusza serialu o satanistycznych rytuałach.

- Dziękuję, że byłeś uprzejmy mnie o tym poinformować - mruknął.

- Nie myśl, że czuję się szczęśliwy, zamykając tę sprawę. W rzeczywistości bardzo mnie ona niepokoi. Czasami czuję się tak,

jakby czas nie istniał, pomimo że jesteśmy świadkami naszej własnej degradacji. Są idee, które żyją wiecznie, toteż często zadawałem sobie pytanie, czy mogą też być istoty, które żyją wiecznie.

- Ja również o tym myślałem.
- Ale nie jest to rozmowa racjonalna.

Marcos Solana szepnął:

- Nie, nie jest racjonalna.
- Ani politycznie poprawna.
- Ani politycznie poprawna.
- Sędzia nie może powoływać się w aktach na sprawy z tamtego świata - podkreślił Brines.
- Ale tamten świat istnieje.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Marcos Solana kierował się już ku drzwiom, kiedy, jakby coś sobie nagle przypomniał, powiedział:

- Słyszałem, że proponowano ci przeniesienie.
- Tak, do Madrytu, na wyższe stanowisko, ale zwlekam z odpowiedzią. To, co zarobiłbym więcej, straciłbym na wynajmie mieszkania, bo tutaj płacę niski czynsz, a tam musiałbym szukać czegoś nowego. Poza tym lubię Barcelonę, choć jest to miejsce, gdzie sędziowie nie są zbyt szanowani i gdzie codziennie przybywa pracy. Barcelona jest miastem, które żyje mitami, choć twierdzi, że jest miastem racjonalistycznym. I zaludniona jest widmami anarchistów, syndykalistów, rewolucjonistów, ludźmi, którzy dziś skrzętnie pracują, a jutro, nie wiadomo dlaczego, postanawiają otwierać groby w klasztorach. Teraz miasto pokazuje płaski encefalogram, to prawda. Ale widma istnieją... Ach... Nie chciałbym zapomnieć, że wiele z nich to widma kobiet. Tutaj historię tworzyły najuczciwsze kurtyzany Europy.

Odprowadzając swojego gościa do wyjścia, sędzia wybuchnął śmiechem.

- Ach - powiedział jakby mimochodem. - Podziękuj Marcie Vives za jej informacje. Od czasu do czasu zwracam się do niej, kiedy w jakichś aktach pojawia się stare nazwisko. Ona wszystko wie i potrafi mnie skierować na właściwą drogę tak mądrze i bezinteresownie, że nigdy nie zdołam się jej odwdziżyć. Dwa tygodnie temu spytałem ją o sprawców pewnego oszustwa bankowego, należących do starych rodzin, a ona opowiedziała mi o antecedenjach w taki sposób, że wydało mi się, iż żyję w początkach dwudziestego wieku, kiedy w Barcelonie zakładano banki. Nie wiesz nawet, ile pracy mi zaoszczędziła... À propos, w tych informacjach pojawiło się nazwisko pewnego przodka Marty, więc być może dlatego tak wiele o tej sprawie wiedziała.

Tym przodkiem był rzekomo pewien wysokiej klasy księgowy, jeden z tych typów, co to w jeden wieczór sporządzają bilans tak wielkiej firmy jak Maquinista Terrestre y Marítima. Człowiek doskonały, z tych, co to się nigdy nie mylą. I nagle pewnego dnia zamykają go w zakładzie psychiatrycznym.

Solana, który nie lubił księgowości, mruknął:

- Może nabrał wstrętu do cyfr.

- Twoja aplikantka nie podała szczegółów. Wspomina tylko o swoim przodku, gdyż był on sekretarzem generalnym pewnego banku i pozostawił jego rachunki niezbilansowane, co wyjaśnia późniejsze braki zgodności, które z czasem umożliwiły oszustwo. Widać było, że Marta niechętnie pisze na ten temat. Ale doszedłem do wniosku, że ów człowiek oszalał: zaczął mówić, że wierzy w nieśmiertelność, co jest zupełnie normalne, bo przecież wszyscy katolicy w nią wierzą. Ale potem stwierdził - a uczynił to na walnym zebraniu - że zna istoty nieśmiertelne.

„Świętych, którzy są w niebie” - powiedział mu lekarz przystępujący codziennie do komunii. „Nie - odrzekł przodek Marty. - Chodzi o osoby, które są na ziemi”. Lekarze, coraz bardziej wystraszeni, naciskali, żeby wyjawiał więcej szczegółów, i w końcu dał im adres jakiegoś człowieka, który według niego był nieśmiertelny. Bank wynajął prywatnego detektywa, żeby udał się pod ten adres, ale nikt tam nie mieszkał, a raczej wcześniej ktoś mieszkał, ale już go nie było. Chory skończył w zakładzie psychiatrycznym, gdzie odebrał sobie życie, a może odebrano mu życie, nigdy tego nie wyjaśniono, poza tym minęły już całe lata. Ale, jak mówiła mi Marta Vives, wielu spośród jej przodków zmarło śmiercią tragiczną.

Zrobił gest, jakby żałował, że tyle powiedział. Ale w końcu Solana był jego przyjacielem, a Marta Vives kobietą, którą cenił.

Ośmielił się dodać:

- Dbaj o nią. Ta kobieta jest wiele warta... I...

Zapadła cisza. Solana spytał:

- I...?

- I mam wrażenie, że grozi jej niebezpieczeństwo.

24.

Ostatnia szarża

Trzeciego czerwca 1931 roku Republika oświadczyła, że kościół Santa Maria del Mar jest pomnikiem kultury narodowej, czym nie wywołała powstania prawicy. Był to dowód na to, iż tematy kulturalne interesują Republikę tak jak kwestie rolnicze, ale według ludzi rozsądnych nie należało posuwać się dalej. To już było wystarczająco dużo, nawet jeśli ograniczono zainteresowania kulturalne do kościołów.

Znam tę debatę, gdyż pracowałem wówczas jako reporter w „El Diluvio”, antyklerykalnym dzienniku, i mimo to miałem wielu przyjaciół w gazetach prawicowych, jak „La Veu de Catalunya”. Ceniono mnie tam, bo potrafiłem im wyjaśnić wszelkie wątpliwości. „Kto był przewodniczącym Korteżów, kiedy postanowiono skończyć z okręgiem Kartageny?” I ja wiedziałem. Myślę, że dlatego przyjęto mnie do „El Diluvio” i dlatego tolerowano fakt, że mam przyjaciół we wrogim obozie.

Ale z drugiej strony praca w „El Diluvio”, kiedy powstała Druga Republika*, * Ustrój polityczny w Hiszpanii w latach 1931-1939. nie była tak trudna. Każdy obywatel mógł wejść do redakcji, napisać, co miał ochotę, i oddać do druku, oczywiście bez wynagrodzenia. W polowie wypadków artykuł się ukazywał.

Polubiłem ulicę Argentería, na której końcu stoi Santa Maria del Mar, ze względu na Fossar de les Moreres*, * Plac, na którym znajdował się cmentarz (zlikwidowany w 1821 roku), gdzie pochowano obrońców Barcelony z 1714 roku. który rząd kataloński uważał za honorowe miejsce. Dziś jest nadal uważany za honorowe miejsce - po wielu katalońskich rządach na emigracji - ale sama ulica Argentería jest miejscem typowym i wspinałym, z licznymi restauracjami, gdzie nadal kultywuje się honor kraju. Niewielu ludzi zwraca uwagę na Fossar de les Moreres, gdzie pochowani są bohaterowie - czy szaleńcy - z 1714 roku. Często chodzę ich odwiedzać, bo powinienem być jednym z pogrzebanych w osarium, a ze mną powinien być Ten Drugi.

Po śmierci dziewczynki zrozumiałem, że nie mogę nadal przebywać wśród wzgórz. Ścigano by mnie jako winnego jej śmierci, która zapoczątkowałaby całą serię legend o wampirach, a najgorsze było to, że rzeczywiście ponosiłem winę.

Czułem jakby wiszące nade mną przekleństwo.

Przeglądałem się w lustrze zakrystii i widziałem zawsze tę samą twarz: twarz mężczyzny przed trzydziestką, który nie zmieniał wyrazu, postawy, gestów. Wokół mnie wszystko się zmieniało, nawet powstawały nowe domy na wzgórzach, ale wydawało się, że we mnie czas się zatrzymał. Podobnie jak wcześniej w innych miejscach, także i tu ludzie musieli w końcu zdać sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego, pomyśleć: „To niemożliwe”.

A poza tym była jeszcze śmierć dziewczynki.

Ale w tym wypadku ja byłem narzędziem. Czyim narzędziem? I dlaczego? Jakie było moje posłannictwo, o ile takowe miałem? Jaki był sens mojej winy? Czy istniało coś, co w sposób nieunikniony pchało mnie ku Złu?

Musiałem uciekać.

Nie mogłem pozostawać tak długo w tym samym miejscu.

Proboszcz pozwolił mi odejść, chociaż podejrzewał coś dziwnego. Przedtem uznał za stosowne poinformować mnie, że ten świat jest doskonale urządzonej ręką boską, że role są już rozdane i każdy zna swoją. Z jednej strony właściciele ziemi, którzy zostali wyróżnieni przez Pana dzięki swoim przymiotom i na których spoczywało nie tylko zachowanie prawdy, ale również rozdanie dóbr. Z drugiej motłoch, który należało odkupić poprzez kulturowanie wspaniałej cnoty miłosierdzia. Miłosierdzie było najszlachetniejszym uczuciem spośród tych, jakie dał nam Bóg, gdyż dzięki niemu przejawiała się na tym świecie sprawiedliwość. Wszystko, co zakłócało naturalny boski porządek, było grzechem, a jeżeli do tego stosowało się przemoc, grzech był bardzo ciężki, godny najwyższej kary. Dlatego ten, kto niczego nie dostał od Boga, powinien czuć wdzięczność, gdyż stawał się błogosławionym. Czyż nie zdawałem sobie sprawy, że wszystko zostało przewidziane? Mówił mi to, albowiem dostrzegł, że pomimo lat przepracowanych w świątyni nie jestem dość pobożny.

Proboszcz podejrzewał, że w jakiś sposób jestem skazany na Zło.

Odszedłem stamtąd pełen wątpliwości co do mojej istoty i przeznaczenia, ale nie odszedłem zbyt daleko. W wąwozach Vallcarca osiedliła się grupa pustelników, którzy zdawali się żyć wyłącznie wodą wypływającą z licznych źródeł. Przyjęli mnie, myśląc, że pragnę poświęcić się medytacji. I tak bardzo się nie

mylili, bo dręczyła mnie niepewność, zadawałem sobie różne pytania i miałem wątpliwości, czy Stworzenie już się zakończyło; najwyżej dokonało się w połowie. Myślę, że to czyniło ze mnie rewolucjonistę, a co gorsza, heretyka, ale żaden z anachoretów najwyraźniej tego nie dostrzegał. Później dowiedziałem się, że wszyscy oni myślą mniej więcej tak jak ja i że niektórzy z nich są poszukiwanymi przestępcami lub zbiegłymi niewolnikami. Trzymali się z dala od anachoretów z Penitentes, choć mieli ich tak blisko siebie, bo ci ostatni zdawali się myśleć, że świat jest tak dobrze urządzone, iż nawet na niego nie zasługują.

Ten rodzaj braterstwa wody - bo z pewnością nie braterstwa strawy - trwał krótko, albowiem zostaliśmy zatrzymani jako podejrzani o kradzież i rozbój, choć nikt tam niczego nie ukradł. Ja sam, największy nędzarz, wykorzystałem tylko krew psa, który i tak miał zdechnąć. Myślę, że pies był mi wdzięczny za to, iż ulżyłem jego cierpieniom: przykuty do bramy gospodarstwa, znosił od zawsze nieubłagane słońce i lodowate zimno, samotność i bicie, którym go tresowano, by wzmóc jego dzikość. Ja byłem jedyną osobą, której pozwolił się do siebie zbliżyć, może dlatego, iż dojrzał w moich oczach coś, co widzieli tylko ci, którzy znali elementarną prawdę świata.

Prawie wszyscy pustelnicy zostali uwięzieni, ale mnie okazano litość, bo przyłączyłem się do nich niedawno. Trzymano mnie za kratami tylko przez dwa miesiące, które spędziłem z jednym z najdziwniejszych starców, jakich w życiu spotkałem. Był prawie ślepy, lecz mimo to zdawał się znać instynktownie wszystkie proporcje świata. W młodości był uczniem greckich geometrów i arabskich matematyków, toteż jego świat był po prostu zbiorem zharmonizowanych ze sobą liczb. Krawędzią kamienia pisał niezmordowanie na ziemistej podłodze celi i z jego ust poznałem

nauki, których istnienia nie mogłem nawet przeczuwać. Między innymi całą geometrię Euklidesa, doskonale proporcje Fidiasza i równania wymyślone przez Arabów, a często przekazywane przez Żydów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ja, mały potwór, jestem mędrce.

Ale na nic nie miało mi się to przydać. Moje uwolnienie oznaczało, że muszę pracować przy licznych dołach, które kopano w Raval, aby budować domy na starych cmentarzach. Nauczyłem się tam, że miasta wznosi się na szczątkach ludzkich i przedmiotach (pierścieniu, amforze, kawałku tkaniny, chusteczce przeżartej przez czas) i że trupy przechodzą przez kolejne stadia robaków, larw, much, chrząszczy i prochu, prochu stuleci, który wdychałem, kiedy wydobywano ciała, aby kopać rowy. Posiadłem więcej wiedzy o anatomii i kościach niż którykolwiek z królewskich medyków, ale o tym nikt nigdy się nie dowiedział.

Trzy razy się przenosiłem, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Moim pierwszym nowym miejscem pobytu były kamieniołomy na Montjuïc, od tak dawna eksploatowane i zawierające w sobie tyle cierpienia, że każda skała zdawała się kryć duszę jakiegoś martwego robotnika. Później zostałem przydzielony jako rachmistrz do pewnego handlarza jedwabiem, a wreszcie przypadło mi coś lepszego: zostałem pisarzem w kantorze notariusza przy Plaza del Aceite, który potem przestał istnieć i przy którym stała tawerna, gdzie po wiekach miałem poznać Picassa. W owym kantorze zapisywano wszystkie akta sądowe tego miasta, już największego nad Morzem Śródziemnym. Albowiem w ciągu tylu lat ja się nie zmieniłem, natomiast Barcelona stała się nieznanym olbrzymem, gigantem, który odkrył coś, co umiał na zawsze zachować - współzycie. Współzycie i ducha gościnności. Nikt, kto przybywa do pracy, nie jest obcym w tym mieście należącym do wszystkich,

choćby musiał cierpieć, jak cierpiała moja matka. Ci, co nie rodzą się barcelończykami, w końcu umierają jako barcelończycy. Dlatego zdałem sobie sprawę, że kocham moją ziemię pomimo jej szaleństwa.

Ale to szaleńcy tworzą historię, podczas gdy rozsądni tworzą tylko kalendarze.

Czasami przemykam się jak cień ku Santa Maria del Mar, ku Fossar de les Moreres. Powiadają, że tam *no s'enterra cap traidor**, * „Nie grzebie się żadnego zdrajcy” (katal.). gdyż wszyscy ci, co leżą w tej ziemi, są bohaterami. Bohaterowie - teraz to wiem - wierzą, że wypełniają jakąś etyczną misję, ale w rzeczywistości wypełniają misję estetyczną. Bez nich ludzkość nie wykroczyłaby poza kategorię stada.

Gdyby spytał mnie o to jakiś historyk, podałbym mu kilka nazwisk tych, którzy tam leżą, bo poznałem ich i byłem z nimi. Poznałem ich strach, ich zdecydowanie, ich wiarę w śmierć, bo nie mieli wiary w zwycięstwo. Tylko tacy są prawdziwymi bohaterami.

Wszystko zaczęło się od sprawy, którą Katalończycy uczynili swoją i w którą zaangażowali swoje słowo, ale która w rzeczywistości powinna ich niewiele obchodzić, bo była to sprawa europejska, jedna z tych spraw bogaczy, za które umierają biedni.

Ja wiedziałem już - z mojego miejsca starszego pisarza notariusza - że to miasto ma pewną cechę: nie chce żyć z państwa, ale nie chce też, żeby państwo żyło z niego. Dlatego zawsze było bardzo zazdrosne o swoje prawa i przywileje, które królowie Hiszpanii musieli zaprzysięgać. A kiedy królowie Hiszpanii domagali się pieniędzy od katalońskich Korteżów na sfinansowanie którejs z

swych wojen, zazwyczaj odchodzili z trzema groszami. To prawda, że w konsekwencji królowie też nie przyznawali Katalończykom niczego wielkiego.

Moi współobywatele - jeżeli mogę ich tak nazywać, nie wywołując w nich gniewu - byli więc bardzo zazdrośni o swoje prawa i musieli ich bronić przed wojskami naszego pana Filipa IV, króla, który dobrze wykorzystał swoje życie, gdyż poświęcił je polowaniu na bazanty i zapładnianiu godnych pochwał kobiet. Ale gorzej im się powodziło, kiedy jego spadkobierca, Karol II, zmarł bezpotomnie, nie nauczywszy się od swych przodków sztuki zapładniania, a to obudziło apetyty wielkich Europy. Wielcy Europy zawsze bardzo dobrze wiedzieli, co mają robić; narody nigdy się tego nie nauczyły.

My, którzy żyliśmy zbyt długo, jak ja, mamy pewną tendencję do doszukiwania się złych intencji. Nie sądzę, żeby ci, co zginęli, broniąc murów Barcelony, wiedzieli o dynastiach europejskich to, co wiedziałem ja, ale to niewiele ich obchodziło: u ich boku dowiedziałem się, że są tam z czystej dumy. Notariusz, który to wiedział, nie odczuwał pragnienia posiadania jakiegokolwiek dumy.

- Ludwik XIV we Francji - powiedział mi, jakbym musiał to wiedzieć - widzi pusty tron Hiszpanii i chce jej narzucić króla francuskiego o imieniu Filip V, co uczyniłoby go najpotężniejszym w Europie, pozbawionym jakiegokolwiek rywala. Bo musisz już przecież wiedzieć, że zaczyna się mówić o równowadze w Europie, a ten, kto zapanuje nad Europą, zapanuje nad światem.

Notariusz, nie wiedząc, że przeżyłem więcej historii niż historie wszystkich jego przodków razem wziętych, ciągnął dalej:

- Równowaga europejska ulegnie zachwianiu, jeżeli Francja i Hiszpania się połączą, i dlatego państwa centralne chcą narzucić króla austriackiego, Karola. To powinno niewiele obchodzić

kataloński lud pracujący, który zawsze będzie na dole, ale Karol Austriacki przyrzekł przestrzegać jego praw, a Filip tego nie zaryzykował. Musisz wiedzieć, że Francja jest krajem centralistycznym, choć wątpię, żebyś rozumiał, co to centralizm.

Zrobiłem niepewny gest, jakbym nie wiedział dobrze, o czym rozmawiamy, i położyłem na górze stosu akta, w których dzielono ziemskie dobra. Znałem historię każdego papierka. Historię każdej wielkiej rodziny. Historię każdego życia, a zwłaszcza każdej śmierci.

I poznałem dobrze to, co wydarzyło się później. Barcelona dotrzymała swojego słowa na korzyść Austriaka, a mocarstwa europejskie doprowadziły do podpisania między sobą paktów, nie dotrzymując żadnego słowa. Katalończycy, a zwłaszcza barcelończycy, pozostali na wojnie całkowicie samotni.

I wydawali się z tego zadowoleni.

To miasto było zawsze miastem rozsądnym. Notariusz był rozsądny. Tacy byli kupcy. Tacy byli ci, co marli w kamieniołomach i stajniach. Nigdy nie aspirowali do czegoś innego niż zarobienie na kawałek chleba.

To miasto stworzyło najuczciwsze i najsurowsze gremia. Za sprawą *taula de carivi** * „Stół wymiany” (katal.), przykryty sukniem z herbem miasta, pojawił się na giełdzie w Barcelonie w 1401 roku, stając się bezpośrednim poprzednikiem banków publicznych, które powstały wraz z nasileniem się handlu międzynarodowego. ustaliło pierwsze normy handlowe. Poprawiło listy kredytowe Lombardczyków. Wprowadziło normy prawa morskiego. Swoimi *Ordinacions de sanctacilia*** ** Czternastowieczny zbiór rozporządzeń wydanych przez Jakuba II i utrwalonych na piśmie, z dołączonym do nich prawem zwyczajowym. Dotyczy regulacji prawnej stosunków między sąsiadującymi ze sobą własnościami ziemskimi, jak również sposobów zabudowy gruntów. raz na zawsze określiło

normy urbanistyczne. Uznawało ubezpieczenia transportowe. Wprowadziło rozdział majątkowy w przypadku małżonków. Stworzyło testament wzajemny. Utrzymało swobodę testamentową dotyczącą większości spadku. Zapobiegło rozdrabnianiu własności ziemskiej. Wydawało się, że Katalonia, a zwłaszcza Barcelona narodziły się, aby być rozsądne.

Otóż takie nie były.

Barcelona żyje mitami.

Rzecz w tym, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

W 1714 roku notariusz przestał pracować. Ja przestałem pracować. Rzemieślnicy cechowi zostawili narzędzia i chwycili za broń. Ci, co mieli ręce, stanęli na murach. Medycy weszli na nie, aby zająć się rannymi. Kobiety zapomniały, że mają dzieci, by przypomnieć sobie, że mają sztandar.

I wszystko to za dalekiego króla, o którym nie wiedzieli nawet dobrze, gdzie się urodził.

Wszystko dla jednego słowa.

Dzwony zabiły na trwogę.

Dzwony nie znają się na rozsądku. Są zawsze ostatnim głosem, jaki zostawiają zmarli, ale wtedy były ostatnim głosem tych, co mieli umrzeć.

Zadawałem sobie pytanie: dlaczego?

Ona mi powiedziała.

Eva pochodziła z Katalonii wewnętrznej, która była już podbita przez wojska burbońskie przybyłe z całej Europy. Podwójny pierścień armat, wież oblężniczych, kirasjerów, jeźdźców, pieszych najemników i minerów przedzierzgniętych w krety otaczał

pozbawione nadziei miasto, ale dzwony były nadal ostatnim głosem tych, co mieli umrzeć.

Ja nie mam płci. Ja nie miałem płci. Kobiety, patrząc na mnie, wiedziały, że nie przedłużą gatunku, i dlatego nie rozumiem, co Eva we mnie zobaczyła. Może, jak ten uwiązany pies, odgadła we mnie elementarną prawdę świata. Poza tym ona nie musiała przedłużać gatunku, bo nosiła już gatunek w sobie. Była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Jak to było w przypadku dziewczynki, która pragnęła umrzeć, jej pan posiadał ją, kiedy skończyła piętnaście lat, dając jej jasno do zrozumienia, że to panowie, a nie sługi, panują nad siłami ziemi. To prawda, nie była tylekroć wykorzystywana, co dziewczynka, która pragnęła umrzeć, a poza tym pan obiecał utrzymywać dziecko pod dwoma warunkami: że nigdy nie będzie się domagało, by je uznał, i że tak jak wszyscy jego przodkowie pozostanie przywiązane do posiadłości i będzie zawsze jeszcze jednym kawałkiem pola.

Eva przekonała mnie, że miasto walczy o pewną obietnicę, ale ona będzie walczyła o część swojej istoty. Historia Barcelony pełna jest kobiet, które walczyły o część swojej istoty. Ale o nich nigdy się nie mówi.

I przeczuwała, że nosi w swoim łonie dziewczynkę. Instykt kobiet nigdy ich nie oszukuje. Eva wiedziała, że jej córka urodzi się przywiązana do ziemi, że urosnie, że zobaczy, jak tworzą się jej piersi i poszerzają biodra. I że pan też to zobaczy i będzie chciał te biodra uczynić swoimi. I te piersi.

I w końcu znowu łóżko.

I inny pan, który będzie z nią mierzył swoją męskość.

Nie, Eva tego nie chciała.

Powiedziała mi to:

- Chcę, żeby moja córka urodziła się wolna.

Od czasów, jakie zachowałem w mojej pamięci, Barcelona zawsze była identyfikowana z wolnością. Sługi, którym udało się w niej osiedlić, stawały się wolne. Ci, co mieli sierp, walczyli o to, żeby nie być niewolnikami. Ci, co szli na śmierć, wyobrażali sobie, że prawo czyni z nich kogoś innego niż pozostali i daje im jakąś przyszłość.

Jestem za stary.

Usłyszałem to odwieczne pragnienie w pewnej pieśni rewolucyjnej podczas wojny domowej:

„Jeśli umrę, moi synowie żyć będą”.

Eva postanowiła, że jej córka będzie żyła.

Poznałem ją na murach, gdzie pomimo ciąży dzierżyła w dłoni halabardę. Ja stałem obok niej, bo chciałem przeżyć tę chwilę szaleństwa i wiedziałem, że tylko szaleństwa tworzą historię. Kiedy zobaczyłem, że granaty rozrywają mury, zabrałem ją do jednej z wież katedry, która wydała mi się bezpieczniejszym miejscem.

Stara „Tomasa” biła na trwogę.

Ci, co ginęli za dalekiego króla, nie wiedzieli, że giną tylko za własny honor.

Eva wiedziała coś więcej.

Eva wiedziała, że zginie, ale nie za swój brzuch, tylko za brzuch swojej córki.

Wiedziała więcej niż ja.

Kiedy ją otoczyłem ramionami, nie myślałem o niej, lecz o mojej matce. Mojej matce nie było dane urodzić się wolną. I kiedy mury już padały strzaskane, kiedy wojska burbońskie ogniem i krwią wchodziły do miasta, Eva powiedziała mi z płaczem, że chce

zrobić ostatnią rzecz w swoim życiu: sprawić, aby jej córka urodziła się na wolnej ziemi. Powiedziałem jej, że Barcelona już nie jest wolna, że pozostało jej tylko kilkoro ramion i zaledwie pół mili wolności, o ile wolność istniała. Ale właśnie to umocniło Evę i jej cudowną młodość, która słucha tylko jednego głosu i jednego bicia. Prawie ukryta za dzwonem podniosła spódnicę i ukucnęła jak zwierzęta w polu, jak pierwsze kobiety. Zauważyłem jej nabrzmiałe piersi, usłyszałem jej rżenie i zgrzytanie zębów. Wyjąkała, patrząc mi w oczy:

- Miasto ją przygarnie.

Podczas gdy kule świsnęły wokół nas, a nawet odbijały się od dzwonu, usiłowałem jej pomóc, bo wiedziałem jak - w szpitalach, kiedy krew plamiła ściany, obserwowałem, jak pracują medycy.

I wtedy ów młodzieniec też zapragnął jej pomóc. Wypuścił sztandar, kiedy zdał sobie może sprawę, że brzuch kobiety zawiera więcej prawd niż wszystkie sztandary świata. Podszedł do Ewy, położył ją na ziemi i rozsunął jej nogi, między którymi widać już było główkę. Krew obryzgała wszystko. Ona nawet nie krzyknęła, świadoma, że rodzi nie córkę, tylko jakąś nadzieję.

- Jestem pielęgniarzem w szpitalu - powiedział młodzieniec. - Trochę się na tym znam.

Ja znałem się znacznie lepiej, ale zauważyłem, że dobrze wykonuje swoje zadanie, tak więc ograniczyłem się do pomocy. Widząc zaciskające się zęby Ewy, pomyślałem, że ani ona, ani dziecko nie mają dużej szansy na przeżycie, nie tyle z powodu kul, ile brudu. Było jasne, że po kilku dniach oboje umrą na skutek gorączki.

Chłopak prawie krzyknął:

- Już się urodziła. To dziewczynka.

I dostrzegłem łzy w jego oczach.

Na pewno był jednym z tych, co myślą, że życie zawsze pokona śmierć.

Ale szarża osiągnęła już swoją krańcową fazę. Barcelończycy ginęli za ostatnimi kamieniami muru. Z góry ujrzałem jednego z przedstawicieli miasta, Casanovę, jak pada, ściskając sztandar. Cudzoziemcy posuwali się triumfalnie w takt werbla, podczas gdy ostatni obrońcy usiłowali ich zatrzymać, już nie bronią, lecz krzykami. Schwyciłem zakrwawione dziecko i położyłem je pod dzwonem obok matki, która straciła przytomność.

To właśnie wtedy kula drasnęła mnie w szyję; mogła wbić się, ale tylko mnie musnęła. Moja krew opryskała „Tomasę” i zbroczyła jej brzegi. Jak to się zwykle w takich wypadkach dzieje, nie poczułem najmniejszego bólu i niemal tego nie zauważyłem.

Natomiast zdałem sobie sprawę, że jest to ostatnia szarża i że wojska burbońskie już są w mieście. Cała Barcelona umierała, ale nie był to pierwszy raz. I nagle pojawił się Ten Drugi, poruszając się wśród ruin. Ubrany, jak zawsze, na czarno, nieskazitelny, surowy... Nie miał broni i wydawał się, że jest tam tylko po to, by policzyć zabitych.

Jaka to dla niego wielka radość! - pomyślałem.

Martwi nie grzeszą.

Końcowa szarża docierała do ostatnich zakątków Barcelony. Wszystko wokół mnie waliło się i okrzyki triumfu zwycięzców tłumili jęki umierających. Z dołu celowało we mnie kilku żołnierzy i wtedy zdałem sobie sprawę, że mogę umrzeć.

Przez parę sekund w mojej głowie panował zamęt. Musiałem żyć. I miałem tu prawdziwy festyn krwi.

I zwyciężyło Zło.

Zwyciężyło moje tchórzostwo.

Pociągnąłem przed siebie chłopaka, który już stał na nogach i schwycił sztandar. Trafiły go dwie kule, które zmierzały w moją pierś. Zobaczyłem, jak pada, a ja nadal zasłaniałem się jego ciałem, padając równocześnie z nim.

Uratowałem się.

Krzyki milkły.

Napastnicy dobijali bagnietami rannych.

Ale sztandar był tam nadal.

Prześlizgnąłem się po dachu katedry, depcząc ostatnie trupy, i wtedy sztandar padł.

To, co widziałem w owych dniach, nauczyło mnie, że ludzie prości, lud, zawsze w końcu wypełniają swoje przeznaczenie, którym jest praca dla własnych dzieci i śmierć za swoich panów. Pozostaje honor, ale honor nie przysługuje anonimowym poległym z Fossar de les Moreres, gdyż rezerwują go dla siebie ci, którzy nie są tam pochowani. Żaden mężczyzna ani żadna kobieta, którzy aspirują do wieczności, nie zechcą być ludem.

I zdałem sobie sprawę z czegoś, o czym już wiedziałem: Barcelona nadal żyje mitami.

Każdego jedenastego września organizowany jest hołd ojczyzny dla Rafaela de Casanova, który padł razem ze sztandarem, ale nie umarł: wycofał się ze świata do swojego majątku, a nawet przyjął pensję od zwycięzcy i umarł ze starości jako człowiek rozsądny. I pamięta się o generale Moragas, który został ścięty przez zwycięzców i którego głowa została wystawiona w klatce na widok publiczny.

Powinno się schylić czoło przed bezimiennym ludem.

Ale chyli się je tylko przed tymi, którzy przestają być ludem.
No cóż, nikt nie musi zwracać uwagi na moje opinie.
Jestem tylko banitą.

Barcelona straciła wszystko oprócz chęci do dalszej pracy. Na drugi dzień po klęsce obrońcy miasta byli na swoich stanowiskach i znowu stawali się ludem skłonny do dalszego pisania historii. Filip V - który nie wszystko zrobił źle, bo przynajmniej wprowadził pewne cywilizowane normy Francuzów - wydał *De-kret o nowej organizacji*, praktycznie anulujący wszystkie katalońskie swobody, i zburzył dawną dzielnicę Ribera, gdzie stał kościół Santa Maria del Mar, aby zbudować Cytadelę. Dzięki niej i armatom na Montjuïc nowa władza miała całkowicie zdominować miasto; w ten sposób nikt nie miał się ośmielić podnieść głosu. Barcelona jest prawdopodobnie jedynym miastem na świecie, w którym wyprostowano ulice, aby ułatwić szarżę kawalerii.

I rzeczywiście, z Cytadeli, gdzie było zakwaterowane wojsko, ulica Princesa prowadzi mieszkańców (i uzbrojonych jeźdźców) w linii prostej do ośrodków władzy, Ratusza i Generalitat, które można łatwo opanować; stąd ulica Fernando prowadzi dalej w linii prostej do Rambli, zawsze niespokojnych, i również w linii prostej starą ulicą Conde del Asalto do Paralelo, ostatniej granicy Ravalu i jego wygłodniałych robotników. Każdy oddział schodzący z Montjuïc połączy się z tym, który jechał konno z Ribery, i przekona lud, że najlepszą rzeczą jest pozostać nadal ludem.

Ponadto lud na ogół nie wie, czego chce. I moje długie doświadczenie łotra mówi mi, że lud zawsze źle rządzi ludem.

Wyrzuceni z mieszkań w dzielnicy Ribera zostali przeniesieni

do nowej Barcelony w miniaturze, którą nazwano Barceloneta. Nowa dzielnica została zaprojektowana, nie bez talentu, przez inżyniera wojskowego o nazwisku Cermeño, a nowi mieszkańcy zrobili tam trzy rzeczy: odkryli morze, napełnili mieszkania dziećmi i zaczęli śnić o rewolucji, aż egzekucje na plażach przekonały ich, że lepiej nie śnić. Widziałem, jak z biegiem lat Barceloneta przekształca się w dzielnicę restauracji, piwiarni, azyłów dla kalmarozerców i stanowisk cumowania jachtów, czyli widziałem, jak przekształca się w zupełnie rozsądną dzielnicę.

My, którzy błakamy się pośród cieni, niczego nie zapominamy, ale mieszkańcy miast zapominają własną historię. Kiedy Borne, wielki centralny targ, przestał funkcjonować, gdyż istniało już inne, większe targowisko, pomyślano o stworzeniu tam centrum kulturalnego albo wielkiej biblioteki, a w tym celu trzeba było kopać w fundamentach, które przez wieki znosiły kroki tragarzy, nawoływania sprzedawców i ciężar wozów. Wielki brzuch Barcelony był pusty i pomyślano, by go zappełnić strzępami pamięci. Ale gdy zagłębiano się w ziemię, ukazały się resztki domów, ulic, kanałów i wodociągów, czyli prawdziwe nieznanne miasto, rodzaj miasta egipskiego. Nikt dobrze nie wiedział, co to jest, aż wydedukowano, że to pozostałości zburzonej przez Filipa V dzielnicy Ribera, gdzie barcelończycy stawiali opór podczas ostatniej szarży. Czyli była to dzielnica bohaterów, przez wieki pogrzebana pod tonami warzyw i owoców, które nawet nie pochodziły z kraju. Władze stanęły na baczność przed tym przejawem honoru, uroniły municypalne łzy i oczywiście wezwały fotografów. Zwrócono szczególną uwagę na zlokalizowanie ewentualnych ciał, aby okazać im należną cześć.

Odkryto kilka kości, ale tylko dwa szkielety ludzkie, które można było odzyskać. Jeden należał do młodego mężczyzny dzierżącego resztki sierpa i podającego rękę jakiejś kobiecie. „La Vanguardia” postanowiła zamieścić wielki reportaż o możliwych związkach uczuciowych między tym dwojgiem ludzi, ale na nic się to zdało. Kiedy usiłowano ich rozdzielić, rozsypali się w proch.

25.

Człowiek, który nigdy nie został pochowany

Proch, proch, proch... Z okien swojego gabinetu, górujących nad starym miastem, Marcos Solana widział, jak nieustannie rośnie nowe miasto, które wylewało się już poza wszelkie granice, a ponadto wyburzało budynki dla dziesięciu rodzin, żeby postawić bloki dla pięćdziesięciu, gdzie nikt nie pamiętał nawet historii terenu, na którym mieszkał. Wszędzie widać było dźwigi i obłoki kurzu, oznajmiające śmierć jakiegoś budynku i zapowiadające narodziny nowego dziecka cementu. Barcelona pełna była szybów naftowych, a budowniczcy robili lepsze interesy niż te, które robiono w dawnym Teksasie.

Tym lepiej - mówił sobie czasami.

Na starych ulicach nie można było mieszkać.

Myślał czasem o zaułku Maila, już nieistniejącym, gdzie na fotografiach utrwalono dzieci, które nigdy nie widziały słońca.

I wszystko odbywało się bardzo szybko, zbyt szybko. Przeczytał gdzieś, że Diagonal* * Główna, najdłuższa ulica Barcelony, przecinająca ją ukośnie z południowego wschodu na północny zachód. doszła do Avenida de

Sarria dopiero w 1900 roku, a dalej były pola i odosobnione domy, gdzie ludzie nie ośmielali się mieszkać. Teraz Diagonal nie miała końca, bo była w rzeczywistości autostradą, która niesie barcelończyków w ich ucieczce, choć znosiła również ponad milion tych, co dojeżdżają do pracy. Jednym z cudów Barcelony było bowiem to, że barcelończycy nie mogli już pozwolić sobie na luksus jej zamieszkiwania.

Solana przeszedł się po swoim gabinecie, przystając kolejno przed wszystkimi oknami. Czuł, że stare miasto go broni. A jednocześnie czuł się pewniej, gdyż stawiał kroki na własnej historii.

Wtedy weszła Marta Vives. Adwokat powiedział:

- Wybacz, ale wyglądasz na zmęczoną.
- Nie jestem zmęczona. Po prostu ostatnio źle sypiam.
- Jeśli chcesz, możesz wziąć sobie kilka dni wolnego, dla zmiany otoczenia. Może fizycznie zmęczysz się bardziej, ale uwolnisz się od problemów.

Uśmiechnęła się, wskazując na stół, gdzie leżały stosy papierów. Ale Solana wiedział, że chodzi nie tylko o to. Coś dręczyło Martę Vives - można było nawet powiedzieć, że napawało ją lekkiem - dodając jej sile fizycznej jakiegoś specjalnego uroku, jakiegoś arystokratycznego akcentu wątlności. Początkowo zaskoczyła adwokata swoją sportową figurą, swoim wzrostem i giętkością, swoją siłą. Teraz podziwiał ją za inteligencję, lecz chwilami przepełniała go rodzajem strachu.

- Dziękuję za ostatnie sprawozdanie. Jest bardzo gruntowne.
- Nie ma w nim żadnej mojej zasługi. Był to po prostu temat, który dobrze znałam.

- Znajomość rzeczy zawsze była zasługą, moja droga. Nie odbieraj jej znaczenia.

Mówiąc to, Marcos Solana przyglądał się dyskretnie jej nogom.

Nie ośmielał się robić tego otwarcie, bo obawiał się, że Marta to zauważy, a wtedy co sobie pomyśli? Dla adwokata byłoby krępujące, gdyby obawiała się jakiegoś rodzaju molestowania seksualnego.

Odwrócił spojrzenie.

Nie, to niesprawiedliwe. Kobieta ma prawo do zachowania swojej intymności. Bardzo często - choć niewielu ludzi o tym myśli - intymność to jedyna rzecz, jaka jej pozostaje.

- Dlaczego źle sypiasz?

Odwróciła spojrzenie. Nie mogła powiedzieć mu prawdy, powiedzieć, że w poszukiwaniu danych o swojej rodzinie odwiedzała w godzinach pracy archiwum, żeby szperać w szczegółach, które mogły być tylko tam albo na cmentarzach. To czasami nie pozostawiała jej czasu na sprawy kancelarii, ale zabierała papiery do domu i pracowała nad nimi nocami, nie mówiąc nic o tym Solanie. On widział, że wszystkie akta są w porządku, i też nie zadawał pytań. Dostrzegał tylko, że Marta nie jest ta sama, że przyniata ją rodzaj wewnętrznej klęski.

- Są takie okresy - odrzekła. - Potem to mija.

I założyła nogę na nogę.

Marcos kiedyś powiedział sobie, że być może nigdy w życiu nie widział ładniejszych.

Ale dlaczego w oczach Marty był ten rodzaj strachu?

W rzeczywistości dziewczyna usiłowała się dowiedzieć, dlaczego jubiler Masdéu i ona szukają tego samego. Dlaczego przodkowie Masdéu opłacali grób jej antenatki, o której prawie nic nie wiedziała. Jasne, że mogła zapytać go o to wprost, ale wydało jej się to naiwnością. Woliała to zrobić wtedy, kiedy zdobędzie jakieś dane i przynajmniej będzie wiedziała, po jakim terenie się porusza.

Poszła odwiedzić starego historyka o nazwisku Conde. Porzucił już uniwersytet, był na emeryturze, zapomniany przez swoich studentów, ale nadal prowadził badania i stał się człowiekiem o absolutnej wiedzy i absolutnie podłym charakterze. Mawiał, że historia na nic się nie przydaje, ponieważ nikt jej nie uczy. „Obecnie - głosił - w instytucjach, pierwszych przyczółkach wiedzy, są studenci, którzy zdają egzaminy, nie wiedząc, kim był Franco ani jaką wojnę wywołał. Niektórzy nawet twierdzą - i nie padają porażeni gromem - że był prezydentem Republiki wybranym w powszechnym głosowaniu. My, którzy piszemy o historii, jesteśmy kilkoma nikomu niepotrzebnymi szaleńcami. Za sto lat kilku następnych nikomu niepotrzebnych szaleńców będzie pisało o naszych wojnach domowych coś przeciwnego do tego, co ja pisałem, ale też nikt nie będzie ich czytał”.

Przyjął Martę Vives w staroświeckim gabinecie przy Petritxol, dawniej ulicy adwokatów, a teraz ulicy wystaw i cukierni z gorącą czekoladą. Na wstępie powiedział:

- Pani powinna zająć się czymś innym.
- Dlaczego?
- Jest pani bardzo młoda i bardzo ładna.
- A czym według pana powinnam się zająć? - zapytała z uniesionym podbródkiem. - Towarzyszeniem jakiemuś bankierowi, który mówi, że zajmie się bilansem?

- Nie, ale powinna pani uczestniczyć w konkursach telewizyjnych i stać się sławna. Z pewnością jest pani lepsza niż dziewięćdziesiąt procent uczestniczek. Szkoda, że marnuje pani życie i nie uczestniczy w kulturze ludu.

- Jakiej kulturze?
- Polegającej na zrozumieniu, że ten kraj każdego dnia rodzi

się i umiera. Ani nie zachowuje wspomnień o dniu wczorajszym, ani nie obchodzi go, co będzie robił jutro. Kiedy skończy się ostatni konkurs w telewizji, skończy się Hiszpania, ale to jest wspaniałe. Sądzę, że jesteśmy na najlepszej drodze do tego, by stać się krajem absolutnie szczęśliwym.

Marta nie ośmieliła się oponować. Dobrze by było, gdyby świat był tylko taki, jakim go ukazywały telewizyjne konkursy.

- Pan wie, że bardzo poważnie podchodzę do historii, zwłaszcza do historii tego miasta - powiedziała. - Wysłałam panu moje akademickie curriculum, żeby mnie pan przyjął. Właśnie dlatego, że podchodzę poważnie do historii, chciałabym zadać panu kilka pytań dotyczących moich licznych wątpliwości.

- Czy przygotowuje pani pracę doktorską?

- Już ją obroniłam. W moich aktach zobaczy pan, że oceniono ją *cum laude*.

Conde wyglądał przez chwilę na zmieszanego. Rzucił okiem na leżące przed nim notatki. Potem spojrział na Martę z większym szacunkiem.

- Współczuję pani - rzekł.

- Dlaczego?

- To praca o Barcelonie. A to jest skomplikowane miasto.

- Zgadza się - odrzekła Marta. - Z perspektywy wieków nie sądzą, żeby Barcelona miała jakąś logikę.

- Obawiam się, że myślimy tak samo, ale nie chciałbym, żeby miała logikę jakiegoś szwajcarskiego miasta. Niech pani usiądzie.

Marta usiadła, ale nie założyła nogi na nogę.

- Co chce pani wiedzieć?

- Poszukuje pan oryginalnych dokumentów. Przeszukał pan wszystkie rejestry, jakie istnieją w tym niewielkim kraju.

- Nie są dobrze prowadzone - powiedział Conde. - I wiele z nich zaginęło.

- Może nie wszyscy historycy są tak skrupulatni jak pan - pochwaliła Marta. - Ograniczają się do cytowania innych historyków i nie sprawdzają nic w żadnym rejestrze.

- A kogo to obchodzi? Nie żyje się z przeszłości, tylko z twardej teraźniejszości. Przeszłość jest najwyżej tematem do dyskusji, albo nawet i to nie. Proszę spytać klientek tych cukierni tutaj na dole. A teraz niech pani przestanie mnie chwalić i powie, czego sobie życzy.

- Będę potrzebowała informacji o pewnej starej rodzinie, ale nie mogę zapłacić panu honorarium. Jeżeli ma pan tracić godziny na szukanie w starych papierach, proszę o tym zapomnieć. Niech pan tylko mi odpowie, czy coś na ten temat pamięta.

- Wszyscy prawdziwi historycy są biedni, chyba że zajmują się jeszcze czymś innym, toteż spróbuję pani pomóc.

- Jest pewna stara barcelońska rodzina: Masdáu.

- Jest wiele starych barcelońskich rodzin, ale wkrótce nie zostanie ani jedna. To też nie ma zbyt dużego znaczenia. Stare rodziny są nudne i niedługo nie będą przydatne nawet jako znak tożsamości. Teraz narzuca się kultura mieszkańców.

I dodał:

- Proszę wybaczyć. Pewnie już pani zauważyła, że jestem jednym z tych, co to protestują przeciw wszystkiemu.

- Pytałam, czy pamięta pan coś o rodzinie Masdáu.

Profesor Conde zamknął na chwilę oczy, jakby chciał zostać sam ze swoimi myślami. Marcie przyszło do głowy, że z nimi też musi walczyć, ale to było dowodem dobrego zdrowia. W końcu powiedział:

- Jedna gałąź rodziny poświęciła się handlowi. Byli zatwardziałymi protekcjonistami, sprzeciwiali się importowi zagranicznych tkanin, aby w ten sposób przemysł kataloński nie miał konkurencji. Natomiast mieli konkurencję robotnicy, którym żyło się coraz gorzej i którzy organizowali się w komórki rewolucyjne. Ale to, co mówię, nie jest niczym nowym, to po prostu historia Katalonii w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Marta powiedziała ściszym głosem:

- Skoro część rodziny poświęciła się handlowi, to zapewne były też osoby, które poświęciły się innej działalności.

- Oczywiście, polityce i Kościołowi. To też stanowi część historii Katalonii w dziewiętnastym wieku.

- Co to znaczy „polityce”?

- Władze miejskie i niewiele więcej. Wszystko, co było związane z konkretnymi interesami każdego okręgu. Burmistrz mógł wtedy wiele zrobić i jeżeli pani chce, mogę opowiedzieć historię rzeki Llobregat, jej osiedli robotniczych i fabryk tekstylnych.

- A co ma pan na myśli, mówiąc „Kościół”?

- O ile dobrze pamiętam, tutaj dochodzimy dalej. Był jeden biskup, jeden przeor i wielu katechetów, czyli obrońców tradycyjnej religii, jaką wyjaśnia się nam w książkach. Był nawet jakiś wizjoner. I duchowni z tej rodziny byli bardzo ultramontańscy, trochę tak jak kapelani w brygadach karlistowskich.

- Wojownicy Boga?

- To mogłaby być trafna definicja.

- Nie sprawdzał pan w żadnym dokumencie. Ma pan nadzwyczajną pamięć, panie Conde.

- Co może znaczyć, że wszystko to wymyśliłem, jak robią to inni.

Marta uśmiechnęła się, myśląc, że męczy staruszka. A może

starsuszek cieszył się, widząc, że ktoś o nim pamięta. Na wszelki wypadek zadała jeszcze jedno pytanie:

- Czy pozostał jakiś ślad po miejscach zamieszkania tej, powiedzmy, klerykalnej gałęzi rodziny?

- Nic specjalnego: klasztory, parafie, rezydencje dla starych księży czy nawet dawne karlistowskie koszary. W dziewiętnastowiecznej Katalonii były bardzo popularne.

- Czy któryś z nich mieszkał w Barcelonie?

- Nie pamiętam, ale mogę sprawdzić. A może i pamiętam... Wydaje mi się, że jeden z księży umarł w Barcelonie, ale nie w patriarchalnej siedzibie rodzinnej, która mieściła się przy ulicy Mercaders i oczywiście dziś już nie istnieje. Kiedyś, i nawet nie wyrzucono mnie za to z miasta, napisałem studium o stosunkach sektora handlowego z klerem w epoce, którą zwykle się nazywało gorączką złota. Złota dla niewielu, to jasne. Mogę to sprawdzić, o ile jest pani skłonna posiedzieć jeszcze przez piętnaście minut.

I zaczął szukać w swojej bibliotece, pełnej pośliskłych papierów, których lokalizację znał tylko on. Marta pomyślała, że niektóre z nich rozpadną mu się w palcach. Conde szukał i szukał, wznosząc tumany kurzu i moli, podczas gdy Marta zadawała sobie pytanie, dlaczego taka sportsmenka jak ona, triumfatorka mistrzostw, nabrała zamięłowania do tego grobowego prochu.

Niemal po godzinie, która zastąpiła obiecany kwadrans, Conde uczynił gest zadowolenia.

- Chyba to mam - rzekł.

- Co?

- Dom, w którym zmarł jeden z księży z tej rodziny. To znaczy jedyny, który nie umarł w jakiejś rezydencji dla księży czy w klasztorze. Był to jeden z najbardziej uczonych Masdáu, doszedł

do godności biskupa i naturalnie nie miał spadkobierców. To wyjaśnia to, co za chwilę powiem.

- Co takiego?

- Zapisał swoje dobra Ratuszowi, aby stworzył bibliotekę przeznaczoną dla biednych studentów. Straszne głupstwo, bo dla nich są już biblioteki, i to znacznie lepsze. Chyba myślał o studentach zamierzających rozpocząć studia w seminarium, ale to jeszcze większe głupstwo: nikt już nie chce studiować w seminarium. Tak więc Ratusz przyjął zapis, wiele lat temu, ale nie zadał sobie trudu, by cokolwiek w tej sprawie zrobić. Dom niszczał i był, jak się wydaje, w tak złym stanie, że nawet squattersi nie zadali sobie trudu, aby go siłą opanować. Teraz tylko sam teren przedstawia wartość i sądzę, że władze miejskie przejmą w końcu nieruchomości lub coś takiego. Ale w tym celu muszą pozwolić, żeby dom się zwałił.

- Gdzie on jest?

- Oczywiście na starym mieście; chyba na ulicy Baja de San Pedro, ale dokładnie nie pamiętam. Zaraz zobaczę, bo mam tutaj katalog miejski.

Poszukał w innych papierach, nie tak starych, lecz budzących jakieś uczucie litości. W końcu podał Marcie kartkę z adresem.

- Oto te dane. Zadaję sobie pytanie, po co to pani. Do czego to pani potrzebne?

Marta odpowiedziała półgłosem:

- Mam zamiar pójść do tego domu.

- Naprawdę?

- Inaczej bym pana nie fatygowała.

Palce starego pana Conde zadrżały przez chwilę. Jego oczy, z których normalnie wydobywała się pogarda, wyrażały wątpliwość. Wyszeptał zmienionym głosem:

- Niech pani tego nie robi.
- Dlaczego?
- Mówią, że zwłoki księdza nie opuściły tego miejsca - rzekł, odwracając się plecami. - Według oficjalnych rejestrów nigdy nie został pochowany.

26.

Hrabia Hiszpanii

- Jestem Carlos d'Espagnac, pan na zamku Ramefort, kapitan generalny Katalonii. Żądam, aby moje rozkazy zostały natychmiast wykonane, a każdy, kto się spóźni, musi się liczyć z konsekwencjami. Chcę mieć za pięć minut tutaj, na moim biurku, dokumenty potrzebne do wykonania wyroków śmierci jeszcze dziś rano.

Słyszałem doskonale słowa tej swoistej Najwyższej Istoty, która każdego dnia domagała się swojej porcji krwi.

Ja, syn dziwki, który nigdy nie umiera, widziałem, jak umierają inni.

A poza tym wiedziałem wszystko o tym absolutystycznym kapitanie generalnym. Carlos José de España y Couserans urodził się w Foix we Francji w 1775 roku i jego przeznaczeniem było umrzeć w Oganyá, w prowincji Lérida, w 1839 roku, uduszonym przez własnych ludzi. Kiedy rozpoczęła się rewolucja francuska, uciekł do Zjednoczonego Królestwa, a potem na Majorkę. W 1792 roku wstąpił na służbę Korony hiszpańskiej i walczył przeciw swoim francuskim rodakom. W 1811 doszedł do stopnia (nie mogłem zrozumieć, za jakie zasługi) marszałka polnego. W 1818 roku Ferdynand VII, człowiek o subtelnym instynkcie, mianował go kapitanem generalnym Katalonii.

Pamiętałem to wszystko z tego prostego powodu, że to przeżyłem. Hrabia Hiszpanii stłumił z najwyższą surowością powstanie *agraviáis**, * Znieważonych (katal.). rozkazując powiesić nawet tych, którzy zostali ułaskawieni. Miał zwyczaj wystawiać na pokaz ich ciała na szafotach Cytadeli i tańczyć przed zwłokami.

A wiedziałem to wszystko bardzo dobrze, bo doszedłem ni mniej, ni więcej, tylko do stanowiska jego sekretarza. Ja, człowiek bez śmierci, byłem pogrążony w świecie zmarłych.

Czasami trudno mi było znieść moje wspomnienia.

Myślałem, że jest rzeczą słuszną, by wspomnienia - i życie - miały słowo „koniec”.

Ale ja go nie miałem. Ja byłem zmuszony przeżywać i pamiętać wszystko. Czasami wydawało mi się, że znowu jestem na murach Barcelony albo pod „Tomasą”, którą splamilem własną krwią, kiedy wojska Filipa V rozpoczęły szarżę, a koło mnie kobieta rodziła córkę, marząc, że będzie ona wolna w wolnym mieście.

Wolnym?

Barcelona, przed moimi oczami, już nie odzyskała wolności.

Zamykałem te oczy.

I przypominałem sobie, że od tego czasu w poniewieranym mieście wydarzyła się nieskończona ilość rzeczy: względna prosperity handlu, intronizacja Karola IV, epoka wielkiego Goi, wojna o niepodległość**, ** Wojna między Hiszpanią, Portugalią i Anglią z jednej strony a francuskim I Cesarstwem z drugiej. Wybuchła w 1808 roku w konsekwencji ekspansjonistycznej polityki Napoleona I. Zakończyła się już po jego upadku traktatem podpisanym w 1813 roku w Valençay, na mocy którego za króla Hiszpanii uznany został Ferdynand VII. która obejmowała panowanie dwóch królów, intronizacja Ferdynanda VII i najokrutniejszy absolutyzm, którego

prawowitym przedstawicielem w Barcelonie był hrabia Hiszpanii.

Pogrążył on w tym świecie zmarłych Barcelonę, która zapra-
gnęła być wolna.

Po tych słowach kapitana generalnego spojrzałem na mój zegarek, cenny okaz ze złota, który jeden z powieszonych powierzył mi, prosząc, bym przekazał go jego synowi. Nigdy nie mogłem tego zrobić, gdyż syn też został powieszony.

Obliczyłem czas, jaki mi pozostawał. Mniej niż pięć minut... Ja, człowiek bez wieku, byłem, ironią losu, jednym z sekretarzy kapitana generalnego, właśnie tym, który prowadził rejestr zabitych w Cytadeli. Polecił mnie przed śmiercią biskup Barcelony: „To święty człowiek - mówił prałat - gdyż odkąd go znam, nie robi nic innego, tylko rozdaje wiatyki i szuka pochówku dla zmarłych”. Ciekawe, ale było tak naprawdę: niczego nie nauczyłem się tak dobrze jak tego wszystkiego, co było związane ze śmiercią ludzi.

Pięć minut...

Jeżeli się nie pośpieszę, będę musiał „liczyć się z konsekwencjami”.

Tak więc wybiegłem w poszukiwaniu listy skazanych na śmierć.

Pałac kapitana generalnego stal wówczas nad morzem i łączył się z sektorem murów wybrzeża. Pysnił się na wielkim placu zwanym Pia del Palau, który był rodzajem cudu w mieście tak ściśniętym, że zaledwie miało place, gdyż Barcelona nadal była ściśnięta i przylepiona do murów. Tam, na Pia del Palau, sprawował swoją wszechmocną władzę morderca Ferdynanda VII, Hiszpan tak hiszpański, że urodził się we Francji.

„Historia jest farszą - zwykł mawiać Espagnac po kilku kieliszkach. - Ferdynand VII, który przedtem żądał od Hiszpanów, by zabijali Francuzów, teraz żąda od Francuzów, by zabijali Hiszpanów. Jak więc mam brać na serio historię? Ci, co biorą ją na serio, bezużytecznie za nią umierają. Bo są tak głupi, iż nie wiedzą, że historię będą pisali ci, co ich zabili”.

- W tym mieście ludzie umierają za to, żeby być wolni - odpowiedziałem mu kiedyś.

- No właśnie... I rzeczą ważną jest to, że umierają.

Nie ośmieliłem się powiedzieć, że historię piszą bez wątpienia ci, co przeżyli, ale legendę - która zawsze okazuje się najważniejsza - piszą, choć nie na papierze, ci, co umieli umrzeć, a ja wiedziałem z doświadczenia, że legendy okazują się zawsze ważniejsze niż historia.

Nie ośmieliłem się mu tego powiedzieć, gdyż teoretycznie powinienem cieszyć się z egzekucji.

Ale drżała mi ręka, kiedy mu podawałem listę.

Tym razem było ich trzech.

Trzech młodych ludzi, którzy ośmielili się wznosić okrzyki na rzecz konstytucji. Jakby konstytucja - mówił hrabia Hiszpanii - mogła króla czegokolwiek nauczyć.

Tej nocy - po tym, jak osobiście asystował przy egzekucjach na szubienicy - Ferdynand VII, powodowany miłosierdziem, wymyślił sposób na pozór mniej bolesny, którym była haniebna garota, ale kapitanowi generalnemu jej używanie wydawało się zbyt skomplikowane - pan d'Espagnac poprosił swojego majordoma i mnie jako jednego z sekretarzy, żebyśmy przygotowali mu cywilne ubranie odpowiednie do jego zamiarów. To cywilne ubranie miało być ubraniem mieszczańskim, jakie by nie zwracało uwagi, czyli ubraniem jakiegoś zamożnego mieszkańca.

Pan kapitan generalny prowadził bardzo intensywne nocne życie. Czasami ktoś mówił mu - nie ja - że może być niebezpiecznie chodzić po nocach incognito, ale zawsze odpowiadał ze swoim dziwnym akcentem:

- Do cholery! Idę na dziwki!

Jeśli się dobrze zastanowić, iść „na dziwki” mogło być bardziej niebezpieczne dla innych niż dla niego, bo wszystkie lupanary pełne były szpiegów: donosicieli, zdrajców i innych sługusów na żołdzie Jego Królewskiej Mości. Pełne też były kobiet, które w zamian za ochronę przekazywały raporty siepaczom hrabiego Hiszpanii. Z pewnością przez „porządne domy”, prawdziwe świątynie obywatelskiego współżycia, też przewijali się fałszywi ślepcy, żebrzący gitarzyści, pisarze poszukujący swojego pierwszego zajęcia, a nawet toreadorzy polujący na jakąś szansę. Albowiem Ferdynand VII bronił walk byków, jakby na tym zasadzał się jego patriotyzm. Czasami na niewielkich arenach, kiedy byk już konał, publiczności wolno było przedrzeć się przez ogrodzenie i z wściekłością go zasztyletować. Była to jedna z najbardziej odrażających epok, w jakich przypadło mi żyć. I znajdowałem się w jej centrum.

Założono szkołę tauromachii, Uniwersytet Barceloński był zamknięty z powodu swojego buntowniczego ducha, a studia zostały przeniesione do Cervery, która była miastem tradycyjnym, niewielkim i łatwym do kontrolowania. Ci nieliczni, co ośmielali się ze mną rozmawiać, skarżyli się, że w tym kraju nikt nie musi myśleć i że tak jest lepiej, bo Bóg patrzy na nas jak na swoje umiłowane dzieci. Ci, co mimo wszystko usiłowali myśleć, zdawali sobie sprawę, że w ich kraju nie ma prawdy i że muszą jej szukać za granicą. Rodziły się dwie Hiszpanie.

Tej nocy kapitan generalny zapragnął mieszać się z prostym

ludem, czyli odwiedzić jego obory, jak sam powiedział. I tak kazał mi wejść - z dwoma naładowanymi pistoletami, na wypadek gdyby coś się działo - do domu przy Plaza del Regomir, gdzie odór surowego tytoniu, gęstego wina, niewietrzonych pokoi, a zwłaszcza ścieków, sprawił, że wycofaliśmy się, przeklinając. Rzeczywiście był to lupanar jeszcze brudniejszy niż ten, w którym w średniowieczu pracowała moja matka.

- Masz tu subtelność ludu, który mnie krytykuje - mruknął. - W gruncie rzeczy on lubi takie otoczenie.

Kazał mi wtedy towarzyszyć sobie do innego lupanaru, znacznie czystszej i wytwornego, gdzie pewna dobrze urodzona dama opiekowała się panienkami. Ale nie mieliśmy szczęścia. Dostojna dama chorowała na ospę, a jej mąż, który też pilnował interesu, cierpiał na atak tak zwanej wznoszącej się podagry, co znaczyło, że zaczynała się w stopach, a potem, powodując straszne cierpienia, unieruchamiała całe nogi i biodra. Kiedy dolegliwość dochodziła do serca i życie gasło, należało podziękować Bogu za Jego miłosierdzie. Jak to normalne w takich okolicznościach, cnotliwe panienki nie pracowały swoim przyrodzeniem, choć pracowały ustami, modląc się o zbawienie dusz.

Hrabia Hiszpanii lubił właśnie takie pobożne panienki i miał to gdzieś, że właściciel umiera na podagrę; ale ospa była zbyt zaraźliwa i to go wystraszyło. Odeszliśmy stamtąd, on zaś przysięgał, że następnego dnia przyśle ludzi, żeby spalili całe wyposażenie domu.

- Powiniennem spalić też całe to pieskie miasto - mruknął - oprócz koszar i kościołów, bo tylko one są w nim zdrowe. W tej ziemi bękartów nie uznają władzy; uznają tylko pakty.

Dojście do takiego wniosku wyprowadzało go z równowagi,

gdyż kapitan generalny był przekonany - i wielokrotnie to głosił - że władza nie powinna paktować. Nigdy nie może paktować. Władza jest nie po to, żeby ją rozumiano, lecz po to, by ją szanowano. Mógłbym mu powiedzieć, z własnego doświadczenia, że w Barcelonie władza, którą się rozumie, to władza, którą się szanuje, ale trudno było, żeby tak skomplikowana myśl weszła do głowy pana d'Espagnac, skoro nie weszła do głowy jego pana i władcy, króla Ferdynanda VII. Dlatego nic nie powiedziałem i skierowaliśmy się pod osłoną nocy na ulicę, gdzie wznosiły się pałace starego, dziś podupadłego mieszczaństwa. Pałace te miały zazwyczaj szeroką bramę, w której mieściły się powozy, i bogate boczne schody (na schodach znajdował się zwykle herb domu) prowadzące na pierwsze piętro, które czasami było wynajmowane, przysparzając właścicielowi dochodu. Resztę stanowiły pokoje przeznaczone dla rodziny, wielce szacowne, ale pozbawione światła. Wielekroć zadawałem sobie pytanie, czy to dlatego damy w owej epoce miały tak jasną cerę.

Na ulicy Montcada mieszkała pewna dama, która okazjonalnie przyjmowała gości wysokiej rangi, ale tym razem nie było jej w domu. Z pewnością jakaś cnotliwa osoba zabrała ją, żeby spędzić noc gdzie indziej. „Powinien był pan uprzedzić...” - usprawiedliwiała się pokojówka.

I wtedy kapitan generalny, któremu tej nocy wszystko szło nie po myśli, dał mi inne nienawistne polecenie. Kontakt z kobietą łagodzi tyranów i to stanowi jedną z wielkich zalet seksu. Chociaż niby skąd miałem to wiedzieć... Ale ponieważ Espagnac nie znalazł żadnej kobiety, która by go uspokoiła, jego wściekłość była nieposkromiona. Kazał mi sprawdzić, czy są gotowe listy skazańców, którzy mieli być powieszani nazajutrz. Uczyniłem to i wtedy zorientowałem się, że na jednym z pierwszych miejsc figuruje

Elisenda, niemal dziecko, która ma zaledwie piętnaście lat. Już wcześniej widziałem jej imię, ale miałem nadzieję, iż uda mi się ukryć listę albo przynajmniej odsunąć egzekucję w czasie i uratować dziewczynkę.

Teraz nie było to już możliwe, bo bieg wypadków mnie zaskoczył.

I tu pojawiał się mój świat zamętu, sprzeczności mojego życia. Cóż mnie obchodziła skazana dziewczynka? Czyż nie powinienem odczuwać radości, widząc, jak kołyszą się jej nogi? Czyż nie byłem przedstawicielem Zła?

Zadawałem sobie wiele pytań, na które nie było odpowiedzi.

Albo może znajdowałem dwie odpowiedzi, choć przepelniały mnie one wątpliwościami: ze Złem można paktować, gdyż nie jest ono jakąś wartością absolutną, podczas gdy z Dobrem absolutnym paktować nie można. Można tylko paść na kolana i prosić o wybaczenie. A druga możliwa odpowiedź zasadzała się na idei wolności. Ja zawsze chciałem być wolny, bezskutecznie, i nie mogłem nienawidzić osób, które też pragnęły być wolne.

Nikt nie mógł mnie zrozumieć.

A tym bardziej taka bestia jak Espagnac, który reprezentował absolutną Prawdę i absolutne Dobro.

Wróciliśmy do fortecy i poszliśmy prosto do więzienia. Zauważyłem, że pan naszych losów jest bardzo podniecony na myśl o powieszeniu dziewczynki, bo nie mógł jej posiadać. Zapytał strażnika o Elisendę.

Strażnik odrzekł:

- To ta.

Spojrzałem na nią w świetle lampy oliwnej i dostrzegłem w jej twarzy spokój pogodzenia się ze śmiercią.

Była jak zwierzątko, które wie, że ma zostać zabite. Patrzyła w pustkę bez żalu i bez nienawiści, bo musiała mieć tę zaletę zwierząt: nie rozumiała zła. Jej zbyt jasna cera i oczy rozpalone gorączką wskazywały, że cierpi na chorobę bardzo popularną w obrębie murów Barcelony, gdzie nie wietrzyło się domów ani nie było czystej wody - na gruźlicę. Jej zawstydzone spojrzenie i podarte ubranie wskazywały jednocześnie na coś innego: strażnik więzienny ją zgwałcił.

Sam strażnik wyjaśnił mi to najjaśniej w świecie, podczas gdy kapitan generalny sprawdzał z zaskoczenia strażę, co często robił.

- Myślę, że ona jest niewinna i chce wziąć na siebie winę spiskowców, którzy zamierzali zamordować pana d'Espagnac. Ja już ją zerznąłem, żeby się zaczęła przyzwyczajać. Chociaż nie będzie miała zbyt dużo czasu, żeby się uczyć, bo jest w jutrzejszej grupie.

W dzisiejszej grupie - pomyślałem.

Kapitan generalny był wściekły.

Mało która wściekłość przewyższa tę wynikającą z frustracji seksualnej.

Ale jednocześnie, patrząc na dziewczynkę, przypomniałem sobie o czymś jeszcze. Przy braku innych darów miałem cudowną pamięć wzrokową i nie zapomniałem nigdy jakichś rysów twarzy. A rysy tej twarzy... gdzie ja je już widziałem?

Nagle przypomniałem sobie.

Wieża katedry.

Rok 1714.

Kobieta, która chciała widzieć, jak rodzi się wolne dziecko w wolnym mieście.

To jasne, że minęło ponad sto lat. Co dla innych było wiecznością.

A dla mnie niczym. Zapytałem:

- Co pamiętasz o swojej rodzinie?

Spojrzała na mnie nieufnie, ale nic już nie miało znaczenia.

Wzruszając ramionami, wyszeptwała:

- Czy warto pamiętać?

- Może nie, ale co wiesz o swojej matce?

- Pracowała w przędzalni. Czternaście godzin dziennie, prócz niedzielnych popołudni. W niedzielę rano trzeba było czyścić maszyny. Pewnego dnia umarła przy krosnach, chyba z wycieńczenia, ale przynajmniej nie zdając sobie z tego sprawy. To chciałeś wiedzieć, panie?

- Czy dlatego jesteś rewolucjonistką? Czy myślisz, że coś zmienisz?

Elisenda zamknęła oczy.

- Moja matka nauczyła mnie być rewolucjonistką. Wiem, że to na nic, ale ona mnie tego nauczyła.

- A twój ojciec?

- Umarł w więzieniu w Mahón.

Strażnik popatrzył na mnie podejrzliwie. Nic nie rozumiał z tego przesłuchania. Odepchnął dziewczynkę i warknął:

- Powiedziano mi, że egzekucja ma zostać przyśpieszona.

Więc na co czekamy? Po co tyle gadania?

Nawet na niego nie spojrzałem.

- Elisendo, czy pamiętasz swoją babcie?

- Nie znałam jej, ale wiem, gdzie się urodziła.

- Gdzie?

- Na jednej z wież katedry, we wrześniu tysiąc siedemset czternastego roku.

Teraz ja zamknąłem oczy.

W imię Szatana...

Ponad sto lat od narodzin tego dziecka, o którym pamięć miała zagaść...

Ponad sto lat dziewczynki, która urodziła się wolna...

I co stało się z tym pragnieniem wolności? Co?

Elisenda musiała dostrzec u mnie coś dziwnego, gdyż szepnęła:

- Ale co was to wszystko obchodzi, panie?

- Może nic mnie nie obchodzi. Co wiesz o życiu swojej babci?

- Tylko to. Że urodziła się podczas ataku na Barcelonę.

- I nic więcej?

- No cóż... To, co czasami opowiadała mi moja matka.

- A co ci opowiadała?

- Że miała straszny krwotok i że zaopiekowały się nią jakieś zakonnice... Pierwszej pomocy musiał udzielić jej lekarz wojskowy, na domiar złego lekarz wojskowy zwycięzców... Miała gorączkę poporodową. Prawie wszystkie kobiety na to umierały.

Zacisnąłem usta. Pamiętałem potworny brud, kurz, odłamki, tłuste dłonie, urynę... To dziecko urodzone jako wolne musiało być z żelaza, żeby przeżyć, kiedy wykrwawiała się matka.

- Co się potem z nią stało? Mam na myśli twoją babcię. Mów wszystko, co wiesz.

- Kiedy jej matka się wyleczyła, zakonnice wyrzuciły ją z klasztoru.

- A córka?

- Dziewczynkę, która później została moją babcią, zatrzymały jako podopieczną, a potem jako służącą. Wyszła stamtąd dopiero jako dojrzała kobieta, poślubiwszy pewnego ubogiego człowieka, który też służył zakonnicom. Ich córka, ta, która umarła przy krosnach, była moją matką. Ale nie wiem, jakie to ma znaczenie,

a zwłaszcza co to obchodzi takiego człowieka jak pan.

I popatrzyła na mnie lekceważąco, buntowniczo, wbijając we mnie oczy, które pozostawały jednak oczami dziecka.

Musiała już wiedzieć, że jestem sekretarzem tyrana, który skazał ją na szafot, i kimś w rodzaju szefa dla strażnika, który ją zgwałcił.

Zaledwie zdołałem spytać:

- Tak więc ani twoja matka, ani babka nie były wolne nawet przez jeden dzień.

- Nie. Dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego o to pytam.

Elisenda prawie wypluła te słowa:

- Nie, nie były, ale przynajmniej ja umrę wolna. Nikt nie może mi odebrać tego, co myślę. Nikt nie może tego zabić. I za sto lat może ktoś będzie o mnie pamiętał.

- Za sto lat będą nadal umierały takie dziewczynki jak ty. I to prawda: ktoś będzie o nich pamiętał na ulicach.

Strażnik stanął między nami i zaczął wykrzykiwać:

- Na co czekamy?! Kat dostał już rozkaz egzekucji. Dlaczego rozmawiasz z nią, panie? Jej sucze życie nikogo nie obchodzi.

- Jasne, i dlatego wykorzystales sukę - wycedziłem.

I uśmiechnąłem się. Ludzie zawsze mi mówili, że mam uśmiech złowieszczy, uśmiech z innego świata. I może to prawda, gdyż jest coś bardziej przerażającego niż uśmiech śmierci - uśmiech wiecznego życia. Czasami myślałem nawet, że dlatego Bóg na tych milionach podobizn, które Go ukazują, nigdy się nie uśmiecha. Czy nikt na to nie zwrócił uwagi?

Strażnik nalegał:

- Dalej, nie traćmy więcej czasu.

- Teraz ona już jest ci niepotrzebna, prawda?
- Nie wiem, o co chodzi.
- Chodzi o to, że znam bardzo dobrze zwyczaje kapitana generalnego: chce, żeby wszystkie formalności były wypełniane, czyli żeby skazana została zabrana z celi nie wcześniej, niż gdy nadejdzie kat i pikieta. Zamknij ją i chodź ze mną. Chcę ci pokazać nowe rozkazy.

Ten nikczemnik nie mógł mnie podejrzewać, byłem po stokroć jego przełożonym. Tak więc posłuchał: przekręcił klucz i poszedł za mną ku ciemnemu wewnętrznemu przejściu, gdzie znajdowały się kwatery wojskowe, ale gdzie o tej porannej godzinie nie było nikogo. Cisza panowała absolutna. Za kamiennymi oknami widać było tylko strzępy mgły.

Nagle odwrócił się do mnie.

- Co my tu robimy? - wybełkotał.

Napotkał mój spokojny wzrok.

I mój uśmiech. Uśmiech wiecznego życia.

- Ależ...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Może miał czas pomyśleć; pomyśleć przez kilka sekund o tym złowieszczym świecie, którego nigdy nie poznał.

Jego szyja. Jego konwulsje. Moje umiejętne ukąszenie.

Nawet wampir może czuć obrzydzenie. Nawet wysłannik Zła może poczuć odrazę.

Poczułem wstręt, pijąc jego krew.

Ale potrzebowałem jej. Od zbyt dawna nie zaspokajałem mojego tajemnego impulsu, tej studni bez dna, jakim było moje pragnienie. Pozostawiłem jego ciało tak opróżnione, że musiałem otrzeć krew z kącików ust. I plunąłem krwią na trupa.

Potem zabrałem klucze i wróciłem tą samą drogą. Miałem plan uratowania dziewczynki. Jeszcze było to możliwe.

Kiedy wróciłem do celi Elisendy, czułem się pogodzony z samym sobą i ze swoim prawdziwym losem. Był to może pierwszy raz, kiedy czułem się naprawdę wolny.

Była nadal zamknięta w celi, tak jak się spodziewałem. Jeszcze po nią nie przyszli. Zobaczyła mnie z kluczami i coś kazało jej się domyślić, co się wydarzyło, coś kazało jej sercu dziecka wykonać dziesięcioletni skok.

Ale była dość inteligentna, żeby wiedzieć, iż są rzeczy niemożliwe.

- Nikomu nie udało się tego dokonać - szepnęła. - Inni próbowali uciec i nie zdołali dotrzeć nawet do drugiego odwachu.

A ja odpowiedziałem:

- Możemy spróbować.

I włożyłem klucz do zamka. Ale nie zdołałem go nawet przekręcić, bo w tym momencie nadszedł kat z pikietą. Było ich pięciu przeciwko mnie, a ja za jedyną broń miałem moje zęby. I moje spojrzenie.

Na nic się zdało. Kat powiedział spokojnym głosem:

- Nadeszła godzina.

Żołnierze z pikiety utworzyli barierę między skazaną a mną, uniemożliwiając mi jakikolwiek ruch w celu jej uwolnienia. Kat związał jej dokładnie ręce na plecach. Poczulem, że ziemia chwieje mi się pod nogami, kiedy dostrzegłem wbity we mnie zrezygnowany wzrok dziewczynki.

Elisenda została wyprowadzona na główny dziedziniec Cytadeli, gdzie zginęło ylu uczciwych ludzi i gdzie szafot postawiono na

stałe; rzadkie były dni, kiedy korzystano z niego tylko jeden raz.

Oczami, które wydawały się nie należeć do mnie, ujrzałem, jak kat odwrócony plecami wchodzi po drabinie, wciągając Elisendę za pomocą postronka, którym była związana. Zręczność i siła tego człowieka wydały mi się niewiarygodne. Kiedy miał swoją ofiarę wystarczająco wysoko, schwytał ją w pasie i umieścił pod sznurkiem, zawiązując go po lewej stronie szyi, dokładnie pod uchem, gdyż zapewniało to złamanie kręgow. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy sznur pokrył się natychmiast włosami dziewczynki.

Zawarczał werbel, tylko jeden. Była to tania śmierć.

Wszystko to było przerażające, nawet dla kogoś takiego jak ja, ale poza tym wydarzyło się coś, czego nie przewidziałem. Otóż Elisenda niewiele ważyła i zwykły spadek ciała po otworzeniu się zapadni nie spowodowałby jej śmierci. Trzeba było czegoś więcej.

Dlatego kat rzucił się na jej ciało w chwili, kiedy otwierała się zapadnia, spadając wraz z Elisendą i huśtając się z nią. Były to dwa ciała w jednym, były to dwie potworności i dla mnie dwie śmierci.

Jednak należy sprawiedliwie przyznać, że ten odrażający czyn był dowodem profesjonalizmu, jeśli można to tak określić. W ten sposób zapewniało się, że na skutek dodatkowego obciążenia szyja ofiary natychmiast pęknie. Ale nie chciałem tego przyznać. Nie mogłem. Pozostałem pochylony, czując w ustach gorzką ślinę. I pochylilem się jeszcze bardziej, pod ciężarem całego bólu, jaki zgromadziłem w moim życiu, kiedy ujrzałem, jak hrabia Hiszpanii, ubrany w swój najlepszy galowy strój, inicjuje przy szubienicy swoje taneczne kroki. Opowiadano mi o tej potwornej ceremonii,

o tym paroksyzmie okrucieństwa, ale do tej chwili nigdy tego nie widziałem. Po raz pierwszy omal nie opuściły mnie siły.

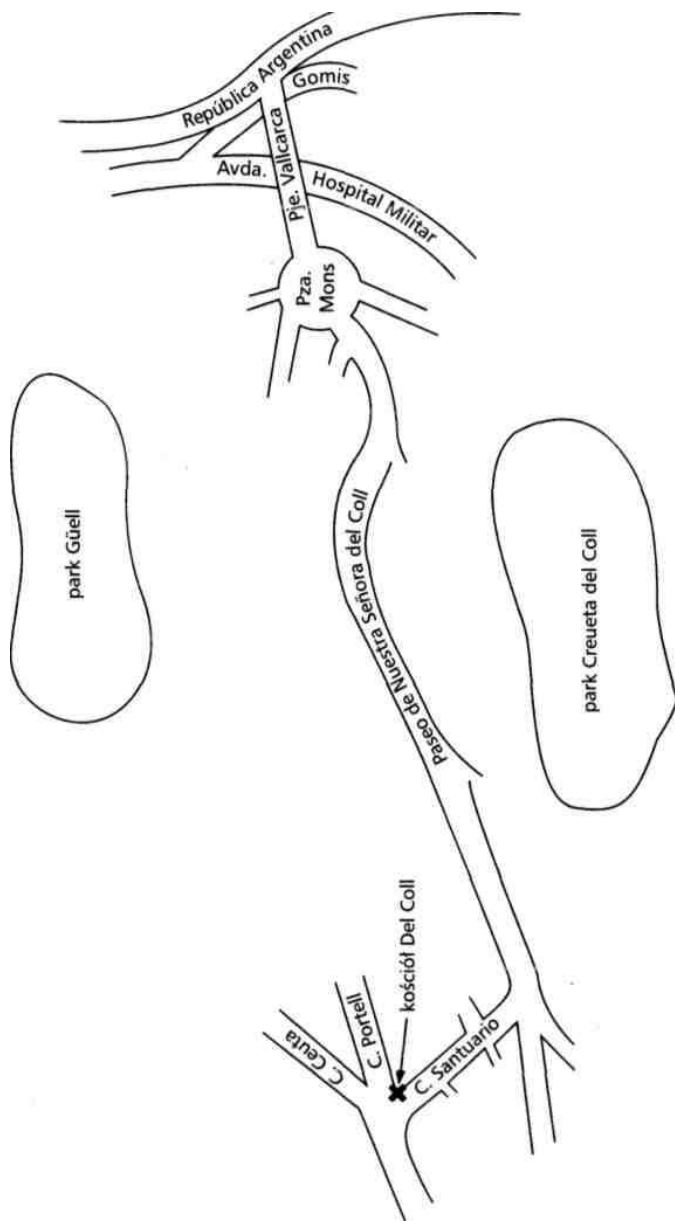
I tej nocy pożegnałem się z Cytadelą, pożegnałem się ze stanowiskiem, które wielu chciałoby piastować i które dawało mi władzę i bogactwo. Jako sekretarzowi hrabiego Hiszpanii zazdrozczono mi, ale nie mogłem dłużej być lokajem władzy, która unicestwiała nie tylko jakikolwiek przejaw wolności, lecz nawet jakąkolwiek myśl. Musiałem zacząć od nowa, musiałem znowu pograżyć się jak cień w mieście, które było dla mnie wieczne.

W długiej drodze, owej drodze, której nikomu nie mogłem zdradzić, byłem świadkiem poszukiwania wolności, nawet za cenę życia. Ale wolność była snem, który nigdy nie miał się spełnić.

Przypomniałem sobie kobietę, którą widziałem rodzącą w 1714 roku pod splamionym krwią dzwonem, i przypomniałem sobie to szczególne światło, pomimo bólu palające w jej oczach. Chciała, żeby córka urodziła się wolna w wolnym mieście, ale nie udało się to ani jej córce, ani jej wnuczce; jedyną rzeczą, jaką zdołały osiągnąć, była nadzieja złączona z historią miasta. A teraz ta nadzieja rozwiewała się na zawsze.

Poza tym znowu pozostawiałem za sobą trupa. Musiałem uciekać...

I tej nocy przeistoczyłem się raz jeszcze w wielkiego nieznajomego, pograżyłem się znowu we mgle wieków.



27.

Dom cieni

Na ulicy Baja de San Pedro gromadzi się historia miasta, jego drobnych kupców, jego podwórek pozbawionych światła i małżeństw, które pozostawiły całą swoją czułość w księdze rachunkowej, między jakimś „winien” i jakimś „ma”. Panny młode starzeją się przed oknem, w którym znają wszystkie promienie słońca, a dzieci uczą się, że szarość też może być kolorem nadziei.

Marta Vives spojrzała na dom.

Był wąski i kamienny, ale został pokryty, z pewnością w początkach XX wieku, warstwą tynku, która zrobiła się już niemal czarna. Oryginalny kamień można było dostrzec w miejscach, gdzie tynk odprysnął, a gdzieś tam w szparach zrodził się cud trawy.

Po obu jego stronach stały inne budynki, nowocześniejsze i w jakiś sposób bardziej uroczyste, a w nich można było dostrzec oznaki życia: doniczki na balkonach, kołysane wiatrem firanki, suszącą się bieliznę. Bramy były ciemne, bezdenne studnie, które docierały do tajemnicy lat. Czasami szarość rozweselał szyld jakiegoś baru; może pewnej nocy odkryją je młodzi, jak odkryli bary wokół Borne, ale teraz klienci patrzyli w pustkę i nie wyglądali na

takich, którzy cokolwiek odkryli, choćby własne życie.

Na pierwszy rzut oka widać było, że cały budynek, tylko dwupiętrowy, wchodził w fazę ruiny i dlatego squattersi nie porywali się na niego. Wyglądało na to, że przez wiele lat nikt nie przekroczył starodawnej bramy, choć było oczywiste, iż od czasu do czasu sprawdzał ją jakiś inspektor miejski, aby zaświadczyć, że własność miasta jeszcze nie zapadła się pod ziemię.

Marta musiała tam wejść, ale nie wiedziała jak. I rozumiała, że przede wszystkim musi zdobyć się na naturalność, jakby była urzędnikiem.

Miała ze sobą wytrych, którym nie bardzo potrafiła się posługiwać. Jeden z pariasów z Raval, którym pomagała w Stowarzyszeniu Mieszkańców, dał jej dwie lekcje praktyczne, choć nie zdradził mu celu. A teraz miała wypróbować swoje umiejętności, udając, że to, co robi, jest czynnością legalną. Może się poszczęścić.

Poszczęściło się.

Za drugą próbą drzwi ustąpiły. Zamek był stary, ale dobrze naoliwiony, gdyż od czasu do czasu jakiś miejski pracownik go konserwował. Marta stanęła oko w oko z ciemnością, która była jak gardło uśpionego zwierzęcia.

I przypomniała sobie to, czego nie chciała pamiętać, czyli historię domu i księdza, którego zwłoki musiały jeszcze tu gdzieś być. Może nie powinna zwracać uwagi na to, co naopowiadał jej jakiś stary, szalony naukowiec.

A może jednak...? Czasami osoby żyjące samotnie można znaleźć zmumifikowane w pokojach, gdzie już nikt nie wchodzi, bo są to istoty, którymi nikt nie zaprzęta sobie pamięci. Wielkie miasta kryją takie sekrety albo w swoich podziemiach mają nikomu

nieznane groby. Jeżeli ksiądz zmarł w czeluściach domu - który bez wątpienia miał piwnice - możliwe było, że żaden urzędnik miejski niczego nie zauważył, kiedy sporządzano pośpieszny i rutynowy akt zajęcia. A jednak w wewnętrznych pomieszczeniach, za wąskimi schodami, widoczne były szczegóły wskazujące na minioną świetność.

Na przykład resztki dwóch mahoniowych stołów, łoża wyglądającego jak katafalk i starych półek z tym, co niegdyś było książkami, a dziś - zaledwie rozrzuconymi dokoła kartami podobnymi do pergaminu. Całe życie pewnego miasta, które już nie istniało, spowijał ten kokon śmierci.

Nikt nie zajmował się już niczym więcej: władze miejskie zarządzają dobrami, lecz nie czasem, który ucieka. Pewnego dnia to wszystko się zawali i gazety - nie wszystkie - będą oskarżać o nie dbalstwo administrację miasta. A potem nic. Lub może za kilka lat będą tam apartamenty i poddasze.

Dostrzegła ciała dwóch kotów, też z mumifikowane. Tylko diabeł wiedział, jak zdołały się tam dostać. Powietrze, jak w starym grobie, nie miało zapachu.

Wszystko to zobaczyła Marta Vives dzięki latarce, bo dom, oczywiście, nie miał wody ani światła. Do tylnej części dochodziła z wąskich podwórek jakaś mleczna jasność. Odgłosy telewizyjnego serialu nadawały tej świątyni przeszłości pozór życia, ale było to życie absurdalne.

Czy mogło ją coś interesować w tym ostatnim bastionie rodziny Masdeu? Marta myślała, że nie, że nic tu nie znajdzie. Poza tym zaczynała odczuwać lęk, choć była przyzwyczajona do opuszczonych pomieszczeń, do niepamięci i grobów.

Lepiej stąd wyjść. Nawet nie rozumiała dobrze, po co tu przyszła.

I wtedy wydało jej się, że dostrzega jakiś cień na krześle koło najciemniejszego okna, wychodzącego na róg wewnętrznego podwórka. Zatrzymała się, wyęzając wszystkie zmysły, ale mając też wrażenie, że się pomyliła; w końcu w tym domu były same cienie.

Ale ten cień na krześle... miał kształt ludzki!

Marta poczuła, że traci oddech.

Cień poruszył się. Wstał powoli.

Zbliżył się do niej.

28.

Wystarczająco uczciwy, żeby zabić

Kawiarnię „Siete Puertas” (Siedmioro Drzwi) inaugurowano w dniu Bożego Narodzenia 1838 roku, niemal w tym samym czasie, kiedy budowano tak zwane Domy Xifré*, * Josep Xifré i Casas (1777-1856) - kataloński kupiec i przemysłowiec, który dorobił się olbrzymiego majątku podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych i na Kubie. Po powrocie wybudował przy bulwarze Izabeli II pałac składający się z kilku przylegających do siebie budynków. które do dziś zachowały się w niezmienionym kształcie. Ta inauguracja zbiegła się z powstaniem bulwaru Izabeli II, przy jego zbiegu z Pia del Palau, zajmowanego w dobrych czasach przez przedstawicieli władzy, takich jak hrabia Hiszpanii. Juan Cortada, kronikarz, który wówczas pisał w „Diario de Barcelona”, podkreśla znaczenie liczby siedem, tak powszechnej w mitologiach i w sektach. „Kawiarnia bez nazwy - mówił - ma siedmioro drzwi. Chwała Kawiarni Siedmiorga Drzwi!” Cortada uchodzi więc za twórcę tej nazwy. Wydaje się też zaskakujące, że portyk mieszczący się przed kawiarnią ma siedem łuków; w tym wypadku ta liczba związana jest z masonerią.

Z drugiej strony cały budynek, w którym mieści się kawiarnia, ma symbolikę masońską. Przede wszystkim aluzja do Uranii

frontonie, od średniowiecza symbol astronomii i architektury przyjęty przez masonów. Jest też ta okoliczność, że Xifré, inspirowany budynku, urodził się w 1777 roku. We wnętrzu kawiarni też są widoczne znaki masonskie, jak kwadratowe czarne i białe płytki na posadzce i na najstarszych ścianach.

Wszystko to przeczytałem w książce o starej kawiarni, którą napisali José María Carandell i Leopoldo Pomès. A czytałem ją właśnie przy jednym z jej stolików, podczas gdy sala wypełniała się zgłodniałymi gośćmi, którzy znali sławę tamtejszej kuchni. Było wielu turystów zachęconych przez przewodnik, zwłaszcza Japończyków.

Cios, jeden ze starych kelnerów, zapytał mnie:

- Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś, panie Ponte?

Teraz nazywam się Ponte.

Mam tę samą trzydziestoletnią twarz, ten sam wzrost i tę samą wagę, to samo uciekające spojrzenie, które usiłuje niczemu nie poświęcać uwagi. Mam dokument tożsamości pewnego nieboszczyka, którego sam pochowałem w świeżej jeszcze zaprawie pewnego wznoszonego budynku. Tym nieboszczykiem był konfident policji, który badał moją tożsamość i narażał mnie na niebezpieczeństwo. Dużo myślę o przypadkach śmierci, które spowodowałem, ale nie o tym. Ten Ponte nie zasługiwał na to, by żyć, a ponadto działałem w obronie własnej.

Policja sądzi, że konfidenta ktoś zamordował i że sprawca nigdy się nie znajdzie. No cóż, to prawda: ktoś go zamordował i ten ktoś nigdy się nie znajdzie. Ponieważ nie mam karty kredytowej (ja, inspektor bankowy!), nie wystąpiłem o paszport ani nie załatwiam spraw w oficjalnych urzędach, są niewielkie szanse, by sprawdzano mój dokument tożsamości. Wiem, że nigdy nie będę mógł go odnowić, bo wtedy pojawiłaby się jakaś dziwna historia,

ale do tego czasu znajdę sobie inną tożsamość, korzystając z wielkiej liczby osób zaginionych, co roku zgłaszanej w Barcelonie. Zaginieni stanowią źródło, które nigdy dla mnie nie wyschnie.

- Oto pański rachunek, panie Ponte.

Płacę i daję sowity napiwek, gdyż teraz nie brak mi pieniędzy. Jako pełnomocnik kontroluję operacje giełdowe mojego banku i muszę tylko przejść przez ulicę, żeby dotrzeć do miejsca pracy, którym jest klasycystyczny pałac stojący przed kawiarnią. Ten klasycystyczny budynek kryje niespodziankę, gdyż zawiera w swoim wnętrzu wspaniałą budowlę gotycką i przed laty odkryto tam równie wspaniałą salę, o której istnieniu nikt nie miał pojęcia. Niejeden stary budynek Barcelony jest jak grób o nieznannej jeszcze zawartości.

Patrzę na Pia del Palau, miejsce, gdzie dawniej wznosił się pałac hrabiego Hiszpanii. I staram się patrzeć dalej, na park Cyta-deli, gdzie zawsze stała szubienica. Historia Barcelony była tworzona przez kilka tuzinów zmarłych, o których się mówi, i przez tysiące zmarłych, o których nie mówi nikt.

Tylko ja ich pamiętam.

Anarchiści.

Buntownicy, którzy mieli czas wydać ostatni okrzyk nadziei.

Dziewczynka.

Szacowny pan Ponte, którego nikt nie może powiązać z konfidentem z Barrio Chino, przechodzi przez ulicę i wchodzi do gmachu Giełdy. Tylko fotografia na dokumencie tożsamości jest fałszywa, a wiek wywołuje zazdrość u wszystkich tych, którzy go poznają. W dokumencie figuruje, że skończyłem pięćdziesiąt pięć lat, i wszyscy się dziwią, widząc moją niezmienną twarz.

Mówię, że stosuję kremy do cery.

Pytają mnie, jakie.

Odpowiadam zawsze, że to sekret, który zabiorę ze sobą do grobu.

„Szkoda. Gdyby je pan skomercjalizował, byłby pan bajecznie bogaty”.

„Nie znam się na interesach”.

Nie znam się na interesach, a jednak jestem pełnomocnikiem banku.

Ale mój przypadek nie jest znów taki rzadki. Większość mężczyzn i kobiet, którym udaje się przeżyć w tym mieście, robi coś, czego nie lubi.

Nie zawsze tak było.

Kiedy owej nocy 1820 roku przestałem być jednym z sekretarzy hrabiego Hiszpanii, poszukałem schronienia w pewnym centrum anarchistycznym, naturalnie nielegalnym, które w rzeczywistości było lożą masońską. Jej członkowie mi wierzyli, gdyż dostarczyłem im plany wejść do Cytadeli, co umożliwiło atak i uwolnienie pół tuzina skazanych na śmierć. Ja sam, żeby ich do końca przekonać, uczestniczyłem w tej nocnej operacji.

Nie udało się uratować jednego ze skazanych, o nazwisku Serra. Powieszony następnego ranka, pozostawił po sobie młodą wdowę.

Ja wiodłem życie bez kobiet.

Ale to właśnie owa kobieta, Claudia, wdowa, która nie potrafiła płakać, wywarła piętno na moim życiu.

Ta grupa anarchistycznych konspiratorów miała przykrywkę: szkołę dla analfabetów przy ulicy Aviñón, gdzie zaofiarowałem się dawać lekcje. Aby mnie nie rozpoznano, ufarbowałem sobie włosy

i przykleiłem sztuczną brodę. Nosilem też fałszywe okulary, ale poza nimi zostało coś, co nigdy nie miało się zmienić: moje spojrzenie wiecznego życia.

Oczywiście wszyscy, którzy chodzili do tej szkoły analfabetów, umieli czytać i pisać. Lekcje były pretekstem do propagowania idei rewolucyjnych. Konstytucjonalisi, progresiści, wolnomyśliciele, a nawet kilku heretyków, zachwycali się moimi lekcjami. Byłem jedynym człowiekiem, który zdawał się wiedzieć wszystko.

Przekonali się, że nie muszą niczego sprawdzać w żadnej książce. Że znam historię najważniejszych budynków miasta, jakbym sam je wznosił. Że nie mają dla mnie sekretów anegdoty o sławnych przodkach. Byłem najlepszym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek mieli, i to powiększyło moją sławę.

Zbyttno powiększyło.

Siepacze Ferdynanda VII przenikali do tajnych kręgów, toteż nie było w tym nic dziwnego, że ktoś zorientował się, iż moja twarz nigdy się nie zmienia. Na nic zdały się przebrania. Co dzień ryzykowałem życie.

To Claudia mi o tym powiedziała. Wdowa po powieszonym mężczyźnie nazwiskiem Serra, którego nie udało się nam uratować, odwiedziła mnie w moim małym schronieniu przy ulicy Escudellers. Przy tej ulicy, przylegającej do portu miejskiego, stały niegdyś piękne pałace szlachty i zachowały się dotąd resztki jej przeszłości. Nie była jeszcze ulicą zbliżoną do świata mętów społecznych, jaką miała się stać znacznie później.

Zajmowałem pokój w rodzaju gospody, którą polecili mi sami masoni i która miała bardzo niebezpieczną nazwę - „La Hermandad” (Bractwo). Zarabiałem na wynajem tłumaczeniami z łaciny, które u mnie zamawiali.

Claudia miała jasną, delikatną cerę kobiet, które zawsze mieszkają w mieście. Była rewolucjonistką, nawet bardziej niż jej mąż, ten powieszony: nie tylko haftowała sztandary jak Mariana de Pineda*, * Mariana de Pineda Muñoz (1804-1831) - hiszpańska bohaterka stronnictwa liberalnego, zaangażowana w walkę liberałów przeciw absolutyzmowi Ferdynanda VII. Podczas rewizji w jej domu znaleziono sztandar z fioletowej tafty z zielonym masońskim trójkątem oraz wyhaftowanym na czerwono hasłem liberałów. Stracona za pomocą garoty, lecz także nimi wymachiwała. Jako jedyna kobieta brała udział w ataku na Cytadelę, w którym zginęło dwudziestu mężczyzn. Ścigana ulicami miasta, została przygarnięta przez pewnego ultramontańskiego duchownego, który w zamian za przysługę chciał ją zgwałcić. Mąż Claudii już pierwszej nocy zabił ultramontańskiego księdza.

Teraz mieszkała za murami San Antonio, na ulicy, która nie miała jeszcze nazwy i przy której miał stanąć sławny targ Ninot. Kiedy do mnie przyszła, powiedziała wprost:

- Zaczynacie być znani. W każdej chwili mogą przyjść siepacze króla i zatrzymać was wszystkich. A jeżeli nie zatrzymają cię w loży, zrobią to w tej gospodzie, której nazwa jest jak ogłoszenie. Musisz się przenieść w pewniejsze miejsce, aja takie znalazłam. Szukałam go, odkąd powieszono mojego męża.

Prosiła mnie zatem, ażebym z nią zamieszkał. Była to pierwsza kobieta, jaka się mną zainteresowała, i myślę, że pierwsza, jaka zobaczyła we mnie mężczyznę. Oczywiście odmówiłem.

W żadnym wypadku nie mogłem tego zrobić. Natychmiast by się zorientowała, że nie jestem mężczyzną.

Ale w końcu nie pozostało mi nic innego, jak tylko się zgodzić. Pewien konfident policji zadenuncjował lożę i przyszli nas aresztować. Ja uciekłem, bo znałem średniowieczne przejście na tej

ulicy, ale musiałem za wszelką cenę zmienić miejsce zamieszkania.

I była Claudia.

Wielkoduszna. Odważna. Bojowniczką o wolność dla całego narodu i dla wszystkich kobiet. Nawet przez chwilę nie pomyślała o niebezpieczeństwie, na które sama była narażona, ani też o tym, że w jej małym mieszkaniu jest tylko jedno łóżko.

Nie wiem, czy w tym czasie było w Barcelonie więcej takich kobiet jak Claudia. Może była jedyna. Uważała mężczyznę za towarzysza, z którym można zginąć, ale który nie jest panem jej losu. Dopiero od tygodnia mieszkaliśmy razem (ja spałem na podłodze), kiedy zorientowała się, że prawie nic nie jem, niemal co noc wychodzę nie wiadomo dokąd i że pewnego razu wróciłem z niewielkimi plamkami krwi na ubraniu. Powiedziałem jej, że właśnie zabiłem zbira z królewskiej policji, co było prawdą, ale nie mogła nawet sobie wyobrazić, w jaki sposób to zrobiłem.

Nie powinienem nigdy powiedzieć jej prawdy. Claudia uważała mnie za bohatera i zakochała się we mnie. Ja byłem żywym towarzyszem, a jej mąż - już tylko martwym towarzyszem. Claudia chwyciła za broń, bo wierzyła w przyszłość, a w tym wypadku jedyną przyszłością byłem ja.

Pamiętam skromny dom otoczony pustką, to znaczy otoczony ogrodami, szczekającymi psami i kotami szukającymi schronienia między nogami Claudii. Czasami pomagała przy pracach w polu, a czasami chodziła do miasta, żeby pomagać służącym w bogatych domach, lecz mimo wszystko była kobietą wytworną. Miała klasę. Mogła pociągać każdego mężczyznę.

I rzeczywiście pewni bogaci ludzie starali się o jej względy. Proponowali pieniądze. Claudia była poprzedniczką dziewcząt,

które przez wieki przybywały do Barcelony, żeby zarobić na chleb, i musiały go zdobywać nie tylko dla siebie, lecz także dla dziecka, bo wcześniej zostały wyrzucone z pańskich domów za niemoralność przez damy, które nigdy nie splamiły się pracą. Ale Claudia nie poddawała się. Poddawała się mnie, gdyż uważała mnie za odważnego człowieka. Mnie, który zawsze atakowałem zdradziecko i byłem zwyczajnym tchórzem. Pewnej nocy ofiarowała mi swoje usta, swój oddech i swoje łóżko. Wśród ciszy pól, gdzie tylko czekały psy, a w dali widać było ogniska na murach Barcelony, Claudia odkryła, że nie działa na mnie zew seksu. I po raz pierwszy pogrzyżłem się we wstydzie za samego siebie.

Gdyż nawet mężczyzna, na którego nie działa zew seksu, wstydzi się tego, że przy kobiecie jest bezużyteczny. Na tej drodze poprzedziły mnie miliony mężczyzn, chociaż o tym nie wiedziałem. A ponieważ byłem bezużyteczny, podobnie jak miliony mężczyzn postanowiłem być przynajmniej mądry.

Nie tylko urodziłem się w lupanarze, ale też znałem wszystkie lupanary miasta, bo nie było w nim nic, czego bym nie znał. Będąc na służbie w kościołach, słyszałem szepty spowiadających się kobiet i wiedziałem, co je pociąga, toteż nadal pragnąłem być mądry.

Zrobiłem to, co widziałem, że robiono przez wieki, chociaż sam nigdy nie brałem w tym udziału. Posłużyłem się wszelkimi kombinacjami, w których nie uczestniczy penis, i odgadywałem wszystkie sekrety, których kobiety nigdy nie zdradzają i które pozostają sekretami, bo nie dzielą ich z nikim.

Na nic się to zdało. Claudia nie chciała burżuazyjnego pani-czyka - wyglądałem na takiego - ale pełnego towarzysza, zdolnego dać jej dzieci i walczyć przy jej boku. Zauważyłem, że zamiast doprowadzać ją do orgazmu, doprowadzam ją do łez.

Nie była taka jak inne.

Inne pragnęły tylko bezpieczeństwa, przyszłości wśród własnych ścian, dobrze utrzymanych dzieci i serii zakazów w łóżku.

A ponieważ Claudia nie była taka jak inne, uczyniłem to, czego nie uczyniłem wobec żadnej innej kobiety na świecie - wyznałem jej prawdę. Pomyślałem, że jeden jedyny raz mogę być szczery i oddać się kobiecie, która mnie się oddawała.

Ale nie uwierzyła. Claudia nie wierzyła w nieśmiertelnych, tylko w tych, którzy mają dość dumy, by umrzeć. I następnego wieczoru, kiedy jak zawsze byłem poza domem, królewska policja otoczyła dom. Chcieli schwytać ją żywcem; Claudia, która była łączniczką rewolucjonistów, знаła tyle nazwisk, że musieli je z niej wydobyć, choćby nawet mieli jej otworzyć brzuch.

Dlatego nie chciała, żeby ją schwytali żywą.

Powiesiła się.

Oprawcy nie znaleźli nic oprócz pośmiertnej wiadomości, choć nie wiedzieli, że była przeznaczona dla mnie. Wiadomość po prostu brzmiała: „W każdym razie musisz w coś wierzyć”.

Claudia umarła tak, że powinna być pogrzebana we wspólnym grobie, jak jej mąż. A już na pewno ani przez chwilę nie wyobrażała sobie, że będzie miała luksusowy pogrzeb. Opłacił go pewien lichwiarz, w którego domu pracowała i który sto razy chciał ją kupić. Ogromny wieniec miał wstęgę, na której widniał niezrozumiały dla nikogo napis: „W końcu przyjąłeś moje pieniądze”.

Wielu mężczyzn ma tylko taki powód do dumy.

Lichwiarz zrobił wszystko, co mógł, żeby o tym wydatku nie dowiedziała się jego żona.

Mimo to żona się dowiedziała.

Ja, który znalazłem schronienie w biurze pewnego adwokata

na ulicy San Pablo - koło kościoła i jego starego cmentarza, gdzie już się wszystko zmieniło - otrzymałem polecenie spotkania się z żoną lichwiarza w celu przeprowadzenia podziału majątku. Wyperswadowałem jej to tak, że postanowiła jednak zostać z mężem, bo „w gruncie rzeczy - jak przyznała - bardziej mi się to opłaca”. To burżuazyjne zdanie było deklaracją zasad, której nie skomentowałem.

Wdzięczny lichwiarz zapłacił adwokatowi wysokie honorarium, a ponadto zaprzagnął mnie poznać i zatrudnić przy swoich interesach. Wynegocjowane rozwiązanie było też idealne dla jego dobrego imienia. Kiedy interes się rozwinął i przekształcił w prawdziwy bank, dawny lichwiarz, który został bankierem, zatrudnił mnie na stałe.

I tam narodził się po raz drugi pan Ponte.

Ciekawa rzecz, ale w Barcelonie, uważanej za największe centrum gospodarcze Hiszpanii, nie ma banków prawdziwie katalońskich: wszystkie mają swoje siedziby poza Katalonią, jak na przykład Santander Central Hispano, Bilbao-Vizcaya czy Español de Crédito. A jednak ja wiem, że w Barcelonie utworzono pierwszy wielki bank hiszpański, kiedy istniał tylko Banco San Fernando, później przekształcony w Banco de España. Jego najślawniejszym właścicielem był Manuel Girona, multimilioner, który sfinansował z własnej kieszeni nową fasadę katedry. Bank powstał w 1842 roku i dotąd można oglądać na Ramblas to, co było jego siedzibą: to ostatni budynek na tej ulicy, gdy się idzie w kierunku morza. Przypuszczam, że jego przeznaczeniem jest pozostać ważnym budynkiem, dopóki się nie zawali, gdyż przedtem mieścił odlewnię armat, a potem coś jeszcze gorszego - sądy wojskowe.

Tak zwany Banco de Barcelona miał nawet przywilej emisji legalnych banknotów, co stawiało go w niemal unikatowej sytuacji. Ale przeżył dwa kryzysy: jeden w 1848 roku (głód w Europie, rewolucje i masowe wycofywanie funduszy) i drugi w 1866 (kryzys tytułów kredytowych, które zaczęto traktować na równi z legalnymi banknotami), chociaż wyszedł z nich obronną ręką. Jednak upadł w 1920 roku, kiedy nowy porządek europejski, jaki nastał po Wielkiej Wojny, zlikwidował przywileje handlowe, które Hiszpania uzyskała za swą neutralność. Koniec.

Ja, Ponte, który przez tyle lat byłem jednym z panów Giełdy, wiem, że za sprawą indywidualistycznego charakteru Katalończycy nigdy nie będą mieli znaczących banków. Wiem też, że jeden człowiek nie może utrzymać się przez wiele lat w środowiskach finansowych, nie zmieniając swojego wyglądu i nie zwracając uwagi tych, którzy każdego dnia doszukują się nowej zmarszczki na jego twarzy. Tak więc musiałem wymyślić sobie dynastię.

Kiedy zauważyłem, że grozi mi niebezpieczeństwo, wyjechałem do Paryża, a potem do Genewy, gdzie ogłosiłem, że mam syna. Oczywiście wycofałem się z interesów i pożegnałem się ze spadkobiercami lichwiarza, bo ten już umarł. Stałem w pierwszym rzędzie na jego pogrzebie; kazałem przysłać wieniec, a tekstu na jego wstędze też nikt nie zrozumiał: „Zwracam panu pieniądze”.

Mieszkalem przez dwa lata nie w Paryżu, dokąd często jeździli bankierzy, lecz wśród szumowin Marsylii, których bankierzy nigdy nie odwiedzali. Tam nauczyłem się wielu podstępów stosowanych w walce, wśród nich *coup du Père François*, który pozwalał wyrwać nieprzyjacielowi oczy ruchem dwóch palców dłoni.

A gdy minęły te dwa lata, pojawił się w Barcelonie mój „syn”, tak do mnie podobny, że wszystkich to zaskoczyło. Udawałem, że lubię kobiety (mój „ojciec” nigdy się z nimi nie zadawał), i miałem nawet dwie utrzymanki: były to proste dziewczyny, którym dawałem pieniądze w zamian za ich dyskrecję i z którymi nigdy nie miałem najmniejszego kontaktu cielesnego. Musiały myśleć, że są zasłoną dymną skrywającą moje zainteresowanie mężczyznami, coś występującego znacznie częściej, niż ludzie sądzą.

W tym czasie Barcelona zmieniła się tak bardzo, że nikt nie mógł jej poznać. Nie było murów przy Rambli i mówiło się bardzo poważnie o zburzeniu murów przy Ronda de San Antonio i Ronda de San Pablo. Tyran Ferdynand VII umarł, ale to nie przyniosło pokoju: ponieważ istniały już definitywnie dwie Hiszpanie, rozpoczęły się wojny karlistowskie.

Miasto wszakże rosło i rosło, coraz bardziej dusząc się wewnątrz murów; firmy tekstylne rozprzestrzeniały się na zamożnych ulicach (Fernando, Ancha, Canuda, Carmen), natomiast Raval, gdzie się urodziłem, wypełniał się malutkimi mieszkankami, w których przez kilka godzin spali robotnicy pracujący w niemal przylegających do nich fabrykach. Szpital Santa Cruz i kościół Sant Pau del Camp wydawały się niezmienione, ale nie pozostał nawet ślad po dawnym cmentarzu. Jak setki lat temu powstawały teatrzyki, baraki jarmarczne i niewielkie domki, gdzie zawsze byli ludzie i gdzie płakało tyle kobiet.

Nie było nawet śladu po domu mojej matki.

Ani po szubienicach na Llano de la Boquería.

Ani po posterunkach straży na Rambli.

Ale powstawały domy bogatych ludzi, którzy chcieli kupować meble w dobrym gatunku. Dlatego, żeby jeszcze bardziej odróżnić

się od „ojca”, porzuciłem interesy na Giełdzie i zacząłem uchodzić za eksperta od dawnych mebli, co zresztą było prawdą. Prowadziłem też interesy związane z instrumentami muzycznymi o wielkiej wartości, jak mandolina z 1775 roku podpisana przez Vinacciego i lutnia Matheusa Buechenberga datowana na 1613 rok. Nie gardziłem handlem płytkami ceramicznymi z odległych kościołów ogołacanych przez rabusiów - proceder, który, jak się zdaje, nie skończy się nigdy - ani starodrukami, jak *De architectura* Witruwiusza.

W taki sposób ci, co znali mojego „ojca”, niczego nie podejrzewali. „Istnieją zadziwiające podobieństwa” - mówili. Niczego też nie podejrzewali w związku ze zniknięciem kilku przestępców z podejrzanych dzielnic miasta. Jednego z nich znaleziono potem bez kropli krwi, ale ponieważ zdarzało się to bardzo rzadko, a Barcelona była miastem pełnym przemocy, nikt niczego nie podejrzewał.

Niczego nie podejrzewał też Ten Drugi.

Nie widziałem go więcej.

Ale miał się jeszcze pojawić, byłem tego pewien. Rzeczy zawsze się powtarzają, a czas nie istnieje. Dzielimy go, żeby uporządkować nieco nasze życie, choć w rzeczywistości czas jest płaski i nie ma początku ani końca.

Żeby nie wywoływać żadnych komentarzy, nie odwiedzałem też ośrodków rewolucyjnych, które miały dać początek Pierwszej Republice*. * System polityczny, który trwał w Hiszpanii od roku 1873 (tj. od proklamowania go przez Kortezy) do 1874 (restauracja dynastii burbońskiej). Ja, syn bankiera, byłem bogatym i szanowanym kupcem; kilku starych patrycjuszów proponowało mi nawet małżeństwo ze swoją córką, choć żadna z tych biednych dziewczyn nie miała tu nic do

powiedzenia. Rodziny rosły w siłę wraz z małżeństwami z rozsądkiem i waliły się wraz z małżeństwami z miłości, toteż wszyscy byli zachwyceni mądrością sypialni. Za każdym razem, kiedy miałem asystować w jednym z tych ślubów, szedłem potem odwiedzić grób Claudii.

Może nie urodzą się już takie kobiety jak ona, może miasto pochłonęło je już na zawsze.

Ale rewolucjonistki istniały nadal.

Barcelona wrzała. Była coraz bogatsza i coraz uboższa.

Renoma eksperta sztuki pozwalała mi odróżniać na pierwszy rzut oka autentycznego Goyę od Lucasa; nie kosztowało mnie to najmniejszego trudu, gdyż znałem historię każdego obrazu. Doprowadziła mnie też do kontaktów z wybitnymi fałszerzami, bankierami, a nawet z wielkimi międzynarodowymi mordercami, którzy ze zbrodni uczynili, jak miała później powiedzieć pewna książka, jedną ze sztuk pięknych*.* Aluzja do dzieła Thomasa De Quinceya (1785-1859) *On Murder Considered as One of the Fine Arts*.

To jeden z nich - a ściśle mówiąc, pewna atrakcyjna i ambitna kobieta - zaproponował mi sfinansowanie pewnej zbrodni, która miała mi przynieść najlepsze dywidendy życia.

Chodziło o zabicie pewnego człowieka, który miał koncepcję nowego miasta.

Nazywał się Cerdà.

29.

Domy, które nie istnieją

Marta Vives bała się starych domów, chociaż była archeologiem; bała się podwórzy bez światła, zardzewiałych krat, okien, które się nie domykały i stukwały w powietrzu. Przede wszystkim bała się łóżek, na których zawsze ktoś kiedyś zmarł. Należała do tych, co myślą, że zmarli pozostają w jakiś sposób w domach.

O mało nie krzyknęła: to, co poruszało się w głębi opuszczonego domu, wyglądało jak nieboszczyk.

Ale zrobiło jej się wstyd samej siebie. Już od tylu lat oglądała groby.

Jej sprężyste nogi zrobiły krok w poszukiwaniu strefy światła. Względne światła w tym świecie, który już nie istniał. I zdołała dostrzec, że cień, który nagle się poruszył i teraz się do niej zbliżał, jest cieniem żywego człowieka. Wysokiego, szczupłego, a do tego nienagannie ubranego mężczyzny.

Nie mogła się go bać. Był duchownym.

A poza tym znajomym.

- Ojciec Olavide... - szepnęła.

Mężczyzna, który był tyle razy w biurze Mareosa Solany, jego przyjaciel i współpracownik, być może najbardziej wykształcony duchowny w mieście, podszedł do niej, wyciągając dłoń.

- Mam wrażenie, że panią przestraszyłem, Marto - powiedział z uśmiechem.

- Ojcie Olavide, nie rozumiem, jak się ojciec tu znalazł. To prawda, że mnie ojciec przestraszył. Ależ ze mnie idiotka!

- Ja też nie rozumiem, dlaczego pani tu jest, Marto.

I usiadł naprzeciw niej. W tym, co przez wiele lat musiało być salonem, scenerią dawnych przyjęć, pozostały jeszcze zniszczone izabelińskie fotele, dwie rozbite lampy gazowe i resztki mahoniowego stołu. Ale nie było tam gazu ani niczego innego, co mogłoby rozjaśnić mrok, tylko światło z zewnątrz, które ledwie tu docierało, choć z przeciwnych okien dochodziła lekka jasność. Istniało jakieś życie po drugiej stronie podwórka martwego domu.

Powodowana grzecznością, Marta zgasila latarkę; nie chciała, by Olavide miał wrażenie, że jest przesłuchiwany. A poza tym tak było lepiej, gdyż z sąsiednich domów ktoś mógł dostrzec światło i nabrać podejrzeń.

Marta wyszeptala:

- Mam wrażenie, że znalazłam się tu nielegalnie.

- Nie rozumiem.

- Przyznaję, że nie przystoi to kobiecie, która pracuje w jednej z najlepszych kancelarii adwokackich w mieście.

- Jeżeli pani nie chce, mogę o nic nie pytać - powiedział uprzejmie Olavide.

Strój duchownego tonął w ciemności; tylko jego bardzo blada twarz wyróżniała się w tym rodzaju mgły.

- Przeciwnie, ojcie Olavide, może ojciec pytać, o co chce.

- Więc proszę mi powiedzieć, po co pani tu przyszła.

- Nie mam zamiaru robić nikomu krzywdy i to mnie w jakiś sposób usprawiedliwia; usiłuję jedynie prowadzić pewne dochodzenie,

o którym mój szef nic nie wie i które dotyczy czysto prywatnej sprawy. Ojciec wie, że jestem dziwną kobietą.

- W jakim sensie?

- Studiowałam archeologię, historię, heraldykę i inne wątpliwie przydatne dyscypliny. Ojciec wie, że znam wszystkie starożytne rodziny w tym mieście.

- Które jest coraz bardziej wymieszane. Starożytność już nie istnieje albo już nie ma znaczenia.

I ojciec Olavide uśmiechnął się, dodając:

- Ja studiuje to samo co pani, Marto, tak więc nie mogę pani krytykować. W Collegium Romanum miałem wykłady na temat rodzin, które się wywodzą od pierwszych apostołów, co znaczy, że, jak przypuszczam, mówiłem wiele kłamstw. Ale to, co pani wie, jest prawdą i jest bardzo użyteczne dla pani szefa; dla adwokata istnieją jeszcze stare rodziny, z tego prostego powodu, że istnieją stare spadki.

Marta Vives usiłowała się uśmiechnąć.

- Myślę, że to właśnie dlatego szef mnie jeszcze trzyma.

- A czego szukała pani w tym domu, o ile czegoś pani szukała? Należy on do miasta, choć obawiam się, że miasto nigdy nie zrobi tego, czego chciał ostatni testator.

- Właśnie weszłam tu bez zezwolenia, żeby poszukać jakichś wskazówek dotyczących ostatniego testatora.

- Czy wie pani, kim on był?

- Pewien duchowny o nazwisku Masdáu.

- Duchowny względnie zamożny, jak wielu w owej epoce. Dlatego chciał, żeby stało się to publiczną biblioteką.

- Wie ojciec o tym?

- Ależ oczywiście, droga przyjaciółko. Księgi własności w Ratuszu nie są tajne. Protokoły notarialne też nie. Taki stary profesor jak ja musi wiedzieć cokolwiek o swoim mieście.

- No cóż... - Marta uznawała, że ojciec Olavide jest jednym z tych niewielu, którzy mogą ją czegoś nauczyć. - Kiedy umarła pewna moja antenatka, jej zgon nie został nigdzie zarejestrowany, ale dowiedziałam się, gdzie była pochowana. Mówię „była”, bo już jej tam nie ma: przed wielu laty wydobyto jej szczątki z cmentarza w Pueblo Nuevo. Zmarła w bardzo dziwnych okolicznościach... i tak, jakby była naznaczona przez Szatana. Nie wiem, jak to powiedzieć.

- Powiedziała to pani bardzo dobrze, choć obawiam się, że to nie wszystko.

- Nie, to nie wszystko. Kiedy prowadziłam moje dochodzenie, dowiedziałam się czegoś jeszcze dziwniejszego: rodzina Masdeu opłacała jej niszę na cmentarzu, choć czasy wojennego niepokoju sprawiły, że, jak sądzę, przestała to robić. I szczątki zniknęły.

- Taka sytuacja zdarzała się często - rzekł ojciec Olavide, wbijając wzrok w Martę. - Co jeszcze?

- Nie rozumiem, dlaczego przez całe lata ponosili taki wydatek. Nie mogli jej nawet znać.

- I to panią interesuje?

- Tak, bo, jak już mówiłam, moja antenatka umarła w dziwnych okolicznościach i tak, jakby była naznaczona przez Szatana. I nie tylko ona: w mojej dalekiej rodzinie były przypadki, których nigdy nie zdołam sobie wytłumaczyć.

I urywającym się głosem dodała:

- Przepraszam, chyba się ośmieszam, mówiąc o takich rzeczach.

- Nikt się nie ośmiesza, mówiąc o sprawach, których się boi. Bo przypuszczam, że pani, Marto, czegoś się boi.

Odpowiedziała szczerze:

- Tak.

- W takim razie nie powinna się pani wstydzić, że opowiada o tych sprawach tak szczerze. Ale nie rozumiem, dlaczego weszła pani tutaj. Jak to w ogóle pani zrobiła?

- Za pomocą wytrycha.

- Dziwny sposób postępowania jak na aplikantkę adwokata. Ale proszę się nie martwić: słuchałem podczas spowiedzi bardziej zaskakujących rewelacji. I mówi pani, że szuka wskazówek na temat ostatniego mieszkańca tego domu? Dlaczego?

Marta przygryzła dolną wargę.

- Znowu myślę, że wszystko to jest śmieszne. Wyobrażałam sobie, że znajdę jakąś wskazówkę co do śmierci mojej antenatki.

- Widać, że jest pani historykiem.

- Widać, że mam wiele wątpliwości. I boję się.

- No cóż... Wątpliwości to jedna sprawa, a lęk to druga. Nie powinna pani nigdy się bać; to, co naturalne, jak Szatan, nie powinno wywoływać lęku.

Dziewczyna zawahała się.

- Szatan jest czymś naturalnym? - zapytała nieswoim głosem.

- Naturalnie. Mówię to ja, który przez lata wykładałem patrologię w Collegium Romanum. Szatan jest w Biblii jednym z naturalnych elementów, choć pod różnymi imionami i z cechami budzącymi wątpliwości. Demon jest jedną z najbardziej niejasnych postaci w religii, ale bez wątpienia jest w niej obecny. Powinna pani patrzeć na tę postać jako na coś zupełnie zwyczajnego.

Marta Vives wyznała:

- Nie rozumiem tej idei.
- Bo może ta idea wymaga dłuższego wyjaśnienia. Ale proszę najpierw odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Mam wrażenie, że ten dom panią przeraża, że była pani przerażona, zanim zobaczyła mnie tutaj, przy oknie. Dlaczego?

- Pewien historyk powiedział mi, że zwłoki tego księdza nie opuściły domu.

Głos Marty drżał, kiedy wypowiadała szeptem te słowa.

Czasami jej się wydawało, że jest nadal małą dziewczynką, która boi się dochodzącego z korytarza skrzywienia drewna i światła przeciskającego się przez szpary w drzwiach. To wszystko jest śmieszne - myślała, ale wiedziała, że gdyby nie spotkała tu ojca Olavide, zaczęłyby krzyczeć.

Po drugiej stronie podwórka pojawiło się nagle silniejsze światło. Cienie za oknem nabrały życia... Coś zadrżało w powietrzu, a na gzymsach zaczęły się odbywać kocie zaloty.

Ojciec Olavide szepnął:

- Czy to znaczy, że umarł tutaj i nikt się o tym nie dowiedział?
- Nie wiem. Ten historyk powiedział mi, że jego pochówek nie został nigdzie odnotowany i że nie wydaje się, by jego ciało gdziekolwiek zostało pochowane.

- W wielkich miastach zdarza się sporo faktów, które nie figurują w rejestrach, albo może nie wiadomo, jak je znaleźć. To również prawda, że wiele osób umiera w swoich domach i nikt się o tym nie dowiaduje, aż nagle w jakimś pokoju ktoś odkrywa mumię. Kiedy byłem młodym księdzem, czasami wzywano mnie, abym pobłogosławił szczątki ciał, których dusze może już od lat były w piekle. No cóż, przyznaję, że to bardzo pobożne zadanie... Ale ponieważ chodziło o księdza, władze kościelne coś by odnotowały. Albo władze miejskie, kiedy przyjęły spadek i weszły w

posiadanie domu. Tak dyktuje rozsądek, chociaż w każdym razie...

Marta zauważyła, że kilka słów pozostało w powietrzu. Lekko drżącymi wargami spytała:

- W każdym razie co?

- Zwłoki mogły zostać w jakimś odległym pokoju... Na przykład w którymś z pomieszczeń w piwnicy. Te wiekowe domy mają zakątki, do których przez całe lata nikt nie wchodzi i które w końcu popadają w zapomnienie. Są tam fałszywe ściany, zamurowane drzwi. A poza tym ten dom ma... jak by to powiedzieć?... złą sławę. Dlatego tu jestem.

Znowu po drugiej stronie podwórka zgasły światła, znowu wargi Marty zdrząły.

- O czym ojciec mówi?

- Powiedziała mi pani, Marto, dlaczego tu przyszła, ja natomiast nie powiedziałem nic. Jestem tutaj, ponieważ mam klucze: w administrowaniu biblioteką, jaka miała tu powstać, uczestniczył Kościół. A poza tym od wielu lat jestem egzorcystą i jednym z najbardziej uznawanych autorytetów w dziedzinie znajomości Szatana. Wiem, że wielu ludzi wzięłoby to za żart, ale pani nie; Szatan jest powszechną postacią w patrystyce, czyli w dziełach starożytnych, którzy stworzyli doktrynę o postaciach w Ewangeliach i Biblii.

Marta nie okazała żadnego zaskoczenia, a tym bardziej nie wzięła tego za żart. Księgi patrystyki należały również do jej świata.

- Powiedział ojciec coś niepokojącego - odezwała się po chwili.

- Chyba chodzi o to, że więzę Szatana z tym domem.

- A więzę ojciec?

- Szczerze mówiąc, tak - odrzekł ojciec Olavide. - Istnieją miejsca... zwłaszcza stare domy i takie, gdzie umarło wielu ludzi... w których ukrywają się jakieś duchy. W nowych domach, małych i bez historii, które w końcu zaczynają pachnieć kocimi szczynami, nie wydaje się to możliwe. Ale są miejsca naznaczone i jednym z nich jest właśnie to. Nie wierzę, że to zbieg okoliczności, iż spotkaliśmy się tutaj, nic o tym nie wiedząc. Oboje odebraliśmy jakieś wibracje, których inni nie dostrzegają.

I stanął przed oknem, przecinając odległe światła dochodzące z drugiej strony. Wydał się Marcie wyższy, szczuplejszy, a równocześnie poważniejszy. Czowała niezmierną ulgę, że nie jest tu sama. Olavide nie tylko dotrzymywał jej towarzystwa, lecz także dodawał sił.

- Na tych ulicach - ciągnął - sekrety zdają się czaić w mrokach. Przepraszam, że mówię w ten sposób, ale nie potrafię tego powiedzieć inaczej. Pod każdym istniejącym domem jest inny dom, który istniał kiedyś. Jeśliby zburzyła pani jeden z kanałów biegnących tu pod spodem, prawdopodobnie znalazłaby się pani w pomieszczeniu, które było salonem, gdzie zbierała się jakaś niezująca już rodzina. Czy coś pozostało z jej duchów? Nie wiem tego, ale tak czy owak takie wierzenia zasługują na szacunek. I może być w nich coś prawdziwego, bo, jak już mówiłem, ten dom ma swoją legendę.

Usiadł znowu. Wtedy promień światła padł na to, co kiedyś było mahoniowym stołem, i natychmiast utonął w warstwie kurzu.

Marta spytała szeptem:

- Jaką legendę?

- Przede wszystkim tutaj, pod naszymi stopami, może być mumia. To nie jest jakaś nowa historia, Marto, proszę nie myśleć,

że to jakaś nowa historia i że jeżeli zna ją pani, znam ją również ja i znają inni ludzie. Może dlatego wiem, że odbywały się tu satanistyczne rytuały. Są ludzie, którzy tu wchodzili, widzieli cienie i odczuli obecność duchów. Stąd do wzywania Szatana jest jeden krok. Czy nie dziwi pani, że nikt nic nie robi z tym domem? Czasami nawet w najpoważniejszych miejscach, jak w biurach władz miejskich, może panować jakiś lęk. Ale proszę nie zwracać na to uwagi. My, duchowni, wiemy, że istnieją sekrety nawet pod Bazyliką Świętego Piotra, i dlatego wydaje się, iż otacza nas atmosfera stuleci. Niektórzy z nas badają sprawy, które wydają się nie mieć sensu.

- Ale ojciec przyszedł tu z jakiegoś powodu...

- Ponieważ wiem, że miały tu miejsce satanistyczne rytuały, choć bez żadnej ofiary. W przeciwnym razie interweniowałaby policja. Chodzi o inwokacje, które może przepełnione były takim lękiem, jaki teraz odczuwa pani. I przychodzę ja, patrzę, czy jest coś, co zwraca moją uwagę, i odbieram to, co pozostaje po duchach. O ile coś pozostaje. Ale przychodzę też z bardziej prozaicznego powodu.

- Jakiego?

- Wszystkie te stare posiadłości, które przeszły w ręce miasta, są częściowo administrowane przez rodzaj patronatu, który decyduje o ich przeznaczeniu. Choć na ogół nie decyduje on o niczym. Ja należę do tego patronatu i co pewien czas muszę sporządzać raport.

- Wyciągnął rękę do Marty Vives, gdyż już prawie się nie widzieli. Niczym jakiś opiekuńczy cień poprowadził ją do drzwi.

- Czy mam zapalić latarkę? - zapytała.

- Och, nie... Znam ten dom, jakbym tu mieszkał: proszę nie zapominać, że przychodzę tu dość często. A ponieważ teraz muszę

już iść, nie chcę pani zostawić samej. Nigdy bym pani nie zostawił samej w takim miejscu jak to.

I ścisnął mocniej jej rękę. Dziewczyna poczuła się pokrzepiona, wspierana przez ten cień, który zdawał się panować nad wszystkim. Dostrzegła niewyraźnie drzwi, za którymi był drugi świat cieni.

- Ale pani przysła tu, żeby się czegoś dowiedzieć - rzekł ojciec Olavide - i ja pani pomogę. Wszystko to, co mogło się wydarzyć tej pani antenatce, dojdzie do pani uszu, obiecuję, gdyż być może dysponuję środkami, żeby się o tym dowiedzieć. Ale proszę, żeby pani tu sama nie wracała... Proszę nie wracać.

I otworzył drzwi, żeby ją stamtąd wyprowadzić. Kontakt z jego dłonią sprawił, że Marta Vives we wszystkich mięśniach ciała poczuła jakąś nową siłę. Miała wrażenie, że przed czymś się uratowała, że zostawia za sobą jakiś świat bardzo realny, lecz zbudowany z ciemności.

30.

Miasto pieniędzy

Każde dobrze zorganizowane społeczeństwo opiera się na zaakceptowaniu zbrodni jako części samego siebie. W dyktaturach znacznie bardziej niż w społeczeństwach wolnych, choć żadne z nich nie jest od niej wolne. Czasami zbrodnia polega na korupcji. Innym razem na braku wolności. Innym - na kłamstwie. Innym - na krwi.

Człowiek, którego poznałem na szczycie Montjuïc, zanim dotarłem do bryły zamku brzemiennego w śmierć i legendy, był po prostu wizjonerem. Nazywał się Ildefons Cerdà i chciał zmienić Barcelonę.

Nie był zbyt korpulentny i w jakimkolwiek innym miejscu mógłby nawet pozostać niezauważony; ale tam, gestykułując i mówiąc z entuzjazmem o mieście, które miał u stóp, wydawał się olbrzymem.

- Mówię tak, bo potrzebuję pomocy - rzekł - a pan może mi jej udzielić. Coś mi powiada, że jest pan mędrce i zna wiele rzeczy, których inni nie znają. Ponadto pracuje pan w najstarszej gazecie kontynentu.

Rzeczywiście byłem wtedy redaktorem - i to redaktorem renomowanym - dziennika „Diario de Barcelona”, najstarszego

spośród publikowanych na kontynencie europejskim. Starszy od niego był tylko „The Times”, ale ten wydawany był na Wyspach Brytyjskich.

- Ci, którzy dotąd rządili w Barcelonie, uważali ją przede wszystkim za ważną twierdzę - powiedział Cerdà, idąc nerwowo przede mną po ubitej ścieżce - i stąd jej wielkie mury. Jej wielkie potrójne mury, które trwały przez stulecia. Może pan zobaczyć, że nigdzie na tej wielkiej równinie, rozciągającej się od Canaletas aż do miejscowości Gracia, nie wolno nic budować, żeby żadna siła inwazyjna nie mogła się skryć, kiedy ładuje działa lub kroczy naprzód. Czyli cała wielka równina musi pozostać pusta i wystawiona na ostrzał obrońców. Żadna władza nie zrozumiała, że Barcelona jest wielkim ośrodkiem kultury i handlu, dlatego musi być czymś więcej niż zwykłą fortecą. Ci ludzie nie widzą, że ze swoimi murami miasto skazane jest na śmierć. Zamknięta w nich, gnije wielka masa robotników, która nie ma powietrza ani czystości, ani nawet wody pitnej, nie mówiąc już o przestrzeni. A wie pan, panie redaktorze - zapytał ten rodzaj apostoła - ilu z tych robotników ma pracę przez cały rok? Statystyka mówi, że przedsiębiorcy poszukują dziesięciu procent robotników wykwalifikowanych, podczas gdy pozostałych dziewięćdziesiąt procent ma pracę tylko od sześciu do ośmiu miesięcy rocznie. Czy nie dość tego cierpienia? Czy trzeba je powiększać za pomocą mieszkań i ulic, które pochodzą jeszcze ze średniowiecza?

- Oczywiście, że nie - powiedziałem, robiąc pośpiesznie notatki.

- Jest pan jednym z najbardziej wpływowych redaktorów „El Brusi” * * W 1814 roku „Diario de Barcelona” stał się własnością niejakiego Antonia Brusi; z tego powodu był przez długie lata nazywany potocznie „El Brusi”. - dodał Cerdà - a tym samym wszystko, co pan pisze, traktowane jest jako

aksjomat. Proszę, żeby nie uważał mnie pan za nawiedzonego.

- Nigdy bym sobie na to nie pozwolił - rzekłem częściowo przez uprzejmość, a częściowo dlatego, że Cerdà był renomowanym inżynierem. Chociaż wielu, jak mówił, uważało go za nawiedzonego.

Wyciągnął ręce i otworzył dłonie, jakby chciał nimi objąć całą równinę.

- Wielka sieć kwadratów rozciągnie się od początku Ramblas aż do samodzielnej osady Gracia. Wszystkie bloki domów będą miały te same wymiary, ale nie będą całkowicie do siebie podobne, gdyż zostaną zabudowane tylko z dwóch stron, wiele z nich w kształcie litery „E”, a wewnątrz tych bloków będą wypełniały ogrody i wolna przestrzeń. Ponadto część zabudowana każdego bloku będzie stała naprzeciwko części wolnej następnego, co w większości wypadków da bezpośredni widok na jakiś ogród czy zagajnik. I powiem panu coś więcej: te bloki nie będą kończyły się pod kątem prostym, ale będą tworzyły fasetę, co zwiększy piękno i poprawi widoczność. Widoczność odegra zasadniczą rolę, bo w ten sposób prywatne pojazdy parowe poruszające się po ulicach będą widziane na skrzyżowaniach, co pozwoli uniknąć wypadków.

Tych słów o prywatnych pojazdach parowych nikt nie rozumiał, zwłaszcza gdy Cerdà mówił, że każda rodzina będzie taki miała.

Apostoł ciągnął dalej i nie obchodziło go zbyt to, co mogę myśleć.

- Ulice będą szerokie i umożliwią ruch tych pojazdów, które chwilowo widzę poruszane parą i które będą stały przed domami swoich właścicieli. Proszę mi powiedzieć, mój przyjacielu: kto

zrezygnuje z takiego postępu? Jakie miasto będzie doskonalsze od tego, które opisuję?

- Ale, panie Cerdà - ośmieliłem się wyrazić obiekcję - co się stanie, kiedy wszyscy mieszkańcy będą mieli takie pojazdy, o których pan mówi? Nikt nie będzie wiedział, gdzie je postawić. Nie zmieszczą się przed domami.

Popatrzył na mnie niemal z oburzeniem.

- Cóż za przypuszczenie! - wykrztusił. - Ja mam opinię wizjonera, ale pan mnie bije na głowę. Zgodnie z moim projektem miasto będzie olbrzymie, a jego ulice rozległe, toteż pojazdy nigdy ich nie zapełnią. Proszę wziąć pod uwagę, że w każdym kwadracie tylko połowa miejsca będzie wykorzystana na mieszkania, tak więc do zatłoczenia, o którym pan mówi, nigdy nie dojdzie.

I znowu wskazał na olbrzymią przestrzeń, którą miał przed sobą, jakby wyprasowaną przed zboczami Montjuïc. Było niemożliwe, żeby wypełniła się pojazdami, o ile zastosuje się zabudowę tylko jednej części każdego bloku.

W końcu poprosił mnie:

- Niech pan nie zapomni, żeby to opisać tak, jak panu opowiedziałem, choć rozumiem, że to niełatwe. A przede wszystkim proszę wyjaśnić to swemu przełożonemu. Zobaczy pan, że go przekona.

- Ten Ildefons Cerdà jest szalony - powiedział pan Rovira i Trias, wpadając jak narowisty koń do spokojnej dotąd redakcji „El Brusi”. - Proszę tego posłuchać, panowie reporterzy, prawnicy, obywatele kochający swoje miasto. Pan Ildefons Cerdà, którego planowi, wbrew usprawiedliwionym pragnieniom Barcelony, patronuje Madryt, powiedział ni mniej, ni więcej - i

zacytował: - „Być może nie ma ani jednego mieszkańca miasta, który widząc lokomotywę poruszającą się wszystkimi ulicami metropolii, naprzeciwko jego mieszkania, nie chciałby mieć jej całkowicie do swojej dyspozycji”. Pan Rovira i Trias dodał:

- Panowie redaktorzy „Diario de Barcelona”, znacie Barcelonę. I proszę sobie wyobrazić to, co wymyślił pan Cerdà. Pobudzony pomysłem, że każdy mieszkaniec będzie miał pojazd do swojej dyspozycji, wyobraził sobie ulicę, powiedzmy Aragon, o szerokości - bagatela! - pięćdziesięciu metrów, żeby mogły się po niej poruszać jednocześnie wszystkie te pojazdy... Pięćdziesiąt metrów! I nie decydujemy o tym w Barcelonie, wszystko to zostanie nam narzucone przez Madryt.

Redaktorzy przestali pracować, żeby posłuchać uważnie szefa. Pan Rovira, razem z panem Molina, został nagrodzony w konkursie ogłoszonym przez Radę Miejską w celu wybrania najlepszego projektu Ensanche, który to konkurs został otwarty dla publiczności od dwudziestego siódmego października 1859 roku. Ale wyglądało na to, że nagroda na nic się zdała. Madryt pragnął narzucić projekt Cerdy, z którym rozmawiałem niedawno na górze Montjuïc.

Wielkie grupy ludności uważały to za niesprawiedliwość i zamach na uczucia barcelończyków, choć ja wiedziałem, że w głębi jest coś jeszcze. Właściciele gruntów przyszłego Ensanche widzieli, że zaszkodzi to ich interesom.

Zabudować tylko pięćdziesiąt procent ich posesji i zlekceważyć drugą połowę...!

- Trzeba dobrze wyjaśnić to wszystko - rozkazał redaktor naczelny. - Zamieściliśmy inne opinie, tę więc trzeba również zamieścić.

Wszyscy redaktorzy pracowali niemal łokieć w łokieć przy jednym, bardzo długim stole, oświetlonym dwiema lampami. Normalnie słychać było w redakcji, tej świątyni prawdy, jedynie nasz kaszel i skrzywienie naszych piór, jako że nigdy nie słychać było naszych głosów domagających się podwyżki. Ale owego wieczoru, wraz z wejściem pana Roviry, redaktorzy zaczęli się burzyć i istniały poważne powody, by myśleć, że jest to początek rozkładu społecznego zagrażającego miastu. Jeden z nich, pan Pedemonte, który nigdy nie ruszał głową (między innymi dlatego, że mógłby zranić kogoś swoimi rogami), ośmielił się nawet powiedzieć:

- Panie Rovira, poważne racje administracyjne wypaczyły wolę naszych radnych miejskich i pogwałciły to, co w dawnych czasach było świętą wolą ludu. Władze miejskie, z całkowitą słuszością, są zdania, że cały teren rozciągający się poza murami, a zwłaszcza okolice na drodze do Gracia i Riera de Maila, należą do Barcelony, a nie do jurysdykcji wojskowej. A któż bardziej niż władze miejskie Barcelony jest upoważniony do kreślenia planów Ensanche, które napelni podziwem cudzoziemców?

- Dlatego ogłoszono konkurs na projekty - wtrącił pan Rovira - w którym nagrodzono moją skromną osobę i pana Moline.

Inny redaktor, Recolons, którego nazwisko należało pisać z wielką uwagą*, * *Collons* po katalońsku znaczy „jajca”. powiedział:

- Chodzi o to, że popełniono tu historyczny błąd, który przyszłe stulecia niewątpliwie pomszczą. Pan Pedemonte, którego tak bardzo cenię, trafił w sedno. Wojskowi sądzą, że strefa, gdzie ma być zbudowane Ensanche, należy do nich, i przekazali swoją posiadłość Ministerstwu Rozwoju, w oczywisty sposób centralistycznemu, które przyjęło projekt pana Cerdy, inżyniera drogowego.

Czyli to, czego pragniemy my, Katalończycy, zostanie zrealizowane przez mieszkańca Madrytu, mimo że z pochodzenia również Katalończyka. Ze wszystkich naszych sił musimy przeciwstawić się temu projektowi, który nas marginalizuje. I wygłosił taką konkluzję:

- A więc musimy przeciwstawić się mieczowi i kutasowi centralistów.

Po wysłuchaniu tych błyskotliwych przemówień redaktor naczelny zwrócił się do mnie:

- Proszę napisać to wszystko, żeby lud się dowiedział i mógł wyrazić swoje zdanie.

- Czy mogę też napisać tę sentencję o mieczu centralistów?

- Tak, ale proszę nie wspominać o ich kutasie.

- Dobrze, proszę pana.

Zacząłem pisać, ale pan Rovira postanowił dać nową próbkę swej elokwencji.

- Panowie, a co powiedziecie o problemach medycznych, które bez wątpienia wywoła plan pana Cerdy? Tak, moi przyjaciele, powiedziałem „problemy medyczne” i nigdy lepiej nie użyto tego wyrażenia. Na Ensanche pan Cerdà, inżynier drogowy, nie zaprojektował ulic, tylko szosy. Długie proste drogi będą się krzyżowały z innymi długimi prostymi drogami, co wywoła huraganowe wiatry, które niczym w tunelu będą rozchodziły się bez przeszkód ani granic, zmiatając na swej drodze przechodniów, dachy i powozy. Twierdzę, drodzy panowie, że przy takim planie Barcelona zostanie wystawiona na pastwę żywiołów.

Wzruszony tą przemową pan Pedemonte podszedł, żeby uściśkać pana Recolons, ale ten zdołał usunąć się na czas, żeby nie

paść ofiarą rogów. I w tym momencie wszedł administrator, który był też akcjonariuszem dziennika, a ponadto właścicielem wielkich terenów na drodze do Gracia, i oznajmił głośno:

- Pan Cerdà, jako że tereny nie należą do niego, proponuje zbudowanie tylko połowy każdego bloku, pozostawiając drugą połowę na rozrywkę dla mas. Jakbyśmy już nie wiedzieli, że w tym mieście rozrywka dla mas kończy się na ogół zebraniem robotniczymi, próbami sabotażu, a nawet ciężami, których nikt nie przewidywał. To jasne, że z tego wszystkiego nie czerpie się żadnej publicznej korzyści.

Zrobił dramatyczną pauzę i w charakterze właściciela dodał:

- Natomiast gdyby bloki zostały zbudowane z czterech stron, czyli całkowicie, przyniosłoby to cztery korzyści. Po pierwsze, właściciel nieruchomości zyskałby podwójny, czyli znacznie rozsądniejszy zarobek. Po drugie, znalazłoby mieszkanie znacznie więcej rodzin i byłoby znacznie więcej wynajmów. Po trzecie, murarze mieliby dokładnie dwa razy więcej pracy i zarobków. I wreszcie cóż mam powiedzieć o lokalach na parterze tych bloków? Pan Cerdà, przyzwyczajony do madryckiego marnotrawstwa, proponuje, żeby pięćdziesiąt procent ziemi było publiczne, ignorując fakt, iż przy zabudowie całego bloku można by założyć na parterze magazyny włókiennicze, biura sprzedaży hurtowej i detalicznej, sklepy z perkalami i warsztaty przynoszące rozsądny dochód od kapitału.

I powiem więcej, panowie: można by pomyśleć o zbudowaniu podziemi pod domami, gdzie przechowywałoby się pojazdy poruszane parą, alkohol i inne nieznanne substancje. I te podziemne pomieszczenia mogłyby być sprzedawane publicznie przez samych właścicieli. Bo pomyślmy przez chwilę: w imię czego prywatne pojazdy mają zajmować ulice? Czyż ulice nie należą do

miasta? A tym samym czyż miasto, w uzasadnionej obronie własnych interesów, nie miałoby prawa do pobierania opłat za postoję i ruch uliczny?

Pan Pedemonte, rozentuzjasmowany, rozumiejąc, że to jest przyszłość, poruszył kilkakrotnie głową w pieszczotliwym ataku, chociaż na szczęście nie sięgnął nikogo nieostroznego. Redaktor naczelny polecił mi ponownie:

- Niech pan pisze.

Muszę dodać jeszcze kilka szczegółów, jako że ja to wszystko widziałem i przeżyłem.

Po pierwsze, skończył się pan Ponte bankier, choć w późniejszym czasie wskrzeszenie go miało się okazać dla mnie korzystne. Teraz byłem panem Temple, narodowości brytyjskiej i doktoryzowanym w Oksfordzie, chociaż dokumenty ukradłem pewnemu Anglikowi utopionemu w morzu, którego zwłoki nie do rozpoznania pojawiły się tydzień później na plaży. Pan Temple żył w separacji i jego była żona nigdy się nim nie zainteresowała.

Po drugie, miałem powody, żeby wiedzieć, iż pierwszym budynkiem, jaki został zbudowany na Ensanche, był Casa Gisbert, na rogu Puerta del Ángel i walącego się Plaza de Cataluña, który, nawiasem mówiąc, nie był przewidziany w planie Cerdy. Pierwszy kamień tego domu położyła Izabela II jesienią 1860 roku, kiedy odwiedziła miasto: za sprawą tego królewskiego gestu zostało zainaugurowane Ensanche. Wkrótce potem wzniesiono Casa Estruch, po drugiej stronie placu, jako drugi budynek poszerzanego miasta.

Chociaż lata pozwoliły mi poznać inne wersje: na przykład taką, że pierwszym budynkiem na Ensanche, poza murami, był

budynek przy Ronda de San Pablo 3, który ze swoją piękną kamienną fasadą stał tam do lat czterdziestych XX wieku. Pierwszym, który tu budował, był sam Cerdà jako dyrektor przedsiębiorstwa Fomento del Ensanche de Barcelona. Na skrzyżowaniu ulic Rogera de Llúria i Consejo de Ciento założono Plaza Cerdà, który nie przetrwał długo. Natomiast przetrwały place panów Triasa i Moliny.

Barcelona na ogół nie wykazuje się wdzięcznością, choć przeczą temu władze miejskie.

Ale wcześniej pojawiła się tajemnica, której nikomu nie wyjaśniłem.

Wcześniej był ktoś, kto zdał sobie z czegoś sprawę, pomimo że zachowywałem wszelkie środki ostrożności: zorientował się, że nigdy nie zmieniam wyglądu ani pozornego wieku. Że poruszam się po mieście pod różnymi nazwiskami. I że prowadzę niekontrolowane nocne życie, mające czasem związek z osobami, które znikają.

Dało to powody do myślenia, że poruszam się w mrocznych sferach.

I była to prawda.

Ktoś, kto o tym wszystkim wiedział, zaczął mnie szantażować. Ktoś zagroził mi, że może mnie poddać dochodzeniu i że wynikną z tego pewne sprawy, których nie rozumiał nawet ten ktoś. W Barcelonie - powiedział - jest zbyt wiele cieni pływających w kloace.

I ja do nich należałem.

Żeby nikt nie wtrącał się w moje życie, musiałem zrobić tylko dwie rzeczy. Najpierw dostarczyć fałszywe dokumenty pewnemu profesjonalście, który miał przybyć do miasta, żeby dokonać

zabójstwa. Następnie ukryć się w domu na niecały tydzień, dopóki ten nie wyjedzie z kraju. Było możliwe, że pogrzeb ofiary wstrząśnie opinią publiczną, ale ów wstrząs będzie krótkotrwały. W końcu ofiara nie była aż tak ważna.

Osobą, która miała umrzeć, był pewien inżynier drogowy, Il-defons Cerdà.

Miasto - powiedziano mi z pewnym namaszczeniem - wymagało eliminacji tego człowieka, gdyż siły kapitału były oburzone jego postępowaniem. Gdyby plan inżyniera Cerdy został przyjęty zamiast planu panów Moliny i Triasa, tereny na drodze do Gracia osiągnęłyby ogromną wartość, a te ciągnące się ku zachodowi - bardzo małą. A tutaj była już mowa o wielkich interesach. Ale nawet przyjmując, że zostanie przyjęty plan pana Cerdy, cóż oznaczała zabudowa tylko jednej połowy bloków? W tym mieście - mówił mój rozmówca - można bawić się wszystkim, nawet majątkiem, ale nie można się bawić wartością terenów.

Krótko mówiąc, jeżeli pan Cerdà by umarł, skończyłyby się wszystkie problemy.

Lata miały mnie nauczyć później - może niewiele później - że istnieją zbrodnie, które nigdy nie zostają wyjaśnione. Dotąd nie wiadomo, kto stał za zabójstwem generała Prima*, * Joan Prim i Prats (1814—1870) - hiszpański wojskowy i postępowy polityk, premier w latach 1869-1870. Został śmiertelnie postrzelony w drodze z Kongresu. Sprawców ani inspiratorów zamachów nigdy nie odnaleziono. kto stał za laskami dynamitu włożonymi do strzelby myśliwskiej generała Franco, kto uknuł spisek przeciw Kennedy'emu. Rzeczywiście tego wszystkiego miały mnie nauczyć lata, ale istnieją prawdy, których nie trzeba się uczyć. Była to

zbrodnia polityczna i nic więcej, zbrodnia polityczna, umotywowana wyłącznie pieniędzmi.

Moim rozmówcą był pośrednik, który miał zarobić na tej śmierci fortunę: oczywiście nie powiedział mi, kto za tym stoi, ale bardzo łatwo było to odgadnąć. Stali za tym wielcy właściciele, spekulanci terenami, ci, co zmieniają oblicze miast za pomocą książeczeki czekowej i uśmiechu.

Nie pozostawało mi nic innego, jak się zgodzić, i to nie tylko dlatego, że szantaż był poważny. Nie pozostawało mi nic innego, bo nie rozmawiałem z pośrednikiem, lecz z pośredniczką, a kobiety, kiedy grożą, są znacznie bardziej niebezpieczne i wyrafinowane od mężczyzn.

Poza tym była ona kochanką pewnego bankiera.

Nazywała się Serena.

Była najpiękniejszą ze wszystkich utrzymanek w mieście, najsprytniejszą, najambitniejszą. Żeby zasłużyć sobie na szacunek, prowadziła w swoim domu przy ulicy Canuda salon literacki. Znała kastylijski, kataloński i francuski; z równą łatwością recytowała stare wiersze François Villona, co jakieś sentencje Rabelais'go, jakieś cytaty z Ramona Llulla* * Raimundo Lullo (Ramón Llull, 1235-1315) - teolog mistyczny i alchemik hiszpański. czy jakieś słowa Arcipreste de Hita**. ** Juan Ruiz, Arcipreste de Hita (ok. 1283 - ok. 1351) - duchowny i poeta hiszpański, autor *Księgi dobrej miłości*. Umiała połączyć to wszystko z bardzo głębokimi dekolami i godnymi podziwu nogami, które zawsze starała się wyeksponować bez względu na długość spódnicy.

Utrzymanki są na ogół zawsze sprytniejsze niż typki, które je utrzymują.

Dowiedziałem się, że miała zarobić dużo pieniędzy za swoją pracę, polegającą jedynie na zapewnieniu pomocy mordercy, a ponadto przechowywała fortunę, którą miano zapłacić wykonawcy zlecenia. Jedynym, który nic na tym nie zarabiał, byłem ja.

No cóż, zachowywałem spokój i unikałem tego, że odkryje mnie Ten Drugi. Nie widziałem go od wielu lat. Bez wątplenia przebywał za granicą, ale nadal istniał, nadal istniał. Ten Drugi był jedyną istotą zdolną mnie wykończyć.

Toteż się zgodziłem.

Ale mijały miesiące, a morderca nie przyjeżdżał. Serena już więcej ze mną nie rozmawiała, może dlatego, że stawała się coraz bardziej wpływowa i bogata. Ale oboje dzieliliśmy sekret, który mógł nas zniszczyć, zatem poszedłem się z nią zobaczyć.

Chociaż pracowałem jako redaktor w „Diario de Barcelona”, nie wiedziałem dotąd wielu rzeczy o tej kobiecie, a nie wiedziałem dlatego, że autentyczne pieniądze są dyskretne, stanowią wartość, która nie wymaga słów. Wiedziałem tylko, że Serena zerwała z bankierem, swoim protektorem, i że teraz nie jest już niczyją kochanką. Nadal wydawała przyjęcia w swoich salonach, lecz interesy prowadziła sama.

Jakimi pieniędzmi?

I co będzie ze mną i z pracą, którą mi zleciła? Jak miało zostać zawieszona to, o czym oboje wiedzieliśmy?

Zapytałem ją o to.

W odpowiedzi wybuchnęła śmiechem.

- Proszę się nie martwić - rzekła. - To nie był żart.

- A więc co?

- Nie wiem dokładnie, kim pan jest, ale napawa mnie pan pewną obawą. My, kobiety, zawsze czujemy pewną obawę wobec

mężczyzn, których nie możemy zdobyć. O ile, rzecz jasna, jest pan mężczyzną...

Wzdrygnąłem się.

Była znacznie sprytniejsza, niż na to wyglądała.

- Proszę zapomnieć, że kiedyś pana odwiedziłam - powiedziała Serena, znowu się uśmiechając - a zwłaszcza proszę zapomnieć o naszej rozmowie. Jak pan widzi, Cerdà nadal żyje i zapewniam pana, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Wszystko to, co panu mówiłam, nie ma już najmniejszego znaczenia.

- Ale wtedy je miało - szepnąłem.

- Jasne, że miało. Plan tego parweniusza miał być przyjęty i stanowił autentyczne niebezpieczeństwo dla interesów miasta.

- Dla interesów niektórych właścicieli - skonkretyzowałem.

- Oczywiście... Ale czy jest coś bardziej usprawiedliwionego niż interesy? Co jest słuszniejsze? Sztandary? Wielu właścicieli się przestraszyło, bo gdyby wcielono w życie plan Cerdy, ich działki stałyby się znacznie mniej warte, niż się spodziewali. I, jak może pan sobie wyobrazić, niektórzy z nich już zaciągnęli kredyty z myślą o nowej zabudowie.

- Prowadzę interesy od zbyt wielu lat - mruknąłem. - Tak... Może od zbyt wielu lat.

- Więc rozumie pan, że pewna grupa osób się przestraszyła - uściśliła. - Wśród nich ten dystyngowany dżentelmen, który dzielił swoje względy pomiędzy mnie i żonę. A tak nawiasem: nie może pan sobie nawet wyobrazić, jaki był nudny w łóżku i jaką fantazją musiałam się wykazywać, żeby coś z niego wykrzesać. To ja mu powiedziałam, że wyeliminuję ten problem i poczynię wszystkie niezbędne kroki, żeby mógł zachować dobre imię. Że zajmę się wszystkim. Ale to oznaczało złożenie w moje ręce pokaznej

sumy. Albo trzech pokaźnych sum: tej, którą miałam zapłacić panu (choć nie zamierzałam nic panu zapłacić), tej, którą ja sama miałam zarobić za pośrednictwo, i tej, którą miałam wręczyć zabójcy. A propos, kiedy tak długo z panem nie rozmawiałam, pomyślałam, że jedno pewnie pan odgadł.

- Co?

- Że zabójca nie istnieje.

Pomimo mojego doświadczenia dosłownie mnie zatkało. Pierwszy raz jakaś kobieta dawała mi lekcję.

- Ale w takim razie... - szepnąłem.

- W takim razie, w takim razie... W gruncie rzeczy to bardzo proste i dziwię się, że nie zrozumiał pan tego wcześniej. Mój drogi przyjacielu, może trzeba znieść na sobie wielu mężczyzn, żeby zrozumieć, ile są warte pieniądze, aja zniosłam kilku. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że w realizacji planu Cerdy wezmą górę pieniądze i ostatecznie działki zostaną intensywnie zabudowane. Jak zresztą się stało. I ten nudziarz, który to wszystko finansuje, w końcu na tym zarobił. Ale nigdy nie zwróciłam mu sum, które mi wręczył. Ulokowałam je.

- Gdzie?

- W przedsiębiorstwie promocyjnym, które założył sam pan Cerdà - powiedziała.

I nagrodziła mnie następnym czarującym uśmiechem.

- Drogi przyjacielu, najlepszą rzeczą w tym mieście jest to - dodała - że tutaj, by robić interesy, nie trzeba nikogo zabijać.

31.

Przykro mi z powodu zmarłego

Zwłoki leżały w kostnicy i nawet nie przykryto ich prześciera-
dłem. Lekarka sądowa, która, o dziwo, była młoda, piękna i pełna
życia, spojrzała na nie z uwagą. Widniały na tym ciele znaki, któ-
rych w żaden sposób nie mogła zrozumieć, choć miała nadzieję,
że zrozumie po autopsji.

Ojciec zmarłego też stał przy zwłokach, podtrzymywany przez
dwóch pielęgniarzy. Nogi się pod nim uginały. Nie tylko był stary:
widok trupa całkowicie go załamał; nie dowierzał już nawet wła-
snym wspomnieniom, własnym słowom czy rozumowi, który na-
gle pokrył się mgłą. Dlatego przyszedł ze swoim adwokatem na
wypadek, gdyby mu miano zadawać jakieś pytania.

Tym adwokatem był Marcos Solana.

Z przymkniętymi oczami przypominał sobie noc, kiedy w tym
samym miejscu stał przy zwłokach Guillermita Clavé, w których,
zdawało się, nie pozostała ani jedna kropla krwi. Ale teraz, mimo
krótkiego czasu, jaki upłynął, wszystko wydawało się inne. W
Szpitalu Klinicznym prowadzono remont, zostawało coraz mniej
zakątków z ciemnego kamienia i ze ścian zniknęły stare fotografie
nieżyjących już lekarzy.

Młoda lekarka szepnęła:

- Nie rozumiem tych znaków na skórze, które z pewnością mają jakieś znaczenie. Wygląda to na jakiś rytuał. Proszę wybaczyć, ale czy wiedział pan, że pański syn miał za życia ten rodzaj tatuaży? I czy kazał je wykonać z jakiegoś szczególnego powodu?

- To nie są tatuaże - odpowiedział Solana zamiast swojego klienta - i z całą pewnością te znaki powstały po śmierci.

Młoda lekarka spojrzała na niego lodowato.

- Pytałam ojca ofiary.

- Przepraszam - szepnął Solana.

- Nie - rzekł starzec, póki jeszcze nie stracił przytomności. - Mój syn nie miał na ciele żadnych znaków.

I to właśnie przypomniał sobie Marcos Solana w swoim gabinecie, stojąc przed oknami, przez które można było dostrzec starą część miasta. To kazało mu spytać Martę Vives:

- Czy wierzysz w wieczność, Marto?

- Wieczność może być w bibliotekach - powiedziała - bo zawsze będzie ktoś, kto je odwiedza i wydobywa z zapomnienia jakieś nazwisko. Ale biblioteki nie będą wieczne, i ludzie też nie. Ale może wieczność jest w naszych genach, które przekazujemy z pokolenia na pokolenie i które tworzą istotę naszego życia. Tak, może to geny są wiecznością: jeżeli pewnego dnia my, istoty ludzkie, znikniemy, z naszych genów powstanie coś nowego, ale będą one nadal żywe.

- Bez pamięci przeszłości...

- Bez pamięci przeszłości - powtórzyła Marta.

- Może dlatego opieramy wieczność na Bogu, który ma pamięć. Czy wierzysz w Boga, Marto?

- Gdyby niczego nie było po śmierci, całe bogactwo życia wydawałoby mi się groteskowe. To może być jakiś powód.

- A w Szatana? Wierzysz w Szatana?

Od strony morza miasto zaczynało ciemnieć. Ze wschodu nadciągała burza, która wkrótce miała rozświetlić pobliskie wieże katedry, wypełnić błyskami Vía Layetana i sprawić, żeby na wąskich ulicach słychać było tylko szum kropel deszczu.

Marty Vives nie zdziwiło to pytanie.

Wyglądało to tak, jakby od dawna o tym myślała.

- W świętych księgach dużo się mówi o Bogu, ale nie wyjaśnia się, kim jest - szepnęła - a jeszcze mniej się mówi o tym, kim jest Szatan, o którym wspomina się bardzo marginesowo i przypisuje mu się różne osobowości. Biblia nie mówi, że Szatan zbuntował się przeciw Bogu: mówi tylko, że tego próbował. Jeżeli mówi się, że Bóg jest wszędzie, Szatan też powinien być wszędzie, ale nie potrafię poprowadzić dalej tego wywodu. Wierzę natomiast, że Szatan jest bardziej ludzki niż Bóg.

A potem szepnęła:

- Dlaczego o to pytasz?

- Jeden z moich klientów stracił syna. Zamordowano go, co plasuje ten fakt w piętnastu gazetowych liniijkach; w wielkich miastach zabójstwa zdarzają się niemal codziennie. Ale tym razem były na ciele dziwne znaki: wszystko wskazywało na jakiś rytuał.

- Satanistyczny?

- To właśnie chciałbym wiedzieć, chociaż zadaję sobie też pytanie, dlaczego nazywamy satanistycznym wszystko to, co jest dziwne. Może musimy personifikować Zło. Gdyby był tu teraz ojciec Olavide, spytałbym go o to.

- On nigdy się nie chwali, ale jest profesorem wielu uniwersytetów.

- Bo mieszkał w wielu miejscach. Ale po tym, co dziś widziałem,

nie wiem, co myśleć: na zwłokach były wykute rylcem jakieś cyfry. Wyglądało to na coś w rodzaju kabały. Trudno mi uwierzyć, że w tym wieku wszechobecnego postępu i materializmu funkcjonują dotąd wierzenia pochodzące z otchłani czasu. A może mimo wszystko to jest logiczne: im bardziej posuwa się technika i materializm, tym lepiej zdajemy sobie sprawę z tego, że istnieje coś, co pozostawiliśmy za sobą, ponieważ tego nie rozumieliśmy. Że zostawiliśmy za sobą sprawy, których nie widzieliśmy, ale które nas piętnują. To znaczy, że istnieje otchłań czasu.

Dostrzegł w jej oczach błysk inteligencji. Marta interesowała się również tym, tak jak archeologią, urbanistyką, historią, prawem... Marta Vives - pomyślał gorzko adwokat - nie jest taka jak jego żona, którą interesowały tylko pieniądze, luksus i repertuar Liceo. Przy jej boku Marcos Solana zdawał sobie sprawę, że jego egzystencja była dotąd zupełnie bezużyteczna, że opierała się tylko na „winien” i „ma”, natomiast przy Marcie wydawało mu się, że życie ponownie nabiera sensu.

Nie tylko ze względu na nogi Marty. Na jej usta, wiotkie i twarde ciało, które ukrywała pod tanim ubraniem.

Kochał w Marcie ciekawość świata, pragnienie zrozumienia wszystkiego, ten rodzaj pełni, którą potrafił dostrzec nawet w mruganiu jej powiek.

32.

Kat Barcelony

Oczywiście musiałem porzucić „El Brusi”, gdzie zyskałem pewną sławę, i pogрузić się w innym świecie, który do tego czasu nie był moim. Myślałem nawet o zmianie miejsca, wyjeździe do innego wielkiego miasta, gdzie mnie nikt nie zna, na przykład do Madrytu, ale Barcelona była moim miastem i czułem się z nią związany siłą własnych sekretów. Chociaż twarz mnie zdradzała, pomyślałem, że jeśli zmienię całkowicie otoczenie, zdołam poruszać się niezauważony i nikt nie będzie mnie szukał. Dlatego też z ulicy Fernando, gdzie obracałem się wśród burżuazji, przenieśliem się na Brecha de San Pablo, gdzie miałem żyć wśród pariasów.

W rzeczywistości wystarczyło przekroczyć Ramblas i zagłębić się wśród ulic Raval, które tak dobrze znałem, gdyż fizyczna odległość między jednym a drugim światem była minimalna. Ale po tej przeprowadzce wydawało mi się, że przenieśliem się na inną planetę.

Ensanche rozrastało się, aby przyjąć wszystkich barcelończyków, którzy do tej pory żyli u stóp murów. O ile w 1818 roku, po „wojnie z Francuzem”*, * Potoczna nazwa wojny o niepodległość w latach 1808-1814. Barcelona miała tylko osiemdziesiąt trzy tysiące mieszkańców,

to już w 1821, dzięki pokojowi i zamożności, było ich sto czterdzieści tysięcy, a sto osiemdziesiąt siedem tysięcy w 1850. W 1719 roku, po zajęciu miasta przez Filipa V, obwód murów wynosił sześć tysięcy pięćdziesiąt jeden metrów, a w ich obrębie musiało się pomieścić ośmiuset sześćdziesięciu mieszkańców na hektar, co znaczy, że każda osoba miała do dyspozycji tylko niespełna jedenaście i pół metra kwadratowego, czwartą część przestrzeni niezbędnej do względnie godnego życia. Wskaźnik śmiertelności był wyższy niż w Paryżu, a nawet niż w nędznym Londynie tej epoki, a długość życia, na którą mogli mieć nadzieję barcelończycy, ustalono na trzydzieści sześć lat dla zamożnego mieszkańca i na dwadzieścia trzy dla robotnika dniówkowego.

Kiedy o tym myślę, wciąż mi się wydaje, że to nie może być prawdą. Ale ja doświadczyłem tego na własnej skórze.

Gęstość zaludnienia, która osiągała wielkości właściwe dla najgorszych miast azjatyckich, była spowodowana nie tylko niewielką przestrzenią Barcelony, ale też jej wykorzystaniem. W obrębie murów było czterdzieści klasztorów, dwadzieścia siedem kościołów i drugie tyle gmachów publicznych, jedenaście szpitali i domów dobroczynności i siedem koszar. Ponieważ nie pozostawało już nawet minimum przestrzeni do budowy dalszych mieszkań, miasto wymyśliło sposób budowania nad miejscami pustymi. Kiedy zostały już zajęte dziedzińce i ogrody przy domach, kiedy mieszkania nie mogły już być ciaśniejsze, zaczęto wznosić łuki ponad ulicami, żeby zabudowywać przestrzeń nad nimi. Niektóre barcelońskie ulice przekształciły się w tunele.

Dlatego nie ma w tym nic dziwnego, że zmieniając po prostu dzielnicę, wszedłem w inny świat, gdzie nikt nie miał mnie rozpoznać.

Ponadto nie były tam potrzebne żadne dokumenty: wystarczyło jakiekolwiek imię, jakiekolwiek przezwisko.

Moim schronieniem był chwilowo Bar del Centro.

Bar del Centro był, wedle słów pewnego historyka, „ostatnim bastionem smutnej i zgorzkniałej barcelońskiej bohemy”. Co ciekawe, mieścił się w pobliżu miejsca, z którego uciekałem, ale - jeszcze raz podkreślam - był innym światem. Oba miasta rozdzielała rzeka nędzy, tajemnicy, nieufności i niebezpieczeństwa.

Lokal był usytuowany na Rambla del Centro pod numerem dwunastym, między ulicami Unión i San Pablo, niemal obok wejścia, przez które artyści wchodzili na scenę Liceo. Może dlatego całe wnętrze tchnęło wściekle literacką i beztroską atmosferą; wyobrażam sobie, że z tego powodu nikt nie zawracał sobie głowy komfortem.

Drewniane stoliki i krzesła były kulawe; marmury i lustra szczyły się brudem; butelki na półkach pokrywał kurz. Za ladą była pakamera o niewielkich rozmiarach, gdzie stał stół do gry. Stół ten, przez który przewijały się niewielkie fortuny, nazywano *la pastera**.* *Pasta* - kolokwialnie pieniądze; *pastera* - „pieniądźnia”.

Właściciel nazywał się Esteve.

Szalał na punkcie kobiet.

Ja nie.

Ale zaprzyjaźniliśmy się.

Ja znałem doskonale tę dzielnicę, która w istocie była moim królestwem. Ale od czasów maskary wiele się tam zmieniło. Nie wiem, czy na lepsze.

Było to w dalszym ciągu przeludnione miejsce, gdzie normy pana Cerdy i jego Ensanche nie miały być nigdy zastosowane. Obfitowały tu nędzne knajpy, pokoje jak cele i tanie lupanary jak w odległych czasach mojej matki. Z biegiem lat pojawiły się takie, które reklamowały swoje specjalności. Jeden z nich nazywał się „Obciążarnia”.

Wraz z rozwojem przemysłu i pojawieniem się proletariatu rozmnożyły się miejsca pełne wszy weteranów, gnijących materacy i dobrze urodzonych szczurów zaszczepionych przeciw ukąszeniom ludzi. Nie wydawało się, by w tym miejscu, do którego wróciłem po tylu latach, istniała jakakolwiek nadzieja.

Niektóre rzeczy zmieniły się na gorsze w epoce mojego powrotu. Na przykład teraz było tu więzienie, które wtedy wydało mi się wieczne, ale w 1936 roku zostało zniszczone przez barcelońskich rewolucjonistów. Obok Brecha de San Pablo, na Patio de los Cordeleros, czyli Dziedzińcu Powroźników, spotykała się najbardziej akredytowana nędza Europy.

Olbrzymie więzienie zdawało się zamykać wszystkie ulice. Zawsze się na nie wychodziło.

Widziałem wiele publicznych egzekucji, wśród nich własnej matki, ale tam, na Patio de los Cordeleros, widziano ostatnie. Z tego powodu miejsce zyskało sławę na pół fascynującą, na pół złowrogą. Kiedy kat wykonywał swoje zadanie, ludzie przybywali ze wszystkich zakątków miasta. Było to centrum śmierci.

Rodzice zabierali tam dzieci, żeby się uczyły, czym jest życie, i nieraz widziałem, jak przy szafocie wymierzano dziecku policzek, by nie zapomniało nigdy, dokąd prowadzi zbrodnia. Niektóre wrażliwe osoby mdlały, ale inne odczuwały rodzaj erotycznego szaleństwa i popadały w ekstazę. Pomimo wczesnej pory stojące w pobliżu domy kobiet zapełniały się klientami.

W owym miejscu, o którym później Barcelona miała zapomnieć i gdzie teraz jest nagi plac (w jego sąsiedztwie stały publiczne łaźnie i odbywały się tanie potańcówki, z których dziewczęta wychodziły już w szóstym miesiącu ciąży), rozgrywały się potworne sceny. W pobliskich barach ktoś opowiadał o zbiorowej egzekucji wykonanej publicznie na sprawcach pewnej zbrodni popełnionej w Vilafranca del Panades. Kilku wieśniaków, wśród nich jedna kobieta, zabiło księdza, żeby go okraść. Mężczyźni skazani na śmierć zostali przewiezieni do Barcelony, na Patio de los Cordeleros, skąd poszli na pobliski szafot, żeby spokojnie tam umrzeć. Ale kobietę, przerażoną i grubą analfaberkę, musiano dosłownie wlec do garoty, podczas gdy krzyczała: „Nie zabijajcie mnie! Nie zabijajcie mnie!” I, jak powiadali świadkowie, nie zamilkła do ostatniej chwili. Czasami - jak zapewniali znawcy - z ust skazanych wytryskiwała krew. Potem ludzie szli na śniadanie, tawerny się zapełniały, ukośne światło nowego dnia ślizgało się po ulicach i wpadało w oczy kobiet, jakby było jednym z ich sekretów.

Było to miejsce przepelnione wiecznością, które ponadto stało na linii ostatnich murów; nie trzeba dodawać, że była to okolica, która mnie odpychała, a którą równocześnie kochałem. Za więzieniem były proletariackie ulice, stały domy mieszkalne z jednym ustępem na schodach, warsztaty, gdzie się dusili robotnicy, i kawiarnie, w których od lat wylęgały się wszystkie rewolucje Barcelony. Od czasu do czasu na ulice te wpadała kawaleria, mieszkańcy strzelali z dachów do wojska, działa grzmiały na rogach, a na drugi dzień usuwano trupy robotników i kilka kobiet bez wieku ubierało się na czarno.

Ale, tak jak przed wiekami, było to też miejsce hulanek, to znaczy sekretnych łez przesłanianych wybuchami śmiechu. Stały

tam nadal jarmarczne baraki, stragany ze starymi książkami, kawiarnie, w których odbywały się potańcówki, i mieszkania, gdzie wynajmowano pokoje parom. Na chodnikach biło szczere, gorące i lepkie życie. Najtańsza działalność seksualna Barcelony założyła tam również swój świat snów i miazmatów. Jediną nowością w stosunku do dawnych czasów były bary, gdzie anarchiści śnili o rewolucji i przygotowywali zamachy. W jednym z takich barów, bardzo blisko miejsca, gdzie mieszkałem, anarchiści wytwarzali bomby. Paradoksalnie bar nazywał się „Tranquilidad”, czyli „Spokój”.

Prawie nie potrzebowałem pieniędzy na życie: prawie nie jałdłem, chociaż od czasu do czasu włóczędzy śpiący na ulicach dostarczali mi wbrew swojej woli niezbędnych porcji krwi. Jednak znosiłem inne ograniczenia, które znaczyły moją egzystencję: nie mogłem współżyć z motłochem, nie mogłem znieść bezpośredniego światła, nie cierpiałem brutalnej ignorancji. Dlatego też, ponieważ postanowiłem ukryć się w tej dzielnicy na kilka lat, musiałem znaleźć sobie coś innego. I znalazłem to w dniu, kiedy poznałem Nicomedesa Méndeza.

Nicomedes Méndez był katem Barcelony.

Jak wszyscy kaci miał złowieszczą sławę. Ponadto udoskonalił garotę.

Ale Méndez, jakby pragnął żyć z dala od środowiska i tak, żeby nikt go nie rozpoznawał, mieszkał daleko, w pięknej wówczas dzielnicy Salud, z ogródkami i odosobnionymi domkami, których właściciele hodowali króliki i rozmawiali nie o swoich żonach, lecz o instynkcie łowieckim swoich psów. Dotarcie do Brecha de San Pablo, gdzie ja mieszkałem, oznaczało dla kata przejazd przez całe miasto, ale do jego obowiązków należało odwiedzanie

więzienia, zwłaszcza gdy musiał rzucić okiem na jakiegoś skazańca. „Zabijanie jest trudniejsze, niż to się wydaje - mawiał. - To sztuka”.

Kiedy robił swoje robocze obchody, nikt nie zwracał na niego uwagi. Kat Barcelony był niski, o kruchym wyglądzie. Kiedy wchodził do jakiejś kawiarni, brano go za miłego rentiera. W rzeczywistości nie rozpoznawano go dlatego, że podczas egzekucji miał na głowie kapelusz, a ponadto widać go było tylko z daleka.

Siedziałem wieczorem w pewnej kawiarni przy Ronda de San Pablo, rozmawiając o dawnych egzekucjach; niektóre były tak delikatne jak wyrywanie obcęgami kolejnych członków skazanego. Wtedy podszedł kat i spytał, czy może się przysiąść. Wydawał się urzeczony tym, co właśnie usłyszał. Nicomedes Méndez patrzył mi w oczy i dosłownie spijał moje słowa.

Domyślił się, że jest coś szczególnego w moim sposobie opowiadania o tych okropieństwach.

- Brzmi to tak, jakby pan to wszystko oglądał - powiedział nagle.

- Oczywiście, że nie! - zawołałem, zdając sobie sprawę, że popełniłem błąd. - Jak pan rozumie, mój wiek nie pozwala na to, żebym osobiście to przeżył.

- No, jasne, jasne... Nie może mieć pan więcej niż czterdzieści lat... Ale opowiada pan z takim realizmem, że sprawia wrażenie naocznego świadka.

- Proszę nie zwracać uwagi. To historie, o których czytałem, bo z pewnością jestem szcurem bibliotecznym, który gromadzi doświadczenia wielu ludzi.

- Więc proszę mnie oświecić, bo nie pamiętam, żeby istniały książki na ten temat, przynajmniej w tym mieście.

- Może mam coś w jakimś dawnym wydaniu. Czy ten temat pana interesuje?

- W pewien sposób tak, choć tylko z powodów... zawodowych. Staram się dobrze wykonywać swoją pracę, choć ludzie sobie tego nie wyobrażają. Czym się pan zajmuje?

- Chwilowo niczym. Mam niewielkie oszczędności i dzięki nim jakoś żyję.

- Czy szuka pan zajęcia?

- Nie wiem, co powiedzieć... Chciałbym pracować, ale raczej nocami.

Jego oczy dziwnie zaślniły. Nigdy ich nie zapomnę. Na mojej dłoni położył swoją, która chciała być uprzejma, lecz wydała mi się zimna i sękata, i nie przestając patrzeć mi w oczy, powiedział wprost:

- Jestem katem Barcelony. Czy chce pan mi pomóc w wykonaniu egzekucji na pewnym człowieku?

Spojrzałem nań ze zdziwieniem. Zobaczyłem, o ile już wcześniej tego nie dostrzegłem, że jest człowiekiem o kruchym wyglądzie i delikatnym sposobie bycia, dobrze wychowanym, ale z wielką siłą w dłoniach i o dziwnym blasku w oczach. W jego obecności czułem się niezręcznie pomimo mojego doświadczenia w sprawach śmierci, doświadczenia znacznie większego niż jego, znacznie większego niż jakiegokolwiek żywej istoty. Ale jednocześnie było w tym człowieku coś, co nieodparcie przyciągało, co mnie niemal fascynowało.

Kat wyszeptał:

- Nie lubię zwracać na siebie uwagi ani być rozpoznawanym i dlatego rzadko odwiedzam bary. Do więzienia też wchodzę w możliwie najdyskretniejszy sposób, gdyż wieść o obecności kata szybko się niesie i przepelnia skazanych przerażeniem. Nawet

strażnicy nie lubią, kiedy tam przybywam. Ale takie mam obowiązki i wypełniam je skrupulatnie, unikając zadawania zbędnych cierpień.

- Wiem - odrzekłem. - Dawniej pracowałem w pewnej... No cóż, chciałem powiedzieć, że mam wielu przyjaciół w redakcjach gazet i że opowiadali mi oni o kacie Barcelony.

- Muszę jeszcze panu powiedzieć, żeby docenił pan zajęcie, jakie proponuję, ponieważ jestem człowiekiem, któremu w Hiszpanii żyje się najlepiej.

- Nie żartuje pan?

- Ależ skąd! Pomocnictwo, jakie panu oferuję, to gratka, a moje stałe zajęcie to półtorej gratki. We Francji w dowód szacunku nazywa się kata „wykonawcą wyższych dzieł”. Co miesiąc pobieram uposażenie i nie mam absolutnie nic do roboty. Od czasu do czasu muszę pójść do więzienia, bo poczucie obowiązku wymaga ode mnie, bym obejrzał skazańców. Każdy człowiek, zależnie od rozmiaru szyi, wymaga innej śmierci, śmierci na miarę, że tak powiem, a moim obowiązkiem urzędnika jest mu ją zapewnić... Wymyśliłem nowy system obręczy, który sprawia, że garota jest znacznie bardziej skuteczna, szybka i wygodna.

- Wygodna?

- Tak, zaraz to wyjaśnię. Wszystko wynika z tego, że jestem katem, który przejmuję się innymi i dba, żeby śmierć na garocie nie trwała ani chwili dłużej, niżli to konieczne. Nie każdy potrafi to osiągnąć, bo jeśli źle się umieści obręcz, skazaniec dusi się bardzo powoli. Na szafotach Barcelony zdarzały się błędy nie do opisania.

I poklepując mnie uprzejmie, dodał:

- Niech pan tylko pomyśli: wszyscy skazani, którym do tej pory

brałem na oko miarę, zostali w ostatniej minucie ulaskawieni, toteż wbrew mojej złowrogiej sławie nie zabiłem dotąd żadnego z nich. Mamy rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty drugi i w Barcelonie nie wykonano żadnego wyroku śmierci od tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego. A zatem, jak pan widzi, spokój i cisza dla ducha. Ponieważ jeden człowiek nie może wykonać egzekucji z niezbędną szybkością, dawniej miałem pomocnika, ale umarł na apopleksję, gdyż był za gruby.

- A teraz... - szepnąłem - potrzebuje pan następnego.

- Tak - odpowiedział kat - bo, jak się wydaje, po tak długim wypoczynku zbliża się wielka epoka obywatelskiej normalności. Odbywa się szereg procesów, które tylko patrzeć, jak... Będzie praca na szafocie i potrzebuję kogoś, kto ma na tyle silne poczucie odpowiedzialności, że nie zawaha się w decydującej chwili. Wyznam, że jest w panu coś, co zwróciło moją uwagę i co streszczę takim bezsensownym zdaniem: wydaje mi się, że jest pan poza śmiercią. Nie mogę powiedzieć, czy to pańska karnacja, tak biała, czy też niepokojące światło w oczach. Chociaż powiedziałbym, że raczej pana uśmiech... Proszę się nie obrażać, mój przyjacielu, ale ma pan w sobie coś, co mrozi krew w żyłach.

Nie obraziłem się.

Wiedziałem, że ludzie to dostrzegają.

- Będziemy musieli dopełnić kilku drobnych formalności - powiedział Nicomedes Méndez - bo w dużej części zależy to od Ministerstwa Łaski i Sprawiedliwości. Przede wszystkim jak się pan nazywa?

- Blay - powiedziałem, wymawiając pierwsze nazwisko, jakie mi przyszło do głowy.

- Czy ma pan papiery?

- Obawiam się, że nie. Wie pan z pewnością, że ludzie, którzy

się zbierają w takich kawiarniach, nie przykładają wagi do papierów.

- To prawda: tylko bogaci wyrabiają sobie dokument tożsamości, za który trzeba płacić. To jest tak, jakby się płaciło podatki... Ale proszę się nie martwić. Ja jestem czymś w rodzaju „wybitnego urzędnika” i mogę w razie konieczności za pana odpowiadać. Sądzę, że zaciekawi pana, na kim mamy przeprowadzić egzekucję, bo wyrok jest już zatwierdzony.

- Domyślam się, że chodzi o Isidra Momparta - odrzekłem. - Czytam gazety i słucham, o czym mówią ludzie w kawiarniach.

- Rzeczywiście - szepnął kat, zamykając oczy. - Jego nie ulla skawią, więc będę musiał go zabić. Niedawno skończył dwadzieścia dwa lata, ale ma zły charakter, bardzo zły charakter, i nigdy się nie zmieni. Ludzie myślą: martwy człowiek - martwe zło. Z pewnością pan wie, co zrobił Mompart.

Przytaknąłem.

- Zgwałcił i zabił bezbronną kobietę - oznajmił kat, choć jego wyjaśnienie wcale nie było mi potrzebne - co już samo w sobie sprawia, że zasłużył na garotę. Ale Momparta skazano nie tylko dlatego. Skazano go również za to, że obrabował pewną fabrykę przy drodze do Mataró i przy okazji zamordował pięcioletnie dziecko oraz dziewczynkę, która się nim opiekowała. Już od początku procesu widziałem to jasno: został odizolowany i na drzwiach jego celi wypisano złowieszcze litery PFM, które oznaczają *Petición Fiscal Muerte* - Prokurator żąda śmierci. Mompart spaceruje sam na dziedzińcu i nie wolno mu z nikim rozmawiać. Podczas jednego spaceru obejrzałem go sobie, powiedzmy, że z zawodowego instynktu.

- Jest pan zakochany w swoim zawodzie - powiedziałem bez najmniejszego zamiaru pochwały.

- Nie, nie zakochany, staram się tylko dobrze go wykonywać. Człowieka można stracić, ale nie ma potrzeby go maltretować. Czy już panu mówiłem, że wymyśliłem system, dzięki któremu garota działa szybciej?

- Mówił pan, ale chyba nie znam tej metody.

- Jest bardzo prosta. Garota składa się z pionowego słupa, dość grubego, bo musi znieść duży nacisk, i krzesła, jakiegokolwiek krzesła, które czasami przynosi się z więziennej golarni. A czasami nawet z kaplicy, co mnie wydaje się świństwem. Do tego słupa umocowuje się od tyłu „aparat”, dokładnie na wysokości kręgów szyjnych skazańca: to nie żarty, mój przyjacielu, bo ułożenie tych kręgów jest bardzo ważne. A na czym polega działanie „aparatu”? No, na czym polega? - Nicomedes Méndez podniósł palec jak nauczyciel podczas lekcji. - A więc podstawą jest przednia obręcz, która zaciska się wokół szyi kandydata na nieboszczyka. Obręcz ta zamocowana jest do prowadnic, które ciągną ją do tyłu, sprawiając, że zaciska się ona na szyi. A jak ją ciągną do tyłu? Otóż za pośrednictwem ślimacznicy, działającej bardzo szybko, umieszczonej za słupem tak, że skazaniec jej nie widzi. A kat wprawia ją w ruch, wykonując obroty wielkim kołem, bo gdyby koło było małe, tortura trwałaby niezmiernie długo. Ale dlaczego mówię o obrotach w liczbie mnogiej? W rzeczywistości wystarcza jeden niepełny obrót, a czasami nawet ćwierć obrotu, zależnie od kunsztu kata. Ale chodzi o to, że są kaci, którzy nie mają kunsztu.

Udałem zdziwienie.

Widziałem zbyt wielu katów bez kunsztu.

- Doprawdy?

- Z całą pewnością: nie mają kunsztu. Bo obręcz przyciska szyję skazańca do słupa znajdującego się z tyłu. I cóż się dzieje?

To, że go dusi. Ładny mi sposób na umieranie. Po to musiano wymyślać coś, co byłoby lepsze od szubienicy? Nie, drogi przyjacielu. Dlatego wymyśliłem połączony z „aparatem” tylny element, który musi dobrze pasować do karku skazańca w taki sposób, że obwód przyciska szyję nie do słupa, lecz do tego elementu, który w mgnieniu oka łamie kręgi. Ból, który się czuje, musi być kwestią dziesiątych części sekundy, jak sądzę. Ale pozostaje jeszcze coś z życia.

Wzdrygnąłem się.

- Skąd pan o tym wie?

- Bo serce nadal bije przez chwilę. Mówili mi o tym lekarze, którzy muszą stwierdzić zgon. I mówili mi też o katach bez zamierzenia do zawodu, którym zabicie człowieka zajmowało prawie pół godziny. Trzeba być wyjątkowym skurwysynem.

Rozmawialiśmy półgłosem, nie zwracając niczyjej uwagi, oglądając przez zamglone szyby życie toczące się na uliczkach - życie, które odchodziło na wieczność. Chociaż ja nie wiedziałem, co to jest odchodzenie życia. Ja tylko wiedziałem, co to jest odchodzenie ludzi, których znałem. Żołnierze, powłócząc nogami, wracali do koszar Atarazanas, gracze w trzy karty kierowali się na pchli targ, proletariackie pary szły w stronę portu, obejmując się i przysięgając sobie szczęście za osiem duros miesięcznie. Nie brakowało też zrozpaczonych pedałów, którzy o tej porze zmierzali do kilku lokali przy ulicy San Pablo w nadziei, że ktoś odkryje, iż mają serce samotnej kobiety. Ta część Barcelony była krzykiem, pieśnią, łzą, była wielkim kłamstwem, w której leżą prawdy ulicy. Teraz wiedziałem, że zawsze będę kochał ulicę, że potrzebuję jej szmacianego blichtru, jej cnoty sprzedawanej co noc i jej trupiego śmiechu.

Dziwiło mnie, że przez pewien czas, jako redaktor szacownego

dziennika i obrońca interesów wyższej części miasta, poruszałem się tylko po rozrastającym się Ensanche, nie potrzebując niczego więcej. Może konieczność powrotu na stare ulice była we mnie silniejsza niż potrzeba obrony.

Zrozumiałem, że ponieważ szukam pracy, ta, którą proponuje mi Nicomedes Méndez, oznacza wejście w jakiś fascynujący świat, choćby miał to być świat cieni.

- Czy na pewno mnie pan potrzebuje? - spytałem. - Czy na pewno odbędzie się egzekucja?

- Jasne, że tak. Już dawno temu skazano Momparta w trybunale na ulicy San Honorato i król z pewnością nie skorzysta z prawa łaski.

- Gdzie będzie stał szafot?

- Oczywiście obok Patio de los Cordeleros. To plac w centrum, dobrze strzeżony, o doskonałych warunkach sanitarnych. Nie zawsze to miasto dysponowało takimi miejscami, tak dobrze przygotowanymi do przyzwoitej pracy. Dawniej wiele egzekucji odbywało się na...

- Na Plaza del Rey - wszedłem mu w słowo. - Więzienie zajmowało część dawnego pałacu.

Nicomedes Méndez spojrział na mnie podejrzliwie.

- Nie wszyscy o tym wiedzą - szepnął. - Nikt nie czyta. A wspomnienia ludzi nie sięgają tak daleko.

- Opowiadano mi o tym.

- Tracono ludzi nawet na Llano de la Boquería.

Moje oczy zamglily się na chwilę. Wyszepiałem:

- Też mi o tym opowiadano.

- Prawo musi być nieugięte - rzekł kat z prawdziwą dumą zawodową. - Egzekucje wykonywano też w Cruz Cubierta, chociaż

o tym wie jeszcze mniej osób. Znam nazwisko ostatniego tam straconego.

- Ja też. Nazywał się José Escola - powiedziałem szybko.
- Do licha... A wiesz, jakie miał przezwisko?
- „Sang i Fetge”, czyli „Krew i Wątroba”.

Na twarzy Nicomedesa Mendeza odmalował się podziw. Z pewnością nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ja. Niemal w ekstazie położył mi rękę na ramieniu.

- Będziesz najlepszym pomocnikiem, o jakim mogłem marzyć - powiedział - a ja jestem jedynym człowiekiem, który może cię zaprowadzić wprost do tego gniazda szcurów, jakim jest więzienie. Chcę, żebyś jeszcze tego wieczoru poznał skazańca.

I dodał:

- Wiem, że przed egzekucją więźnia odwiedza lekarz. Opowiadano mi, że ostatni skazaniec, który widział kata, podał mu rękę i pozdrowił go słowami: „Co słyhać, kolego?”

Tak więc pod kierunkiem Nicomedesa Mendeza przeniknąłem ukradkiem w tajniki śmierci. Przede wszystkim zauważyłem, że wobec zbliżającej się egzekucji ludzie odczuwali wielką chęć poznania kata Barcelony. Jaką ma twarz? Czy wyglądem nadal przypomina istotę ludzką? Ale nikt nie znał naprawdę Nicomedesa Mendeza oprócz pewnego urzędnika Skarbu Publicznego, który wypłacał mu wynagrodzenie. Ta powszechna ciekawość spowodowała, że dziennik „El Noticiero Universal”, pragnąc zadowolić swoich czytelników, opublikował rysunek twarzy kata. Ale rysownik się pomylił. Był to niewybaczalny błąd, który pozostał na zawsze w historii prasy. Zamiast oblicza kata pojawiła się w gazecie... twarz sławnego pisarza Narcísa Ollera, który właśnie odebrał nagrodę w konkursie poetyckim Juegos Florales.

Złorzeczenia Ollera i jego inwokacje do Boga Wszchemogącego, Pana zastępów, całymi tygodniami rozbrzmiewały w kawiarniach, przy rodzinnych stołach oraz w lombardach i bankach tak znakomitego miasta jak Barcelona.

Ale muszę podkreślić, że Nicomedes Méndez pozwalał mi przenikać tajniki śmierci. Przez judasza celi (kat nigdy nie pokazywał się skazańcowi) ujrzałem twarz Isidra Momparta, która odbijała trzy rzeczy: głupotę, nadzieję i strach. Mompart nie wierzył w nic oprócz własnego życia i własnego ciała, na którym kończyły się wszystkie wymiary, toteż chciał żyć za wszelką cenę i tak długo, jak to możliwe. Ale słowa kata zrobiły na mnie wrażenie.

- Ma silny kark. Trzeba będzie dobrze naoliwić śrubę, ale i tak konieczny będzie pełny obrót koła.

Pomagałem кату przy tej egzekucji i dlatego doskonale znam szczegóły. Mompart był pierwszym skazanym, któremu podano zawczasu termin wykonania wyroku: za dwanaście godzin. W innych wypadkach dawano skazanemu (może ze względów humanitarnych) mniej czasu na rozmyślanie o własnym końcu, ale Mompartowi przydano jeszcze to cierpienie. W każdym razie muszę powiedzieć, że go pocieszano i że ani na chwilę nie pozostawiono samego.

Przez ostatnie godziny towarzyszyli skazanemu Bracia Pokoju i Miłosierdzia; usiłowali spełniać jego drobne życzenia i gdyby okazało się to konieczne, mieli wezwać notariusza, aby skazany mógł spisać testament, o ile miał cokolwiek do pozostawienia poza własnymi popiołami. Ale nawet przy tym ostatnim akcie miłosierdzia społeczeństwo okazywało swoje podłe skłonności: byli dziennikarze, którzy płacili za to, by wślizgnąć się między braci i dzięki temu móc opowiedzieć z autopsji o ostatnich godzinach

skazańca. A może w gruncie rzeczy usiłowali dobrze wypełnić swój obowiązek? Nie wiem. Mogę natomiast powiedzieć, że Isidra Momparta otaczano, dręczono i ani przez chwilę nie pozwalano mu myśleć. Dano mu też dość wystawną ostatnią kolację, z kawą, likierami, tytoniem i innymi używkami, które na dłuższą metę są szkodliwe dla zdrowia. W celi było tylko jedno krzesło i skazaniec przez cały czas na nim siedział jak nieobecny, myśląc, że w każdej chwili nadejdzie ułaskawienie.

Całą noc dzwoniło z Gmachu Telegrafów do Madrytu. Najpierw co trzydzieści minut, potem co kwadrans, a w końcu co pięć minut. Zadawano wciąż tylko jedno pytanie: „Czy jest ułaskawienie?”

Nie było go, jak to już odgadł doskonały instynkt Nicomedesa Mendeza. Kiedy weszli sędziowie, lekarz sądowy, strażnicy i obrońca, który zgodnie z regulaminem musiał być obecny, żeby potwierdzić tożsamość skazańca, Mompart zemdłał. Musieliśmy go wlec na szafot, ubrawszy uprzednio w groteskowy strój pajaca, jakim szydzono z ostatnich resztek jego godności. I tak dotarł przed szafot, podczas gdy na placu słyszeć było tylko przyzajone wyczekiwanie tłumu i odgłos wleczonych po stopniach stóp Momparta. Nic więcej. Ani podmuchu powietrza. Ta cisza była widmowa i przerażająca.

I nagle krzyki.

Obelgi, które zdawały się dobiegać ze wszystkich zakątków miasta:

- Dobrze ci tak, łobuzie!
- Będiesz miał nauczkę, skurwysynu!

Powietrze wypełniło się wrzaskami, zniewagami, żądaniem śmierci. To ja, nieśmiertelny, przywiązałem skazańca do słupa,

podczas gdy Nicomedes Méndez umiejętnie mocował obręcz. Toja umieściłem na twarzy skazańca czarną chustę, żeby nie było widać jego ostatniego, potwornego grymasu. Kat nie wyrzekł ani jednego słowa podczas tej ceremonii, która trwała niespełna minutę. Jak wcześniej powiedział, zabije człowieka, ale nie będzie go męczył bardziej, niż to ściśle konieczne.

Nicomedes Méndez wykonał pełen obrót kołem, dokładnie tak, jak to przewidział, kiedy oglądał skazańca, i zrobił to z zegarmistrzowską precyzją. Usłyszałem rżenie podobne do dźwięku opróżniającego się balonu i natychmiast potem trzask łamanych kości. Szyja musiała zostać zgnieciona do wielkości monety: ostatnie charczenie skazańca sprawiło, że chusta na jego twarzy zadrżała, ale publiczność nie mogła tego widzieć.

Całe ciało Momparta zdawało się wyrwać do przodu. Jego dłonie dwukrotnie otworzyły się i zamknęły w ostatnim spazmie.

Mniej niż pięć sekund.

Zdałem sobie sprawę, że kat, chociaż wyszedł z wprawy, nie pomylił się w niczym.

Nawet ja wykonałem dobrze swoje zadanie.

Ale pozostała jeszcze jedna czynność, najbardziej dla mnie nieprzyjemna. To kat w rzeczywistości był panem. Ja byłem tylko nędznym pomocnikiem i dlatego należało to do mnie.

Rozkazał mi sucho:

- Teraz zwiń mu język.

33.

Spotkanie

Marta Vives wielokrotnie tamtędy przechodziła.

Tam, gdzie stało więzienie od wielkich egzekucji, jest teraz wielki plac, który powstał w rewolucyjnych dniach 1936 roku. Wówczas w starym więzieniu nie wykonywano już wyroków śmierci. Skazanych rozstrzeliwano w twierdzy Montjuïc albo posługiwano się garotą na dziedzińcu Cárcel Modelo, toteż w murach więzienia zamykano jeszcze tylko kobiety. Ale dla ludu wspomnienia były nadal żywe i tak pełne gorzycy, że postanowiono, iż z budynku nie pozostanie kamień na kamieniu.

Marta Vives, historyk miasta, przemierzała ulice nie tylko stopami, ale również pamięcią. Prawie naprzeciwko więzienia był cyrk Olimpia, może największy w Europie, zburzony dla budowy bloków mieszkalnych bez duszy ani wdzięku, gdzie dzieci poznawały życie z telewizji, a małżeństwa, z monotonii tego, kto odcina kupony, spółkowały w sobotnie wieczory. Mniej niż sto metrów stąd działał El Molino, znajdowały się Bataclán, kawiarnia „Sevilla”, Teatro Español, Teatro Nuevo - cały świat zamieniony teraz w działki budowlane, hotele dla niewymagających turystów czy ostoje dla imigrantów. Marta mogłaby napisać historię każdego miejsca, każdej nieistniejącej już wystawy i każdej kobiety,

która wystawiała tu na sprzedaż swoją ostatnią nadzieję.

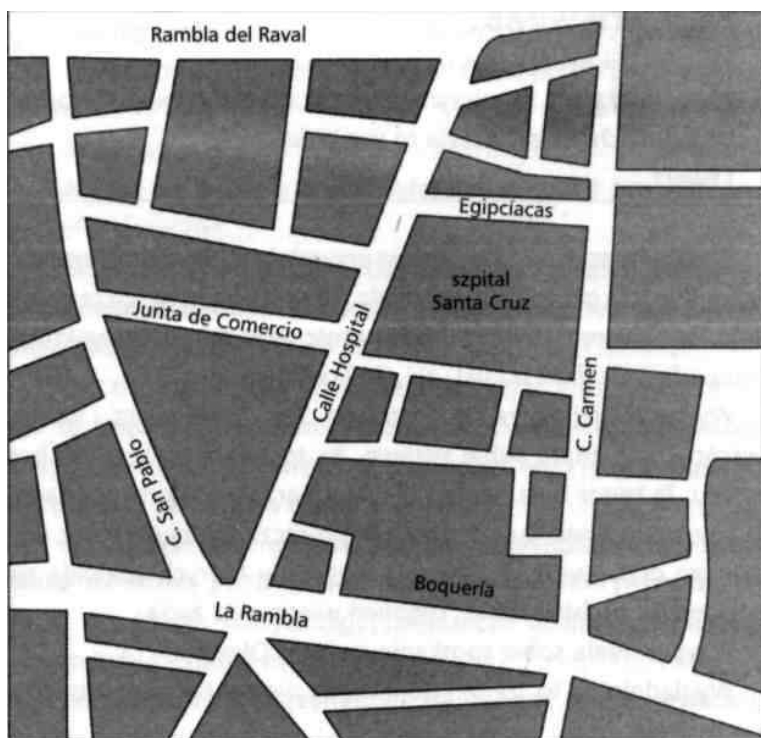
Starła się wziąć na siebie wszystkie sprawy, które należało załatwiać na mieście - a było ich sporo - ażeby nie przebywać w biurze z Marcosem Solaną. Choć lepiej dostrzegała dzień wczorajszy od dzisiejszego, zdała już sobie sprawę, że podoba się adwokatowi i że ten jest nieszczęśliwy ze swoją żoną, kobietą, którą interesowały tylko spotkania z przyjaciółkami, ostatnie premiery, seriale telewizyjne i pokazy mody. Marcos Solana pracował bez wytchnienia i zarabiał pieniądze, ale Marta wiedziała, że o ile sprawy będą się tak nadal układały, całkowicie się zrujnuje.

Wiedziała też, że podziwia ją, kobietę wykształconą, spokojną, która wie wszystko i potrafi okazywać uwagę jednym tylko spojrzeniem. Ale nie chciała prowokować chwili, może nieuniknionej, kiedy otoczy ich samotność, myśli zaczną sprawiać ból i on zbliży swoje wargi do jej ust.

Takie myśli peszyły ją i nadawały jej twarzy wyraz melancholii, którą mężczyźni uważają za interesującą, jak spojrzenie towarzyszące perwersji. Miała też inne, bardziej gwałtowne myśli, które powodowały ból. Na przykład tajemnicze pochodzenie jej rodziny, pogrążone w niejasnych historiach; Marta Vives wiedziała, że nigdy nie zdoła poznać ich w pełni, gdyż wydawały się zapisane tylko na cmentarzach.

Dlatego postanowiła wrócić sama na ulicę Baja de San Pedro, gdzie może ukryte było ciało biskupa, choć ojciec Olavide prosił ją, żeby nigdy tam sama nie wchodziła. Może, podobnie jak za pierwszym razem, nic w tym miejscu nie znajdzie, ale ten dom ją fascynował.

Tak więc pewnego popołudnia, po załatwieniu ostatniej sprawy na mieście, skierowała się w jego stronę. Wiedziała już jak tam



wejść, a przynajmniej miała pierwsze doświadczenie, toteż pograżała się znowu w tym świecie cieni, na schodach, które zdawały się prowadzić donikąd.

Wchodziła na górę z drżeniem, czując strach i wzruszenie kogoś, kto nawiedza egipski grobowiec. Rozum mówił jej, że niczego nie znajdzie, ale instynkt kazał jej szukać w tym świecie cieni. Tak czy owak był to już jej świat.

Dostrzegła resztki starych mebli: mahoniowy stół, izabelińskie fotele, łoże-katafalk, zasłony, które były już tylko wspomnieniem po pajęczynie.

Zobaczyła to wszystko.

I plamy wilgoci na ścianach.

I noc, zbliżającą się niczym jakaś ręka przez tylne podwórka.

W jednej chwili zobaczyła to wszystko.

I twarz.

W dziwny sposób ta twarz nie wywołała u niej najmniejszego lęku. Musiała go poczuć, ale miała dziwne wrażenie, że ta twarz żyje, że zawsze tu była i stanowi część tego domu. Instynktownie podniosła dłoń do ust, ale nie krzyknęła.

Wydawało jej się, że nie dostrzega ciała. Tylko twarz. I wtedy, wśród ciszy, zdała sobie sprawę, że to twarz mężczyzny bez wieku. Ta twarz była bardzo blada, z bardzo wąskimi wargami. Nic w tym człowieku nie przykuwało szczególnej uwagi, z wyjątkiem oczu, wielkich i nieruchomych, w których zdawała się spoczywać otchłań czasu, płomień wiecznego życia.

Przypomniała sobie spotkanie z ojcem Olavide.

Wyglądało na to, że ten dom nigdy nie był tak osamotniony, jak myślała.

Zaledwie znalazła siły, żeby wyjąkać:

- Kim pan jest?

Ciało mężczyzny pogrążone było w cieniach, niemal stanowiło ich część, ale oczy Marty przyzwyczajały się do półmroku. Zauważyła, że nieznamy jest normalnego wzrostu, ma raczej szerokie, silne ramiona, a jego szczupłość ukrywa pewną dekadencją elegancję.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzyła pytanie.

- Kim pan jest?

- Proszę się nie bać.

- Nie boję się.
- Powiedzmy - odrzekł półgłosem mężczyzna - że jestem badaczem.

- Skąd?

- Należę do grupy z uniwersytetu w Atenach prowadzącej badania klasyczne.

- Dziwi mnie pańska obecność tutaj, bo to miejsce nie ma nic wspólnego ze światem klasycznym. Skąd mogę wiedzieć, że to prawda?

Wówczas mężczyzna przemówił do niej w klasycznej, starożytnej grece, którą Marta doskonale знаła. Poczula rodzaj wstydu na myśl, że gruntowna znajomość tego języka nigdy jej nie pomoże zarobić na chleb.

- Może mnie pani nazywać Temple - powiedział głos - i niech panią nie dziwi, że tu jestem: Barcelona należała przez długie wieki do świata klasycznego, zwłaszcza łacińskiego. Grecja i Rzym były źródłami mądrości.

Teraz Marta Vives przestraszyła się; nie był to lęk wywołany myślą, że ten mężczyzna ją zaatakuję, tylko lęk kogoś, kto nic nie rozumie. Nagle poczuła się tak, jakby czas nie miał sensu, jakby nigdy nie istniał.

Wymamrotała:

- Co pan bada w tym domu?

- To samo co pani, jak sądzę: jego przeszłość. Takie stare domy jak ten pełne są sekretów i wspomnień zmarłych. Powiedziałbym nawet, że pełne są oczu, które na nas patrzą. Ale proszę nie zwracać na mnie uwagi. Jeżeli mówię to wszystko, to dlatego, że zgaduję, iż pani i ja myślimy w gruncie rzeczy to samo i dlatego jesteśmy tutaj.

Mężczyzna zbliżył się i wyszedł wreszcie z cienia: rzeczywiście

zdawał się nie mieć wieku. Jego cera była bardzo blada, dłonie bardzo wąskie i jedyną rzeczą napawającą lękiem - pomyślała znów Marta - były jego oczy.

- Przyznaję, że weszłam tu nielegalnie - powiedziała. - Będzie lepiej, jeżeli sobie pójdę.

Temple, o ile nazywał się Temple, uśmiechnął się. Miał uśmiech, który chciał być serdeczny, ale w tej chwili był tak niepokojący jak jego oczy.

- Dlaczego miałyby pani odejść? Tu nikomu pani nie przeszkadza, nie popełnia też pani żadnego wykroczenia. Ten dom, jak sądzę, należy do miasta, ale ono z niego nie korzysta, toteż wydaje mi się rozsądne wchodzić tutaj w celu prowadzenia badań. A przy okazji... Kiedy mówiłem w klasycznej grece, odniosłem wrażenie, że doskonale mnie pani rozumie.

- Jasne, że rozumiem, bo studiowałam języki martwe. Przypuszczam, że w tym mieście jest mnóstwo głodomorów, które też by pana rozumiały.

- Mam łatwość do języków - rzekł Temple - ale to żadna zasługa: to tak, jakby ktoś mi dyktował, co mam przeczytać czy powiedzieć. No cóż... cieszę się, że panią spotkałem, bo jednym z moich nieszczęść jest samotność. Chodzę po mieście z miejsca w miejsce, zapamiętuję różne rzeczy i nie mogę o nich nikomu opowiedzieć. Znam wiele prawd, o których z przyjemnością opowiedziałbym historykom, ale obawiam się, że by mi nie uwierzyli. Dlatego nic pani nie opowiem, chociaż sprawia mi radość pani towarzystwo. Pani jest historykiem, jak przypuszczam.

- Tak, i nawet piszę książki, których nigdy nie kończę. Jestem zwykłą amatorką, która nie zdoła z tego wyżyć.

- A gdzie pani pracuje?

- Teraz jestem aplikantką adwokacką, bo studiowałam też

prawo. Sam pan widzi: jestem jak encyklopedia z przeceny, bezużyteczna encyklopedia. Ale przynajmniej to stałe zajęcie i sprawia mi ono przyjemność.

- U którego adwokata? Kto jest pani szefem?

- Nazywa się Marcos Solana i specjalizuje się w spadkach. Wydaje mi się, że zna wszystkie stare rodziny miasta. Ja też je studiowałam i dlatego mu się przydaję.

- Znam Solanę.

- Naprawdę? Nigdy pana nie widziałam w jego kancelarii.

- Zdziwiłoby panią, ilu znam ludzi, choć nie utrzymuję z nimi zbyt bliskich stosunków. À propos... Nie wymieniła pani swojego nazwiska.

- Marta Vives.

- Jest wiele starych rodzin o tym nazwisku - rzekł Temple - i dlatego jest wiele związanych z nimi historii.

Odszedł nieco od okna, wracając do królestwa cieni. Marta zauważyła, że kiedy szedł, nie słychać było jego kroków. Wydawało się też, że nie potrzebuje światła i porusza się jakby instynktownie, ale to wszystko - i fakt, że go tam nieoczekiwanie spotkała - nadal jej nie trwożyło.

- Ma pani rację - rzekł Temple, jakby odgadując jej odczucia. - Stare opuszczone domy napawają ludzi lękiem, gdyż pełne są nieznanymi historiami, ale lęk znika, kiedy trochę te historie poznajemy. Mogę spytać, czy ten dom ma jakiś związek z pani rodziną?

- Jeszcze tego nie wiem.

- Myślę, że dlatego pani tu przyszła: żeby się tego dowiedzieć. Kto wskazał pani pierwszy trop?

- Pewien jubiler o nazwisku Masdáu. Ściśle mówiąc, jest projektantem biżuterii.

- Jego też znam,
- Zna pan wszystkich?
- Tylko członków niektórych starych rodzin... To nie moja zasługa, proszę mi wierzyć. W Barcelonie, z biegiem wieków, mieszkało wielu ludzi, ale nie zostawili po sobie śladu. Przepraszam... W rzeczywistości tak nie myślę. Wszyscy ludzie, choćby zupełnie bez znaczenia, zostawiają jakiś ślad. Dla mnie Barcelona pełna jest ludzi, którzy nadal żyją. Przepelniają ją widma.

- To dziwne, że pan to mówi.
- Dlaczego?
- Czasami myślę tak samo - wyznała Marta.

Nagle odczuła ulgę. Miała wrażenie, że przy tym mężczyźnie nic złego jej nie spotka. A może nawet zdoła poznać sekrety tego domu.

- Postaram się pani pomóc - wyszeptał. - Ale musi mi pani powiedzieć, czego szuka.

- Zwłok - odpowiedziała, zdziwiona własną szczerością. - Przyznaję, że brzmi to absurdalnie, ale szukam zwłok. Jeden z Masdóu był duchownym; umarł, a jego ciało nigdy nie opuściło tego domu.

Temple spojrział na nią z ukosa. Jego oczy były spokojne i zimne.

- Mogę pani pomóc - szepnął lodowatym głosem. - Wiem, gdzie są zwłoki tego duchownego.

Marta poczuła przez chwilę, że uginają się pod nią kolana. Ze zdziwienia otworzyła usta.

- A skąd pan wie? - wybełkotała.
- Bo to ja go zabiłem - odparł mężczyzna tym samym lodowatym głosem.

34.

Święto szafotu

Muszę wyznać, że ja, pomocnik kata, nie bez wysiłku zakończyłem moją pracę, bo nawet po tym, jak widziałem tyle trupów, ten język, który zdał się wypełniać wszystko, budził we mnie odrazę. Potem Nicomedes Méndez, człowiek skrupulatny, wręczył mi chusteczkę nasączoną alkoholem, żebym nią przetarł dłonie. Kiedy zaś zesliśmy z szafotu, wygłosił sakramentalne zdanie, jakie pada z ust wszystkich pracowników w mieście, kiedy nadchodzi sobotni ranek:

- A teraz po pieniądze.
- Czyżby była jakaś dodatkowa zapłata?
- No jasne, że jest dodatkowa zapłata. A co myślałeś? Że codziennie jest egzekucja? Wynagrodzenie kata jest niskie i trzeba szukać jakiejś zachęty. Za każdego martwego dopłacają sto peset.

W owych latach sto peset stanowiło małą fortunę.

Tak więc kat i ja zostaliśmy w pełni zintegrowani z systemem kapitalistycznym.

Schodziliśmy z szafotu wśród, jak się wydawało, podziwu tłumu. Było to niewiarygodne, ale ludzie... chcieli nas dotknąć! Zdałem sobie wtedy sprawę, o ile już tego nie wiedziałem, że lud nigdy

nie wyzbędzie się naiwności. Myślę, że w owej chwili o mało nie nagrodzono nas owacjami.

Ale trzeba było wrócić do więzienia, bo tak nakazywało prawo. Aby oczyścić publiczne sumienie, kat, który bądź co bądź zabił istotę ludzką, musiał pozostać przez całą noc w areszcie. A ja miałem spędzić tę noc razem z nim.

Nicomedes Méndez natychmiast się zorientował, że to, co zrobiłem, wywarło na mnie duże wrażenie. Gdyż nie jest tym samym asystować przy egzekucji, co w niej uczestniczyć. Tak więc pomyślał, że go opuszczę, i wygłosił entuzjastyczną przemowę, jakby nas miano proklamować burmistrzami Barcelony.

- Nadchodzi dla tego miasta epoka wielkiej chwały, to znaczy bogactwa i szacunku dla prawa. Mówi się o tym, że Barcelona będzie organizować nowe wystawy, popierać wielki przemysł, rozrastać się i stawać niemal pępkiem świata, chociaż siłą rzeczy zwiększy to przestępczość: pojawią się wszędzie gry hazardowe, międzynarodowe domy publiczne i wielkie bulwary, po których będą defilowały powozy pełne wyuzdanych kobiet.

Widać było, że Nicomedes Méndez nie pamięta już, że przed chwilą braliśmy udział w egzekucji, i pełen entuzjazmu ciągnął dalej:

- Oczywiście dojdzie do bankowych skandali, tak wielkich, że posiedzenia rad administracyjnych będą chyba kończyły się na noże. Dojdzie do napadów i zbrodni, a tym samym wielkich przestępstw i wielkich egzekucji, za które będą nam płacić. Nie byłoby dla ciebie korzystne, gdybyś mnie opuścił, przyjacielu Blay, teraz, kiedy będą przechodzić przez szafot wielkie osobistości. Kto wie, czy przy odrobinie szczęścia nie wykonamy egzekucji na burmistrzu.

Do tego nie doszło, ale w Barcelonie było potem tylu martwych, że niewiele brakowało.

Nie wiem, jak Nicomedes Méndez zdołał mnie przekonać, w każdym razie zostałem. Może przyczynił się do tego fakt, że pozwolił mi spać w swoim domu w odległej dzielnicy Salud, gdzie nikt mnie nie znał. Dom kata był miły i spokojny, a ponadto otoczony ogrodem. Sąsiedzi okazali się uprzejmi i milczący. W dzielnicy panował taki spokój, że słychać było tylko psy ujadające nocą.

Nicomedes Méndez nie chciał być pierwszym lepszym katem: zamierzał przejść do historii, prezentując publicznie swój nowy system garoty, i to ni mniej, ni więcej, tylko w Salonie Wynalazców w Genewie. A może w Paryżu, nie pamiętam dobrze. Ale, tak czy owak, nie chciał być pierwszym lepszym człowiekiem.

Poza tym ten drań okazał się prorokiem. Miał rację co do rozwoju miasta, jego bogactwa i przestępstw. Po tylu latach bez egzekucji przepuściliśmy następnego roku przez garotę Aniceta Peinadora, mordercę, który potrafił umrzeć z wielką godnością i pewnością siebie. I chociaż egzekucja nie okazała się zbyt makabryczna, mimo wszystko ta sytuacja wydała mi się nie do zniesienia. Był to drugi język, który zwijałem w czyichś ustach: to kat był tu panem, ale ja robiłem wrażenie rzeźnika.

Pożegnałem się z Nicomedesem Mendezem.

Ta rejterada na czas uratowała mnie od uczestnictwa w innej egzekucji, która naznaczyłaby mnie na zawsze. Mam na myśli wykonanie wyroku na Silvestre Luisie, którego skazano na śmierć za tak zwaną zbrodnię na ulicy Parlamento, w której zamordował on, według sentencji, żonę i dwie córki. Ale Silvestre Luis do końca twierdził, że jest niewinny.

Rzeczą niezrozumiałą w tej sprawie było to, że skazano go bez dowodów. Nie było też świadków. Sąd oparł się po prostu na zeznaniach jego dwuletniego synka, który zaledwie potrafił mówić. Tylko on przeżył masakrę i wypowiedział zdanie: *Papá ta col mama*, czyli *Papá corta el cuello de mamá* („Tatusz mnie szyję mamusi”). Sąd - w całkowitej sprzeczności z prawem - zdecydował, że dziecko w tym wieku nie kłamie.

Na szczęście egzekucja była szybka.

Nicomedes Méndez miał też rację co do niepohamowanego rozwoju Barcelony. Miasto zmieniło się już radykalnie w latach Wystawy Światowej, wraz z parkiem Cytadeli (gdzie dawniej pannaowała znieawidzona forteca), Łukiem Triumfalnym i szerokim bulwarem biegnącym obok niego. Ale poza tym pojawiały się przestrzenie pełne fabryk, jak Pueblo Nuevo, którego pejzaż był dosłownie wytapicerowany kominami. Albo Ciot, który też był dzielnicą uznojonych robotników, majstrów i syren wyjących o świcie. A u stóp gór rozciągały się dzielnice jak Pueblo Seco, gdzie wcześniej zabudowa była wzbroniona z powodu dział na Montjuïc. W tym czasie Barrio Chino było już nową nazwą Raval, gdyż wyobraźnia ludowa sądziła, że Filipińczycy, którzy schronili się w Barcelonie po ostatniej wojnie kolonialnej, są Chińczykami.

I udało mi się też uniknąć uczestnictwa w egzekucji Santiaga Salvadora, samotnego anarchisty w mieście, gdzie anarchiści łączyli się, żeby nie być samotnymi. Santiago Salvador rzucił z najwyższego balkonu w Liceo (balkonu dla biedaków, z którego prawie nic nie było widać, ale który zajmowali fanatycy muzyki) dwie bomby, powodując na parterze śmierć dwudziestu osób. I może liczba ta powiększyłaby się o następne dwadzieścia, gdyby wybuchła druga bomba, która jednak miękko upadła na suknię pewnej

kobiety. Santiago Salvador spokojnie odszedł pieszo, gdyż żaden z jego sąsiadów na balkonie niczego nie zauważył.

Sprawił sobie przyjemność, obserwując z najwyższego miejsca miasta, z nowego pomnika Krzysztofa Kolumba, uroczysty pogrzeb swoich ofiar. Kiedy niewiele później widziałem go w więzieniu - bo moje znajomości nadal pozwalały mi tam wchodzić - wyjaśnił mi spokojnie:

- Straciłem wielką okazję. Bardzo żałuję.

- Czego pan żałuje?

- Że nie miałem jeszcze jednej bomby. Były tam na dole najwyższe władze, cała arystokracja, fabrykanci, całe to bydło, i jeszcze jedna bomba pozwoliłaby mi wykończyć ich wszystkich. Byłby to wspaniały finał.

Widziałem wcześniej wielu szaleńców i doszedłem do wniosku, że Santiago Salvador był jednym z nich. Był niewątpliwie szaleńcem.

Te tragiczne wypadki w Barcelonie (opery *Wilhelm Tell*, którą owej nocy wystawiano w Liceo, nie wystawiono tam ponownie przez całe stulecie) nie były faktami odosobnionymi. Barcelona pozostała miastem rewolucyjnym, gdzie wszystko jest możliwe, a ja mimowolnie znajdowałem się w oku cyklonu, jako że teraz pracowałem jako prywatny detektyw na rzecz pewnej angielskiej agencji, a angielska agencja prowadziła na zlecenie miasta dochodzenie w sprawie bomb, które zabijały wielu niewinnych, wśród nich kwiaciarki na Ramblas. Krążyły najrozmaitsze komentarze, podejrzewano wszystkich i zatrzymywano, jak zwykle, anarchistów, ale ja miałem inne zdanie na ten temat.

Ja, bezimienny detektyw, ukryty pod rozmaitymi przebrańmi, brałem udział w spotkaniach anarchistycznych na Paralelo

i w Raval. J pamiętałem pewnego typka, który gdy inni mówili o wolności, mówił zazwyczaj o pieniądzach. Ten typek... Czy nie nazywał się Rull? Czy nie był najmłodszym uczestnikiem tych spotkań?

Miałem go śledzić, chociaż w tym celu trzeba było najpierw go znaleźć. Albowiem Rull często znikał. I znalazłem go.

Ale w ostatnim miejscu, w jakim mogłem tego oczekiwać.

W gabinecie gubernatora cywilnego Barcelony.

35.

Rozmowa

- Ja go zabiłem - powiedział matowym głosem mężczyzna o martwych oczach.

I zwracając twarz w stronę mroku, dodał:

- Wiele lat temu.

Marta Vives poczuła, że braknie jej oddechu, że powietrze uchodzi z niej ze świstem i opróżnia ciało. Wszystko powiększało ten koszmar, w którym się teraz pogrążała: to mieszkanie, którego zarysy zaledwie dostrzegła, ta twarz, tak blada, tego mężczyzny, który się w nim pojawił, nawet jego głos, który zdawał się dobiegać spoza czasu.

Poza tym, jako skromna aplikantka adwokacka, Marta nigdy dotąd nie słyszała takiego wyznania.

Rzeczą najbardziej niewiarygodną było to, że ten mężczyzna się uśmiechał.

Nie był to uśmiech cyniczny, jak mogło to być w wypadku kryminalisty, który wie, że jego zbrodnia uległa już przedawnieniu. Był to uśmiech odległy, niemal smutny.

- Boi się pani? - zapytał głos.

- Nie boję się - szepnęła, pragnąc się uspokoić. - Gdyby pan

chciał wyrządzić mi krzywdę, już by pan to zrobił. Powiedzmy, że jestem zaskoczona i nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego?

Głos nadal był przekonujący, delikatny.

- Nikt nie przyznaje się do zabójstwa i ukrycia zwłok. Chciałam powiedzieć, że... że nikt nie robi tego dobrowolnie.

- A dlaczego nie? Proszę pamiętać, że minęło wiele lat od tej śmierci, wiele lat. Żaden trybunał już by mnie za to nie skazał.

- Ale dlaczego mówi pan o tym mnie?

- Po pierwsze dlatego, że pani z pewnością mnie rozumie. Wie pani, co to jest przedawnienie przestępstwa, zna wszystkie te szczegóły. Po drugie dlatego, że podała mi pani swoje nazwisko.

Marta Vives była coraz bardziej zdziwiona, coraz bardziej brakło jej tchu.

Ale tym, co czuła, nie był lęk, tylko zdumienie; z każdą mijającą sekundą coraz mniej się bała i była coraz bardziej zdezorientowana.

- O co chodzi z moim nazwiskiem?

- Pani imię jest bardzo ładne, a pani nazwisko jest... godne uwagi. Są uczeni, którzy je noszą, czy też nosili. Nie ma w nim pospolitości innych i powiedziałbym nawet, że to szacowne nazwisko. Ale proszę tego nie brać za pochwałę: ograniczam się do stwierdzenia faktu, jako że znam wszystkie nazwiska w kraju.

- I co z tego wynika?

- Powiedzmy, że istnieją rody. Kryją się pod każdym nazwiskiem, nawet najbardziej pospolitym. A w pani rodzinie, od najdalszych pokoleń, jest ród osób inteligentnych, które myślały może więcej niż inne. Albo czuły niepokój o sens życia. To nie jest dobre i czasami zasługuje na karę.

Marta otworzyła szeroko usta, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć. Lęk wrócił jak zimna ręka. Albowiem o tym, o czym mówił ten mężczyzna, ona sama myślała setki razy.

Głos ciągnął dalej:

- Oczywiście jakiś ród nie musi być zawsze jednakowy. Ojcowie i synowie nie muszą być do siebie podobni, choć czasami przekazują sobie obowiązki moralne. Na przykład ojca sędziego czy wojskowego zastępuje często syn sędziego czy wojskowy. Ale w pani przypadku wygląda to inaczej: chodzi o ród endogamiczny, w którym mężczyźni Vives połączyli się z kobietami Vives, przewyciężając nieraz wielkie przeszkody. W taki sposób powstaje zamknięty ród, w którym idee przekazywane są z pokolenia na pokolenie, tak jak geny, tworząc w ten sposób rodzaj przeznaczenia czy może religii. Nie wiem, czy pani to dostrzegła, ale to nacza.

Z każdą chwilą coraz mniej rozumiała. Wydawało się jej, że na tym świecie istnieje tylko to blade oblicze. Mimo to wyszeptwała:

- Zauważyłam to.
- To naturalne, bo wiele pani studiowała i interesowała się tymi, co żyli wcześniej.
- Ale mimo wszystko nie rozumiem...
- Czego pani nie rozumie?
- Na przykład skąd pan wie to wszystko. Ja mogłam badać mój ród, bo jestem stroną zainteresowaną, ale pan... dlaczego?
- Z powodu lat.
- Co?!
- Powiedzmy, że jestem bardzo stary, ale proszę nie zwracać na mnie uwagi... Powiedzmy, że znam lepiej niż pani historię tego miasta i jego ludzi. I wiem, że pani rodzinę, od wielu lat, powiedzmy, że od średniowiecza, nawiedzała wątpliwość.

- Jaka wątpliwość?

- Poszerzymy naszą perspektywę - odrzekł mężczyzna tym samym delikatnym głosem. - Nie tyle wątpliwość, ile wątpliwości: co do religii, poczucia wieczności, dobroci Boga, która czasami w niczym się nie przejawiała, czy też istnienia Szatana.

Mężczyzna o martwych oczach mówił z coraz bardziej uspokajającym uśmiechem, choć właśnie wspomniął o Szatanie. Marta Vives poczuła, że ciekawość - może niepokój - zdecydowanie przeważa nad lękiem. I tak, pozostając w bezruchu, słuchała, jak ciągnął:

- Przez całe wieki mężczyźni i kobiety byli wysyłani na stos, bo zadawali sobie takie pytania, jakie zadawali sobie pani przodkowie. Z powodu takiego rodzaju pytań wybuchały straszliwe wojny religijne. Przypadek pani rodu nie jest tak bardzo odosobniony.

Marta zamknęła oczy. Przypominało jej się w tej chwili wiele rzeczy, zbyt wiele rzeczy.

Profanacja grobu na Sant Pau del Camp.

Brązowy krzyż.

Kolejno zabijane kobiety, jakby ścigała je jakaś diabelska moc.

Ta antenatka, która nie leżała już w swoim grobie na cmentarzu w Pueblo Nuevo, chociaż ktoś za niego płacił.

Spokojny głos spytał:

- Domyślam się, że wspomina pani w myślach te epizody, które panią przestraszyły, nieprawdaż?

Skinęła głową.

Nagle przestało ją dziwić, że ten nieznajomy wszystko odgaduje.

- Nie wiem, czy potrafi mnie pani wysłuchać - powiedział. - Może panią nudzę, a może mówię niezrozumiale. A może nie chce

pani tu zostać. W takim wypadku odprowadzę panią do drzwi, żeby pani po ciemku na coś nie wpadła.

Marta pokręciła głową:

- Czuję... czuję się dobrze - rzekła.

- Wobec tego niech pani pozwoli zadać sobie pytanie, które z pewnością zadawało sobie wielu pani przodków, zwłaszcza kobiet, bo te, jak przypuszczam, były bardziej wrażliwe i dlatego stały się ofiarami.

- Niech pan pyta.

- Z pewnością myślała pani o Szatanie.

Marta czuła ból w palcach, tak mocno przyciskała je do krawędzi stołu.

- Oczywiście, że tak...

- Proszę nie mówić „oczywiście”, jakby to było czymś naturalnym... Wielu ludzi myśli o Bogu, choćby rzadko, ale o Szatanie nie myśli niemal nikt. Jest to niewygodne i wręcz absurdalne w tych czasach, kiedy ludziom żyje się względnie dobrze, po całych wiekach, gdy byli traktowani gorzej niż zwierzęta. Dzisiaj zniknęło wiele przeklętych nieszczęść, które sprawiały, że ludzie wzywali Boga jako swoją ostatnią nadzieję. W rzeczywistości uciskane lub oszukiwane ludy naszych czasów nadal wzywają Boga i stają się Jego fanatykami, bo nie mają niczego innego. Ale pani ma inne opcje.

Marta przytaknęła w milczeniu, nie wiedząc, co myśleć. Głos ciągnął:

- Jedną z tych opcji jest pewna sprawiedliwość społeczna, choćby bardzo względna, ale wcześniej nieznaną. Poprzez stulecia naród, o którym już nikt nie pamięta, przelewał swoją krew na ulicach, aby osiągnąć tę względną sprawiedliwość społeczną.

Dziś istnieją względnie godne warunki życia i nawet najbiedniejsi mają nadzieję, gdyż sam system kapitalistyczny wymyślił największy z cudów. Ten cud nazywa się kredytem. Dzięki kredytowi ludzie mogą kupować mieszkania, mieć dostęp do dobrej kuchni i prowadzić samochody. Ludzie na Zachodzie, którzy są wielkimi spadkobiercami chrześcijańskiej cywilizacji, rozumieją, że mogą mieć dzisiaj to, za co zapłacą jutro, i w konsekwencji mają tyleż nadziei co długów. Żyją w rzeczywistości materialnej, dającej się stwierdzić i pewnej, i dlatego nie muszą myśleć o Bogu jak w poprzednich epokach. Bóg umarł między hipotekami i kredytami bankowymi i oczywiście w jeszcze większym stopniu umarł Szatan.

Głos zamilkł na kilka długich chwil, choć Marta Vives nie wiedziała, czy były długie, czy nie, gdyż straciła poczucie czasu. Ciemność była teraz niemal zupełna, ale ona nadal widziała wyraźnie tę bladą twarz, której skóra zdawała się mieć jakieś własne światło.

- Może panią nudzę - powiedział ten rodzaj zjawy - a w takim razie nalegam, żeby panią odprowadzić do drzwi. Ale myślę, że zainteresuje panią to, co teraz powiem.

- Dlaczego?

- Bo przez długi czas pani sama tego szukała.

I znowu zaległa cisza, choć była to cisza nabrzmiała oczekiwaniem. Głos dodał:

- Mówiłem, że jestem bardzo stary i to pozwala mi znać fakty, których inni już nie pamiętają. Powiedziałem, że zabiłem człowieka, który mieszkał w tym domu, i wiem, gdzie są jego zwłoki, a inni tego nie wiedzą. Ale może jest bezcelowe mówienie o tym, jeżeli nie zacznę od początku, bo w tym przypadku wszystko ma bardzo odległy początek.

Marta Vives przytaknęła.

Miała coraz bardziej sucho w ustach, mimo to zdołała zapytać:

- Jaki jest ten początek?

- Powiedzmy, że początek jest w dzisiejszych wielkich nieznanomych, którymi są Bóg i oczywiście Szatan.

- Dlaczego nieznanomych?

- Dlatego, że nikt nie musi o nich myśleć w tym świecie, w którym poruszamy się dzisiaj pani i ja. Znałem czasy, kiedy Bóg był jedyną rzeczą, jaką mieli ludzie. Może oprócz Szatana. Dzisiaj nie jesteśmy zainteresowani ich poznaniem, jako że mamy inne opcje.

- Tylko dlatego?

- Również ze względu na ciemność, jaką się otaczają. Bóg nigdy nie tłumaczył, jaki jest. Nigdy nie zechciał pokazać swojego oblicza. Czy raczej, aby powiększyć nasze zakłopotanie, pokazał nam trzy oblicza. W tej mgle, w jakiej się porusza, występuje też Szatan, o którym mamy jeszcze mniej wiadomości. Biblia nie wyjaśnia, jaki jest ani co myśli, choć patrystyka i chrześcijańscy myśliciele roztrząsali tę tajemnicę. Ale w rzeczywistości niczego nie wiemy z pewnością. Żyjemy w wielkiej niewiadomej.

Marta Vives nadal czuła ból w palcach zaciśniętych na krawędzi stołu. Była to może jedyna rzecz, jaka pozwalała jej trwać nadal na świecie, ale o tym nie myślała.

- Jest pani uczoną - powiedział łagodnie głos. - Dlatego oszczędzę pani niektórych szczegółów i przejdę do sprawy najważniejszej. Wiem, że taka jest, bo wiele pokoleń pani rodziny o tym myślało.

Dziewczyna wymamrotała:

- Proszę mówić dalej.

- Pozwoli więc pani, że zacznę od świętej historii, której uczono panią w dzieciństwie, ale której dzisiaj nie uczy się praktycznie nikogo, jeśli nie liczyć lekcji katechizmu. Mówi się tam o dziele Stworzenia.

- Przynajmniej mnie o tym mówiono - powiedziała Marta. - I proszę mi nie mówić, że już się o nim nie mówi.

- Nie tyle co dawniej, Marto, nie tyle co dawniej... Ale wszystko jedno. Opowiadano pani o walce między Stwórcą i złymi aniołami, którzy Mu się przeciwstawili. Tak zwany Zły Anioł buntuje się przeciw Stwórcy, co znaczy już na wstępie, że ten był stworzony przez tego ostatniego. Jeżeli pani stwierdzi, iż Zły Anioł jest dziełem bożym, nie sądzę, żeby ktoś mógł pani zaprzeczyć.

Marta pokręciła głową, co w tym przypadku oznaczało potwierdzenie.

- Biblia o tym nie mówi - szeptał głos. - Mówili o tym myśliciele, po wiekach. I wszystko się uprościło do dwóch przeciwstawnych biegunów, którymi są Dobro i Zło. Te dwa bieguny są może lepiej zdefiniowane w filozofiach wschodnich niż w naszych, ale jeżeli mam mówić skrótowo, to powiem coś, co pani już wie: tak zwany Zły Anioł zbuntował się przeciw Stwórcy i doszło między nimi do okrutnej walki, to znaczy do wojny.

- Jasne, o tym wszyscy wiemy.

- I wiemy też, bo nam to powiedziano, że Stwórca wygrał tę wojnę i że Lucyfer, upadły anioł lub jak tam chcemy go nazywać, został na zawsze strącony do piekła i do ciemności. Czyli żyjemy w Królestwie Bożym.

Marta Vives przygryzła dolną wargę.

Wiedziała, że kobiety z jej rodziny, które umarły przed nią, dręczyła ta sama myśl.

- Chyba tak... - rzekła.
- Czy pani w to wierzy?
- Osoba myśląca - powiedziała Marta - to osoba wątpliwa.
- Wobec tego niech pani pozwoli, że ja, pełen wątpliwości, opowiem pani po prostu o Wielkiej Prawdzie. A Wielka Prawda jest taka, że tę wojnę wygrał Lucyfer, co zawsze przed nami ukrywano.

Marta Vives poczuła na czole kropelki potu. Oczy minionych pokoleń, oczy zmarłych, przedelfilowały przed jej żywymi oczyma.

- Proszę nie mówić, że nie myślała pani o tym czasami - szepnęła głoś.

- Jasne, że... że tak. Ale jednocześnie myślę, że Stwórca wyjaśniłby nam swoją porażkę.

- Z jednej strony powiedziałbym, że nie może. Zwycięzcy zwykle nie zabierają głosu, chociaż w tym wypadku tak nie jest. Stwórca za pośrednictwem religii chrześcijańskich powtarza nam do znudzenia, że to On przegrał walkę.

- Powtarza? Jak?

- Proszę z odrobiną uwagi przyjrzeć się symbolom. Bóg, czyli Stwórca, objawia się nam z trzema twarzami, które wzajemnie do siebie nie pasują. Nie potrafię dostrzec logicznej relacji między okrutnym i mściwym Ojcem a uległym i ukaranym Synem. Ani związku łączącego ich obu z Duchem Świętym, o którym nikt nie wie i który sam siebie przedstawia jako tajemnicę. Ludzka logika każe mi myśleć, że zwycięzca by się nie ukrywał, tylko pokazywał z absolutną jasnością. Ale te trzy osoby zrodziły pewien symbol, który może nam wszystko wyjaśnić.

- Jaki?

- Mam na myśli trójkąt, za pomocą którego przedstawia się Stwórcę zamkniętego w jego wnętrzu. Może on mieć wiele interpretacji, ale jedna z nich, dla mnie bardzo przejrzysta, to ta, że chce, byśmy zrozumieli, że jest więźniem.

Marta powiedziała zmieszana:

- Ludzie zwykle nie zwracają na to uwagi. Ja tak.
- I kobiety z pani rodziny też na to zwracały uwagę.
- Przypuszczam, że tak...
- W wielu wypadkach naznaczyło to tragicznie ich los.

Marta Vives schyliła głowę.

Głos dodał:

- Myślę, że przynajmniej wydaje się to pani rozsądną interpretacją.

- Nadal przypuszczam, że tak.
- Ale jest coś jeszcze.
- Co takiego?

- Proszę nie mówić, Marto, że nie myślała pani o tym. Nawiążę do męczeństwa na Golgocie: jeżeli nie myśli pani, że trójkąt może oznaczać, iż Stwórca jest więźniem, proszę przynajmniej pomyśleć o ukrzyżowanym Chrystusie, którego pani ciągle widzi. Jeżeli Chrystus przedstawia się jako syn Boga i w ten sposób tworzy swoją wiarygodną historię, to z konieczności trzeba też wierzyć w resztę tej historii. I cóż nam mówi? Otóż że został skazany, ubiczowany, wyszydzony i w końcu przybity do krzyża. Kolejność tych obrazów jest jasna.

- Uważam przynajmniej, że wszyscy doskonale to widzieliśmy - powiedziała.

- I to wszystko przydarza się zwycięzcom? Czy skazuje się, torturuje i uśmierca tych, co triumfują? Nie, Marto, tego nie robi się z tymi, co zwyciężają, lecz z tymi, co przegrywają. Ukrzyżowanie

jest najbardziej przejrzystym symbolem, jaki zostawił nam Stwórca, żeby nam pokazać, iż przegrał walkę.

- Ale...

- Jeżeli po bitwie widzi pani brudnego i rannego jeńca, a obok niego dobrze ubranego, uzbrojonego żołnierza, który go pilnuje, pomyśli pani, że kto wygrał bitwę?

- Oczywiście ten z bronią - szepnęła Marta - ale nie taką interpretację temu dajemy.

- A przynajmniej nie taką interpretację temu daje Kościół - rzekł jej rozmówca. - Zawsze mówiono nam o odkupieniu, a nigdy nie mówiono nam o porażce.

Cisza w pokoju, którego już nie widzieli, stała się bardziej przytłaczająca, bardziej intensywna i bardziej gęsta. Marta zdała sobie sprawę, że znowu brakuje jej powietrza.

- To najprzejrzystszy symbol, jaki mógł nam zostawić Stwórca - zakonkludował głos. - Symbol, że ową bitwę wygrał Szatan.

Marta Vives starała się zebrać myśli. Zawsze umiała to robić i jej uporządkowany umysł wszystko konkretyzował, ale tym razem nie potrafiła. Czuli, że ją to przerasta, jak czuły liczne kobiety o jej nazwisku, które może teraz patrzyły na nią, niewidoczne.

- Mówi pan o religii chrześcijańskiej - powiedziała wreszcie - ale są też inne i nie wszystkie mówią to samo.

- To prawda - przyznał mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu. - To prawda... Są inne religie, ale proszę spojrzeć na tę, która jest najbliższa Stworzeniu i z której biorą początek przekonania chrześcijańskie. Proszę spojrzeć na drugą wielką religię monoteistyczną, judaizm.

- Jak to wygląda w judaizmie?
- On też ma demona, choć w tym wypadku żeńskiego: to Lilith. Lilith była rzekomą małżonką Adama, którą zastąpiła Ewa, zajmując jej miejsce. Czyli wielką matką ludzkości jest nie Ewa, jak wierzymy, lecz ta druga. Należy przypuszczać, że doszło do walki między nimi dwiema, między demonem Lilith (któremu Żydzi przypisują dotąd zgubne moce) a Ewą, która, jak się uważa, była ulubienicą Stwórcy.

- Przypuszczam, że tak - szepnęła dziewczyna - ale tutaj teoria się wali: wygrała Ewa.

Biała głowa poruszyła się przecząco.

- Myli się pani, droga przyjaciółko: Ewa została ukarana.

W rzeczywistości była pierwszą ukaraną osobą Stworzenia, a ponadto w najbardziej okrutny i bezwzględny sposób. Przypisuje się Ewie utratę raj, oszustwo, kłamstwo, a nawet głupotę. Podobny wyrok, obejmujący też całe jej potomstwo płci żeńskiej, nie padł na żadną inną istotę myślącą. Grzech pierworodny obciążył Ewę, przeklętą na wieki wieków. A teraz proszę mi powiedzieć: czy mam myśleć, że Ewa, rozkoszne dzieło Pana, była triumfatorką?

W umyśle Marty Vives panował zamęt. Może ciemność zaczynała przyprawiać ją o zawrót głowy. Głos stwierdził z naciskiem:

- Walkę między nimi dwiema, bo dochodzi do niej, kiedy wiodą spór o tego samego mężczyznę, wygrała Lilith.

Nagle pokój wydał się Marcie ogromny, może dlatego, że nie widziała jego zarysów. A głos ciągnął dalej:

- Jest jeszcze coś.

- Jeszcze coś?

- No cóż... Stwórca, jeżeli wciąż mamy Go tak nazywać, usiłował coś zrobić. Wszyscy pokonani usiłują coś zrobić i walczyć nadal.

- A co pana zdaniem zrobił Stwórca? - zapytała Marta, tym razem wyzywająco.

- Zrobił coś logicznego, żeby móc nadal rządzić albo przynajmniej potwierdzić swoje istnienie. Przegrani, którzy usiłują wrócić do władzy, wydają manifest: Stwórca obwieścił Tablice Prawa na górze Synaj. Chciał wykazać, że nie jest martwy czy nawet zupełnie pokonany, i ogłosił kanon doktryny. Wybrał pewnego człowieka, Mojżesza, i pewien naród, żydowski, żeby rozpowszechnili tę doktrynę na cały świat. Może powiedział sobie... to hipoteza odpowiednia dla mojej złej wiary... że gniew Szatana nie przemoże całego narodu.

- Ale przecież to bardzo mały naród - stwierdziła Marta. - Zawsze mnie dziwiło, że Bóg wybrał właśnie naród żydowski.

- My tego nie możemy osądzać. Może naród żydowski był najbardziej podatny ze wszystkich. Tak czy owak to jemu zostały dane Tablice Prawa.

- O tym nikt nie dyskutuje.

- To prawda, dlatego to mówię. Mówię o faktach, o których nikt nie dyskutuje, a nie o przypuszczeniach. Chcę zwrócić pani uwagę na jeszcze dwie rzeczy.

- Słucham.

- Pierwsza: nie może pani nawet sobie wyobrazić narodu, który tak drogo za to zapłacił. Nikt nie został tak bardzo ukarany przez zwycięzcę, czyli przez Szatana, jak naród żydowski. Nikt tyle nie wycierpiał za przyjęcie testamentu pokonanego, żaden naród w swojej historii nie wycierpiał tylu nieszczęść. I to nie tylko ze strony zwycięzcy, ale również pokonanego, gdyż naród

żydowski popełnił później ten błąd, że zabił wysłannika.

Marta Vives trwała w milczeniu. Nietrudno jej było podążać za słowami swojego rozmówcy, ale nigdy wcześniej o tym nie myślała. Może teraz było jej tego wstyd.

- Ale to nie wszystko - ciągnął głos. - Powiedziałem, że są dwie rzeczy, więc przechodzę do drugiej. Tablice Prawa wymieniają serię przykazań, które streszczają doktrynę Stwórcy: nie zabijaj, nie kłam, nie cudzołóż, czcij ojca i matkę.

- Myślę, że do tego poziomu nadażam - rzekła Marta lekko urażona. - Znam to.

- Teraz proszę sobie przez chwilę wyobrazić to, co na Tablicach Prawa napisałby Szatan.

- No więc...

- Proszę mówić.

- Zabijaj, kłam, cudzołóż, nie czcij ojca ani matki.

- Właśnie.

- I co to znaczy? Niech pan sam wyjaśni - zażądała prowokacyjnie Marta.

- Proszę tylko, żeby przyjrzała się pani bezstronnie otaczającemu nas światu. Nie skończyliśmy z wojnami ani z głodem, tym katem człowieka. Nigdzie nie przestrzega się przykazania „nie zabijaj”. Przeciwnie, akt zabijania wydaje się nam coraz bardziej logiczny i rozsądny.

- To prawda... Nikt nie może temu zaprzeczyć.

- Powiedziała pani „zaprzeczyć”. Pozwoli pani, że ja będę używał słowa „kłamać”.

Marta lekko skinęła głową. Głos ciągnął dalej:

- Kłamstwo jest osią interesów, stosunków międzynarodowych

(przez Machiavellego zostało wyniesione niemal do poziomu świętości), króluje w stosunkach małżeńskich, w stosunkach handlowych, w przyjaźni, a nawet we współczuciu. Kłamstwo przynosi ulgę, prawda - nie. Kłamstwo uważane jest nie tylko za prawdziwą konieczność społeczną, lecz także za sam symbol współżycia. Z drugiej strony bez kłamstwa (a reklama jest kłamstwem) nie ma interesów. Bez zdolności do kłamstwa nikt nie stanąłby do wyborów politycznych. Pracuje pani w kancelarii adwokackiej: proszę mi powiedzieć, ile razy musiała pani kłamać przed sądem. Marta Vives znów skinęła głową, ale tym razem z pokorą.

- Przejdźmy teraz do „nie cudzołóż” - ciągnął głos. - Droga przyjaciółko, to jest najbardziej pogwałcane przykazanie Tablic.

A nawet uważane ogólnie za najgłupsze. W końcu wszystkie żywe gatunki cudzołożą... Dlaczego więc nie miałyby tego robić gatunek ludzki? Chodzi o to, że bez spółkowania nie ma potomstwa. Bez spółkowania nie można wyjaśnić istnienia dwóch płci ani nie jest możliwa nawet jakakolwiek relacja między nimi.

A bez relacji między samcem i samicą nie można nawet zrozumieć świata. Nie mówiąc już o sukcesie uczuciowym czy społecznym, jaki się w tym pojęciu mieści.

Dodał matowym tonem:

- Bez płci nie można wyjaśnić najgłębszych uczuć ludzkich.
- Tak więc Tablice Prawa nigdy się do niczego nie przydały - powiedziała Marta, przygryzając dolną wargę.
- Powiedzmy, że rozsądniejsze są te, które by napisał Szatan, a które i tak narzucił.

W pokoju, gdzie Marta Vives niemal już nic nie widziała, znowu zapadła gęsta cisza.

- Nie chcę mówić o wszystkich przykazaniach - rzekł po chwili

głos po drugiej stronie stołu - boby pani zasnęła, ale przypominę niektóre, jak na przykład „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Ludzkość stworzyła tylu bogów, że już nawet nie może ich wymienić: sukces, praca, pieniądze, rodzina, władza, nawet sztandar ojczyzny. Ludzkość stworzyła złotego cielca. Ale w rzeczywistości sukces, praca, pieniądze, władza, rodzina i sztandar, których bronimy, są sprawami całkowicie uprawnionymi i stanowią elementy, z jakich składają się wielkie postacie. Nie widzę nigdzie triumfu Tablic Prawa.

I ciągnął dalej:

- Pozwoli pani, że przejdę teraz do czci dla ojca i matki. Proszę mi powiedzieć, czy społeczeństwo bierze ją teraz pod uwagę, choć przyznaję, że za sprawą tego przykazania podporządkowano Szatana zwycięzcy. Albowiem dawniej istniały jeszcze rady starców, autorytet *pater familias* i inne oznaki szacunku. Istniała przede wszystkim tradycyjna rodzina, która zbierała pod jednym dachem kilka pokoleń pod władzą najstarszego. A teraz? Ojciec i matka są zwykłymi niemodnymi postaciami, których oczywiście nikt nie czci; najwyżej je wykorzystuje. A najgorsze jest to, że przy końcu życia te postacie bez znaczenia przeszkadzają. Organizacja społeczeństwa i przyjęta moralność zdecydowały, że będzie im lepiej w specjalnych ośrodkach, prawdziwych przedpokojach prosektoriów, gdzie przynajmniej przestaną sprawiać kłopot. A oni sami godzą się na to odosobnienie i tę przedwczesną śmierć, gdyż myślą - lub tak twierdzą - że w ten sposób ich ciało będzie trwało dłużej. Przedłużenie życia interesuje ich bardziej niż życie.

Wyblakła twarz poruszała się po drugiej stronie stołu. Była to jedyna rzecz, jaką Marta nadal widziała: gładkość skóry, ten rodzaj fosforescencji.

Nie chciała odpowiadać.

A głos kontynuował, wciąż z tym, wydawałoby się, ponadczasowym spokojem:

- Tak więc widzi pani, uczona i rozsądna kobieto, kto wygrał tę decydującą walkę i kto rządzi dziś światem. I mówię o najnowszych, niemal współczesnych czasach, mówię o doktrynie chrześcijańskiej, która kształtowała oficjalną mentalność Europy.

Jeżeli rzuci pani okiem na przeszłość (a nie wątpię, że pani to robiła), sytuacja stanie się jeszcze bardziej klarowna. Proszę pomyśleć o doktrynie Zoroastra, która rozwija się jakieś siedemset lat przed Chrystusem i mówi nam już o dwóch bóstwach, reprezentujących Dobro i Zło, z tym szczególnie, podobnym do doktryny, której nas uczono, że Dobro jest stwórcą świata. Bogiem Dobra. Jego brat bliźniak zbuntował się przeciw niemu i moim zdaniem wygrał walkę, a przynajmniej jej nie przegrał.

Proszę pamiętać, że religia Zoroastra jest religią magów, a ci mają zdolności, których nie ma nikt. Ale wyobrażam sobie, Marto, że męczę panią moimi słowami lub może napełniam panią lękiem i rozpaczą. W takim wypadku proszę odrzucić i rozpacz, i lęk. Proszę pomyśleć, że Szatan, jak wszyscy zwycięzcy, pragnie trwałego pokoju.

Dodał:

- Ten, który nie chce trwałego pokoju, jest pokonany, gdyż aby przeżyć, musi nadal walczyć. Zwycięzca nie.

Pokręciła bezradnie głową.

- Obawiam się, że niezupełnie rozumiem - powiedziała.

- Ależ z pewnością pani rozumie, moja droga. Myślę, że można mnie zrozumieć. Szatan starał się już osiągnąć pewien kompromis, który gwarantowałby coś w rodzaju spokojnego biegu świata. Usiłował zawrzeć ze Stwórcą pewien pakt.

- Jaki pakt?

- Jest to tak jasne, że figuruje nawet w doktrynie chrześcijańskiej. Otrzymuje tam nazwę „kuszenia na pustyni”. Przez ni mniej, ni więcej, tylko czterdzieści dni i czterdzieści nocy Szatan usiłował dać coś Stwórcy, a w zamian chciał, żeby jemu też coś dano, aby zaakceptowano przynajmniej rodzaj współistnienia. Nie mogę wiedzieć, co by z tego wynikło, ale Szatan poniósł porażkę. Nie doszło do współistnienia ani do ugody, tak więc Stwórca musiał prowadzić dalej swoją walkę, wyobrażam sobie, że z coraz mniejszą nadzieją, choć wspierał się na kościołach i na solidnym fundamencie wierzeń. Szatan natomiast nie opiera się na żadnej bazie doktrynalnej, jaka jest poza i ponad ludźmi. Mam wrażenie, że jej nie potrzebuje.

Głos zakończył uprzejmym przypuszczeniem:

- Mam nadzieję, że pani lęk zniknął.

- Tak...

- Ale zmęczyłem panią.

- W żaden sposób - wyszeptała Marta Vives- Proszę nie zapominać, że studiowałam nieco na ten temat i że jest pewna tradycja rodzinna, wcześniejsza ode mnie, która wywołała wielkie cierpienia. Ja się z niej wywodzę.

- Dlatego byłem zainteresowany rozmową, skoro już miałem szczęście spotkać panią w tym domu.

- Do którego przyszłam w pewnym celu - rzekła, starając się uspokoić.

- Wiem. Pozwoli pani dać sobie najbardziej bezinteresowną radę na świecie?

- Proszę.

- Niech się pani nie wstydzi swojej urody. Niech jej pani nie ukrywa. Lilith może być żeńskim demonem, ale doszła do tego,

że jest wizerunkiem kobiecości. I może pierwszą, która o nią walczyła. Niech pani nie ukrywa tego, co do pani należy, Marto. Usiłowała się zaśmiać.

- To wygląda na radę Szatana - powiedziała - która prowadzi wprost do grzechu.

Po drugiej stronie stołu też dał się słyszeć cichy śmiech. Głos wyszeptał:

- Może ja reprezentuję Zło.

Postać wyprostowała się. Półmrok niemal nie pozwalał jej widzieć, ale można było zauważyć, że nie ma wieku. Marta znowu poczuła jakiś rodzaj lęku, gdyż tym, co miała teraz przed sobą, nie był głos, lecz postać, która się poruszała, postać, która jak gdyby wypełniała ciemność.

I nagle znowu istniał tylko głos, głos, który ją uspokajał, gdyż zdawał się dochodzić z głębi jej samej lub może z głębi czasu:

- Przybyła tu pani, ponieważ od lat usiłuje dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości, czegoś o swojej rodzinie, i w końcu przyszło pani na myśl, że znalazła trop w ciemnościach tego domu. Tu mogą leżeć zwłoki, które nigdy nie opuściły tych ścian, zwłoki człowieka, który doszedł do wysokiej godności kościelnej, chociaż nigdy nie stał na czele tej diecezji. Należał do rodziny Masdéu, tej samej, która z nieznanых pani powodów opłacała niszę jednej z pani antenatek.

Marta Vives poczuła ucisk w gardle.

- Przybyłam tu - szepnęła - żeby zgłębić to, o czym nie wiem.

- Powiedziałem, że mogę pani pomóc, i zrobię to. Jeżeli chce pani otworzyć drzwi tajemnicy, musi pani tylko pójść za mną. Proszę bardzo.

36.

Dom upadłych dziewczynek

Ja, człowiek bez wieku, wydawałem się odporny na zdziwienie, ale tym razem je poczułem, bo poznałem Juana Rulla w najbardziej nieoczekiwanym i na pozór najbardziej absurdalnym miejscu na świecie: w gabinecie gubernatora cywilnego. Gubernatorem cywilnym Barcelony był wówczas pan Ossorio y Gallardo, uprzejmy i wykształcony człowiek, ekspert w sztuce polityki i prawa cywilnego. Nie wiem, czy był też ekspertem w trudnej sztuce postępowania z kobietami, ale mówiono, że wiele z nich go podziwiała. Pan Ossorio y Gallardo obiecał skończyć z bombami, które czyniły z Barcelony światowe centrum terroryzmu. Teraz jest wiele miast, które dzielą ten wątpliwy tytuł, ale mogę zaświadczyć, że Barcelona była pierwsza.

Włączyłem się do akcji, podejmując pracę na rzecz pewnej angielskiej agencji (chyba nikt nie ufał hiszpańskim policjantom), wkrótce po wybuchu jednej z bomb: tej, która eksplodowała na ulicy Boquería, zabijając kwiaciarkę na Rambli i raniąc kilka innych, co poruszyło wszystkich mieszkańców. Ludzie bowiem mogli zapomnieć śmierć jakiejś markizy w Liceo, gdzie bywało niewiele, ale nigdy nie zapomną śmierci kwiaciarki z Rambli, gdzie bywali wszyscy.

Znalazłem się wśród delegatów dzielnic. Pod nazwiskiem Temple, o nienagannym angielskim akcencie, odzieży w najlepszym gatunku i dokumentach tak dobrze podrobionych, że nigdy nie można było tego odkryć. Poza tym nikt nie sprawdzał detektywa narodowości brytyjskiej.

Ossorio y Gallardo wygłosił - pamiętam to doskonale - uspokajające przemówienie, którego sens był taki jak sens wszystkich uspokajających przemówień: Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, ale jej odwieczni wrogowie nigdy jej nie pokonają. Do tego są prawa, które należy nieubłaganie stosować. Napomknął, że dysponuje też pewną sekretną bronią, przydatną do schwytania i osądzenia przewrotnych zbrodniarzy podkładających bomby. W sumie było to przemówienie, jakie doskonale mogło być powtórzone sto lat później.

Wkrótce dowiedziałem się, że sekretną bronią gubernatora był osobnik zwany Juan Rull.

Oczywiście pan Ossorio y Gallardo tego nie wyjawiał. Zakończył swoje wystąpienie, mówiąc wprost: „Jestem przekonany, że państwo, spełniając należące do niego funkcje, bez względu na to, czy się myli, czy nie, nie może z nich zrezygnować, jeśli sprawa dotyczy wolności, spokoju i czci obywateli. Wszelkie instytucje dochodzeniowe, zbiory danych, archiwa będą wspierały tę akcję ze wszystkich sił przy realizacji specjalnego planu policji, który nie jest wprawdzie nowy, za to bardzo obiecujący. To wszystko, panowie”.

No cóż, tak naprawdę niczego nie powiedział, ale ludzie byli już do tego przyzwyczajeni.

Sam Juan Rull znajdował się wśród zebranych i kiedy wychodził, wbilem w niego to spojrzenie, które, jak mi mówiono, pochodziło z życia wiecznego. Ale on nawet tego nie zauważył.

Opierając się na tym, czego się dowiedziałem, postanowiłem iść aż do końca śladami tego dziwnego człowieka. I tak zrobiłem. I zstąpiłem do piekła.

Wiedziałem, że Juan Rull jest konfidentem gubernatora cywilnego i że jak tyłu innych bierze za to pieniądze. Gratyfikacje dla konfidentów, szpiegów i agentów prowokatorów są czymś tak zwykłym, że klasyfikuje się je w ministerstwach jako „fundusze poufne”. Ale pieniądze, które ten typek pobierał, nie odpowiadały stylowi jego życia.

Rull wydawał mnóstwo pieniędzy - zbyt wiele - w stanowiącej połączenie dansingu i kabaretu „La Criolla”, która znajdowała się w sercu Barrio Chino, wśród ulic znanych mi od wieków. Oczywiście konkretna ulica, przy której stała, była dla mnie nowa. „La Criolla” mieściła się przy ulicy Cid pod numerem dziesiątym, w miejscu, które przedtem było magazynem tkanin. Dlatego zachowała strukturę żelaznych słupów, które ozdobiono tak, jakby były palmami. Na ścianach wisiały wielkie lustra, które niczego nie odbijały, gdyż przesłaniał je dym z papierosów, pochodzący prawie w całości z gardeł homoseksualistów, którzy wyparli kobiety z ich miejsca pracy. To właśnie tu Rull wydawał każdej nocy swoje pieniądze.

Ale ponieważ ludzie zaczynają w końcu podejrzewać człowieka, który wydaje, a nie pracuje (choć nasza kultura społeczna podsuwa tu wiele wyjaśnień), Rull stał się bardziej przezorny i swoim nowym miejscem rozrywki uczynił pewien dom publiczny przy ulicy Roca, po lewej stronie (jeśli iść w górę niej), na pierwszym piętrze, niemal w cieniu kościoła Del Pino.

Opiszę dokładnie ten dom kobiet, bo bardzo dobrze go poznałem.

Prawie naprzeciwko wejścia był salon z balkonem wychodzącym na ulicę (zawsze zasłoniętym żaluzją), gdzie czekały kobiety. Eksponowały się na długiej brązowej ławie stojącej przy ścianie, gdzie siadali też potencjalni klienci. Wychodząc z tego salonu, nieco w prawo, widziało się korytarz, wzdłuż którego znajdowały się pokoje. Pamiętam, że było ich cztery, z których jeden też miał balkon wychodzący na ulicę. Ale nigdy nie wpadało tam słońce i gęstniały cienie.

Myśle, że te cienie oddychały, znały te kobiety i kpiły sobie z ich fałszywych jęków rozkoszy. Oczywiście kpiły też ze złorzeczeń niektórych klientów. Przyznaję, że to miejsce było jednym z najbardziej żywych, jakie widziałem, z wyjątkiem lupanaru, w którym się urodziłem.

Juan Rull organizował w tym domu festyny z kobietami i winem, to znaczy święta wielkiego postu. Kiedy z pobliskiej restauracji przynoszono tace z jedzeniem, kazał prostytutkom się rozbiierać, a potem następowała cała reszta. Czasami udawało mi się ukryć w domu, gdyż miałem tę zaletę, że byłem podobny do cienia. Nieraz jakaś kobieta, przechodząc, ocierała się o mnie, ale zupełnie nie dostrzegła mojej obecności.

I tak usłyszałem rzeczy, które pozwoliły mi zebrać fakty, bo nie na darmo byłem jedyną osobą, która mogła znać wszystkich barcelończyków, nie wyłączając zmarłych.

Dowiedziałem się wtedy, że Rull prowadzi przewrotną podwójną grę, równie zuchwałą co makabryczną. Brał pieniądze, żeby przeszkodzić w podkładaniu bomb, ale gdyby nikt ich nie podkładał i zapanowałby spokój, przestano by mu płacić, czyli by

go zwolniono. Na swój sposób był człowiekiem interesu, przedsięwzięciem.

Tropił go również pewien policjant, rutyniarz, ale przebiegły, o nazwisku Tressols. W jednej raczej żalobnej tawernie przy ulicy Guardia powiedział mi, że jego Rull nie wyprowadził w pole, chociaż nikt mu nie wierzył, kiedy usiłował go oskarżyć.

Jednak ani Tressols, ani ja nie byliśmy osamotnieni w naszych podejrzeniach. W Café Español na Paralelo, o rzut kamieniem od koszar Atarazanas, poznałem Alejandra Lerroux, który w owym czasie wygłaszał buntownicze przemówienia, wzywając lud, aby zajął klasztory i przeobraził zakonnice w matki, bez względu na cały trud, jaki musiało to oznaczać. Otóż Lerroux, którego nazywano wówczas „cesarzem Paralelo”, wyznał mi swoją myśl pewnej dżdżystej nocy lśniących brukowych kostek. Powiedział mi, że wszystkie bomby zostały umieszczone na niedługim odcinku wzdłuż Rambli. Tę, która wybuchła w pisuarze na Rambla de las Flores, od tej, której eksplozja nastąpiła w zakładzie balwierskim na Rambla del Centro, nie dzieliło nawet sto metrów małych przecznic. Jak to możliwe, żeby władze nie miały ich pod ścisłą kontrolą? Chyba że bomby podłożyli sami dozorujący.

Jednym z dozorujących był Juan Rull.

Idąc po jego śladach, poznawałem zakątki, które wcześniej nie istniały, zakątki tej gorzkiej, a jednocześnie cudownej Barcelony, która nagle zdawała się tracić nadzieję. Ulice wrzały, nierówności powiększały się i w powietrzu można było wyczuć to, co później miało się stać Tragicznym Tygodniem. Jak się dowiedziałem, Rull był dobrze chroniony, gdyż działał na kilku frontach. Znał wielu bogatych kupców, którym dostarczał tajne raporty, bo naprawdę wszystko wiedział. Kiedy usiłował szantażować jednego z nich,

wykrył, że pozyskuje on dziewczynki, korzystając z usług siatki zajmującej się deprawowaniem nieletnich. Interes rozwijał się na jednym z najbardziej niedostępnych krańców miasta, przy ulicy Alfonsa XII, a kierowała nim pewna zacna wdowa, znana jako pani Blajot. Z obawy, że Rull wykorzysta te informacje, wielu bogatych ludzi nie ośmielało się zaatakować go otwarcie.

I tak Rull stawał się coraz silniejszy.

Oczywiście ten typ też był klientem domu, którego sekrety znał tak doskonale. Poszedłem za nim do tego miejsca, a nawet pewne. Je raz wślizgnąłem się do środka; pozwolił mi na to przywilej bycia tym, czym zawsze byłem - cieniem.

Były tam pokoje wychodzące na melancholijny ogród. Korytarze z czerwonymi firankami i bardzo białe drzwi. Dwie klatki z dwoma ptakami, które kochały się na odległość. Dziewczynki płaczące przy matowych szybach. Poznałem jedną z nich, Anitę. Zdarzyło się to w wewnętrznym ogrodzie, kiedy nikt jej nie pilnował, kiedy nie było słyhać nic oprócz szmeru fontanny i lekkiego drżenia liści wierzb.

Anita powiedziała mi, że jest tu za wiedzą swoich rodziców, którzy chcieli, żeby zarobiła dość na wykupienie jej brata. Wykupienie nie oznaczało wyciągnięcia go z więzienia, tylko uwolnienie od wojska.

W owych czasach w naszym egalitarnym kraju bogaci mogli uwolnić się od obowiązkowej służby wojskowej - a tym samym od wojny - płacąc państwu pewną kwotę. Wielu rodziców, nie chcąc, aby ich synowie zginęli, oszczędzało na to przez całe życie. Istniały nawet towarzystwa ubezpieczeniowe, które wprowadziły w tym celu specjalne polisy. Pobierały opłaty i dodatkowe gratyfikacje stanowiące ich zysk, ale jeżeli syn umierał, nie osiągnąwszy wieku

poborowego, zwracały pieniądze. Reasumując, w chwalebnych wojnach kolonialnych kraju walczyli tylko biedacy.

Nie dziwiło mnie to, bo obserwowałem to przez wieki: szlachta tworzyła oddziały zaciężne ze swoich sług i wysyłała je na śmierć. Jeżeli przychodziło zwycięstwo, było to zwycięstwo szlachcica. Jeżeli przychodziła klęska, oznaczało to, że słudzy nie walczyli dobrze. I jeżeli przychodziła śmierć, słudzy stawali się przydrożnym prochem.

Nie tylko to widziałem. W organizacji społecznej, która mnie otaczała, syn był jedynym ubezpieczeniem na życie dla starych rodziców, córki zaś prawie się nie liczyły. Osobliwe było to, że biedna Anita zarabiała pieniądze, a jej brat nie robił nic, ale nie sądzę, żeby dziewczynka - wśród czerwonych firanek i białych drzwi - zasłużyła na jakąkolwiek wdzięczność.

A więc ostatnie dni Juana Rulla rozegrały się tam, w tym domu zakazanej miłości. Poszedłem za nim jeszcze raz i ukryłem się na przyległej posesji. Było spokojne, pogodne popołudnie, oddające się ulotnym snom, jedno z tych, które poeta Joan Maragall, mieszkaniec tej dzielnicy, poświęcał na pisanie wierszy.

To tego popołudnia wybuchła bomba.

Eksplozja wstrząsnęła domem. Posypały się szyby, zatrzęsły ściany i raptownie otworzyły się drzwi. Przestraszone nagie dziewczynki wzywały swoich rodziców, a rozważni nadzy mężczyźni wzywali swoich adwokatów. Pani Blajot zaczęła krzyczeć.

I ku mojemu zaskoczeniu - bardzo względnemu - zobaczyłem, że jednym z mężczyzn, którzy usiłowali stamtąd uciec, jest Juan Rull.

Juan Rull, ten, który podkładał bomby.

Ale tej nie mógł umieścić on, bo stałby się jedną z ofiar, a poza tym widziałem, jak wchodził do domu bez żadnego podejrzanego pakunku. Był to jeden z zamachów, o którym prasa barcelońska mówiła najmniej. Co wydawało się naturalne, gdyż w grę wchodziło zbyt wiele interesów i zbyt wiele pieniędzy.

To było powodem, że dopiero później poznałem prawdę. Pewna prostytutka z ulicy Roca śmiertelnie się w Rullu zakochała, do tego stopnia, że stała się jego współniczką i przechowywała mu bomby. I jedną z nich przydźwigała do domu publicznego w San Gervasio, nie mogąc znieść, że Rull ma miłostki z innymi. Ale artefakt, którym chciała rzucić w zbrodniarza, wybuchł jej w rękach.

Szczałki kobiety, jej krew, jej wnętrzności, jej zagubione myśli pokryły ściany tego przeklętego domu. I Anita padła w progu na kolana. Anita, która została już pożarta przez miasto, zamknęła oczy i zaczęła się modlić w nadziei, że ktoś ją usłyszy z drugiego świata.

I może ktoś ją usłyszał, bo to był koniec Juana Rulla. Odkryto wszystko, mówiono w sądzie o wszystkim (oczywiście z wyjątkiem zdeprawowanych dziewczynek), a gubernator cywilny i policja uruchomili sprężyny, żeby prokurator zażądał tego, co logiczne: kary śmierci.

Był to jedyny raz, kiedy żałowałem, że już nie jestem pomocnikiem kata.

Trybunał Barcelony mieścił się wówczas w pałacu Deputacji Prowincjonalnej, który później stał się siedzibą Generalitat Katalonii. Obie instytucje, Trybunał i Deputacja, dzieliły budynek.

Do Deputacji wchodziło się głównymi drzwiami, otwierającymi się na Plaza de San Jaime, a do Trybunału drzwiami od ulic Obispo i San Honorato, które są po przeciwnej stronie pałacu; z tych ulic można było wejść na wspaniałe gotycki dziedziniec.

W czasach gdy działo się to wszystko, w Barcelonie wstrząsanej bombami, Trybunał składał się tylko z dwóch sekcji, pierwszej i drugiej, która była mniejsza. Kiedy do sekcji drugiej kierowano bardzo ważne procesy, jak proces Rulla, przyciągające całą prasę i prawdziwe tłumy, które musiały czekać na ulicy - zamieniano wówczas sale.

Wszystko tam było stare - poza tym, że „starożytne” - w owych salach z wyściełanymi na czerwono meblami, z przeżartym przez lata aksamitem, zniszczonym i brudnym, ze ścianami pokrytymi gobelinami, które - owszem - były cenne i zostały później przeniesione do Pałacu Sprawiedliwości. Może sama starość otoczenia przybierała sprawiedliwość w jakąś maskę, która narzucała jednocześnie strach i szacunek.

Stół prezydialny, w celu nadania większego majestatu czynnościom sądu, stał pod baldachimem. Widać było tylko twarze sędziów, gdyż fotele się zapadały. Sączące się przez okna światło było ołowiane, martwe, przetrawione przez uliczki Barcelony.

Juan Rull otrzymał oczywiście najwyższy wymiar kary. Nie było dyskusji.

I skazano go na garotę, kunszt zabijania, w którym ja stałem się ekspertem, chociaż nie mogłem się tym przed nikim pochwalić. Ale egzekucja nie odbyła się publicznie, gdyż władze uznały, że te spektakle są zbyt potworne. Skończyły się egzekucje w obecności tłumów, które przez pewien czas stanowiły część mojego

życia, skończyło się Patio de los Cordeleros, wystawianie zwłok na widok publiczny, skończyły się też obrazy Ramona Casas*.*

Ramón Casas (1866-1932) - kataloński malarz modernista; jego obraz przedstawiający egzekucję za pomocą garoty uzyskał jedną z głównych nagród na wystawie w Monachium w 1901 roku.

Juan Rull był pierwszym człowiekiem straconym na dziedzińcu Cárcel Modelo, nowego więzienia przy ulicy Entenza, które wtedy było niemal wytworne, dopiero co otwarte, a które lata przekształciły w gnojowisko. Wraz ze śmiercią Rulla i przerwaniem zamachów Barcelona moich sekretów kończy jedną ze swoich epok.

Było to dla mnie coś jak koniec piekła, koniec wszelkich niespodzianek, które następowały po sobie w moim życiu i o których nie mogłem z nikim rozmawiać.

Ale nie był to koniec, lecz początek.

Ja jeszcze o tym nie wiedziałem.

37.

Wyznanie

- Proszę pójść za mną.

Nie był to rozkaz, lecz zaproszenie, które zdawało się dochodzić ze wszystkich stron, jak podmuch powietrza. Marta Vives wstała, odrywając palce od mahoniowego stołu. W tej chwili poczuła się sama i zagubiona, jakby przestała należeć do świata.

Teraz, kiedy znikła ta blada twarz, nie widziała już nic.

- Proszę iść za mną, opierając się o ściany - rzekł głos. - Niżej znajdziemy światło.

„Niżej”.

Marta Vives, chociaż wchodziła do wielu zapieczętowanych pomieszczeń, poczuła suchość w ustach.

- Plany tego domu znajdują się w Ratuszu - wyjaśnił głos o krok przed nią - toteż uważane są za poprawne. Ale trzeba znać stare miasta, żeby zrozumieć, że są błędne.

- Co pan ma na myśli?

- Pod tym domem stoi drugi, z którego pozostały tylko ruiny. Wie pani równie dobrze jak ja, że miasta żywe wznoszą się na miastach martwych. Kiedy dojdziemy do stojącej przy wejściu ściany, zobaczy to pani.

Rzeczywiście, promienie ostatniego światła z podwórka ukazywały ścianę wytapetowaną zgodnie z normami dobrego gustu

sprzed dziewięćdziesięciu lat, chociaż z tapety pozostawały tylko strzępy. Marta poprzednio nie zwróciła uwagi na tę ścianę, bo wydała jej się najbardziej naturalna na świecie i była to jedna z takich ścian, których się nie dostrzega. Ale dłonie Temple'a prześliznęły się po niej.

- To fałszywa ściana - powiedział głos. - Wzniesiono ją przed wielu laty, żeby odgrodzić się od odnogi kanału, która była gniazdem szczurów. Ta odnoga nie należała do tego domu, ale do domu, który wcześniej zajmował to miejsce i który teraz jest pod naszymi stopami. Mam nadzieję, że nikt nas nie usłyszy, jeśli zrobimy trochę hałasu.

Rozejrzał się za czymś i po chwili podniósł żelazny pręt. Nie trudno tu było coś takiego znaleźć. Dom pełen był różnych szpar-gałów, dzięki czemu władze miejskie uniknęły jego rozbiórki.

Ale Marta nie pozwoliła mu się nim posłużyć. W głębi suchości swoich ust miała jedno pytanie.

- Skąd pan o tym wie? - wybełkotała.

- Bo byłem w tym domu, zanim zbudowano tę ścianę.

Uczyniła gest zdumienia.

- Ale...

- Proszę o nic nie pytać.

I uderzył dwukrotnie w ścianę. Siła tego człowieka była ogromna, podobnie jak zdolność odnalezienia najślabszego punktu ściany. Uderzenia z pewnością dały się słyszeć w obu sąsiednich domach, ale nikt nie zwrócił na nie uwagi. Zbyt często bywali tu miejscy technicy.

Marta niemal nic nie widziała, ale zdołała dostrzec otwór w ścianie. Chociaż nie był zbyt duży, można się było przez niego przesunąć. W powietrzu wisiały strzępy tapety.

- Kiedy przejdzie pani przez ten otwór - szepnął głos - proszę wyciągnąć ręce, a natrafi pani na ścianę główną. Niemal natychmiast zaczyna się dziesięć kamiennych schodków, które, jak przypuszczam, muszą być bardzo śliskie. Proszę uważać i nie bać się szczurów. Odnoga kanału została zamknięta dawno temu.

Marta poszła za jego wskazówkami, zagłębiając się w świat, który teraz rzeczywiście był utworzony z ciemności. Wyciągnęła ręce i napotkała lepką ścianę. Z trudnością zachowując równowagę, wysunęła prawą stopę i odnalazła pierwszy stopień.

- Proszę stawiać obie stopy na każdym stopniu - podpowiedział głos - i schodzić bardzo powoli. Proszę pamiętać, że jest ich dziesięć. Przy końcu będę na panią czekał i oprze pani dłonie o moje plecy.

Marta Vives tak zrobiła.

Stało się coś, co nie zdarzyło się jej nigdy: włosy stanęły jej dęba na karku.

I doszła do końca. Tam czekały na nią plecy, o które oparła obie dłonie. Nie bała się, ale dotykając ich, poczuła niepokój.

- Teraz pójdę do końca. Po drodze nie ma żadnych przeszkód. Jeżeli pani chce, może nadal opierać się na moim ramieniu.

Odległość nie była wielka, choć Marcie Vives wydała się nieskończona. Nawet archeolog, jak ona, mógł pomyśleć, że już nigdy stamtąd nie wyjdzie. W głębi słychać było cichy szmer wody.

Głos ją uspokoił:

- Proszę się nie dziwić. Pod Barceloną, która żyje, jest kilka Barcelon, które umarły, ale których nikt nie bada. Nie zburzą ulicy pełnej mieszkańców, żeby odkryć jakąś starą świątynię. Podobnie pod Watykanem, który znają wierni, jest inny Watykan, znany tylko papieżom.

W końcu doszli do czegoś, czego Marta nigdy wcześniej nie widziała. Trzasnęła zapalka i natychmiast potem pojawił się płomyczek. Niemal obok niego ukazały się dwie pochodnie. Bardzo blade dłonie - nagle wyrosłe znikąd - zapaliły jedną z pochodni, które wyglądały tak, jakby nie były zapalone przez całe stulecie.

I Marta Vives uniosła dłonie do ust, żeby nie krzyknąć. Znajdowała się w niewielkim kamiennym pokoju, który w rzeczywistości był kaplicą pogrzebową. Na posadzce leżał gruz.

- Dawniej to było zamurowane - rzekł głos - ale cienka ścianka musiała się rozpaść od wstrząsów, kiedy obok budowano nowy kanał. Dawni mieszkańcy domu sądzili, że wszystko kończy się na tej ścianie.

Marta nie słuchała wyjaśnień. Nie obchodziły jej. Stała zdumiona przed czymś, co wyglądało na katafalk ze spróchniałego drewna, tak podziurawionego, że zdawało się niemożliwe, by konstrukcja mogła się jeszcze trzymać. Na niej spoczywały zwłoki, a raczej to, co kiedyś było zwłokami.

Nie przetrwało z nich nic prócz strzępów paramentów kapłańskich, jakich używa się do odprawiania mszy. Materia została zjedzona przez szczury, których małe szkielety zaścielały posadzkę. Bez wątplenia gryzonie zdechły, kiedy przed wielu laty odcięto odnogę kanału i zamurowano otwory prowadzące do tego sekretnego pomieszczenia.

Marta zaledwie zwróciła na to uwagę. Patrzyła wyłącznie na zmarłego, który tam leżał i który był tylko szkieletem pod strzępami tkaniny. Ale nawet szkielet był pogryziony przez szczury. Pozostały tylko kształty, resztki czegoś, co kiedyś było piękne, jamy, które wydawały się oknami donikąd, zęby wykrzywione w czymś, co wydawało się...

- Uśmiechem...?

Mężczyzna o bardzo bladej twarzy zdawał się poruszać po znanym terenie. Nie zmienił się zupełnie na twarzy. Przesuwając się na bok, żeby Marta mogła wszystko lepiej zobaczyć, wyszeptał:

- Przedstawiam pani biskupa Masdáu. Nigdy nie sprawował mandatu w Barcelonie ani w jakiegokolwiek diecezji; miał jedno z tych honorowych biskupstw, które należą do początków Kościoła: miasta na Bliskim Wschodzie, z których tylko pozostały ruiny. W rzeczywistości biskup Masdáu był odsunięty od wszystkiego. Uważano go za szaleńca, jeśli nie za heretyka. Ale heretyka, którego nikt nie rozumie.

- Co pan ma na myśli?

- Włóczył się po ulicach w sutannie, obcował z biedakami. Odwiedzał cmentarze, a czasami znikał na rok lub dłużej. To było powodem, dla którego, kiedy umarł, jego zwierzchnicy pomyśleli, że gdzieś przepadł. A w rzeczywistości przez cały czas był tutaj, w pobliżu katedry, w domu, w którym chciał umrzeć.

Marcie wydało się, że dobrze nie rozumiała.

- Chciał umrzeć? - szepnęła.

- Tak.

- Ale pan go zabił...

- Tak.

- Jak mógł pan to zrobić... tyle lat temu? Minął czas, jaki... jaki...

Twarz wydawała się coraz bledsza.

- Prosiłem, żeby mnie pani o nic nie pytała.

Marta poczuła, że drżą jej kolana sportsmenki. Światło pochodni zdawało się wirować po całym pokoju. Jej mózg też zdawał się wirować, o mało nie straciła równowagi.

- Proszę się oprzeć o ścianę - doradził głos. - I oczywiście proszę się nie bać.

- Nie... nie boję się.
- Ale myśli pani o wielu rzeczach, zbyt wielu rzeczach.
Zaledwie zdołała wymamrotać:
 - Tak...
 - Na pewno jednym z tych pytań jest to: jak mogłem zabić tego człowieka przed tylu laty, tylu, że nie można ich zmieścić w ludzkim życiu. Ale powtarzam, że o to nie może pani pytać.
Prawdopodobnie by mnie pani nie zrozumiała.
Widząc, że Marta tylko lekko porusza głową, głos ciągnął dalej:
 - Nie powinna pani zwracać uwagi na kalendarze. Życie ma wiele rozmaitych sensów, zbyt wiele, żebyśmy je mogli w całości rozumieć.
 - Ale powiedział pan, że zabił biskupa Masdému... Dlaczego?
 - Zabiłem go, bo mnie o to prosił... Poza tym znam sposoby, które pozwalają ofierze uniknąć cierpienia w chwili śmierci.
Marta wolała nie pytać, jakie to sposoby. Nie była nawet w stanie ich sobie wyobrazić. Wymamrotała:
 - Dlaczego o to prosił?
 - Czuł taką skruchę, że nie chciał żyć, ale nie był zdolny do samobójstwa. A ściślej mówiąc, biskup nie odbiera sobie życia, choćby przez innych postrzegany był jako szaleniec. Wolał dać się zabić.
 - Czy mówi pan... o eutanazji?
 - Może to pani tak nazwać. Ja wierzę w eutanazję i biskup Masdému też w nią wierzył.
 - Ale Kościół nie.
 - Kościół się myli i w końcu ustąpi. Czyściec, jak się wydaje, istniał i już nie istnieje. Zmartwychwstanie ciała istniało i dlatego zabroniona była kremacja. Dziś kremacja jest dozwolona, a nawet

stanowi jakąś formę poetycką, żeby tak się wyrazić, zachowania ciała. Pewnego dnia Kościół ustąpi też co do idei piekła, o którym, z drugiej strony, istnieją bardzo niepewne referencje. I chodzi o to, że piekło jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, a nawet z instynktem zemsty.

Marta wolała nie otwierać ust. Była zafascynowana tym głosem, ale przede wszystkim fantastycznym, tajemniczym, nieznanym podziemnym światem. Wydawało jej się niemożliwe, że pod starymi ulicami Barcelony istnieje inna rzeczywistość.

Ale istniała.

Poza tym idea piekła była też zgodna z jej opinią i to zaćmiewało jej myśli. Wydawało się nieprawdopodobne, że „jej” prawda może być wyrażona tak jasno. Gdyż od dziecka miała swoją własną ideę piekła, ideę bez wątpienia heretycką, której teraz nikt jej nie zabraniał. Jej antenatki może myślały tak samo, ale im było to zabronione. A za nadmiar myśli płaciło się śmiercią.

Zawsze tak myślała. Gdyby dostała w swoje ręce najgorszego potwora świata, człowieka, który by zgwałcił, a potem zamordował jej córkę, wysłałaby go w ogień wieczny. I przez pierwsze dwadzieścia lat, słuchając jego krzyków, wznosiłaby toasty za jego zdrowie i prosiła, żeby krzyczał jeszcze głośniej. Ale po trzydziestu latach zaczęłaby myśleć, że może już ma on dosyć. A po pięćdziesięciu narzuciłaby sobie stopniowo jakieś poczucie miłosierdzia. I po sześćdziesięciu pomyślałaby, że już wystarczy, i wydostałaby wroga z piekła. I to wszystko myślała ona, istota ludzka pełna niedoskonałości. Jak doskonały Bóg nie mógł czuć nawet tego? Jak mógł karać wiecznością za grzech, który czasami polegał na bluźnieniu czy opuszczeniu mszy?

Ten nieznajomy myślał tak samo, a odnosiło się wrażenie, że wie wszystko.

Czuła na sobie jego spojrzenie, które od pierwszej chwili wydało jej się poza czasem. W końcu wykrztusiła:

- Dlaczego pokazał pan to... właśnie mnie?

- Bo jest pani ostatnim ogniwem długiego łańcucha. I miałem nadzieję, że zdołam spotkać się z panią sam na sam i porozmawiać.

- Nie rozumiem.

- Są rody, które myślą - wyszeptał głos - i to uczyniło z nich rody przekłete. Niektóre z tych rodów wywołały wojny religijne, schizmy, herezje, wątpliwości, które przechodziły z rodziców na dzieci. Wszystkie za to drogo zapłaciły. I jeżeli mówię o pewnych rodach, mam na myśli konkretnie ród pani, ród Vives.

Marta znowu się zawahała. Nie mogła mówić. Ale głos ciągnął dalej:

- Pani ród był świątły. Nie mogę powiedzieć, czy to dobrze, czy źle, ale był to ród ludzi, którzy myśleli. A ponadto odczuwali z tego powodu pewną dumę, czego dowodzi fakt, że stworzyli rodzaj zamkniętego i niemal sekretnego koła. A kiedy się pobierali, praktykowali endogamie.

Marta przytaknęła. Dobrze wiedziała, że to prawda.

- Proszę pomyśleć o niektórych z tych swoich antenatek - ciągnął głos. - Niedawno miała pani kontakt z czymś, co należało do jednej z nich.

- Z czym?

- Powinna pani pamiętać. Był to krzyż z brązu.

Zdołała tylko powiedzieć:

- Tak...

- Kobieta, która go miała w grobie, została stracona za herezję

w średniowieczu - które teraz wyda się pani bardzo odległe, ale które dotąd naznacza nasze życie - a ponieważ była wierząca, mogła zostać pochowana z krzyżem. Nie chcieli dać jej krzyża należącego do wszystkich, tylko coś w rodzaju znaku pogańskiego. Widziała go pani: to coś podobnego do tego, co Niemcy nazywali krzyżem żelaznym. Rabusie zbezczeszcili ten grób. Nie była to poświęcona ziemia, choć leżała blisko romańskiej świątyni Sant Pau del Camp.

Marta doskonale o tym wiedziała i ta wiedza była jej torturą. Dlatego jedynie przytaknęła, podczas gdy głos mówił dalej:

- Według dawnych historii córka tej kobiety została zamordowana. Była bardziej zatwardziałą heretyczką niż jej matka, a ponadto pulsowała w niej chęć zemsty. Mogła zostać spalona żywcem, ale uniknęła tego. Zabito ją, a raczej zamordowano, w inny sposób.

- Kto to zrobił?

- Ja wiem - rzekł głos.

- Więc proszę mówić...

- I na co się to pani przyda? Czyżby przechowywała pani w sobie pragnienie zemsty za coś, co wydarzyło się przed tylu laty? Proszę, żeby w tej kwestii też mnie pani o nic nie pytała.

- Któraś dnia będzie pan musiał mi odpowiedzieć.

- Może sama się pani dowie... Ale to nie ja pani powiem, z mojego dystansu. Poza tym ten, kto to zrobił, uważał, że wypełnia swój obowiązek.

- Więc proszę podać mi jakieś nazwisko, cokolwiek... Proszę nie zapominać, że jestem historykiem.

Głos ciągnął, jakby nie słyszał tych ostatnich słów:

- Powiedzmy, że pani rodzina, pani ród, Marto, praktykowała pewne rytuały satanistyczne. Rytuały satanistyczne, jak boskie,

są niezmiernie dawne, a tym samym godne szacunku. Patrząc na to z mojego ogromnego dystansu, można by nawet powiedzieć, że pani ród miał kontakty z Szatanem. Marta zaprotestowała:

- Może pan mówi o histerii i halucynacjach. Nauka dokładnie badała te sprawy.

- Może każda wyższa myśl - rzekł, podchodząc do zwłok - zwłaszcza myśl religijna, dotknięta jest histerią lub halucynacją, ale często ta myśl najbardziej zbliża się do prawdy. Mogłaby pani dać temu bardzo znane określenie: intuicja. Ale powtarzam: pani ród miał kontakty z Szatanem i stąd bierze początek długi łańcuch śmierci, zawsze zadawanych ręką, która wierzyła, że spełnia swój obowiązek. Może mi pani nie wierzyć, ale nie przyprowadziłbym pani tutaj, do tej otchłani czasu, po to, żeby kłamać. Poza tym miała pani dowód na te kontakty z Szatanem.

Marta Vives znowu poczuła oszołomienie.

Nie pamiętała niczego i dlatego energicznie pokręciła głową.

- Nie pamięta pani?

- Nie...

Można było dostrzec kpinę w głosie, kiedy dodał:

- Mały klejnocik... Łańcuszek.

Marta szeroko otworzyła usta.

Nagle zrozumiała.

- Ten łańcuszek - wyjąkała - którego śladu poszukiwali Masdáu...

- Widziała go pani.

- Widziałam... jego rysunek.

- Ale łańcuszek istniał. I istnieje.

- Co takiego?

- Istnieje.

Marta Vives oparła się o jedną z kamiennych ścian pokoju, gdyż w przeciwnym razie pewnie upadłaby na zwłoki. Sama myśl o tym przepełniła ją niezmierną grozą. Płomień pochodni mógł lada chwila zgasnąć i pozostawić ją znowu w ciemności.

Głos mówił dalej:

- Pokazał go pani projektant biżuterii o nazwisku Masdáu. Nie muszę pani mówić, że jest on potomkiem krewnych tego oto trupa.

Marta, która myślała, że już do wszystkiego przywykła, nie ośmieliła się nawet na niego spojrzeć.

- Wiem, że mnie pani rozumie, Marto. Masdáu, projektant, nigdy nie widział tego klejnotu, ale otaczała go legenda i dlatego nie ustawał w poszukiwaniach. W pewien sposób pani także go szukała, bo jest pani znawczynią klejnotów, jakie nosiły damy ze starych obrazów. Klejnoty zawierają w sobie historię i przypięta jest do nich skóra osób, które już nie istnieją. Pani nigdy nie będzie bogata, ale je kocha. Wie pani, że zachowują one na zawsze okruchy życia.

Marta musiała zamknąć oczy.

To była prawda.

I uniosła powieki dopiero wtedy, kiedy łagodny głos podjął:

- Masdáu wiedział i wie, że ten delikatny łańcuszek jest związany z Szatanem.

- Ale nie jest wartościowy - zaoponowała. - W jakimś sklepie jubilerskim zaledwie zwróciłby uwagę. Dlaczego interesuje profesjonalistę tej kategorii co on?

- Z dwóch powodów.

- Jakich?

- Jednym jest jego rysunek: jest to łańcuszek niemal niemożliwy, bo ogniwa nie podtrzymują się wzajemnie. Nie są zamknięte.

Można by sądzić, że ów klejnot nigdy nie wyszedł poza fazę projektu czy pomysłu. Masdéu jednak chciał go wykonać.

- I...?

- Nie udało mu się. Ogniwa w kształcie szóstek nie trzymały się dobrze i łańcuszek się zrywał, kiedy ktoś obracał go w palcach. W rzeczywistości istnieje tylko jeden taki klejnot i wydaje się, że nie jest dziełem ludzkich rąk. To jest obsesją Masdéu, który zna tradycję pani rodziny i zawsze usiłował panią odnaleźć.

Marta przypomniała sobie swoje odwiedziny u Masdéu, projekt, który on narysował, pytania, które jej zadawał i których wtedy może nie rozumiała. Znowu ją ogarnęło niepokojące wrażenie czasu.

Rwącym się głosem spytała:

- Czy to on ukradł fotografię mojej matki?

- Tak. Na wypadek, gdyby go miała na sobie.

- A cóż to go obchodzi? - zapytała dziewczyna nieswoim głosem.

- To drugi z jego powodów.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Nie muszę pani mówić, że wśród rozlicznych zabobonów figuruje ten związany z cyfrą sześć. Przez wieki uważano szóstkę za cyfrę Szatana.

- To nie żadna tajemnica. Przypuszczam, że należy do bezpodstawnych tradycji, ale ta tradycja istnieje, to prawda.

- I nie przykłada pani do niej znaczenia.

- Nie.

- Ale może by pani je przykładała, Marto, gdyby miała pani obsesję na punkcie Szatana. I może powinna pani ją mieć, a może w głębi ją pani ma, gdyż pani przodkowie byli w jakiś sposób z nim związani. Przynajmniej wierzyli w jego moc albo odczuwali

wobec niego jakieś ludzkie zainteresowanie. I dlatego, z biegiem lat, byli zawsze ofiarami.

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

- Pani rodzina, Marto, zawsze należała do ofiar i pani sama w dowolnej chwili może się nią stać. Proszę sobie teraz wyobrazić, że zamiast należeć do gałęzi ofiar, należy pani do gałęzi katów.

- Nie rozumiem.

- Przecież wyrażam się jasno. Katów! Jeżeli osoby z pani rodziny, zwłaszcza kobiety, były przez wieki prześladowane czy mordowane, ktoś musiał je prześladować albo mordować.

- Rodzina Masdéo.

Marta Vives znowu się zachwiała, znowu miała wrażenie, że zaraz upadnie na trupa.

- Ale dlaczego? - wyjąkała.

- Chrześcijanie wierzą, że Szatan jest bezwzględny wrogiem Boga.

- Wiem.

- I niektórzy z tych chrześcijan są fanatykami i zabijają tych, których uważają za opętanych przez Szatana. Nie muszę dodawać, że to fakt tak naturalny, iż powtarzał się w historii miliony razy. Ci, co nie byli posłuszni Bogu, musieli być wyeliminowani. Wraz z nimi umierał też bezwzględny wróg. Jeżeli opowiem o prześladowaniach ze strony Kościoła, o stosach i autodafé, o Inkwizycji, nie będą pani potrzebne inne dane historyczne.

Marta wiedziała, że nie może odeprzeć tych słów, ale brakowało już jej tchu.

- Zaczął pan mówić o rodzinie Masdéo...

- Rzeczywiście. Tworzyli oni, albo tworzą, ród całkowicie przeciwny pani rodowi, rodowi z gałęzi Vives, do którego pani

należy. Masdéu byli zawsze fanatykami Boga i uważali za swój obowiązek pomagać Mu poprzez zadawanie śmierci.

- Ale dlaczego?

- Może dlatego, że są rody, które nie myślały tyle co pani ród. I zachowały fanatyzm oparty na czymś, w co ślepo wierzyły.

- W co?

Głos powiedział tylko:

- Wierzyli w Posłuszeństwo. Jeżeli będzie pani kiedyś pisała to słowo, niech je pani napisze dużą literą: Posłuszeństwo.

Marta usiłowała się skupić, ale nie mogła. Lepiej było pozwalać się nieść głosowi. Mimo wszystko zrobiła gest świadczący, że nie rozumie.

- Wiele rzeczy, tych najważniejszych, opiera się na Posłuszeństwie, które prawie zawsze jest irracjonalne. A jest takie dlatego, że wyklucza wszelką dyskusję. Na przykład wojsko. Na przykład duchowieństwo. Na przykład Bóg.

- Bóg?

- Bóg, którego pani zna, opiera się na Posłuszeństwie. „Musimy” w Niego wierzyć i szanować Go. Proponuje nam tajemnice, a my „musimy” je zaakceptować. Narzuca nam przykazania, a my „musimy” je wypełniać. To, co nazywamy historią świętą, pełne jest takich rzeczy: na przykład rozkaz Boga, żeby ojciec złożył w ofierze syna. Bóg narzuca nam przede wszystkim Posłuszeństwo. Papież jest nieomylny i nie można z nim dyskutować. Cała religia katolicka mogłaby być streszczona jednym tylko słowem: Posłuszeństwo.

Teraz postać poruszyła się. Płomień pochodni drgał, grożąc zgaśnięciem, może dlatego, że do tego odległego miejsca nie dochodziło dość powietrza. Na ten widok Martę Vives przeszył dreszcz zgrozy.

- Katolicy są posłuszni albo są heretykami - szepnął znowu głos. - I wierzący absolutnie mogą stać się fanatykami i wierzyć, że mają do spełnienia świętą misję.

- Czy nadal mówi pan o rodzinie Masdáu?

- W odniesieniu do pani - tak. Pewna gałąź rodziny Masdáu zawsze prześladowała pewną gałąź rodziny Vives, właśnie tę gałąź, do której pani należy. Przez całe wieki ich prześladowali, mordowali, wierząc, że wypełniają obowiązek. Nie byli jedynymi, ale nie chcę powiększać pani niepokoju, opowiadając o kimś jeszcze. Jedną z zamordowanych osób, której śmierć nawet nie figuruje w Rejestrze Cywilnym, była pewna pani niezbyt odległa antenatka. Miała niszę na cmentarzu w Pueblo Nuevo, obok tego, co było cuchnącą kloaką Bogatell. Na romantycznym cmentarzu Barcelony.

Marta doskonale pamiętała badania, jakie sama przeprowadziła.

- Zabił ją jeden z Masdáu - wyjaśniał nadal głos - i oczywiście wszczęto dochodzenie policyjne, bez żadnego rezultatu. Jest również oczywiste, że to dochodzenie było od pierwszego momentu skazane na porażkę.

Marta zrobiła pytający gest, prosząc, by rozmówca kontynuował.

- Chce pani wiedzieć dlaczego? Bo policja, dzisiejsza, a zwłaszcza ówczesna, nie prowadzi badań w środowiskach kościelnych. Kiedy zmarła pani antenatka, duchownego w zasadzie nie podejrzewano. A to duchowny popełnił tę zbrodnię, chociaż on sam tak nie uważał.

Oczy Marty skierowały się ku trupowi i padły na to, co z niego pozostało, na jego oczodoły, jego nienaruszone zęby, ten cień uśmiechu, który przybywał z drugiego świata.

- On?

Biała głowa lekko przytaknęła, kuląc się w ramionach.

- Tak, Marto, ale...

- Ale dlaczego?

- Masdéu miał wyrzuty sumienia. Chciał być człowiekiem sprawiedliwym i później zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Posłuszeństwo się w nim rozdarło albo może wątpliwość zburzyła to, co dotąd było jego życiem. Tak czy owak, kiedy dochodzenie zostało już zakończone, odzyskał zwłoki, które zostały pochowane z litości obok wspólnego grobu. A teraz może mi pani wierzyć lub nie, ale ja widziałem, jak to robią, jak zmienione nie do poznania ciało ponownie wyłania się z ziemi.

Marta miała przez moment wrażenie, że oszalała. Słowa docierały do jej uszu i rozumiała je, ale nie docierały do jej umysłu. Było to jak sen, który zaledwie dotyka prawdy. Coś zbuntowało się w jej wnętrzu i nakazało pokręcić głową, chociaż nie ośmielała się też nie wierzyć. To, co słyszała, utrzymywało ją w takim spokoju, jakby i ona umarła.

W końcu zdołała wykrztusić:

- Widział pan, jak to robią?

- Jasne... Ja byłem wtedy jednym z administratorów cmentarza.

- Chyba zaczynam tracić zmysły...

- Mówię tylko o tym, co widziałem. Ciało owej kobiety wyłoniło się z otchłani czasu. Duchowny, który wówczas zaczynał się już wyróżniać mądrością, stał obok mnie. Widziałem łzy w jego oczach.

- Tym duchownym był... on?

- Tak, święty człowiek, który później doszedł do godności biskupa, gdyż wszyscy szanowali jego wiedzę, pobożność i poczucie

obowiązku, chociaż nigdy nie sprawował żadnej władzy. Już to pani mówiłem. Wiódł tak ekstrawagancki byt, że uważano go za szaleńca i dlatego już za życia uznano za kogoś w rodzaju zmarłego. Lecz on odczuwał skruchę i w niszy romantycznego cmentarza umieścił ciało kobiety, którą wcześniej zabił. Nigdy nie zaniósł jej kwiatów, ale - czego nikt nie rozumiał - od czasu do czasu chodził się modlić przed jej tablicą. I zawsze opłacał tę niszę, jak ktoś, kto chce odkupić swój grzech.

- Ale później przestał to robić...

- Jasne, gdyż umarł. Pragnął umrzeć, bo jego udręka była silniejsza niż chęć życia. - Twarz zamknęła na chwilę oczy. - Przedtem chciał kupić niszę, ale nie mógł, jako że nie wolno mu było posiadać dóbr materialnych i jego przełożeni zmusiliby go do wyjaśnienia wielu okoliczności. Wolał złożyć pewną sumę, żeby wynajem za pochówek był płacony niemal w nieskończoność. I tak by było, ale wybuchła wojna domowa. Nikt nie pamiętał wtedy niegdysiejszego biskupa o nazwisku Masdóu, tym bardziej że nie było nawet jego zwłok. Nagrobek czasu zamknął się nad wojenną Barceloną, która była niezdolna do pamięci. Niektóre groby zostały sprofanowane, w przypadku innych zaginęły papiery, a zwłaszcza stare depozyty pieniężne. Do tego domu, który był już zamknięty, napływały wezwania do ponownego uporządkowania dokumentacji, ale nikt ich nigdy nie otrzymał. Wtedy, po upływie wielu lat, nisza została opróżniona, tak jak wiele innych. Dlatego nie znalazła już pani śladu po swojej antenatce.

Marta Vives zacisnęła wargi. Doskonale wszystko pamiętała i wszystko się zgadzało. Nic nie mogło teraz przeniknąć do jej mózgu, ale wszystko się zgadzało.

Głos powiedział na koniec:

- Musiałem wytłumaczyć pani to wszystko. Nie chciałem, żeby miała pani dłużej wątpliwości.

- Nie chciał pan tego? Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że teraz mam ich znacznie więcej?

- Teraz nie ma pani już do tego prawa. Wszystko pani wyjaśniłem. Pozostaje mi tylko panią zabrać z tego miejsca, do którego z pewnością nigdy nie wrócimy, i dać pani ostatnią przestrożę. Proszę jej dobrze posłuchać.

- Co to za przestroga?

- Jest pani w wielkim niebezpieczeństwie, Marto. Teraz, kiedy dotknęła pani śmierci, proszę uwierzyć w śmierć. Proszę wystrzegać się tych, co przez całe pokolenia zabijali. Proszę unikać niebezpieczeństwa, a na to jest, być może, tylko jeden sposób.

- Jaki?

- Niech pani zapomni o sobie samej i o wątpliwościach, jakie były pani przekazywane przez całe lata. Niech pani przestanie myśleć.

Marta Vives praktycznie przestała myśleć w chwili, gdy weszła w ten niepoznawalny świat, w tę część sekretnego miasta. Ale mimo wszystko spytała:

- Czy powinnam wystrzegać się rodziny Masdáu?

- Pozostał tylko jeden jej członek. Ale proszę więcej nie pytać, bo, powtarzam, prawdopodobnie by mnie pani nie zrozumiała.

I z białych warg wydobyły się te same słowa co na początku ich rozmowy:

- Proszę pójść za mną.

38.

Robotnicy boży

Jednym z pierwszych klientów Antoniego Gaudi był bogaty antykwariusz o nazwisku Masdéu. Bogaty antykwariusz Masdéu zamówił u biednego architekta Gaudiego rotundę do swojego ogrodu położonego tam, gdzie później miała powstać Avenida del Tibidabo. W rotundzie pragnął widzieć porcelanowe ptaki, spadające gwiazdy pozostawiające za sobą świetlistą smugę, kwiaty mieniające się barwami tęczy i chmury z szarym tłem, jakby były w jesiennym kolorze; miała ona stanąć w rogu ogrodu, górując nad alejką przesiąkniętą wonią kwiatów, gdzie jedynym odgłosem było bicie ptasich skrzydeł. Prawie nikt tamtędy nie chodził: ulica Balmes nie była jeszcze ukończona, wciąż wznoszono mury okalające ogrody, a szklarnie z kwiatami zamykały drogi. Masdéu kochał samotność i kazał sobie zbudować kaplicę, żeby być sam na sam z Bogiem.

Kiedy poznałem Gaudiego, był stary i oddawał się budowaniu nie rotund, lecz autentycznych katedr. Ja, człowiek o wiecznym życiu, szukałem nowej dzielnicy i nowej tożsamości i od razu zafascynowały mnie okolice Sagrada Familia. Ujrzałem na poły zbudowaną cudowną, udręczoną świątynię, jaka z pewnością nie istniała w żadnym innym miejscu na świecie. Była to świątynia

oniryczna, pozbawiona logiki i widmowa, ale jednocześnie tak solidna, jakby zbudowano ją z kamiennych dusz.

Później dowiedziałem się, że jest to świątynia pokutna, którą wzniesiono z pragnieniem, aby Bóg wybaczył miastu grzechy, liczne i zróżnicowane. Szkoda, że nie pozwolono mi sporządzić listy tych, które sam widziałem... Ale natychmiast zdałem sobie sprawę z czegoś więcej: ta świątynia była wyrazem najskrytszych marzeń swojego budowniczego, jednego z najbardziej pracowitych, samotnych i szorstkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem.

Nigdzie nie chodził, a do tego spał w samej świątyni, jak więzień. Jego światem były plany, dłuta, kamienie i cisza nocy w krypcie. Przypuszczam, że tacy musieli być ludzie, którzy popełnili szaleństwo budowy gotyckich katedr.

Świątynia, w której się znalazłem w tej odległej dzielnicy, nazywała się Sagrada Familia i jej budowa posuwała się z taką powolnością, że ludzie zaczęli mówić, iż nigdy nie będzie ukończona, co z pewnością stanie się prawdą. Nic bardziej odpowiedniego, ażeby wykazać wieczność Boga.

Zamieszkałem w niej.

Gaudi mi na to pozwolił.

Znalazł mnie pewnej nocy skulonego w krypcie, do której schroniłem się przed mżawką zacierającą kontury świątyni, i pozwolił mi zostać. Był człowiekiem, który źle się ubierał, zadawał się z biedakami i nie przypisywał znaczenia codziennemu życiu, gdyż miał poczucie wieczności. I jeżeli architekt mieszkał we wnętrzu świątyni, jak larwa, dlaczego nie mógłbym tego robić ja? Poza tym to, co później miało się stać dzielnicą Sagrada Familia, jeszcze nie istniało: były stosy materiałów budowlanych, wertepy,

baraki oraz mężczyźni i kobiety, którzy zdawali się nie wiedzieć, dokąd pójść. Może najznacniejszą budowlą był zakład garncarski, gdzie właściciele o nazwisku Vericat wytwarzali cegły i pracowali dla Gaudiego, ale wszystko, domy, kamienie, drogi i powietrze, pozostawało jakby przytłoczone magnetyzmem świątyni.

Gaudi pozwolił mi zostać z innego powodu: rozmawiając ze mną, zorientował się, że rozumiem sztukę, architekturę i historię. Wydało mu się to niewiarygodne u takiego włóczęgi jak ja i nawet powiedział mi zdziwionym tonem: „Zupełnie jakby pan to oglądał na własne oczy”.

Mieszkałem pogrzebany w świątyni, trochę tak jak dzwonnik z Notre Dame, i rosła w mieście przemoc nie dotykała mnie; pragnąc żyć w ukryciu, zaledwie coś niecoś usłyszałem o tak krwawych wydarzeniach jak Tragiczny Tydzień: w lipcu 1909 roku lud Barcelony zaprotestował przeciwko wysłaniu okrętami na wojnę w Maroku tysiące rezerwistów, którzy już odbyli służbę wojskową (to znaczy nie mogli zapłacić państwu) i którzy w większości byli już żonaci i mieli dzieci. Dało to początek ludowemu wybuchowi, paleniu klasztorów i kościołów, barykadom zboczonym krwią, obnoszeniu ulicami wyciągniętych z grobów mumii, a potem brutalnym wojskowym represjom, z rozstrzelaniem buntowników w twierdzy Montjuïc włącznie. Ale w ciszy świątyni, która pozostała nietknięta, ja, człowiek o wiecznym spojrzeniu, żyłem nadal jak larwa.

Budowa świątyni Sagrada Família, poświęconej złagodzeniu gniewu bożego, posuwała się jedynie dzięki jałmużnom. I jedną z rodzin, które ofiarowały najwięcej pieniędzy, byli Masdáu, którzy czasami wręczali mnie samemu pieniądze, żebym je dał Gaudiemu. Masdáu, jak ja, wierzyli w życie wieczne.

- Wyglądasz na przestraszoną, Marto.

Marta Vives poczuła na sobie spojrzenie swojego szefa, adwokata Mareosa Solany. Wywołane przez nie mrowienie umiejscowiło się tam, na linii jej nóg, które on z pewnością rysował tysiąc razy w powietrzu. Zsunęła je instynktownie, niemal gestem zakonnicy, podczas gdy jednocześnie pewna subtelna myśl mówiła jej, że marnuje swoje życie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie wiem... To głupie wrażenie, którego nie potrafię wyjaśnić, ale które jednak mnie opanowało. Wyglądasz, jakbyś właśnie wyszła z jakiegoś miejsca, które cię przestraszyło. I kiedy je sobie przypominasz, czujesz jeszcze, że ogarnia cię lęk.

Usiłowała się uśmiechnąć.

- Nie, ani trochę... Mogę ci się wydawać przejęta, ale to z innego powodu. Nie robię postępów w mojej pracy.

- Ależ robisz wszystko bardzo dobrze.

- Chciałabym w to wierzyć... - skłamała. - Ale mam na myśli artykuł, który piszę dla pewnego specjalistycznego pisma. Tonę w górach papierów, nie mogę się w tym połapać.

- Wątpię, żebym mógł ci pomóc, ale jeżeli czegoś potrzebujesz, wystarczy, że poprosisz.

- Zrobię to z wielką przyjemnością. Wiem, że zawsze jesteś uczynny.

I spojrzała na dokumenty, które leżały na biurku, choć nie odnosiły się do żadnego procesu. Były to faktury, które porządkowała jak mrówka, a potem skrupulatnie wprowadzała do księgi wpływów i wydatków.

- Ta jest chyba prywatna - powiedziała, odkładając jedną z nich.

- Która?

- Ta za podróż twojej żony.

Solana zamknął na moment oczy.

- Tak, jest prywatna... Nie dopisuj jej do wydatków biurowych. Moja żona zwiedza dwie opery: La Fenice i La Scala. Uparła się, żeby tam pojechać z grupą przyjaciółek.

Przez chwilę milczał, potem dodał:

- Mówi, że musi poszerzyć swoją kulturę i zmienić środowisko. Przypuszczam, że ja już nie mogę niczego jej nauczyć i jestem najnudniejszym mężem na świecie.

Popatrzył znowu na Martę. W jego oczach pojawił się przelotny wyraz jakby litości nad samym sobą. Potem Solana usiłował powiedzieć niedbałym tonem:

- Byłbym zapomniał. Wczoraj, kiedy byłaś w sądzie, dzwonił projektant biżuterii o nazwisku Masdéu. Mówi, że musi z tobą porozmawiać.

Powtarzam, że mieszkałem w świątyni, jak larwa. Ponieważ nie miałem prawie żadnych potrzeb, pomagałem Gaudiemu za dnia, a nocami włóczyłem się samotnie. Patrzyłem na księżyc, na złowieszczą przestrzeń, na której wznosiła się świątynia, i zachwycałem się nietoperzami wylatującymi tuzinami z kamiennych luków. Trzepotanie ich skrzydeł było jak muzyka, która przenosiła mnie w otchłań czasu - czasu znanego tylko mnie.

Antoni Gaudi i ja mieszkaliśmy w krypcie, otoczeni kurzem, narzędziami i samotnością, i nie potrafiłbym powiedzieć, który z nas dwóch był uciekinierem ani który wydawał się biedniejszy. Gaudi bardziej niż kiedykolwiek wyglądał jak włóczęga: ubierał się w sposób, który wprawdzie budził szacunek ze względu na jego zachowanie, ale również coś podobnego do litości. Widać

było, że architekt jest nawiedzony: pulsowała w nim jakaś telluryczna siła, która brała początek w jakimś punkcie przeszłości i w jakimś nieznanym miejscu ziemi. Zdałem sobie po prostu sprawę, że on jest świątynią. Pewnej nocy powiedział mi:

- Pomyślałem coś, czego nie powinienem był pomyśleć.
- Co pan pomyślał?
- Pan jest wampirem.

Nie zaprzeczyłem. Jakiegokolwiek kłamstwo byłoby bezcelowe wobec oczu, które, podobnie jak moje, zdawały się patrzeć spoza czasu. Powiedziałem tylko:

- A pan jest pustelnikiem.
- Może to naturalne. Nie mógłbym wznieść świątyni jak ta, gdybym jej nie nosił w swoim własnym wnętrzu, a to znaczy pozwolić się jej pochłonąć.

- Nie przestraszyłem pana?
- Dlaczego?
- Właśnie pan powiedział, że jestem wampirem.

Zrobił gest, jakby było mu to obojętne.

- Ja wierzę w wampiry, w siły spoza życia, pochodzące z otchłani, o której dotąd niczego nie wiemy. A to, co jest w otchłani życia, nie napawa mnie lękiem. Tylko kilku wtajemniczonych może się ośmielić na jej przeniknięcie.

Nigdy nie dziwiły mnie jego słowa; te także mnie nie zdziwiły. Gaudi nie tylko był nawiedzony; był wizjonerem i pogłębiał swoje wizje z pomocą halucynogennych grzybów, które tylko on zdawał się znać i które czasami przenosiły go do innego świata. Dzięki pewnym substancjom żył w owym innym świecie, ale było coś jeszcze: był pełen zagadek, które może ja mogłem zrozumieć, gdyż pochodziły z otchłani wieków.

- Słyszałem - rzekłem - że pana przodkowie uciekli do Katalonii, ponieważ byli ściganymi templariuszami i posiadali sekretne symbole.

Spojrzał na mnie drwiąco.

- Tak jak pan - powiedział. - Pan też pełen jest sekretnych symboli. Legendy o wampirach oznaczają, że istnieją oczy, które wszystko widziały, tak jak wszystko widziały katedry, które nie mają wieku. Dlatego każdej nocy opowiadają nam historię swoimi kamiennymi gardłami, a częścią tej historii jest historia istot, które je zaludniały. Od pierwszej chwili nie wątpiłem, że w Notre Dame w Paryżu były wampiry i że były one w katedrze w Kolonii i w katedrze w Strasburgu, i w samej dzielnicy gotyckiej w Barcelonie. Dlaczego wampiry nie miałyby dotrzeć też do Sagrada Familia? Powiem panu, że się cieszę, iż pan tu jest, bo przekształcił pan moją świątynię w miejsce starożytne i godne, kiedy nie ma ona jeszcze żadnej starożytności; a jeśli chodzi o godność, ma godność tych, którzy ją budują. Pan nadał jej czar starych katedr, które powinny zawierać dwie rzeczy: jakąś tajemnicę i jakiś sen.

Wziął mnie pod rękę i zaprowadził do wnętrza krypty, dodając półgłosem:

- Może pan tu pozostać w ukryciu przez całą wieczność, chociaż czasami sobie myślę, iż wieczność nie wystarczy, by zobaczyć moją świątynię ukończoną. I oczywiście ja jej nie ukończę. I oczywiście ci, co po mnie przyjdą, zmienią moje dzieło...

Podczas gdy obaj pogrążyliśmy się razem w ciemność, mówił dalej:

- Je wierzę w wieczność, bo w przeciwnym razie nie wznosiłbym tej świątyni. I my, którzy wierzymy w wieczność, wierzymy w Szatana.

Marta wierzyła w samotność i jak wszyscy ci, co wierzą w samotność, pozwalala się jej trawić.

W jej życiu nie było mężczyzn, być może dlatego, że żaden z tych, którzy ją dotychczas otaczali, nie wypełnił jej umysłu. Może Marcos Solana, ale Marcos Solana był bardzo daleko i musiał pogrążyć się coraz bardziej w codziennej walce... Jego żona miała zadbać o to, by ta walka powoli go zniszczyła, aż jego sny zachowują się tylko jak kwiaty w szklance wody. Tysiące mężczyzn i kobiet mają takie szklanki i patrzą w nie tylko w niedzielne popołudnia, kiedy godziny stają się melancholijne.

Czasami Marta mówiła sobie, myśląc o innych kobietach, że większości ich wystarcza, żeby wypełniono im serce, ale ona potrzebowała czegoś więcej, potrzebowała, żeby wypełniono jej umysł. Dlatego czuła się skazana na samotność, przechowywała bezwartościowe rzeczy (którym jednak nadawała wartość, bo z latami rzeczy przesiąkają drobinami naszej śliny i naszej krwi), stawiała w oknach kwiaty, które żywiły się powietrzem miasta i czasami opowiadały jej, dokąd to powietrze zmierza. Marta wiedziała, że powietrze pełne jest głosów.

Postanowiła, że odwiedzi pana Masdáu, skoro on do niej zadzwonił.

Nie bała się.

Gaudi nie tylko był nawiedzony: czasami środki halucynogenne wypełniały go pomysłami, które wydawały się nierealne, i widział rzeczy nie takie, jakimi są, lecz takie, jakimi prawdopodobnie były w poprzednim świecie. I ciekawe, że mnie o nie pytał, jakbym je już widział w tym poprzednim świecie albo posiadał sekret pamięci i czasu.

Podobnie jak Cerdà chciał stworzyć miasto pożyteczne, Gaudi chciał stworzyć miasto magiczne. Śnił o Barcelonie, która nie była realna, i żądał, żeby nawet robotnicy, ludzie najbardziej związani z codzienną rzeczywistością, zapomnieli o tym wszystkim, co było w niej bękarciego. Albowiem sny - głosił - mogą zmienić świat. Każdego ranka, o świcie, widział robotników przybywających z Ciot czy z Campo del Arpa i wraz z nimi słyszał fabryczne syreny. Gaudi tak zniechęcił to wezwanie, że któregoś wieczoru powiedział mi, iż pewnego dnia już dłużej nie będzie się ich słyszało.

- Będą osiemdziesiąt cztery dzwony w mojej świątyni Sagrada Familia - rzekł - i kiedy będą biły, w całym mieście nie będzie słychać niczego innego. Mogą wzywać do pracy, zagłuszą ten potworny dźwięk, który jest tylko krzykiem głodu fabryk. Bo ludzie mogą nie jeść na czas, ale fabryki nie mogą.

- Ale jeżeli pan nigdy nie zobaczy ukończonej świątyni - zaproponowałem - nie zobaczy też pan tych osiemdziesięciu czterech dzwonów.

- Nieważne: zobaczą je inni. Czy pan myśli, że ci, co rozpoczęli średniowieczne katedry, marzyli o tym, żeby zobaczyć je ukończone? To było najmniej ważne: nie liczył się czas, liczyła się wiara. Wszystkie wspaniałe dzieła na tym świecie, najbardziej nieprzemijające, powstały dlatego, że samo ich powstawanie okazało się piękne. Końcowy rezultat mają na względzie tylko kupcy. Dzieła wieczne nie mają końcowego rezultatu, gdyż sny tych, co je widzą, ciągle je odnawiają, odmieniają i zmuszają do rodzenia się raz i drugi. Ponadto ci budowniczy posiadali jakąś magię pełną sekretów i nigdy tych sekretów nie odkryli.

Zdałem sobie sprawę, że zna niektóre z tych sekretów, chociaż ani razu o nich nie mówiliśmy. I przyłapywałem się na tym, że

zadaje sobie pytanie, czy w ten sam sposób, jak ja żyję od wieków, nie jest on ponownym wcieleniem owych robotników bożych. Jego życie i jego architekturę - bo nie dało się ich rozdzielić - wypełniały dziwne symbole, jakie nigdy nie były uzależnione od przypadku, tylko od jakiejś głębokiej racji, której Gaudi nikomu nie wyjawiał. Zawsze obiecywał, że opowie mi o sekretach świątyni, ale nigdy tego nie robił. Pozwalał, żebym sam je stopniowo odkrywał.

Na przykład krąg utworzony przez węże, który mógł symbolizować literę „G”. On nazywał się Gaudi, ale był protegowanym hrabiego de Güell, a poza tym biskup Astorgi, który zlecił mu budowę pięknego pałacu, nazywał się Grau. Wąż gryzący własny ogon był w jego architekturze symbolem nieskończoności. I Gaudi żył w rodzaju nieskończoności, o której opowiadał tylko mnie w swoich nocach delirium, kiedy wspominał półgłosem nazwy najbardziej sekretnych zakonów: benedyktyni, templariusze, cystersi i Synowie Salomona. Ludzie zapomnieli ich sekrety - tylko kilku uczonych je badało - ale on zdawał się je przechowywać i uwieczniać w swoich kamiennych snach.

Mieszkając z nim, zdałem sobie sprawę, że jest on człowiekiem skąpym, choć biednym. Każdy wydatek wydawał mu się zbędny do tego stopnia, że jadł i ubierał się jak żebrak. Wszędzie chodził pieszo - w tej Barcelonie, która zaczynała być niezmierna - i nie obchodziło go nic oprócz własnego dzieła. Wyglądał zwykle tak żałośnie, że pewnej nocy zatrzymała go policja.

- Nie miałem przy sobie dokumentów - wyjaśnił mi - a poza tym byłem źle ubrany. No cóż, tylko trochę źle ubrany. Brakowało mi kilku guzików, to prawda, i miałem ubranie spięte agrafkami. Policja zapytała mnie, czym się zajmuję, i oczywiście powiedziałem, że jestem architektem.

- A oni co zrobili?
- Najpierw zaczęli się śmiać, a potem aresztowali mnie i zaprowadzili na komisariat.

Odkryłem w nim zachowania, które zrywały ze wszystkimi normami mieszczańskiej Barcelony. Na przykład chodził nawet dziesięć kilometrów dziennie, żeby kupić gazetę tam, gdzie zawsze ją kupował, a pewnego dnia nazwał Unamuna ignorantem, gdyż ten mówił po angielsku, a nawet po duńsku, ale nie po katalońsku.

Jemu też ubliżano.

Niektórzy znajomi, widząc jego opłakany wygląd, mówili mu:

- Niech pan stanie na rogu, połóż kapelusz na ziemi, a zarobi więcej niż jako architekt.

Gaudi nie obrażał się o to. Mówił mi zwykle, kiedy był przygnębiony, że na świecie istnieje jakaś sekretna harmonia i że tę harmonię poznało w ciągu stuleci bardzo niewielu ludzi. On jej nie znał, ale pragnął ją poznać. I choć nigdy nie wyjawiał mi „sekreatów”, zdołałem dostrzec pewne zbieżności.

Był wielkim katolikiem i czuł szczególne nabożeństwo do Najświętszej Marii Panny z Montserratu i być może nie było to przypadkowe. Jego daleka rodzina pochodziła z francuskiej Owernii, gdzie z powodu częstego występowania kamieni wulkanicznych jest wiele czarnych Najświętszych Panien. Wydało mi się też osobliwe, że kiedy jego rodzina schroniła się w Katalonii, uciekając przed prześladowaniami, jakie dotykały templariuszy, osiedliła się na południu Katalonii, które właśnie obfitowało w budowle templariuszy i cystersów. Na przykład Miravent, Mora, Ribarroja, Scala Dei, Poblet, Vallbona de los Monges, Santes Creus, Granjera i Barberà. Wszystko w życiu tego człowieka, jak dowiadywałem się nocami w krypcie, wydawało się rezultatem predestynacji.

Nawet fakt - który dla mnie był poza wszelkim rozsądkiem - że podobno wybrano go jako architekta Sagrada Familia z powodu koloru jego oczu.

Ten, kto powziął zamysł zbudowania świątyni, bogobojny José María Bocabella, zdołał zebrać, w formie datków, sto pięćdziesiąt tysięcy peset na zakup ziemi. Marzył o tym, że budynek postawi jakiś wybitny architekt, który ponadto będzie miał niebieskie oczy. Gaudi, który nie był pierwszym wybranym, miał takie właśnie oczy.

Pewnej nocy zdefiniował mnie. Siedzieliśmy obaj w części świątyni przykrytej tylko w połowie i słuchaliśmy, jak deszcz łagodnie kapie wśród kamieni. Patrzyłem z rozkoszą na padające krople w niepewnym świetle latarni, bo z biegiem czasu zdałem już sobie sprawę z tego, że w Barcelonie deszcz pada coraz rzadziej. Może przeganialiśmy chmury fabrycznym dymem... I wtedy Gaudi zaintonował dla mnie rekwiem, wyjaśnił w niewielu słowach całą niezmierną gorycz mojego życia: Ja, który nigdy nie płakałem, poczułem w oczach łzy, które nie miały żadnej wagi, bo były to tylko łzy litości nad sobą samym.

- Ja już nie mam żadnych miłości - powiedział. - Straciłem przyjaciół i nie mam ani nie będę miał dzieci. Ale zniknę i wszystko to nic nie będzie znaczyło. Natomiast wyobrażam sobie, czym musi być wieczność, kiedy się widzi, jak umiera wszystko, co się kochało: kolejne kobiety, kolejne dzieci, artyści, których podziwiałem i którzy nadali sens mojemu życiu, domy, które zachowują moje wspomnienia... Widzieć to wszystko obrócone w proch... To jest pana nieszczęście, mój przyjacielu, i zawsze nim będzie. Inni nie mogą widzieć swoich dzieci, jak stają się niedomagającymi starcami - dzieci, które pewnego dnia urodziły się na ich oczach - ale ludzie, którzy dysponują wiecznym życiem, widzą je.

Proszę mi wierzyć, śmierć jest litościwa, bo nie pozwala widzieć potworności życia ani potworności naszego własnego dzieła. Nieśmiertelność jest najgorszą karą, jaką nam można nałożyć, i współczuję Bogu, bo też na nią cierpi.

Teraz deszcz mocno walił. Grube krople odbijały się od ścian i zmieniając kierunek w powietrzu, wypełniały się światłem. Cofałem przed nim wzrok, bo to światło przynosiło mi cały smutek miasta. Gaudi powiedział wtedy:

- Nie wiem, czy Bóg jest zadowolony z własnego dzieła. I natychmiast zapytał:

- Czy sądzi pan, że kiedykolwiek uznał je za ukończone?

Marta chodziła zawsze pieszo, patrzyła na budynki, na okna, w których widziała przelotnie jakąś twarz, wyobrażała sobie jej historię. A czasami szczegółowo знаła tę historię, jakby jej pamięć była też zbudowana ze stuleci, gdyż miasto wydawało jej się dziełem wiecznym. Miasta mają duszę i widma ulic jedne drugim przekazują tę duszę. Marta miała zdolność słyszenia głosu ich wszystkich.

Kiedy szła na spotkanie, chociaż nie czuła lęku, zadawała sobie pytanie, czy nie pokonuje tej drogi po raz ostatni. Zadawała też sobie pytanie, dlaczego nie miała miłostek ani dzieci, ani fizycznej rozkoszy, ani nic z tego wszystkiego, czego pragną inne kobiety, i wtedy, jak prawie zawsze, mówiła sobie, że całe jej życie było potwornie bezużyteczne. Trwonisz na zawsze swoje dni, kiedy poświęcasz się badaniu dni innych. Zamknęła oczy, myśląc, że czas ją zniszczy, choć jest zbudowana z czasu.

Masdéu poprosił ją, żeby się spotkali w jego pracowni, ale Marta Vives wołała umówić się w jakiejś kawiarni, gdzie

przynajmniej są ludzie. Czy powodował nią strach? Kręcąc głową, usiłowała przekonać samą siebie, że nie, że jest silną kobietą i że ma coś takiego jak prawda wieków. Zeszła Ramblą, zagłębiła się w ulicę Nueva, zobaczyła jej stare portale, przypomniała sobie, co w każdym z nich było wcześniej, i wtedy znowu poczuła to ukłucie: już nie miała najmniejszej wątpliwości - to był strach.

W Barcelonie znikają kawiarnie, może dlatego - myślała Marta - że ludzie mają mniej czasu. Prawie wszystkie zamieniły się w bary szybkiej obsługi, gdzie nie zatrzymują się twarze ani myśli. Ponieważ odmówiła wizyty w pracowni Masdéu, zaproponowała, żeby to on wybrał miejsce spotkania, i zgodziła się na pewną proletariacką kawiarnię, bo wiedziała, że jest tam antresola, gdzie mogą rozmawiać niemal otoczeni ciszą, ale w pobliżu są ludzie.

Ulica Nueva była dawniej miejscem kabaretów, szkół tańca, nielegalnych salonów gry i domów publicznych, w których mężczyźni zapominali, a kobiety powoli umierały. Była też dawniej miejscem barykad, robotniczej krwi i czerwonego sztandaru, ale teraz była ulicą imigrantów, którzy pragną lepszego życia, toteż pewnego dnia wzniosą następny czerwony sztandar. Marta weszła do kawiarni, do jej dawnej atmosfery.

Masdéu pozdrowił ją z antresoli. Było to miejsce potajemnych spotkań i guzików, które się same rozpinają, ale jedyny kelner wyczuł, że Marta nie przysłała tu po to. A jeżeli przysłała po to, to ten typiek na górze miał dużo szczęścia. Usiedli oboje w półmroku, patrząc sobie w oczy, jakby chcieli odgadnąć swoje myśli.

Zdała sobie teraz sprawę, że Masdéu jest młodszy, niż się jej wydał za pierwszym razem. I z pewnością silniejszy. A może oczy wprowadzały ją w błąd i ten człowiek też nie miał wieku. Marta

pomyślała o zmarłych ze swojej rodziny i o milczeniu trupa, który jeszcze spoczywał w domu przy ulicy Baja de San Pedro.

Powiedziano jej, żeby tam nie wracała. Powiedział jej to ojciec Olavide, który wie wszystko. Człowiek bez wieku ostrzegł ją, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo. I zadała sobie teraz pytanie, czy ma przed sobą własną śmierć.

Masdéu powiedział:

- Dziękuję za spotkanie. I dziękuję, że pozwoliła mi pani wybrać miejsce.

- To najmniejsze, co mogłam zrobić. Nie chciałam, jak poprzednim razem, iść do pana pracowni.

- Bała się pani?

Pokręciła głową.

- Dlaczego miałabym się bać?

- Może dlatego, że inne osoby bały się przed panią.

- Możliwe, że o tym pomyślałam, ale teraz mnie to nie obchodzi. Po prostu chcę poznać całą prawdę, jeżeli ta prawda może być opowiedziana.

- Domyślam się, Marto, że zna pani historię.

Szepnęła:

- Tak.

I w tym momencie zdali sobie sprawę z czegoś, co wydawało się nie mieć sensu.

Duchowni nie noszą już sutann na ulicach Barcelony.

Nie wchodzi do proletariackich kawiarni tak naturalnie, jakby szli tam odprawiać mszę.

Ale to właśnie się stało.

Na dole stał ojciec Olavide.

39.

Kawiarnia wieczności

Nie ma już czarnych sutann na ulicach Barcelony; może ich nie ma nawet w pałacu biskupim. Spojrzała na ojca Olavide, jakby nie mogła w to uwierzyć, gdyż było niepojęte, żeby może najmądrzejszy i najbardziej arystokratyczny duchowny w Hiszpanii postawił stopę w kawiarni, gdzie najważniejsze rozmowy toczyły się wokół ubezpieczenia społecznego. Ale ojciec Olavide nie wszedł; zauważył zaskoczone spojrzenia klientów, odwrócił się i zniknął.

Marta westchnęła:

- Jakby mnie śledził...

- Proszę nie zwracać uwagi - powiedział Masdáu. - Ojciec Olavide spowiada czasami umierających przyjaciół. To całkiem prawdopodobne, że ma jakiegoś w tej dzielnicy.

Ale nie było już po nim śladu. Oboje dostrzegli, że kelner jest na antresoli. Patrzył z zazdrością na Masdáu: „Za dobra dla niego”. Przyglądał się z rozkoszą nogom Marty Vives: „Za piękne jak na taką gównianą kawiarnię”.

Na przeciwległym balkonie pojawiła się samotna kobieta, aby podlać kwiaty. Ostatnie promienie słońca odeszły, kot uskoczył, unikając wody.

- Poproszę gin z tonikiem - zamówiła Marta.
- Dla mnie to samo.

Masdéu odwrócił się do niej, ale nie patrzył na jej krzywizny, patrzył tylko w jej oczy. Kobiety dostrzegają, kiedy mężczyzna jest wobec nich obojętny: Masdéu był obojętny wobec Marty. Coś w nim przypominało ojca Olavide: dla jego spojrzenia nie istniała płęć.

- Wiem, że prowadziła pani badania dotyczące mojej rodziny - rzekł Masdéu.

- A skąd pan to wie?

- Bo oboje poruszamy się w bardzo małych światach. Pani w świecie archiwów i domów, które lada moment obrócą się w proch. Ja w całkowicie przeciwnym, w świecie klejnotów, które nie obrócą się w proch nigdy. Niedawno byłem na wystawie projektów Masrieny i przypomniałem sobie projekt łańcuszka, który pani pokazałem. Pewien jubiler opowiedział mi, że widział panią odwiedzającą archiwa. W tych niewielkich, wykształconych i cywilizowanych światach, w których oboje się poruszamy, wie się o wszystkim.

- To logiczne, że prowadzę badania i można mnie zobaczyć w archiwach - powiedziała Marta. - Jestem historykiem.

- Nie musi się pani z niczego usprawiedliwiać.

- W takim razie dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać? Wydaje się, że chce mnie pan poprosić o jakieś wyjaśnienie... albo może przed czymś przestrzec.

- Och, nie... Wprost przeciwnie. Usiłuję okazać pani mój podziw, bo jest bardzo niewiele osób w tym mieście, które potrafią je widzieć wczorajszymi oczami, które zdają sobie sprawę, że rzeczy przechodzą przez coś, co już wydarzyło się wcześniej. Pani jest jak cud, pani prześwieśla miasto wzrokiem jak promieniem

Roentgena i potrafi dostrzec ukryte życie, które jest w wielu miejscach, i ukrytą śmierć, która jest w innych. Powiedziano mi też, że widziano panią wchodzącą do domu przy ulicy Baja de San Pedro, który należał do jednego z moich przodków.

Marta wzdygnęła się, ale ukryła to, patrząc znowu w kierunku drzwi. Pomyślała, że ten człowiek wie wszystko.

- Teraz należy on do miasta - próbowała się bronić - i przypuszczam, że można w nim prowadzić badania, choć już niedługo. W końcu się zawali.

- Nie proszę też o wyjaśnienia. Chwalę tylko pani zdolności badawcze, większe niż moje i mojej rodziny. Gdyż pani wie, że należę do bardzo starej rodziny, w której było wielu duchownych, inkwizytorów i uczonych.

Marta zacisnęła wargi.

- Zupełnie przeciwnie niż w mojej - powiedziała.

- Rzeczywiście, i cieszę się, że ma pani dość szczerości, by to uznać.

- Nie potrzeba szczerości, żeby uznać coś, co nie jest grzechem.

- Moim zdaniem są rody poświęcające się wierze, jak mój, i rody poświęcające się grzechowi, jak pani - rzekł Masdéu, kiwając głową. - Proszę się nie obrażać. Na świecie zawsze byli ludzie, którzy wierzyli i byli posłuszni, podczas gdy inni, zamiast wierzyć i być posłuszni, zadawali sobie pytania.

- Zadawanie sobie pytań jest właściwe naturze ludzkiej.

- Może nie tak bardzo. Może takie nie jest, kiedy odpowiedź została już nam dana. Ale zostawmy to. Wie pani doskonale, do jakiego rodu należy.

Marta poczuła się niezręcznie przy tych ostatnich słowach, w których odgadywała pewną pogardę. Czowała się dumna ze swojego

rodu, może dlatego, że jej ród interesował się nie tylko poszukiwaniem szczęścia. Ale odgadła, że ród Masdáu też nie poszukiwał szczęścia, i to sprawiło, że owo niejasne uczucie znikło. W gruncie rzeczy mówili o podobnych kwestiach, chociaż pochodziły one z otchłani czasu i z pewnych nie dających się kontrolować genów, w których zawierała się sekretna pamięć. Masdáu patrzył w pustkę i szeptał:

- W pani rodzie, Marto, w rodzinie, której pani nie znała, ale od której otrzymuje polecenia, też było wielu badaczy i uczonych przepelnionych wątpliwościami co do rozwiązanych już kwestii. Na przykład istnienia Boga i Jego posłannictwa; na przykład nieomylności Kościoła; na przykład zbawienia i potępienia; na przykład posłuszeństwa. Kiedy ktoś stawia sobie w odniesieniu do tego pytania, pada w pustkę, co przydarzyło się pani przodkom. Wszystko to, co pani wie, wszystko to, co pani ród wiedział, opiera się na pustce. Jednak muszę coś przyznać.

Marta spojrzała mu w oczy.

- Proszę mówić.

- Muszę wyrazić pani mój podziw, gdyż pani i ci, co dali pani swoją krew, starali się patrzeć ponad powierzchnią, a to jest wielkość, która należy do wybranych. Ale wybranych przez kogo? Macie swoje sekretne korzenie w głębi tego miasta, któremu daliście historię, a nawet wielkość. Jeżeli powietrze miast przenosi głos, nie wszyscy potrafią go słuchać.

Położył dłonie na stole. Były to bardzo wąskie i białe dłonie: przypominały jej dłonie człowieka o wiecznym spojrzeniu.

- Powiedziałem to pani - ciągnął Masdáu - bo Barcelona przenosi wiele głosów, jej ulice pełne są widm, które mówią, ale tylko kilka osób może je słyszeć. Pani jest jedną z nich, Marto, i proszę

nie myśleć, że pani pochlebiam; przeciwnie, usiłuję pani powiedzieć, że się pani myli.

Zachowała milczenie, czując, że wysycha jej w gardle. Pociągnęła łyk. Po drugiej stronie ulicy kot obserwował miasto. Jakaś kobieta poszerzała granice swojego balkonu, przestawiając doniczkę z miejsca na miejsce.

- W czym się mylę?

- Na przykład zadając sobie tyle pytań. Lepiej jest wierzyć.

- Pana rodzina zawsze wierzyła, panie Masdáu. Przez całe pokolenia wiara była jedną z jej wartości stałych i katolicyzm do upadłego kierował jej krokami, podczas gdy moją rodziną kierowały wątpliwości. Pan i ja jesteśmy rodzajem cudu, proszę mi wierzyć: myślimy dotąd o sprawach, o których ludzie już nie myślą.

- Chce pani powiedzieć, że katolicyzm czy religie już nikogo nie interesują? Przeciwnie, są religie, jak islam, które rozkwitają, może dlatego, że wiele ludów arabskich nie może okazać innego znaku tożsamości ani nie może wierzyć w nic więcej. Przemoc islamska, która jest czymś nowym, powoduje powstanie silnego frontu chrześcijańskiego, który moim zdaniem przybierze w końcu jakąś formę polityczną, jak w epoce krucjat. Nagle możemy powrócić do wieków średnich, do stuleci wiary; proszę nie mówić, że ludzie nie myślą o tych sprawach. Tylko czasami boją się o nich wspominać.

- Ja się nie boję. Nadal zadaję sobie pytania na temat wiary, może dlatego, że łączy się ona z moją kulturą.

Masdáu przymknął powieki.

- A jakie pytania pani sobie zadaje?

- Na przykład nie podoba mi się świat.

- Dlaczego?

Marta o mało się nie obraziła. Było nie fair zadawać jej tak elementarne pytanie, a tym bardziej jeśli to robił człowiek równie wykształcony jak Masdéu. Zacisnęła wargi.

- Mam wrażenie, że Bóg nie przejmuje się nami ani naszymi cierpieniami. Tym, że całe miliony istot urodziły się tylko po to, by cierpieć, a kilka tysięcy tylko po to, by korzystać, lecz taki świat wydaje się Kościołowi logiczny. Tym samym wydaje się logiczny papieżowi. A tym samym Bogu. Patrząc wokół siebie i widząc tylko te promienie światła, które pochodzą z godności ludzkiej.

Masdéu powiedział sucho:

- Bogacze za to zapłacą.

- A dlaczego mieliby zapłacić? Jaka winę ponosi wielu z nich, jeżeli nie popełnili złych uczynków? Czy jest złym uczynkiem być inteligentniejszym? Sprytniejszym? Mieć silniejszy instynkt? Czy każda istota ludzka nie ma prawa do poszukiwania szczęścia, którego elementem są pieniądze? Czy tylko taka nieubłagana droga prowadzi do godniejszego życia? Czy ten, kto zdobył pieniądze, koniecznie musi za to zapłacić po śmierci? Dlaczego?

- Tak powiedział Jezus.

- Nawet jeśli tak powiedział, czy to jest sprawiedliwe? Czy musi utrzymywać się na świecie stan strasznej nierówności i ciągłego znieważania godności ludzkiej tylko w tym celu, żeby niewiele za to potem zapłaciło?

- Już zadaje pani sobie te same pytania, Marto, jakie przez wieki zadawała sobie pani rodzina.

- Bo nie zrezygnowałam z myślenia.

- Droga przyjaciółko, pani rodzina byłaby znacznie szczęśliwsza, ograniczywszy się do wiary.

- Przede wszystkim nie byłaby prześladowana.

- Przykro mi. Nigdy nie chciałem przyznać całkowitej racji pewnym moim przodkom, inkwizytorom i strażnikom wiary, ale trzeba się uciec do użycia siły przeciw tym, którzy chcą innych pozbawić prostszego szczęścia.

- Przypuszczam, że prostsze szczęście polega na tym, by wierzyć i pozwalać się prowadzić. Nie zadawać sobie pytań, skoro odpowiedzi są już w katechizmie. Ale sądzę, że jest to też zamachem na ludzką godność.

- Przeciwnie, Marto: w posłuszeństwie jest wielka godność. Proszę sobie przypomnieć, że broni pani sposobu myślenia, dla którego pewien papież stworzył wąską możliwość. A mówię o Janie XXIII. Ale natychmiast Kościół zwarł szyki. Nie można ustępować. Swobodne myślenie, analiza wiary, ewangelia ubogich, księży robotników, wrażliwość kobiet i ich prawdopodobne przesłanie... O tym wszystkim wypowiadał się Kościół, zamykając wszystkie szczeliny. W tym sensie prawdziwym człowiekiem z żelaza był Pius XII. Niektórzy go krytykowali, ale ostatni papieżeszli tą samą drogą. Dla takich osób jak pani, Marto, drzwi są zamknięte.

- Zawsze były zamknięte.

- To też nie wydaje mi się właściwe. A ponieważ nie wydaje mi się właściwe, teraz z panią rozmawiam. Ale niepokoi mnie to, co pani przed chwilą powiedziała, że prosta wiara, która daje nam na wszystko rozwiązania, jest zamachem na ludzką godność.

Marta znowu zacisnęła wargi.

- To dlatego, że nasza godność ukształtowana jest przez wartości moralne, takie jak odwaga osobista, zrozumienie, tolerancja, braterstwo, miłość i oczywiście myślenie. Kto nie myśli, nie jest w pełni istotą ludzką.

Marta Vives odwróciła wzrok. Wiedziała, że nigdy nie zdoła przekonać Masdéu, jak członkowie jej rodziny nigdy nie przekonali tych, którzy w końcu ich zabijali. Poza tym w tej kawiarni nikt by ich nie zrozumiał. Może ojciec Olavide? Ale ojciec Olavide już odszedł.

Na zewnątrz panowała ciemność. Marta usłyszała niewyraźnie hałas motocykla za plecami, za ścianą. Z pewnością za kawiarnią był jakiś ślepy zaułek, ale nie przeczuwała tego aż do tej chwili. Przez drzwi na parterze, które się otwierały i zamykały, przechodziły tylko cienie. Powiedziała, jakby własny głos ją uspokajał, jakby mówiła do siebie:

- Wierzę w coś wyższego od nas. Ani nasze myślenie, ani nasza wrażliwość, nasza kultura i nasza historia nie mogą być owocem przypadku. Musi być jakiś początek i jeżeli ten początek nazywa pan Bogiem, ja też mogę nazywać go Bogiem. Ale Jego dzieło jest dwuznaczne i smutne. Stwórca, już nawet nie dobry, ale po prostu prawy, nie może akceptować tak okrutnego dzieła.

- To jest, Marto, padół łez.

- Nie widzę potrzeby wykazywania własnej wielkości poprzez tworzenie padółu łez.

Masdéu westchnął, nie patrząc na nią.

- Proszę pomyśleć o Złu.

- Co wskazuje, że Zło, z dużej litery, istnieje?

- Jasne, że istnieje.

- I że Bóg - ucięła Marta - nie jest wolny. I postaram się powiedzieć coś jeszcze: istnieje wieczna walka, której my, istoty ludzkie, jesteśmy ofiarami, i Stworzenie jeszcze się nie zakończyło.

I wtedy zobaczyła, że przed drzwiami znowu przesuwa się owa czarna postać. Zdecydowanie ojciec Olavide jeszcze nie odszedł.

Przez pewien czas pracowałem jako nauczyciel kontraktowy w pewnym gimnazjum należącym do Szkół Pijarskich. Wydawało się absurdalne, że syn diabła uczy czegoś w salach bożych, ale byłem jedynym, który dowiódł, że zna lepiej historię niż wszyscy pozostali nauczyciele razem wzięci, a ponadto byłem jedynym, który zgodził się pracować za głodową pensję. Wielu pijarów nie ukończyło nawet studiów i mało wiedzieli, tak więc kompensowali swoje braki, zatrudniając ubogich nauczycieli, którzy własnym honorem zasłaniali wytarte rękawy swoich marynarek.

Gimnazjum znajdowało się w najelegantszej części Barcelony, w Sarria, ponad Paseo de la Bonanova. Z jego okien dostrzegałem wspaniałą willę Guillermita Clavé, którego kiedyś miałem zabić, chociaż wówczas jeszcze go nie znałem. Dostrzegałem ogrody z weneckimi labiryntami, greckie posągi i kubańskie palmy. Czasami widziałem przemykającą między nimi ubraną na czarno służącą. Uczniowie byli bogaci i należeli do tradycyjnych rodzin kraju. Nauczyciele nie należeli do żadnej rodziny i byli biedni.

Barcelona przekształcała się w niebezpieczne dla mnie miasto, gdyż co kilka lat musiałem zmieniać nazwisko, adres i zawód, jako że trudno mi było zmienić wygląd. Byłoby prościej przeprowadzić się do jakiegokolwiek innego wielkiego miasta, ale kochałem moje ulice i nie chciałem się rozstawać ani z nimi, ani z widmami, które z biegiem czasu za sobą zostawiałem.

Ucząc tych synów potężnych rodzin, utwierdzałem się w przekonaniu, że nie tylko tworzą się definitywnie dwie Hiszpanie, których nie można już ze sobą pogodzić, ale również ukształtowały się trzy czy cztery Barcelony. Moje miasto było straszliwie

skomplikowane: nacjonalistyczne i centralistyczne, internacjonalistyczne i lokalistyczne, klerykalne i anarchistyczne, przeładowane kościołami i pełne lupanarów, bogate, a jednocześnie przepelnione nędzą. Kiedy dojdzie do nieuniknionej pożogi, nikt nie będzie w stanie w nim rządzić. Czasami czułem potrzebę opowiedzenia moim uczniom o wszystkich tych mężczyznach i kobietach, których widziałem, jak umierają, na ogół za nic - albo tylko po to, żeby ocalić swoją ludzką godność - ale ci młodzi ludzie nie zrozumieliby ani jednego słowa.

Chociaż Barcelona rozrastała się tak, jak nigdy nie potrafiłbym sobie wyobrazić, stare miasto niemal się nie zmieniło i mogłem śledzić wszystkie jego ulice, wszystkie jego domy, kierując się tylko nicią wspomnień. Znałem rozkład mieszkań, w których kiedyś byłem, choć ich obecni lokatorzy tego nie podejrzewali, liczyłem bramy, sklepy, które widziałem, jak przechodzą z ojców na synów, lupanary, które widziałem, jak przechodzą z matek na córki. Mogłem opisać siedziby wszystkich partii politycznych, mogłem też wymienić nazwiska ich męczenników. Widziałem, jak gubi się spojrzenie kobiet, których pełen nadziei wyraz oglądałem, kiedy były dziećmi.

Do miasta przyjeżdżały pociągi emigrantów poszukujących lepszego życia, bo w Barcelonie była praca, a nie było jej w środkowej Hiszpanii, w jej martwych prowincjach. Cała nędza Aragonii, Murcji i Almerii wysypywała się na budowę Wystawy 1929 roku i czytywałem pewnego młodego dziennikarza, Cariosa Senti-sa, który litościwie nazywał przepelnione robotnikami pociągi przybywające z Murcji *transmiserianos**. * *Miseria* (hiszp.) - bieda, nędza. Wraz z tym wszystkim rosło wzburzenie społeczne, mężczyźni

i kobiety szukali swojej ostatniej szansy i barcelońskie wzgórza zaczynały pokrywać się barykadami.

Nikt by mi nie uwierzył, gdybym opowiadał, że wiele wieków temu to Francuzi przybywali do Barcelony, poszukując pracy i uciekając przed nędzą. W moich oczach świat ciągle był inny i ciągle się powtarzał, pokazując, że jest na nim jeszcze wiele do zrobienia.

Czy były to osiągnięcia wyznaczone już w chwili Stworzenia? Czy też my je tworzyliśmy?

Chociaż zdawałem sobie sprawę, że kraj zbliża się do samoza-głady, były to lata spokojne dla mnie - widma, które pojawiło się z otchłani czasu. Nikt mnie nie znał ani nie prześladował, co rano wspinałem się na szlachetne wysokości miasta, widziałem szlachetne budynki w Sarria, przemierzałem ogrody i place i rozmawiałem z ptakami. Moje życie było cnotliwe.

Zabiłem tylko jednego człowieka.

I nie znalazłem ani śladu Tego Drugiego.

Masdéu wyszeptał:

- Dlaczego pani sądzi, że Stworzenie jeszcze się nie zakończyło?

- Bo trwa dotąd walka między dwiema mocami i ten Stwórca, o którym mówiliśmy tyle razy, nie zdołał ukończyć swojego dzieła. W rzeczywistości się uczy, żeby móc je ukończyć.

- A od kogo się uczy?

- Od nas.

Masdéu wzdrygnął się, jakby usłyszał bluźnierstwo.

- Ależ co pani mówi?!

- Czy pan, człowiek nieskazitelnej wiary, wierzy w demony? - spytała Marta, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Co?

- Czy pan wierzy w anioły?

- Oczywiście, że tak.

- Więc musi też pan wierzyć w demony. Spróbuję to wyjaśnić po tylu rozmyślaniach, które za sobą zostawiłam. Stwórca - niech go pan nazywa, jak chce - został pokonany. Jego zwycięzca - niech go pan nazywa, jak chce - uczestniczył w tym dziele i uczestniczył w Stworzeniu, którego żaden z nich nie zdołał ukończyć tak, jak chciał. Od tego czasu przybywają posłańcy, z jednej i drugiej strony, żeby je ukończyć.

- Jacy posłańcy?

- Jedni są aniołami, inni są demonami. Przybywają na nasz świat i wszyscy poznaliśmy niektórych. Informują nas i częściowo nami kierują. Ale to my kończymy dzieło Stworzenia.

Marta mówiła z pewnością siebie, ale Masdéo słuchał jej z zamkniętymi oczami i co pewien czas kręcił głową, jakby jej nie rozumiał. Zapytał kpiąco:

- Czy jesteśmy tak ważni?

- Jesteśmy najważniejszą rzeczą, jaka została stworzona. Nie znam niczego wyższego.

- I co...?

- Podczas stuleci opanowujemy stopniowo prawa kosmosu i podczas stuleci, które nadejdą, posuniemy się w naszych zdobyczach. A nawet zmodyfikujemy te prawa. Nadejdzie dzień, kiedy Stworzenie stanie się również naszym dziełem.

- W aspekcie materialnym?

- W aspekcie materialnym. To już się dzieje. To proces, którego my nie zaczęliśmy, ale który zakończymy. I nie wiem, dokąd można w nim dojść.

- Czy sądzi pani, że pewnego dnia wiedza zdoła uzupełnić Stworzenie?

- Tak, a nawet je unicestwić.
- Niech mi pani powie, Marto: a prawo moralne? My, istoty ludzkie, nie jesteśmy utworzeni tylko z wiedzy. A raczej, choć większość istot ludzkich jeszcze o tym nie wie, wszyscy mamy jakiś wymiar moralny.

- Który też ewoluuje, też jest jakimś tworzeniem.
- Myli się pani: wymiar moralny został nam dany.
- I nazywa się go wiarą - szepnęła Marta.
- Tak.

Marta ciągnęła dalej:

- Został nam dany wymiar moralny, który zmienia się wraz z kulturami i religiami, ale istnieje pewna moralność uniwersalna, którą my, istoty ludzkie, tworzyliśmy i która w wielkiej części zależy od kultury, jaką osiągamy. Poza wszelką normą religijną tworzyliśmy etykę ludzką: dobro, uczciwość, odwaga osobista, dążenie do wolności, poczucie sprawiedliwości, ludzka miłość, które czasami karmi się tylko tchnieniem powietrza, nie występują w żadnym prawie boskim. Tolerancja, szacunek, współzycie, nawet płacz, to tworzy istot ludzkich. Otrzymujemy bodźce tak zwanego Dobra i tak zwanego Zła, ale moralność i etykę tworzymy sami. Chociaż my, istoty ludzkie, powtarzamy ciągle nasze błędy, wiemy, że to błędy. Przez całe wieki usiłowaliśmy ich unikać lub przynajmniej nauczyliśmy się je przeklinać. Z niewielu materiałów, jakie zostały nam dane - na przykład z wiary - stworzyliśmy wymiar moralny, który na początku nie istniał. Żyliśmy i umieraliśmy za niego, co go uszlachetnia.

Nawet połowa moralności nie została nam dana przez wiarę, a to oznacza, że ponad połowę moralności stworzyliśmy sami.

Ośmielę się powiedzieć, że stworzymy to, czego ani bogowie, ani demony nie zdołali ukończyć. Wszyscy bojownicy, męczennicy,

ci, co wierzyli w lepszy świat, tworzą moralność tego świata, który został im dany nieukończony. Wszyscy ci, co myślą na świecie, pomagają stworzyć świat. I robią to tylko dla godności, nie w oczekiwaniu na nagrodę czy uciekając przed karą, jak robią ci, co po prostu mają wiarę.

Masdéu zapytał niedowierzającym głosem:

- A czy Bóg bierze to pod uwagę?

- Nie tylko bierze to pod uwagę: uczy się. I nadejdzie dzień, kiedy nie tylko osiągniemy materialne granice Stworzenia, lecz także ustalimy granice moralne. Może tego dnia Stworzenie zostanie ukończone i Bóg stanie się po prostu naszym towarzyszem. Mówi to nawet religia, której jest pan tak wierny: zostaliśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. Ale nasze dzieło zda się nie mieć kresu; nikt nie potrafi obliczyć, ile było pokoleń od początku naszego gatunku, i nikt nie potrafi obliczyć, ile pokoleń będzie potrzebnych, żeby zamknął się ten cykl. A ten cykl zamkną kiedyś ci, co uwierzą w siebie samych, i ci, co będą myśleli.

Masdéu powiedział piskliwym głosem:

- Jak robili to wszyscy zmarli w pani rodzinie...

- Jak robili to wszyscy zmarli w mojej rodzinie. Od kobiety, która została bez niszy, po tę, która miała na piersiach, w grobie, krzyż z brązu.

Piskliwy głos, jakby dobywając się ze wszystkich zakątków półmroku, powiedział znowu:

- Byłoby im łatwiej mieć wiarę.

- Można mieć wiarę i myśleć.

- Wtedy wpada się w herezję - rzekł Masdéu.

- Tak.

- Ale bardzo łatwo można tego uniknąć, droga przyjaciółko. Granice określa Rzym.

- Istota ludzka nie powinna mieć granic - szepnęła Marta - ale można myśleć, nie obrażając Rzymu.

- Nie, moja przyjaciółko.

- Nie? Dlaczego?

- Od początku wieków to Rzym ustala, kiedy powinien uważać się za obrażony.

- Rozumiem: za każdym razem, kiedy o nim myślimy, możemy go obrazić. Za każdym razem, kiedy dochodzimy do tak zwanej teologii wyzwolenia, możemy go obrazić. Za każdym razem, kiedy jakiś ksiądz zaczyna pracować w kopalni, może go obrazić. Za każdym razem, kiedy po prostu myślimy, możemy go obrazić. To on decyduje, czy został obrażony.

- To logiczne. I taka jest jego misja, którą kultywował od początku wieków; nie można tknąć ani przecinka tego, co zostało nam objawione, i są całe legiony męczenników, którzy umarli za tę wiarę. W mojej rodzinie zawsze tacy byli. Żaden z nich tego nie żałował.

Marta chciała powiedzieć, że przynajmniej jeden żałował - i może nadal żałuje z trzewi miasta - ale wolała zachować milczenie. Odwróciła głowę.

Znowu ulica, gdzie już nie poruszały się nawet cienie. I nagle uczucie samotności, jałowego czasu, w tym niewielkim wszechświecie, w którym dominowały tylko oczy kota. Marta, nie wiedzieć czemu, poczuła lęk.

Wtedy głos Masdéo przerwał spowijającą ich ciszę.

- Jest jedno podstawowe słowo - powiedział. - Posłuszeństwo.

- Posłuszeństwo jest właściwe baranom. Może dlatego chrześcijan dobrej wiary porównywano do stada.

- Nie chciałbym się na panią obrażać, ale obraża mnie pani.

Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że nie ma na to rady: jest pani godną spadkobierczynią swojego rodu. Przez całe wieki byli w nim wolnomyśliciele, co prowadziło po prostu do herezji, rewolucji i systemów rządu laickiego, a nawet gorzej, antyreligijnego, które uważały, że człowiek wystarcza samemu sobie. Przez całe wieki wierzyliście nie w pakt z Bogiem, ale w pakt z Szatanem. I dlatego byliście systematycznie karani.

- Systematycznie - powtórzyła Marta.

Pamiętała zbyt dużo. Ale zdołała się uśmiechnąć i powiedziała:

- Bóg nie dopuszcza paktu.

- Dlatego mówiłem o Posłuszeństwie. A teraz niech mi pani powie, czy Szatan go dopuszcza.

- Być może tak. Tak naprawdę stworzenie ludzkiej moralności było ciągłym paktowaniem między Dobrem a Złem i myślę, że będzie tak nadal. Dlatego otrzymujemy ciągle przesłania: są istoty, które zawsze nam towarzyszą i które zamieszkują Czas.

- Przypuszczam, że wysłane przez Szatana.

- Obawiam się, że tak - rzekła Marta - ale są też takie, które stoją po stronie Posłuszeństwa, po stronie słów, których nie wolno dotykać.

Zapadła nagle cisza. Marta zamknęła mocno oczy.

Wiedziała.

Masdeu otrzymywali przesłania doktryny, której nie wolno dotykać. Do inkwizytorów, teologów, biskupów, krzyżowców wiary dochodził tylko głos tej wiary. I gdy było trzeba, umierali za nią.

Marta nadal miała zamknięte oczy.

Czy były inne głosy? Czy były inne słowa?

Była pewna, że tak, i jej własna rodzina też w to wierzyła przez całe wieki. Dlatego wszyscy oni kolejno ginęli i dlatego ona też

mogła zginąć. Jakby przebywała na dnie jakiegoś snu, przypominała sobie mężczyznę o białej skórze, którego poznała w domu martwego biskupa. Czy ten człowiek - jeżeli był to człowiek - był głosem, który też przybywał z głębi wieków? Czy był to jeden z tych głosów, w które wierzyli członkowie jej rodu, chociaż bezpośrednio nigdy go nie słyszeli? Masdáu przerwał jej rozmyślania.

- To jest walka, która trwa od początku wieków i może nigdy się nie skończy. Dlatego nie ma pośpiechu. Między wszystkimi autodafé Inkwizycji a wyrokami trybunałów wojskowych podczas wojny domowej nie upłynął czas. To ta sama walka. A teraz... Dlaczego pani się śmieje?

- Gdyby ci nieliczni ludzie, którzy są teraz w tej kawiarni, słyszeli nas, pomyśleliby, że jesteśmy szaleńcami - powiedziała Marta. - Nikt już nie dyskutuje na takie tematy.

- Nie przysłoby też do głowy dyskutować na takie tematy tym, którzy pracowali w Twin Towers - rzekł mężczyzna - ani tym, którzy podróżowali pewnym madryckim pociągiem pewnego jedenastego marca. Niewątpliwie żaden z nich nie myślał o religii ani o religijnej śmierci. A religijna śmierć istnieje. Istniała przez wieki i nigdy nie przestanie istnieć.

- To śmierć najbardziej absurdalna - rzekła Marta - która ma najmniej powodów, żeby istnieć, chociaż okresowo powraca. Mam nadzieję, że pewnego dnia ludzka myśl z nią skończy.

- Zbyttno pani wierzy w ludzką myśl, Marto.

Marta wstała. Uśmiechała się.

- Ludzka myśl nie skończyła ze złem, ale przynajmniej nauczyła się identyfikować i na nie pluć. A zło pochodzi od tych, co wierzą tylko w Posłuszeństwo.

Masdáu też wstał, ale miał napięty wyraz twarzy.

- Przynajmniej mnie pani wysłuchała - powiedział.
- Proszę nie dziękować. Staram się być intelektualistką, która tylko nadaje się do słuchania ludzi.

Zeszła po schodach z antresoli, Masdáu szedł za nią. Ci, co stali na dole, spojrzeli na nogi dziewczyny, na jej smukłą talię i domyślili się czegoś w jej ustach, czegoś, co im powiedziało, że nie umie całować.

Ulica była bardziej ponura niż kiedykolwiek, może bardziej wyludniona, chociaż u jej wylotu jacyś robotnicy kopali rów. Marta dostrzegła ogrodzenie zabezpieczające. Widocznie fundamenty niektórych domów były niepewne.

Masdáu powiedział:

- Będzie lepiej, jeśli wyjdziemy od tyłu. Skrócimy sobie drogę i unikniemy tego wszystkiego.

Marta zgodziła się, bo nie знаła okolicy. Zobaczyła jakieś drzwi w połowie zakryte zasłoną. I uliczkę, która zdawała się prowadzić donikąd. I dalekie światło.

Natomiast nie dostrzegła dołu, który otwierał się pod jej stopami i który Masdáu odsłonił, odsuwając nogą metalową kratę, która go przykrywała. Oślepiało ją światło dochodzące z końca zaułka. Nic nie widziała, kiedy szła do przodu.

Nie zobaczyła też dłoni Masdáu, która zbliżała się do jej karku.

40.

Dom na wzgórzu

Powiedziałem już, że zabiłem człowieka.

Chciałbym o nim opowiedzieć. O jego wieku: miał jakieś pięćdziesiąt lat. O jego nienagannym stroju, który wyróżniał się jeszcze bardziej w obdartym mieście: ubraniach z angielskiej wełny, którą on sam importował za pośrednictwem swojej fabryki, butach z krokodylowej skóry, jedwabnych szelkach, najwytworniejszych, jakie widziałem w czasie mojej długiej historii. O jego odznaczeniach: nosił w klapie baretki dwóch medali. O jego kobietach: uległych młodych damach, które czekały na niego z podniesioną spódnicą przy izabelińskiej toaletce, przy lustrze lub przy orientalnym dywanie, który wydawał się zrobiony z dziecięcej skóry.

Był z definicji zwycięzcą, tym, kto narzucał nowy porządek w pokonanej Barcelonie. Inni zwycięzcy zostawiali karabin i wracali do pracy, często beznadziejnej, ale on wracał do swoich fabryk, swojego kapitału i swoich prawd. Medal byłego jeńca, medal w uznaniu cierpień za ojczyznę. Ani kropli własnej krwi na nieskazitelnym ubraniu; najwyżej, przez nieuwagę, jakaś kropelka krwi jego dziewic. Był prawdą kraju, który należało odbudować, i nadzieją imperium, które nie istniało, ale które jego ludzie już narysowali na mapie.

Powiedziałem, że go zabiłem.

Ale najpierw muszę pomówić o domu.

Żyłem w nim przez prawie całą wojnę domową, pogrążałem się w jego samotności i zamieszkiwałem go jak widmo. Stał przy pewnej na wpół zbudowanej ulicy w Pedralbes, gdyż wtedy w tej dzielnicy wszystkie ulice były na wpół zbudowane. Otoczony drzewami i usytuowany na szczycie zbocza, był zaledwie widoczny i sądzę, że z tego właśnie powodu nikt go nie zarekwirował. Był tam ogród ze stokrotkami, które już zwiędły, jesienne róże, które jeszcze kwitły przy ogrodzeniu, i dwa cyprysy, które pieściły powietrze.

Był też grób.

I to właśnie grób sprawił, że tam zostałem.

Lekcje w gimnazjum pijarów zakończyły się jeszcze przed wojną, jako że prawa Republiki wprowadziły nauczanie laickie przeciw religijnemu. Wyrzucili mnie na bruk, mówiąc, że to nie ich wina, i wówczas, ponieważ byłem taki mądry, poświęciłem się prywatnym lekcjom. Tak odkryłem ten dom.

Wtedy stokrotki zapełniały ogród, jesienne róże rosły wszędzie i cyprysy jeszcze się nie narodziły. Z wielkich okien widać było w oddali miasto takie, jakie kiedyś oglądałem z kościoła Nuestra Señora del Coll. Była tam dziewczynka, która przyjmowała światło i ciepło słońca, i pies o imieniu Ringo, wyjący do księżyca.

Pewnego dnia, tuż przed wybuchem wojny domowej, zjawiłem się tam w odpowiedzi na ogłoszenie i poznałem miejsce, w którym miał być grób.

Ale grobu jeszcze nie było.

Wtedy poznałem tylko dziewczynkę. Skośne oczy, niepewne

nogi, bardzo delikatna cera i ręce kreślące rysunki w powietrzu. Chorowała na zespół Downa, a w owych czasach dla dziewczynek z zespołem Downa nie widziano możliwości poprawy; po prostu się je żywiło i ignorowało. Ale w tym wypadku rodzice w nią wierzyli.

Ojciec był agentem giełdowym i w latach łatwych klasyfikacji uchodził za prawicowca. Matka była francuską nauczycielką wierzącą w przyszłość rodzaju ludzkiego i tym samym - w przyszłość dziewczynki.

Poznałem też Ritę, kobietę z ludu.

Tak jak musiałem opowiedzieć o domu, gdzie królowało światło, teraz muszę opowiedzieć o Ricie, kobiecie z uliczek, gdzie królowały ciemności.

Rita urodziła się w najgłębszej Barcelonie, na ulicy Tapias, która wówczas była centrum najbardziej plugawej prostytucji. W wieku dwudziestu trzech lat została prostytutką po prostu z głodu, po tym, jak służąc w pewnym domu, zaszła w ciążę ze swoim panem. Rita urodziła córkę. Córka umarła.

To w tym domu światła poznałem jej spokojne oczy, jej zaczerwienione od pracy dłonie, jej wąskie wargi i język, który jak język psa lizał ciągle skórę dziewczynki o skośnych oczach, podczas gdy ona przyjmowała przy oknie to słońce bogaczy opłacane przez jej rodziców.

Ojciec był uczciwym człowiekiem, tak uczciwym, że nigdy nie dostrzegł we mnie niczego dziwnego. Kiedy ze mną rozmawiał, z jego oczu niemal wymykały się łzy.

- Kilku zagranicznych kolegów mówiło mi, że dla mojej córki może być nadzieja, jeżeli będzie otrzymywać specjalną naukę. Ta

specjalna nauka powinna była zacząć się wcześniej, a to znaczy, że nie zrobiłem ze swej strony wszystkiego, co powinienem był zrobić. Ale jeżeli pan będzie z nią przez cały dzień, usiłując ją uczyć, a Rita będzie z nią przez cały dzień, usiłując dać jej uczucie, jest jeszcze jakaś przyszłość.

Chciał powiedzieć, że jest jeszcze możliwy jakiś cud.

W ten sposób ja, człowiek stuleci, który poznał lochy Inkwizycji i był sekretarzem hrabiego Hiszpanii, zostałem mianowany nauczycielem dziewczynki, która nigdy nie będzie mogła mnie zrozumieć, w domu na wzgórzu, gdzie królowały jesienne róże i zaczynały rosnąć dwa cyprysy. Poprzysiągłem, że się o to postaram, albowiem miałem nad innymi pewną przewagę: mogłem na nią patrzeć oczami wiecznego życia.

Ponadto miałem do dyspozycji dwie istoty, które mogły dokonać cudu. Jedną z tych istot był pies, który stawał przy dziewczynce i gotów był jej bronić nawet przed powietrzem: dziewczynka dostrzegała to uczucie, tę obecność. Drugą była Rita, kobieta z głębokiego ludu, która zaledwie umiała czytać i która nosiła w swoim łonie martwą córkę. Teraz mogła nosić w swoim łonie córkę żywą.

Dziewczynka była jej duszą, tak jak dla psa była nowo narodzonego szczeniakiem.

To właśnie wtedy wybuchła wojna domowa, która dla mnie nie była żadnym zaskoczeniem. Nie na próżno przeżyłem wojnę żniwiarzy*, * Wojna żniwiarzy (1640-1652) - chłopskie powstanie zbrojne wywołane podniesieniem podatków; objęło większą część Księstwa Katalonii. obronę Barcelony w 1714 roku, wojnę o niepodległość, walki karlistowskie i rodziny dwóch Hiszpanii. Mogłem wyjaśnić tysiąc spraw na

katedrach uczelni miasta, ale nikt by mnie nie słuchał. Jedyne, co mogłem zrobić, to oglądać miasto u moich stóp, z płonącymi kościołami, jak widziałem je podczas Tragicznego Tygodnia. Zdać sobie sprawę, że ja, nieśmiertelny, mam wielką ochotę umrzeć.

Nie mogłem wiedzieć, że w tej chwili, jedynie w towarzystwie analfabetki, dziecka i psa, zaczyna się jakiś jedyny godny etap w moim życiu. Nie mogłem wiedzieć, że pies i analfabetka są panami losu. Ja nim nie byłem.

Kiedy okoliczne kościoły zostały podpalone, a domy bogaczy, już w pierwszych dniach rewolucji, splądrowane, matka dziewczynki, jako obywatelka francuska, postanowiła skorzystać z paszportu i wrócić do swojego kraju, w towarzystwie męża i dziewczynki. Jej mężowi groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo: mógł zostać stracony przez anarchistów, jak to się już stało z kilkoma sąsiadami. Toteż konsul francuski, ze względu na ryzyko, wysłał po niego samochód i kazał mu w ciągu godziny przygotować się do podróży.

Prawie niczego nie mógł ze sobą zabrać. Tylko trochę klejnotów i papierów wartościowych.

I dziewczynkę.

Ale dziewczynka znikła. Wtedy tego nie zrozumiałem, chociaż wszystko musiało stać się niemal na moich oczach. Matka rozpaczała, dostała ataku nerwowego, spoliczkowała mnie, bo myślała, że coś wiem, padła na kolana, kazała psu węszyć w powietrzu. Rita i dziewczynka znikły. Niczego nie znaleziono ani w najbardziej ukrytych zakątkach domu, ani pod meblami, ani w ustrojach ogrodu. Pies, spokojny, nie chciał tropić. Szofer z konsulatu francuskiego ponaglał i krzyczał, że za minutę będzie już za późno.

Teraz myślę, że to, co się stało, było logiczne. Podczas gdy ojciec rozpaczał, szukając po wszystkich kątach, matka upadła jak rażona gromem, przyciskając dłonie do serca. Szofer wsadził ją do samochodu i jadąc z wielką prędkością, zawiózł do Szpitala Klinicznego, który już był pełen trupów. Tam zaaplikowano jej jakieś doraźne leczenie, podano środki uspokajające mężowi i kazano szoferowi, żeby natychmiast ich zawiózł do jakiegoś szpitala po drugiej stronie granicy, gdzie bezpiecznie będzie można się nimi zająć; i ja zostałem sam w domu.

Pamiętam lipcowe słońce. Miasto, które zdawało się płonąć. Olbrzymią Barcelonę, którą widziałem, jak się rodziła. Strzały, które było słyhać nawet w tej dzielnicy bogaczy, jednej z najspokojniejszych na świecie. Pamiętam powietrze, które parzyło, i ogród w kolorze tak żywym, tak zielonym, że aż bolało.

Wtedy pojawiła się Rita z dziewczynką. A za nią pies, merdając ogonem. Teraz już ten drań węszył w powietrzu.

- Wszędzie było słyhać strzały - powiedziała z wilgotnymi oczami Rita. - Bałam się, że ją zabiją.

Zrobiła to, co robią zwierzęta, kiedy przeczuwają niebezpieczeństwo: chowają swoje młode. Wyposażona w spryt pochodzący z głębi ziemi, ta kobieta, która nic nie umiała, nagle umiała wszystko. Zdołała się dostać do jedynej jaskini, jaka istniała w okolicy, wejść tam z dziewczynką, przykryć ją swoim ciałem, zakryć wszystko gałęziami i gotowa była umrzeć, zanim ktokolwiek dotknie malej. Dopiero kiedy w okolicy zapadła cisza, wyszła z jaskini.

Za późno. Rodziców już nie było. Zapadła noc. Dziewczynka bała się i była głodna.

Za późno.

Albo może nie.

Była ta kobieta, gotowa oddać życie. Byłem ja. Był pies, który lizał małą. Był dom.

I w ten sposób ja, syn diabła, zostałem opiekunem dziewczynki, która nawet nie umiała mówić. Tak zrozumiałem, że ja też jestem częścią elementarnych prawd świata. Tak więc pocałowałem ją i poprzysięgłem jej bronić. Całując ją, miałem uczucie, że brukam jej twarz.

Wojna domowa nauczyła mnie wielu rzeczy, o ile wcześniej się ich nie nauczyłem. Nauczyła mnie, że osiąga tu szczyt jakiś trwający stulecia proces i że w rzeczywistości wiek XX stanowi część wieku XV, gdyż ówczesne problemy jeszcze nie zostały rozwiązane. Nauczyła mnie, że religia, która powinna być uczuciem - czy też problemem - osobistym, przekształca się w źródło nienawiści i dlatego jest sprawą pilną uczynić z niej znowu uczucie osobiste. Albo problem. Nauczyła mnie, że lud jest zawsze materiałem łatwopalnym: kiedy dotyka go płomień pochodni, wybucha. Nauczyła mnie, że zabija się w imię Boga, jak widziałem, że czyni to Ten Drugi.

W Burgos zabijano w imię Boga; w Barcelonie usiłowano zabić Boga, ale rezultat był ten sam. Religia przestała być uczuciem osobistym, które znajduje w życiu rozwiązania, aby przekształcić się w uczucie zbiorowe, które znajduje rozwiązania tylko w śmierci. Z wysokości tego odosobnionego domu ja, syn wątpliwości, musiałem asystować w zabijaniu tych, którzy nigdy żadnej wątpliwości nie mieli. Wówczas zdałem sobie sprawę - jeżeli tego wcześniej nie zrozumiałem - jak straszne są absolutna pewność i absolutne posłuszeństwo.

Oczywiście nie spotkałem Tego Drugiego. Anarchistowskie patrole skończyłyby z nim. Ten Drugi, który jak ja był zanurzony w otchłani wieków, musiał znajdować się po drugiej stronie frontu, gdzie wiara bez odcieni stała po jego stronie. Ani dla niego, ani dla mnie nie istniał czas, ani dla niego, ani dla mnie nie istniał pośpiech. Musieliśmy się jeszcze spotkać.

Czy powiedziałem, że nie istnieje dla mnie czas? No cóż, niezupełnie tak było. Dla innych czas istniał i ja musiałem się do niego stosować. Jak już tyle razy, znów musiałem zmienić nazwisko i osobowość, jako że nie mogłem zmienić wyglądu. Były nauczyciel u pijarów nie mógł sobie chodzić po rewolucyjnym mieście; tak więc zabrałem dokumenty jakiegoś trupa (trupów było pod dostatkiem na każdym rogu i można było wybierać), sfałszowałem niektóre dane i stałem się profesorem z Ostendy specjalizującym się w językach. Natychmiast dostałem pracę tłumacza w biurze kontrwywiadu i jako człowieka niezastąpionego nie wysłano mnie na wojnę, chociaż nadal wyglądałem na trzydzieści lat.

I był to czas poświęcony dziewczynce.

Teraz, kiedy minęły już wszystkie księżyce, wiem, że nie żyłem dla niczego innego. Najciemniejsze prawdy są zawsze najprostsze. I wtedy dowiedziałem się, że nawet syn diabła może kochać samotny dom, psa i dziewczynkę.

Podczas gdy ja pracowałem, dziewczynka przebywała pod opieką psa i Rity. Nie cierpieliśmy głodu, bo jako urzędnik rządowy dostawałem niewielki dodatkowy przydział (z którego zaledwie korzystałem), a poza tym Rita, wierna swojej chłopskiej przeszłości, zamieniła domowy ogród w warzywnik. Mała, poznając swoje nowe życie, nauczyła się uprawiać warzywa, zbierać je, oczyszczać ścieżki, pozwalać prowadzić się psu i nadawać te same imiona innym każdego dnia ptakom. Ja uczyłem ją rozróżniać

litery i kojarzyć przedmioty, toteż w tym zamkniętym otoczeniu, bez niczego, co by jej przeszkadzało, dziewczynka obudziła swą inteligencję, a poza tym była szczęśliwa.

Naturalnie matka poszukiwała z Francji jej śladów. Czerwony Krzyż prowadził badania i mógłby ją odnaleźć, ale kiedy pracowałem, Rita ją ukrywała. Powiedziała, że się nie odnalazła, z obawy, że ją utraci. Gdyż w głębi jej krwi, jej samotności, jej brzucha, który istniał pewnego dnia, dla Rity dziecko było jej córką.

Pewnego dnia w pobliżu upadła bomba - coś niezwykłego, bo była to odosobniona i spokojna okolica - i dziewczynka została zasypana ziemią. Rita odgrzebała ją paznokciami, krzycząc i gryząc ziemię, aż przekonała się, że dziecko żyje. Wtedy umyła jego ciało językiem, jak robią to zwierzęta, chociaż zwierzęta nie płaczą z radości. Rita, która pochodziła z mroku, nauczyła mnie nagle prawdy i najbardziej elementarnego światła na świecie, tak jak przed wiekami uczyła mnie ich moja matka.

Ja chodziłem z jednego miejsca w drugie w głodującej Barcelonie, z jednego więzienia do drugiego, z jednej czeki* * W republikańskiej Hiszpanii nazwę tę (*la checa*), w nawiązaniu do sowieckiej CzeKa, otrzymały lokale, w których podczas wojny domowej organizacje komunistyczne przetrzymywały, przesłuchiwały i sądziły w trybie doraźnym osoby podejrzane o wrogą działalność lub odmienne przekonania. do drugiej, tłumacząc to, co mówili zatrzymani rzekomi szpiedzy. Chodziłem ulicą San Pablo, gdzie upłynęło moje dzieciństwo, widziałem kościół, w którym przed wiekami sypiałem, i włączyłem się po Rondas, gdzie przez tak długi czas widywałem ostatnie mury, te, które zostały zburzone w czasach Ildefonsa Cerdà. O ile mury Jakuba I należały do mojego dzieciństwa i pozostawiały Raval na zewnątrz, o tyle mury Piotra Ceremonialnego, wzniesione zaledwie sto lat później, zawarły Raval w

swoim wnętrzu, zawarły mnie w swoim wnętrzu. Byłem człowiekiem murów, człowiekiem o zawsze tej samej twarzy, który mógł być wszędzie rozpoznany, ale wszyscy, którzy mogli mnie rozpoznać, byli już martwi.

Chodziłem z jednego miejsca w drugie w głodującej Barcelonie. Widziałem domy zniszczone przez bomby i nabierałem przekonania, że miasto zniknie, pochłonięte przez ogień. Samoloty faszystowskie dziurawiły je dzień i noc. Widziałem, jak obracają się w proch budynki, które kiedyś kochałem, widziałem krzyczące kobiety i przerażone oczy dzieci. Przyciskałem się do murów jakiegoś zamkniętego kościoła, przypominałem sobie wszystkich martwych już ludzi, których widziałem, kiedy z niego wychodzili, a którzy teraz stali się mgłą, i musiałem zamykać oczy.

Ale w istocie nie było to rzeczywiste. Rzeczywistość była w domu na wzgórzu. Tam nauczyłem dziewczynkę czytać i tam uczyłem ją pisać. Wieczorami zapoznawałem ją z nazwami konstelacji. Osiągnąłem to, że prawie wszystkie słowa - proste i bezpośrednie - wymawiała w trzech językach, bo dzieci uczą się wszystkiego ze śmiechem. Trzymałem ją na rękach, zrodzonych dla zła, i myślałem, że zło też może mieścić w sobie czułość. Może było prawdą, że Bóg uczy się od nas i że Go przeraża Jego własne dzieło.

Oczywiście, pomimo odosobnienia, nie wszystko było spokojem w domu na wzgórzu. Przebywająca we Francji matka podjęła jeszcze jedną próbę odnalezienia córki, ale inną drogą. Tym razem zamiast Czerwonego Krzyża przyszła Międzynarodowa Czerwona Pomoc i Rita znowu ją ukryła. Nie sprzeciwiłem się, bo od pierwszej chwili wiedziałem, że jeśliby jej odebrali dziecko

(i jego sny: kwiaty, którymi się opiekowało, psa, do którego przytulone spało, i gwiazdy, których imiona wymawiało wieczorami), Rita by się zabiła.

Nie była to jedyna wizyta złożona ciszy domu. Rodzaj trzyosobowego komitetu rządowego przybył w jego mury i chciał go skonfiskować. Wszystkie opuszczone budynki w sąsiedztwie zostały już skonfiskowane, toteż mnie to nie zdziwiło. Jeden z trzech mężczyzn przykuł moją uwagę, gdyż wydawał się wykształcony, władczy i - nie wiedzieć skąd - znał ten budynek. Dokonał jego inspekcji, sprawdził stan murów, spojrzął obojętnie na dziewczynkę, wymierzył kopniaka psu, który mu przeszkadzał, i oświadczył, że dokonuje zajęcia domu. Widocznie Republika potrzebowała go, żeby wygrać wojnę. Ale ja przeciwstawiłem się, mówiąc, że ten budynek przydzielony jest służbom kontrwywiadu i że jeżeli będzie robił trudności, zostanie poddany dochodzeniu. Nie było żartem być poddanym dochodzeniu ze strony służby kontrwywiadu, SIM, która wypełniała tyle grobów.

Nie wiem, czy ten typ, o nazwisku Reyes, się przestraszył.

Dwaj pozostali tak.

Przekonali się, że dom jest zbyt mały i bardzo odosobniony, więc sobie poszli, rzucając pogróżki. Nigdy nie czułem takiej ulgi. Ten dom, właśnie ze względu na swoje odosobnienie, był najlepszą gwarancją życia nie tyle dla mnie - ja jej nie potrzebowałem - ile dla Rity i dziewczynki. I znowu mogłem jej towarzyszyć na ścieżkach, nadawać nazwy ptakom tnącym powietrze i wymieniać gwiazdy.

To było po prostu to.

Wtedy nie wiedziałem, że znowu będę zabijał.

Dziewczynka nigdy nie wychodziła z domu ani nikt jej nie znał, bo dom i ogród były jej królestwem. Ale przy końcu 1938 roku, kiedy życie w Barcelonie było już nie do zniesienia, poważnie się rozchorowała. W końcu stało się to, co nigdy przedtem się nie stało, choć było do przewidzenia.

Rita zniosła małą na rękach do Szpitala Klinicznego.

Znowu Szpital Kliniczny, znowu trupy.

Była tam moja fotografia. „Oddział nagłych przypadków, 1916”. Dlatego ja nie mogłem tam pójść.

Mała została zbadana, a nawet zdobyto dla niej jakieś lekarstwa. Rita znowu wzięła ją na ręce, żeby przynieść do domu, przekonana, że wyzdrowieje, i na wargach ich obu wykwitł ten sam uśmiech. Brakowało im tylko radości psa. Dramatycznie szare ulice, bez tramwajów, bez światła, ze zburzonymi narożnikami i kolejkami głodujących kobiet, stanowiły dla nich pejzaż. Rita, idąc bez przerwy, śpiewała i całowała dziewczynkę. Była to ostatnia pieśń radości - pieśń kobiety, która po prostu wierzy w życie - na ulicach martwej Barcelony.

I wtedy samoloty.

I krzyki przerażenia.

I bomba.

Odłamek oderwał połowę twarzy dziewczynki, nawet nie drasnawszy Rity. Ta padła na dziecko, usiłując je zasłonić, poczuła na ciele uderzenie kości i poczuła smak krwi na języku, na swoim języku suki.

Ja sam ją pochowałem obok domu. Własnymi rękami, bez narzędzi, pochowałem ją w miękkiej ziemi, ja, człowiek śmierci.

Rita przyniosła ją na rękach do domu. Wręczyła mi ją skąpana

we krwi, chwiejąc się na nogach, ale z przerażająco suchymi oczami. Było to jak jakiś dar, jakaś ofiara. Pamiętam ogród jeszcze wściekle zielony, szmer powietrza dochodzącego od miasta, niski lot ptaka, nienaturalne wycie psa.

Pamiętam to wszystko.

I własne dłonie drapiące ziemię.

Nawet dzisiaj mógłbym to wszystko narysować na papierze.

Pamiętam oczy Rity, jeszcze przerażająco suche.

I wielkie kartonowe pudło. Pudło po jedynej lalce, jaką dziewczynka miała w życiu.

Stało się trumną.

W końcu trumną dla lalki.

Pamiętam nagie ręce Rity, które przykrywały ją ziemią.

I wielkie drzewo rosnące obok, którego gałęzie drapały niebo. Zobaczyłem, że dwa ptaki siadają na jednej z nich.

Natychmiast zrozumiałem, że założą tam gniazdo.

Od pierwszej chwili wiedziałem, że Rita nie przeżyje tego, ale nigdy nie myślałem, że skończy tak szybko. Owej nocy zostawiłem ją leżącą na łóżku dziewczynki, tulącą się do jej ubrań. Następnego ranka znalazłem ją martwą.

Powtarzam, że to wiedziałem. Ja, człowiek ciemności, widziałem wcześniej te oczy w oczach mojej matki. Moje nieśmiertelne oczy patrzyły na nią z otchłani wieków, moje nieśmiertelne ręce podniosły zmarłą.

I gołymi rękami otworzyłem ponownie grób.

Pamiętam ciszę ogrodu, nawet ciszę powietrza i psa. Tylko bicie skrzydeł przerwało ją nagle. Do moich stóp upadła gałązka. Już nie miałem wątpliwości, że ptaki wiją gniazdo.

Był to grób nielegalny.

I co z tego?

Był to jedyny godny grób.

Rita i dziewczynka pozostaną na zawsze razem przy pudełku lalki.

Ale czegoś brakowało. Ja, człowiek z otchłani czasu, który stąpałem po tyłu zapomnianych cmentarzach, myślałem, że śmierć powinna mieć jednak godność. Toteż zszedłem aż do wnętrza miasta, żeby znaleźć jakąś płytę.

Płytę?

To, co na pozór było takie proste, okazało się niełatwe w ostatnich dniach wojny. Kamieniołomy nie pracowały, rzemieślnicy byli zmobilizowani lub się ukrywali, a przede wszystkim nikt nie pamiętał o przystrajaniu grobów. Pewien kamieniarz powiedział mi, że ukradnie jakąś płytę i wykuje po drugiej stronie imiona Rity i dziewczynki, ale ja, który widziałem tyle nagrobków, nie chciałem płyty z drugiej ręki. Inny zaproponował mi obrobienie kawałków marmuru z pewnego zbombardowanego domu i utworzenie, że tak powiem, jakiejś płyty pozszywanej. Trzeci wyrzucił mnie ordynarnie, mówiąc, że powinienem się zająć ważniejszymi sprawami.

W końcu znalazłem owego młodzieńca w domu przy Paseo de la Bonanova; budynek był zarekwirowany, ale pozwalano mu w nim mieszkać. Był niemal dzieckiem, tłuściutkim, wesołym, o oczach, które zdawały się stworzone po to, żeby podziwiać wszystko, co życie ma w sobie pięknego.

Powiedział mi natychmiast:

- Nazywam się Guillermo Clavé, ale wszyscy nazywają mnie Guillermito.

Spojrzałem na dom: na samej górze budynku - ostatni sztandar Republiki. W palmowej alei - kilka źle ubranych pielęgniarek.

W głębi, w oknach - jacyś zgarbieni mężczyźni, wszyscy w białych fartuchach, tam gdzie wcześniej przechadzały się czarne mundurki dupiastych pokojówek.

- Zawsze, kiedy pan tu przyjdzie, proszę pytać o Guillermita Clavé.

Znowu spojrzałem na dom; teraz zdawałem sobie sprawę, że go znam. W innej epoce, kiedy udawałem lekarza (i w rzeczywistości mogłem nim być), leczyłem tu kogoś: nie mogłem sobie przypomnieć kogo, ale leczyłem... Chłopak zaofiarował się:

- Dawniej pracowali tu kamieniarze, bo ciągle coś przerabialiśmy. Pozostało kilka kawałków marmuru, z których jeden może doskonale posłużyć do zrobienia płyty nagrobnej.

I dodał ze śmiechem:

- Dam go panu.

O mało chłopaka nie uścisnąłem. Pierwszy raz od wybuchu wojny domowej ktoś mi coś dawał szczerze i z radością. Ująłem go za dłonie, które były pełne życia, i wyszeptalem:

- Nie wiem jak, ale przysięgam, że pewnego dnia zdołam ci się za to odplacić.

- Nie będzie pan mógł. Jest pan za stary - powiedział.

Owszem, mogłem.

Ale wtedy o tym nie wiedziałem.

Kiedy po latach (po śmierci kilku palm w alejce i powrocie dupiastych pokojówek) Guillermito Clavé przestał się śmiać, bo rak zżerał mu kości, ulżyłem jego cierpieniom. Nawet tego nie zauważył. Był to ten blady trup, którego potem ojciec Olavide kazał pogrzebać razem z kamieniem, poplamionym przed wiekami moją krwią. Ironia losu. Człowiek, którego pozostawiłem bez krwi, pochowany z moją nieśmiertelną krwią.

W taki sposób zdobyłem płytę.

Golgota.

Jeżeli Chrystus zniósł na swoich ramionach krzyż, wspinając się z nim na miejsce swojej śmierci, ja, syn diabła, zdobyłem moją płytę. Wspinałem się z nią przez udręczone ulice, przez zielone ogrody, przebywałem rowy, wchodziłem na góry, ciągle z brzemieniem płyty, która mi miażdżyła kości. Czulem, że umieram, kiedy zrzuciłem ją obok drzewa, na którym definitywnie zagnieździły się ptaki.

I wykułem ją własnymi rękami. Ja, syn cmentarzy, zrobiłem najprostszą na świecie płytę dla pewnej kobiety i pewnej dziewczynki.

W oddali słyszałem wyjącego psa.

Wiatr bił w narożniki domu na wzgórzach.

I zostały tam wyryte tylko trzy słowa.

Trzy.

„Rita i córka”.

Miasto wypełniło się zwycięskimi sztandarami w radosnym pochodzie pokoju. Wypełniło się „zwartymi szeregami, krzepkimi, marsowymi naszymi szwadronami”^{*}. * Cytat z hymnu Frontu Młodości (Frente de Juventudes), organizacji młodzieży frankistowskiej. Pierwsze zdanie akapitu jest transpozycją jednego z dalszych wersów. Wypełniło się murami, pod którymi rozstrzeliwano ludzi, wypełniło się niespokojnymi mężczyznami, którzy znowu otwierali księgi wpływów i wypląt.

Ale mnie to nie obchodziło.

Płyta nagrobna była na swoim miejscu, pieszczona skrzydłami ptaków. Stare cmentarze, przy Sant Pau del Camp, w Pueblo

Nuevo, na Montjuïc, które tak dobrze znałem, stały się zbyt małe; mój cmentarz zawierał tylko jeden nagrobek. Każdego popołudnia przynosiłem kilka kwiatów z ogrodu, każdej nocy pies kładł się na nim spać.

Oczywiście ja, człowiek, który pracował dla republikańskich służb dochodzeniowych, byłem automatycznie skazany na śmierć, ale mnie to nie obchodziło. Zdobyłem już inną fałszywą tożsamość: dawnego nauczyciela w gimnazjum pijarów. Jasne, że dla minimum bezpieczeństwa powinienem odejść z tego domu; ale nie zrobiłem tego: nigdy nie zostawię grobu i płyty samych.

Aż ten człowiek wrócił, ale uzbrojony i z czterema innymi mężczyznami. Pamiętałem bardzo dobrze jego nazwisko: nazywał się Reyes. To on w czasie wojny chciał zarekwirować dom. Ten wściekły rewolucjonista, ten syn ludu, który pragnął najlepszego dla Republiki, był w rzeczywistości zakamuflowanym milionerem, który teraz nosił z dumą błękitną koszulę Falangi. W Barcelonie było wielu takich jak on. Zmartwiłem się jednak, kiedy dowiedziałem się, że jest właścicielem domu.

- Dawni mieszkańcy, ci, co wyjechali do Francji, byli tylko lokatorami - powiedział. - Ale jasne, ty o tym wiedziałeś.

- A co się z nimi stało? Dlaczego nie wracają?

- Znaleźli się przez pomyłkę na terytorium niemieckim, gdzie mieli wielu przyjaciół. Ale oboje byli Żydami, więc zapomnij o nich. Nie wrócą. Dom jest wolny.

I wycelował we mnie palec.

- Doskonale pamiętam, że pracowałeś w czerwonej służbie kontrwywiadowczej, więc możesz uważać się od tej chwili za aresztowanego. Jeżeli będziesz stawiał opór, skończy się to gorzej.

I dodał:

- Ale teraz nie po to przyszedłem.

Sprzedził dom i nowy właściciel zamierzał wznieść na tym terenie inny, znacznie większy. Dlatego byli z Reyesem ci ludzie. Zobaczył płytę i leżącego na niej psa, a ponieważ ten pokazał zęby, zastrzelił go.

Potem rozkazał:

- Wyrzucicie wszystko.

- Płytę też?

- Płytę w pierwszej kolejności, bo właśnie tutaj będzie wejście do domu. Na pewno jest to nielegalny pochówek, jak tyle innych na wojnie, ale nie będziemy tracili czasu na papiery. Wyrzucicie stamtąd całe to ścierwo. Musimy na tym miejscu budować.

Przypominam sobie znowu wściekłą zieleń ogrodu. Uroczyste drzewo, które było już drzewem wieczności, gdzie ptaki miały solidne gniazdo. Stałem na płycie, obok ciała psa.

- Ty skurwysynu, niczego tu nie ruszysz.

- Nie? Dlaczego? Skazany na śmierć wydaje mi rozkazy?

I kazał swoim ludziom mnie schwytać i zrzucić w dół wąwozu. Stoczyłem się ze wzgórza jak kłoda, poraniłem o krzaki i złamałem nogę, ale Reyes nie mógł mnie zabić, bo byłem człowiekiem wiecznego życia.

W dali usłyszałem, że nadjeżdżają ciężarówką inni robotnicy. Dwaj z nich zamierzali rozbić płytę. Kolejne dwa trupy znalezione po wojnie... I co z tego?

Nikt nie będzie o nie pytał.

Pamiętam mój krzyk w ciszy pól.

- Niiieeeeeeeee!

Nie mogłem nawet się czołgać. Słyszałem w górze uderzenia o płytę. Wbiłem paznokcie w ziemię, aż zaczęły krwawić.

Reyes żył dwa miesiące dłużej.

Znalazłem go śpiącego w łóżku luksusowego hotelu obok młodej dziewczyny, która też spała.

Jej nic się nie stało.

Jemu tak.

I to jest ta prosta historia, którą sobie teraz przypomniałem, prosta historia o tym, jak zabiłem pewnego człowieka.

41.

Biegnij dalej, Marto

Przed jej stopami otwierał się dół. Masdáu musiał o nim wiedzieć, bo zręcznym ruchem stopy odsunął zasłaniającą go kratę. Wystarczyło już tylko lekkie pchnięcie, niemal westchnienie, żeby Marta runęła w ciemność.

W Barcelonie kopie się czasami takie doły, zwłaszcza w zaułkach, po których nikt nie chodzi. Są jak rodzaj wewnętrznych gardzieli, otwierających się między dwiema starymi posesjami. Może to być jakiś przegląd kanału, naprawa fundamentów albo badania archeologiczne, ale tak czy owak dół był głęboki. Jeżeli dno było kamienne, upadek mógł zabić.

Marta nie krzyknęła.

Może w głębi tego oczekiwała. Może odkąd zobaczyła Masdáu, przeczuwała, że to się wydarzy.

I prawe ramię Masdáu wyciągnęło się. Lekki ruch...

Marta usiłowała zrobić unik.

Nie zdołała. Jej stopy zawahały się na brzegu przepaści, której nie mogła widzieć.

I wtedy ta dłoń, która ją zatrzymała...

Marta Vives nie zrozumiała tego w tym pierwszym ułamku sekundy. Ale była to dłoń Masdáu. To on ją ratował, nie dopuszczając

do upadku. Marta zatrzymała się, ciężko dysząc, z szeroko otwartymi oczami, niczego nie rozumiejąc, nie chcąc niczego rozumieć, podczas gdy zaułek wykonywał wokół niej pełen obrót.

- Ostrożnie, Marto.

Teraz całe ramię trzymało ją w pasie. Oddech mężczyzny brzmiał jak charkot, niemal jak krzyk rozpacz. Palce sprawiały jej ból. Masdáu pochylił ją nieco do tyłu.

- Proszę się oprzeć o mur.

Nagle Marta o tym pomyślała. Było to jak światło nadchodzące z odległych ulic, jak natchnienie. Przed wielu laty inny Masdáu, inny fanatyk wiary, poczuł skruchę, kiedy miał spowodować śmierć w imię Boga. Jego zmumifikowane szczątki leżały w pewnym pokoju, którego prawdopodobnie nikt nigdy nie zobaczy.

Teraz ją podtrzymywały ramiona, nie pozwalając jej upaść. Oddech Masdáu stał się niespokojny, podczas gdy wszystkie cienie ulicy ponownie wydawały krzyk. Wtedy ją puścił. Marta czuła jeszcze we krwi zagrożenie. Skrucha może trwać tylko sekundę. A ona stała nadal na brzegu dołu.

Nagle uwolniła się i powiedziała ochryplym głosem:

- Chcę stąd wyjść.

Zrobiła krok, nadal z wrażeniem śmierci w trzewiach. Coś błysnęło na bruku zaułka. Ostatnie światło, w odległości jakichś dziesięciu metrów, wykonało znowu obrót i Marta usłyszała tupot własnych nóg. Ten odgłos zdał się pochodzić od kogoś innego, jej własne dłonie były dłońmi kogoś innego. Dobiegła do końca zaułka. Masdáu nawet nie próbował jej gonić.

Niewyraźnie dostrzegła światło padające z jakiejś wystawy, mrugnięcie jakiegoś szyldu, sylwetkę kogoś, kto przechodził inną, szerszą ulicą.

Była bezpieczna.

I nagle ten czarny kształt, ta postać, która zamykała jej drogę i zasłaniała światło. Marta zdusiła krzyk. Ojciec Olavide objął ją ramionami.

Było to jak powrót na łono znanego świata, gdzie nic nie zagraża. Było to tak jak podczas jej dzieciństwa, kiedy wychodziła przestraszona z jakiejś ciemnej bramy i spotykała na ulicy przyjaciółkę. Zaułek stał się szerszy, światła przestały się obracać. Marta wydała z siebie jeszcze jeden jęk, który w rzeczywistości był westchnieniem ulgi. Nikt za nią nie szedł. Niezrozumiały świat, przed którym uciekała, pozostawał definitywnie za nią.

Ojciec Olavide wyszeptał:

- Czasami na tych ulicach spowiadam chorych. Choć tyle lat spędziłem na studiach za granicą, chorzy są niemal jedynymi przyjaciółmi, jakich mam.

I wyprowadził ją z zaułka. Robotnicza ulica, nieco szersza, wydała się Marcie pełna światła. Brudne wystawy sprawiały wrażenie niezwykle okazałych. Dwaj mężczyźni obejrzeni się na widok księdza prowadzącego niemal w objęciach kobietę. Robotnicy pracujący w rowach podnieśli głowy. I ojciec Olavide zapytał:

- Czy ktoś chciał pani wyrządzić krzywdę?

Marta nie odpowiedziała. Nadal miała niespokojny oddech. Wtedy duchowny ją puścił, żeby spróbowała iść normalnie.

- Już lepiej?

- Tak.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak się śpieszą, kiedy chcą coś zrobić - wyszeptał ojciec Olavide, nie patrząc na nią. - Co ma się wydarzyć, zawsze się wydarza. Czas jest wieczny.

42.

Gołębie

Deszcz otulał starą część miasta i czynił ją bardziej intymną, przykrywał niczym całun ręcznej roboty. Na północ od kancelarii Mareosa Solany wieże katedry miały szary połysk, wypróbowywany wiek po wieku. „Tomasza” wybiła kwadrans, obojętna na czas, choć urodziła się dla czasu. Na południu wieże Santa Maria del Mar chciały zaznaczyć na zawsze serce tego, co było dawną dzielnicą Ribera, a czego one były grobowcem i jednocześnie prochem.

Kilka kropel ślizgało się po szybach i nic poza tym. W Barcelonie już nie pada jak dawniej, a na palecie jej kolorów słońce wysuszyło wodę. Ledwie można było dostrzec wieże miasteczka olimpijskiego, a chwilami zupełnie znikwały one z oczu: szara mgła nadchodząca od Montjuïc zwracała je nicności. Było to tak, jakby ponad pustymi płaskimi dachami, ulicami, nagle tak cichymi, i prawie niewidocznym miastem, zrobionym z czasu, nie istniało nic oprócz kancelarii.

Czas wypoczywał w starych papierach Marty Vives, rozłożonych na biurku, i czas był też w jej oczach, które już błyszczały na widok nowo wytyczonych ulic. W tych papierach zawierało się wszystko, nawet historie zmarłych, ale nadal niestrudzenie

rodziły one prawa i spadki dla żywych, którzy dopiero mieli nadzieję. Marta wiedziała, że stare papiery, stare spadki mieszczą w sobie macice, zawsze gotowe przyjąć czyjeś nasienie. Żółte światło padało na te papiery, na ich niespokojne języki.

I pod biurkiem sprężyste nogi Marty, które też staną się przeszłością na ulicach miasta. I ulice miasta nie zachowują ich w pamięci, jak nóg tylu innych pięknych kobiet.

Solana popatrzył na nie przez chwilę z tęsknotą. Z zamkniętymi oczami umieszczał je czasami w jakimś małym pokoju, na tle książek, na tle deszczu i na tle słów, którym nie udaje się nawet narodzić.

I cóż...? Ulice miasta nie zachowują też w swojej pamięci pragnień mężczyzn.

Drzwi do głównej sali, gdzie pracowali inni aplikanci, otworzyły się i nawet Solana się zdziwił na widok gościa, lecz nie okazał tego po sobie. Jedna z aplikantek, ta, która otworzyła drzwi, powiedziała:

- Przyszedł ojciec Olavide. Przegląda w archiwum jakieś papiery.

I dodała:

- To jest pan Bossman, nowy aplikant. Powiedział mi pan, że bym go wprowadziła, gdy przyjdzie.

- Ach, tak, jasne - uśmiechnął się Solana.

Przybysz wszedł. Był to mężczyzna średniego wzrostu, ubrany z pewną prostotą, o pogodnym wyrazie twarzy, w wieku między trzydziestką a czterdziestką.

Trudno powiedzieć.

Czas się w nim zatrzymał.

W jego twarzy dojrzałego mężczyzny pulsowało dziecko, które jeszcze nie umarło.

Miał bardzo jasną skórę.

W jego wielkich i inteligentnych oczach, na ich dnie stworzonym też z deszczu, naprawdę zatrzymał się czas.

Marcos Solana powiedział uprzejmie:

- Mam przyjemność przedstawić wam pana Axela Bossmana. Według dokumentów i listów polecających, które widziałem, pan Bossman pochodzi z Paryża, choć miał angielskich rodziców, ale nieraz mieszkał długo w Barcelonie, dlatego mówi doskonale po kastylijsku i po katalońsku.

Kładąc dłoń na ramionach nowo przybyłego, dodał:

- Axel był dokumentalistą w bibliotece francuskiego Zgromadzenia Narodowego i ma nieporównane doświadczenie w kierowaniu biurami, nie licząc głębokiej wiedzy historycznej i prawniczej. Oczywiście jest adwokatem i nie powinien mieć problemów z wykonywaniem zawodu w Hiszpanii, chociaż nie to będzie jego misją. Utworzy zespół z panną Martą Vives, która zaczyna już być przeciążona pracą. Marto, przedstawiam ci pana Bossmana, choć w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że już go znasz.

Adwokat pomyślał przez chwilę o bardziej niż oczywistym podobieństwie Axela Bossmana do twarzy, która patrzyła na niego szyderczo z kamiennej maski czy ze starej fotografii z 1916 roku, a również o tym, jak sam siebie przekonał, że musi odłożyć na bok paranormalne spekulacje, które go ostatnio pochłaniały, i zająć się swoją skomplikowaną terażniejszością. Miał z nią dość kłopotów. I zakończył:

- Ale to naturalnie pomyłka. Na świecie jest wiele podobnych do siebie osób.

Marta Vives podniosła głowę, pozostawiając za sobą pejzaż

żółtych papierów, tło ciszy i deszczu. Przybysz uśmiechnął się do niej.

Te jasne oczy.

Ta jasna skóra.

I spokojny, łagodny uśmiech, uśmiech bez czasu, w którym były wszystkie odcienie wiecznego życia. I dłonie, również bardzo jasne, których palce zdawały się nie dotykać rzeczy. Dłonie, które prowadziły ją po domu martwego biskupa.

Marta wyglądała na zahipnotyzowaną. Jej oczy były tak nieruchome jak szyby, po których ślizgał się deszcz.

Czas się zatrzymał.

Za oknem wychodzącym na północ stado gołębi szukało schronienia między wieżami katedry. Solana powiedział z pewnym zaskoczeniem:

- Wygląda tak, jakby państwo się znali.
- Nie - powiedział przybysz. - Nigdy się nie widzieliśmy.

I na jego wargach pojawił się znowu uśmiech wiecznego życia.

Gołębie. W południowym oknie też widać gołębie uciekające przed deszczem. Santa Maria del Mar, która tonie w grobach martwych rybaków. Gołębie tam się nie kierują. Może polecą ku kopule Merced, gdzie posąg Najświętszej Marii Panny wybacza ptakom grzechy.

Cały budynek wydaje się lecieć nad miastem i mgłą. Marta wstaje i czuje, że uginają się pod nią nogi, ale jednocześnie dostrzega, że opierają się mocno jak nigdy o jeden z narożników czasu. Przybysz powiedział:

- Myślę, że usiądę koło pani, Marto.

Marta wyszła z gabinetu do wielkiej sali, gdzie byli inni aplikanci, archiwa, księgowość, drzwi do osobistego gabinetu Solany

i olbrzymia biblioteka, w której kobiety jak Marta zostawiały swoje oczy.

Oparła palce na krawędzi jednego ze stołów.

Zobaczyła, że ojciec Olavide właśnie skończył coś sprawdzać w jednym z tomisk. W swojej sutannie z innej epoki, ze swoją nieskazitelną koloratką, zawsze ściśle przylegającą do górnej części szyi, ze swoim doskonale watykańskim uśmiechem, podszedł do dziewczyny. A ona spytała urywającym się głosem:

- Widział ojciec mojego nowego kolegę?

- Tak, widziałem go.

Twarz duchownego pozostawała obojętna. Ale palce Marty drżały tak mocno, że zrzuciły ze stołu jeden z leżących tam papierów, który upadł na podłogę. Ojciec Olavide schylił się uprzejmie, żeby go podnieść.

Tylko jeden moment.

Jakiś błysk.

Przy tym ruchu koloratka przesunęła się do tyłu, na kark, i wtedy Marta dostrzegła zawsze ukryty łańcuszek.

Cienki sznureczek ze złota, tak cienki, jakby był stopniowo pożerany przez wieki.

Rysunek. Ogniwa w formie szóstek zaledwie ze sobą połączone.

I czas, czas, który tam przebywał, czas wszystkich martwych miast.

Ojciec Olavide nie zorientował się, że coś zauważyła. Albo może tak. Na jego twarzy nie malował się żaden wyraz. Położył grzecznie papier na stole.

- Widzę, Marto, że jest pani trochę zdenerwowana, i myślę, że to dlatego, iż się pani śpieszy. Ale proszę mi wierzyć, nie powinna się pani śpieszyć, bo rzeczy wydarzają się wtedy, kiedy mają się

wydarzyć. Jest tyle czasu, gdyż Stworzenie jeszcze się nie zakończyło: dokonujemy go my, dzień po dniu, korzystając z materiałów samego Stworzenia. Każda rzecz nastąpi w swoim czasie.

I uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że się pani dobrze ułoży z nowym kolegą.

Marta powoli odwróciła się plecami, jakby nagle jej stopy wrosły w ziemię. W wielkich oknach błyszczały wieże katedry, zatopione we mgle, ukryte przed tymi gołębiami, które jeszcze nie odnalazły do nich drogi. Nad dachami starej Barcelony, gdzie sadziło kwiaty tyle dzieci, które już odeszły. W mieście sekretnie żywiącym się czasem, które wchłania czas, ale go nie niszczy. Czas nas strzeże ze swoich próżni, czas w oknach.

Spis treści

0. Ten Drugi	5
1. Biała śmierć.....	7
2. Niewolnica	13
3. Głos brązu	18
4. Człowiek z dybami.....	27
5. Wieczność i jeden dzień	31
6. Krew na targach	35
7. Krzyk w ciszy	40
8. Szubienica na Rambli.....	42
9. Rytuał.....	52
10. Miasto ukryte.....	58
11. Twarz.....	64
12. Wojna, którą wygrał Szatan	74
13. Kataloński spadek.....	85
14. Stos	92
15. Kobieta, która wierzyła w czas	100
16. Dziewczynka, która chciała umrzeć.....	106
17. Ktoś, kto poznał diabła.....	111
18. Żelazne łoże	124
19. Klejnoty są czasem	140

20. Pan Zmarłych	148
21. Ostatni dom przy murze	166
22. Grób na wzgórzu	173
23. Miasto widm.....	177
24. Ostatnia szarża	182
25. Człowiek, który nigdy nie został pochowany.....	199
26. Hrabia Hiszpanii	209
27. Dom cieni	226
28. Wystarczająco uczciwy, żeby zabić.....	230
29. Domy, które nie istnieją	244
30. Miasto pieniędzy	254
31. Przykro mi z powodu zmarłego	269
32. Kat Barcelony	273
33. Spotkanie.....	291
34. Święto szafotu	299
35. Rozmowa	305
36. Dom upadłych dziewczynek	324
37. Wyznanie	334
38. Robotnicy boży	352
39. Kawiarnia wieczności	367
40. Dom na wzgórzu	385
41. Biegnij dalej, Marto	404
42. Gołębie	407